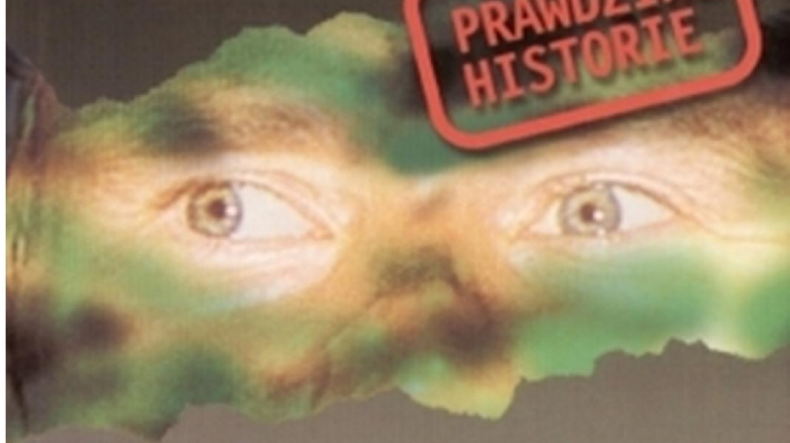


ROBIN HUNTER

KOMANDOSI

PRAWDZIWE
HISTORIE



MUZA SA

ROBIN HUNTER

KOMANDOSI

**PRAWDZIWE
HISTORIE**



MUZA SA

Tytul oryginału: TRUE STORIES OF THE COMMANDOS
Wydana po raz pierwszy w Wielkiej Brytanii
przez Virgin Publishing Thames Wharf Studios
Rainville Road, London W6 9HA

Tłumaczenie:
Małgorzata Szubert

Projekt okładki:
Adam Truszkowski, Andrzej Zieliński

Konsultacja i opracowanie redakcyjne:
Andrzej Zasieczny

Korekta:
Krystyna Krugly

© Robin Hunter 2000 © for the Polish edition by MUZA SA. Warszawa 2001

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana,
przechowywana jako źródło danych i przekazywana w jakiegokolwiek formie
bez pisemnej zgody posiadacza praw.

ISBN 83-7200-784-5

MUZA SA Warszawa 2001

MUZA SA

00-590 Warszawa

ul. Marszałkowska 8

tel. (0-22) 62117 76, 629 50 83

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: tel. (0-22) 628 63 60, 629 32 01

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Warszawa 2001 Wydanie I

Skład i łamanie: NKL, Warszawa Druk i oprawa: Abedik, Poznań

OD WYDAWCY POLSKIEGO

Komandosi zawsze budzili zainteresowanie, ale ich istnienie i bojowe akcje długie lata okrywała mgła tajemnicy. Ta książka poświęcona jest komandosom brytyjskim i operacjom, w których uczestniczyli podczas II wojny światowej. Największym walorem tego opracowania jest szerokie wykorzystanie relacji uczestników opisywanych wydarzeń - oficerów i żołnierzy brytyjskich oddziałów komandosów.

Formacje do zadań specjalnych, które podczas II wojny światowej zaczęto nazywać oddziałami komandosów istniały w armiach wielu państw od czasów starożytnych. Nosiły różne nazwy, ale nie to jest istotne. Wyznaczano im zadania, których nie mogły wykonywać oddziały wojsk regularnych, między innymi rozpoznanie sił przeciwnika, sabotaż i dywersja na jego zapleczu, opanowanie określonych obiektów lub rejonów do czasu nadejścia własnych sił głównych, wspieranie oddziałów partyzanckich itd.

Im bliżej naszych czasów, tym ważniejszą rolę do odegrania podczas wojen i konfliktów zbrojnych miały oddziały specjalne. Prawdopodobnie po raz pierwszy na szerszą skalę formowali je Burowie w Afryce Południowej podczas wojny z Brytyjczykami w latach 1899-1902. Armia brytyjska okupiła zwycięstwo ciężkimi stratami i nie zapomniała tej lekcji. Gdy po klęsce Francji przed Wielką Brytanią stanął problem kontynuowania wojny z III Rzeszą, sięgnięto do pomysłu wykorzystania komandosów, którzy mieli nękać Niemców na kontynencie europejskim.

Jak każda nowa idea, tak też taktyka walki brytyjskich oddziałów specjalnych rodziła się w wielkich bólach. Brytyjscy sztabowcy przez całą wojnę nie mieli sprecyzowanych poglądów na temat sposobu

wykorzystania tych oddziałów, zadań, jakie powinny wykonywać, struktur organizacyjnych, uzbrojenia i wyposażenia specjalnego. Prowadziło to często do marnowania skromnych sił i środków, także do zbędnych strat (np. desant na Dieppe w 1942 r.). O tym wszystkim opowiadają na łamach tej książki brytyjscy komandosy.

Oczywiście oddziały do zadań specjalnych, różnie nazywane, istniały podczas II wojny światowej we wszystkich armiach, tak alianckich, jak i państw Osi. Jednak prawdziwy ich rozwój nastąpił w okresie tzw. zimnej wojny, po wybuchu wojny w Korei w 1950 roku, a potem podczas wojny wietnamskiej, kiedy to Amerykanie znacznie udoskonalili i rozwinęli taktykę użycia wojsk specjalnych oraz opracowali wiele typów nowej broni i wyposażenia. Także w Związku Radzieckim utworzono wiele rodzajów wojsk specjalnych (specnaz).

Na naszych oczach zmienia się charakter konfliktów zbrojnych. Wojna nad Zatoką Perską w latach 1990-1991 była zapewne ostatnią wojną z długą i regularną linią frontu. Następne konflikty będą, z jednej strony, oparte na wykorzystaniu najnowszych technologii i broni „inteligentnych” (pewne wskazówki w tym względzie dała interwencja w Jugosławii w 1999 r.), z drugiej zaś - założyc można, że znikną stałe linie frontu i walki będą miały charakter manewrowy, z szerokim wykorzystaniem bardzo mobilnych, świetnie wyszkolonych wojsk specjalnych.

Warto o tym pamiętać, gdy na kartach tej książki śledzi się losy brytyjskich komandosów, prekursorów nowego typu wojsk, których pełny rozwój nastąpi w najbliższych latach.

Andrzej Zasieczny

WPROWADZENIE

We wszystkim, co rozkaże pan nasz, król, służby twoje będą z tobą.

Druga Księga Samuela (15, 15),
napis na Pomniku Komandosa,
Opactwo Westminster, Londyn

Jest to opowieść o komandosach armii brytyjskiej z czasów II wojny światowej; o ludziach, którzy nadali słowu „komandos” właściwe znaczenie, choć w latach powojennych nadużywali tej nazwy wszelkiego typu terroryści i zabójcy, próbując stroić się w piórka komandosów. Zebrane tu historie, opowiedziane przede wszystkim słowami bohaterów tej książki (relacje znajdują się w archiwum Roba Neillanda), dowodzą, że działania komandosów podczas wojny były trudne i niebezpieczne - ale warte swojej ceny.

Niedługo po wojnie poproszono pewnego żołnierza, który właśnie wrócił z Niemiec, by krótko określił, czym jest służba w oddziałach komandosów. Po chwili namysłu odrzekł podobno: „Jest jak ból w karku, który sprawia swego rodzaju przyjemność”. Słowa te zdają się oddawać istotę rzeczy: akcje komandosów zwykle wymagają wiele wysiłku i nawet w lepszych chwilach są niezbyt przyjemne, podobnie jak walki oddziałów zwykłej piechoty. Ale akcje te mają w sobie coś. Gdy odwracam głowę, widzę wiszący na kołku na drzwiach mojej pracowni spłowiały zielony beret, który zdobyłem wiele lat temu na szkoleniu dla komandosów. Mam kilka innych trofeów zebranych w czasie mego bardzo aktywnego życia, ale żadne tyle dla mnie nie znaczy. Inne nagrody mi przyznano, zielony beret zdobyłem sam.

Przez całe lata komandosi, którym zadawano to samo pytanie, byli zgodni, że przytoczone wyżej słowa ich kolegi są z pewnością bliskie

prawdy. Łatwiej powiedzieć, czym służba w oddziałach komandosów nie jest, niż zwięźle określić, czym jest - komandosi nie wchodzący w skład regularnej armii, lecz tworzący oddziały specjalne, wykonywali zadania najróżniejszej natury. Nie sposób nazwać tego jednym słowem.

Niedawno zapytałem jednak wybitnego dowódcę komandosów z czasów wojny, odznaczonego wieloma orderami i cieszącego się zasłużeniem opinią doskonałego żołnierza: „Czy to było zabawne?” Spojrzał na mnie z dezaprobatą i wolno powiedział: „Tak, w gruncie rzeczy to była najczęściej wspianała zabawa”. Taka jest więc prawda, a tymi, którzy sprawili, że rzecz była zabawna, byli ludzie - twoi partnerzy, kumple, koledzy, wszyscy ci goście w zielonych beretach, którzy jak ty przeszli twardą szkołę, mają oczy szeroko otwarte i nigdy by cię nie zawiedli.

Służba w oddziałach komandosów jest niebezpieczna. To jedna z atrakcji. Nawet szkolenie jest niebezpiecznym, ale wspianałym przeżyciem. Do minusów należy nieustanny, niemiłosierny wysiłek, trudne do zniesienia niewygody, zimno, wilgoć, brak snu, noszenie dużych ciężarów na wielkie odległości i w trudnym terenie, ciągle marsze, konieczność zachowania pogody ducha i trzymania się. Jeśli pominąć to wszystko, służba komandosa jest rzeczywiście świetną zabawą.

A więc, krótko, jak zostajesz komandosem? Łatwiej, gdy jesteś szaleńcem, przeświadczonego w dodatku, że masz dość zdrowego rozsądku i że wiesz, na co się porywasz, chcąc dostać zielony beret. A na zielony beret trzeba zapracować, zdobyć go. To nie przychodzi łatwo i samo w sobie nie jest najważniejsze. Pierwszy krok to zostać żołnierzem, i to dobrym żołnierzem.

Po wyglądzie nie można rozpoznać dobrego żołnierza. Ktoś w nienagannie wyprasowanych spodniach i o stalowym spojrzeniu może zupełnie nie nadawać się do tego fachu. Często usłyszysz komandosów rozmawiających o swoim koledze i wykpiwających jego rozmaite słabostki, ale zazwyczaj podsumowują: „Mimo wszystko on wie, co

znaczy być żołnierzem”, a w tym środowisku jest to równoznaczne z nobilitacją. A więc zostań żołnierzem, ucz się od żołnierzy i zgłoś się na ochotnika na szkolenie dla komandosów.

Jeśli to zrobisz, musisz wiedzieć, że skazujesz się na co najmniej sześć tygodni prania mózgu, pęcherze na stopach, obolałe ramiona, straszliwe znużenie, a wszystko o chłodzie i głodzie. Zdarzają się niebezpieczne momenty, ale to dobrze, ponieważ boisz się tak bardzo, że zapominasz na kilka sekund o swym nędznym losie.

Rekruci nie zaznają wiele wypoczynku. Szkolenie jest wyczerpujące, godziny się dłużą, ćwiczenia najczęściej odbywają się w nocy i bez względu na pogodę. Podstawą jest sprawdzenie - czy raczej zmuszenie cię do sprawdzenia - o ile więcej możesz zrobić, niż ci się wydaje. Nieoczekiwanie, także dzięki przychylności i pomocy twojego partnera, idzie ci coraz lepiej. Przekonujesz się stopniowo, że możesz powtarzać ćwiczenia bez końca, biegać, padać, wspinać się na skały, trafiać w cel - i cieszyć się z tego.

Skąd bierze się ta radość, trudno powiedzieć, ale w życiu komandosa następuje wyraźny moment, kiedy wszystko nabiera sensu, a zadania, które jeszcze kilka dni czy tygodni wcześniej wydawały się niewykonalne, znalazły się w zasięgu twoich możliwości. Jesteś sprawny i silny, ogarniasz to wszystko rozumem i jesteś teraz nie po prostu żołnierzem, lecz komandosem, a to całkiem inny rodzaj zwierzęcia.

To zwierzę wychowało się w nocy, w długich marszach w deszczu, w małych łodziach kołyszących się na bezkresnych morzach, na smaganych deszczem skałach, ośnieżonych szczytach i przede wszystkim podczas nocy spędzonych w ukryciu w wilgotnych okopach. Niewygody to chleb powszedni komandosa. Nauczono go być Tarzanem, wspinać się na skały, skradać się jak kot, czołgać się, atakować, posługiwać się bronią i walczyć wręcz, szybko regenerować siły i wymykać się śmierci; komandos został ukształtowany przez trening, nigdy nie kończący się trening.

Pod koniec szkolenia lub w jego trakcie początkujący komandos

już wie, że może więcej, niż przypuszczał, że musi zaangażować się całą głową i całym sercem i że od takiej postawy zależy więcej niż od umiejętności wykonania stu pompek.

Największą nagrodą jest satysfakcja, że skończyłeś to, co zacząłeś, że ukończyłeś szkolenie i dostałeś zielony beret. Dzięki temu stałeś się członkiem elity, wesołej, odważnej paczki; zyskałeś najlepszych przyjaciół i kolegów, jakich można sobie *życzyć*, ludzi, którzy dają ci z siebie wszystko i oczekują w zamian tylko tego, byś robił, co do ciebie należy, i rozumiał, co znaczy być żołnierzem.

Najgorszą rzeczą, jaką możesz zrobić, jest zawieść swoich kolegów. A jeśli sprawy idą marnie, jeśli czujesz się przegrany, przypomnij sobie słowa starego komandosa: „Jeśli nie umiesz śmiać się z siebie, nie powinieneś wstępować do wojska”. Ludzie, o których opowiada ta książka, doskonale o tym wiedzieli.

1

KRÓTKA HISTORIA WALK KOMANDOSÓW

Choćby każdy z nas miał sto języków i tak wszyscy nie zdołalibyśmy opowiedzieć, wymienić czy wyliczyć wszystkiego, co wycierpieliśmy z rąk bitnych i zajadłych prawdziwych pogan.

Mnich irlandzki o najazdach wikingów,
AD 468

Opowieść o komandosach Armii Brytyjskiej i jednostkach, w których służyli w czasie II wojny światowej, pobudza wyobraźnię. Jest to opowieść o tym, jak niewielka grupa mężczyzn, w której znalazło się wielu młodszych oficerów, utworzyła oddziały specjalne wyćwiczone do walk zupełnie nowego typu, oddziały działające na terenie wroga nawet w najtrudniejszych okresach niepowodzeń, a później biorące udział we wszystkich kampaniach tej wojny. Zielone berety pojawiały się od fiordów Norwegii do dżungli Arakanu. Jest to także opowieść o biurokratycznej obstrukcji, świadomym mnożeniu przeszkód, zaniedbaniach i braku zrozumienia, czym są i co mogłyby zdziałać siły specjalne.

Staraliśmy się opowiedzieć tę historię, opierając się przede wszystkim na relacjach pierwszych komandosów, i przedstawić wszystkie aspekty ich służby w szeregach armii, od rekrutacji do rozwiązania oddziałów, ukazać rozliczne konflikty, triumfy, niepowodzenia i porażki, jakie stały się ich udziałem w tych latach. Żołnierze ci zrzeszeni byli w związku komandosów (Old Comrades Association of the Army Commandos) i podtrzymywali wyniesione z

czasu wojny więzi koleżeńskie podczas długich, monottonnych lat pokoju.

Historia komandosów nie skończyła się jednak wraz z rozwiązaniem w 1946 roku oddziałów walczących podczas wojny, choć wtedy wydawało się, że spełniły już swoją rolę; dziś jednak, kiedy świat wkracza w nowe tysiąclecie, komandosów znów są potrzebni. Około tysiąca komandosów armii służy obecnie w 3. Brygadzie Komandosów Królewskiej Piechoty Morskiej, zasilając wiele niezbędnych brygadzie służb - artyleryjskich, inżynieryjnych, transportowych, powietrznych. Ukończyli oni kurs w Centrum Szkolenia Komandosów Królewskiej Piechoty Morskiej w Lymptone w Devonie, otrzymali zielone berety i służą w oddziałach na całym świecie. W 1982 roku popłynęli wraz ze swymi kolegami, komandosami piechoty morskiej z batalionów 40., 42. i 45., które przetrwały od czasów II wojny światowej, by odbić zajęte przez Argentynę Falklandy.

Oddziały komandosów istnieją nie tylko w Armii Brytyjskiej i w Królewskiej Piechocie Morskiej. Także Australia ma takie jednostki, a Belgia utrzymuje Pułk Spadochronowo-Desantowy, wywodzący się z belgijskiej kompanii 10. międzyalianckiego oddziału komandosów z czasów II wojny światowej. Stany Zjednoczone używały jednostek komandosów do zadań zwiadowczych w Wietnamie. Pomysł powołania tego typu oddziałów rozpowszechnił się, jak każdy dobry pomysł.

Warto przy tym pamiętać, że akcje, jakie wykonywali komandosów, nie były w historii, a szczególnie w historii brytyjskiej, niczym nowym. Już w Starym Testamencie można znaleźć opowieści o wyczynach zupełnie takich samych jak te, których dokonywali współcześni komandosów. Wojny podjazdowe czy partyzantka mają długą historię. Od najdawniejszych czasów nieregularne działania wojenne - zasadzki, nocne wypadki, nagłe ataki, nieoczekiwane odwroty - umożliwiały małym krajom walkę z liczniejszym i silniejszym przeciwnikiem.

Dotyczy to wielu narodów, ale zwłaszcza Brytyjczyków, których

kraj nigdy nie był gęsto zaludniony i nie brakowało mu wrogów. Jeśli przyjrzeć się brytyjskiej historii, okazuje się, że znaczącą rolę odegrał w niej długi ciąg wojen, które zaczęły się atakiem z morza, Brytania jest przecież wyspą. Nie może więc dziwić, że brytyjscy żołnierze w sposób niejako naturalny podejmowali akcje desantowe w czasie II wojny światowej. Należy zatem zacząć tę książkę od krótkiej historii desantów morskich, ulubionego przez brytyjskich komandosów sposobu atakowania.

Pisana historia Brytanii zaczyna się, rzecz można, od najazdu rzymskiego w 55 roku p.n.e. Najazd został odparty, lecz w następnym roku szturm przypuszczono z większym sukcesem i Brytania stała się rzymską kolonią. Panowanie Rzymian w Brytanii trwało około 470 lat. Od końca V wieku Brytowie stawiali czoło kolejnym atakom z morza, podejmowanym przez Jutów, Anglów i Sasów, którzy przepływali przez Morze Północne w swych długich, wąskich łodziach, by łupić klasztory i miasta, mordować lub brać w niewolę zromanizowaną ludność i ostatecznie osiąść we wschodniej Anglii, która stała się ich ojczyzną. Nazwy hrabstw Essex i Sussex, zasiedlonych przez wschodnich i południowych Sasów, pochodzą właśnie od nazw tych plemion, których potomkowie stworzyli anglosaską Anglię i zaprowadzili krótki okres pokoju.

Przerwa w działaniach wojennych nie trwała długo. W następnych stuleciach śladem Sasów poszli Duńczycy, wikingowie, którzy zajęli połowę kraju, a następnie Normanowie, którzy objęli władzę nad całym sasko-duńskim królestwem. Jest zatem oczywiste, że Brytyjczycy, stanowiący, co często się podkreśla, mieszaną ras, wywodzą się od tych żeglujących po morzach najeźdźców.

Brytyjczycy zawsze mieli szczególną skłonność do wojen podjazdowych, zwłaszcza Celtowie żywili do nich upodobanie. W istocie tego typu walki były przez stulecia chlebem powszednim mieszkańców Wysp Brytyjskich, zwłaszcza na pograniczu walijskim i szkockim; każda lista żołnierzy brytyjskich oddziałów nieregularnych czy jednostek komandosów pełna jest celtyckich nazwisk - wymieńmy

choćby lorda Lovata czy Paddy'ego Mayne'a.

W 1066 roku Wilhelm Zdobywca, potomek Normanów, wojowniczych wikingów, którzy utworzyli własne państwo, zwane Normandią, powtórzył wyczyn Cezara, wylądował na wyspie i zajął większą jej część. To także stało się precedensem. Blisko dziewięćset lat później, 6 lipca 1944 roku, nastąpiło zakrojone na szeroką skalę lądowanie wojsk sprzymierzonych w Normandii. Tkanina przedstawiająca operację „Overlord” w D-Day Museum w Portsmouth zawiera sceny takie same, jak słynna tkanina z Bayeux, tylko żelazne hełmy zostały zastąpione przez zielone berety. Wizyta w D-Day Museum była jednym z etapów przygotowań do napisania tej książki.

Podczas wojny stuletniej w latach 1337-1453 Francuzi nieustannie najeżdżali południowe wybrzeża Brytanii, szczególnie pięć portów hrabstw Kent i Sussex, stanowiących bazę wypadową do ataków na Francję. Anglicy z kolei najeżdżali francuskie miasta, armia wielokrotnie lądowała na wybrzeżu francuskim, a lądowanie w 1415 roku w Harfleur u ujścia Sekwany dało początek kampanii, której wynikiem była rozstrzygająca bitwa pod Azincourt.

W 1588 roku marynarka angielska odparła najazd hiszpańskiej Wielkiej Armady. Król Filip II, który wysłał Armadę na zgubę, bez wątplenia dostrzegał ryzyko tego przedsięwzięcia; w czasie swojego krótkiego małżeństwa z królową Marią pisał: „Królestwo Angielskie jest i musi zawsze pozostać potęgą morską, od tego bowiem przede wszystkim zależy jego bezpieczeństwo”. Armada, dowodzona przez księcia Medina-Sidonię, miała skierować się najpierw do brzegów Flandrii, aby wziąć na pokład armię Aleksandra Farnese, księcia Parmy, mającą wylądować w Anglii. Była to w pewnym stopniu operacja połączona - marynarka wojenna miała przewieźć wojska lądowe do Anglii. Plan ten nie powiódł się. Ataki floty angielskiej zmusiły Hiszpanów, którzy ponieśli wielkie straty, do odpłynięcia na północ. Armia hiszpańska nie wylądowała w Anglii.

Zapobiegły temu angielskie działa i angielska pogoda, ale z lekcji tej płynęła nauka, że marynarka wojenna idealnie nadaje się do

obrony, nie może jednak przerzucić swoich sił na ląd, jeżeli nie ma oddziałów desantowych. Dla państw kontynentalnych nie ma to znaczenia, dla wyspiarskiego królestwa jest to sprawa zasadnicza. Słuszności tego poglądu dowiodła choćby wojna o Falklandy w 1982 roku, kiedy to decydującą rolę odegrały niewielkie, ale doskonale wyszkolone oddziały desantowe. Wielka Armada ich nie miała i poniosła klęskę.

W XVII wieku, gdy istniała już Królewska Marynarka Wojenna, rolę wojsk desantowych pełniła, choć niezbyt skutecznie, piechota. W 1664 roku z cywilnych oddziałów zbrojnych Londynu utworzono Pułk Piechoty Morskiej Księcia Yorku i Albany, uzbrojony w strzelby skałkowe, które miały być bardziej przydatne na morzu niż zapalane za pomocą lontu muszkiety.

Pułk ten, znany także pod nazwą Pułku Lorda Admirala, przekształcił się ostatecznie w Królewską Piechotę Morską; należących do niej żołnierzy szkolono do akcji desantowych, ich zadaniem było zapewnić dowództwu floty możliwość przetrzucania wojsk na ląd, dostarczać strzelców wyborowych mających zabijać oficerów i artylerzystów nieprzyjaciela w czasie bezpośredniego starcia okręt w okręt, w razie potrzeby mieli oni także - co czasem robili - poskramiać zbuntowanych marynarzy. Żołnierze piechoty morskiej stacjonowali na okrętach, aby zapobiegać buntom i, jak zwykli mówić, „powstrzymać marynarzy i oficerów od zjedzenia siebie nawzajem”. Brali udział w wielu wyprawach morskich, lecz akcji desantowych dokonywali nie tylko oni. Podczas wielkich kampanii wojennych uczestniczyły w nich także regularne oddziały armii brytyjskiej.

W latach pięćdziesiątych XVIII wieku Brytyjczycy nasilili ekspansję terytorialną, a w toczonych wówczas wojnach dużą rolę odgrywały operacje lądowania wojsk. Do najbardziej znaczących należała operacja z początku wojny siedmioletniej, kiedy to w 1759 roku armia generała Wolfe'a podjęła ofensywę w górę rzeki Św. Wawrzyńca i po ciężkiej bitwie zajęła Quebec, co przesądziło o losach Kanady - ten rozległy kraj znalazł się pod panowaniem bry-

tyjskim. Lądowanie armii Wolfe'a stało się wzorem dla wielu wielkich operacji dokonywanych przez jednostki komandosów podczas II wojny światowej, ale w ciągu ostatnich dwóch stuleci było znacznie więcej tego typu działań. Zajęcie Quebecu było klasyczną „operacją połączoną”, w której brały udział siły morskie i lądowe, i jedną z wielu przeprowadzonych na całym świecie przez Królewską Marynarkę Wojenną w celu zdobycia nowych terytoriów dla Korony brytyjskiej.

Pięćdziesiąt lat później, w czasie wojen napoleońskich, Brytyjczycy przekonali się na własnej skórze, co mogą zdziałać siły specjalne; była to kolejna lekcja udzielona przez historię. Lord Wellington zabrał na wojnę w Hiszpanii tylko doborowe oddziały polowe. Na miejscu okazało się jednak, że armia hiszpańska niewiele może zdziałać w otwartej bitwie z Francuzami; warunki terenowe tego kraju, „w którym małe armie przegrywały, a duże armie przymierały głodem”, nadawały się jednak znakomicie do walki partyzanckiej toczonej przez hiszpańskich *guerillos*. Walki w Hiszpanii w latach 1808-1814 nazywa się *guerillą* (wojenką), od hiszpańskiego *guerra* - wojna. Regularne wojska stoczyły wielkie bitwy pod Vitorią, Salamanką, Badajoz i Talawerą, lecz dopiero połączone oddziały wojskowe i partyzanckie pokonały Francuzów i wypędziły ich z Hiszpanii.

Grupy dobrze uzbrojonych partyzantów atakowały i wycinały francuskie garnizony, paraliżowały łączność, chwytali kurierów, sprawiły, że francuskie pozycje w Hiszpanii były nie do utrzymania. Jednocześnie odbywały się brawurowe wypady przybrzeżne; kapitanowie fregat, np. legendarny kapitan Hornblowers, wysyłali grupy złożone z marynarzy i żołnierzy piechoty morskiej, aby odcinać statki od dobrze bronionych portów. Eskapady takie były dość ryzykowne; podczas desantu na Teneryfę admirał Nelson stracił prawą rękę.

To wszystko powinno stworzyć przynajmniej podwaliny tradycji. Ciągłe jednak traktowano akcje desantowe jako przedsięwzięcia pośledniejszej rangi, organizowane doraźnie, z użyciem sił, jakie były

akurat pod ręką; nie były to działania ściśle wyspecjalizowane tak jak w późniejszych wojnach. W XIX i w początkach XX wieku wojny prowadzono przede wszystkim przy użyciu okrętów wojennych i krążowników oraz wielkiej ilości wojska; brytyjskie oddziały desantowe, i tak niezbyt liczne, niemal zanikły.

W wojnach kolonialnych epoki wiktoriańskiej operacje desantowe nie odgrywały większej roli. Imperium okrzepło, a strzegły go i poszerzały granice wojska lądowe. Wylądowały one nawet na Krymie, nie napotykając właściwie oporu, ale cała wojna* okazała się katastrofą. Brytyjczycy byli przekonani, że Marynarka Królewska panuje na morzach, natomiast armia może wylądować, gdzie zechce, i pod osłoną dział okrętowych maszerować, gdziekolwiek sobie życzy.... i tak to wyglądało aż do wojny burskiej na przełomie stuleci. Armia brytyjska zetknęła się tu z zupełnie innym przeciwnikiem, nie z marnie uzbrojonymi tubylcami, lecz odważnymi, sprawnymi oddziałami partyzanckimi, uzbrojonymi w nowoczesną broń, którą potrafiono się posługiwać.

* Krymska 1853-1856 - przyp. red.

Wojna burska toczyła się w latach 1899-1902 w Afryce Południowej. Po kilku początkowych sukcesach armia burska okazała się całkiem niezdolna do obrony przed stale rosnącą siłą regularnych wojsk brytyjskich. Kiedy jednak Burowie zaczęli wstępować do komand - *commando* to burska nazwa miejscowych oddziałów strzelców konnych - byli w stanie walczyć przez lata z całą potęgą brytyjskiego imperium i jego słynnymi generałami, Robertsem i Kitchenerem. Historia brytyjskich komandosów z okresu II wojny światowej i lat późniejszych ma korzenie w Afryce Południowej.

Wielu dowódców z czasów II wojny zdobywało szlify podczas długiej i ciężkiej kampanii burskiej.

Burski komandos Denys Reitz napisał wspomnienia zatytułowane, jakże by inaczej, *Commando*, które wydawane jeszcze czterdzieści lat później stanowiły źródło inspiracji dla żołnierzy brytyjskich. Reitz opisywał, w jaki sposób małe, ruchliwe oddziały jeźdźców, uzbrojo-

nych w niewiele więcej niż odwagę, wytrwałość i doskonałe strzelby, mogły odpierać ataki zmasowanych sił imperium mimo ciężkich strat i w niezwykle trudnej sytuacji. Sposób, w jaki Reitz podjął decyzję o wyjeździe na wojnę - na zasadzie „wstań i idź” - jest typowy dla każdego komandosa:

We wrześniu 1899 roku dowiedzieliśmy się, że oddziały brytyjskie zmierzają w stronę Transwału i Oranu i otrzymaliśmy rozkaz ruszenia w stronę granicy z Natalem. W chwili, gdy to usłyszeliśmy, wyprowadziliśmy konie ze stajni, w ciągu dziesięciu minut osiodłaliśmy je i ruszyliśmy... nie zdając sobie sprawy, jak długo potrwa i jak będzie trudna ta podjęta bez chwili zastanowienia wyprawa.

Jedno z burskich komand wysadziło w powietrze pociąg pancerny. Wśród pasażerów znajdował się oficer 40. Pułku Huzarów, służący w Afryce Południowej jako korespondent wojenny. Nazywał się Winston Churchill, był premierem brytyjskim w czasie II wojny światowej i „ojcem brytyjskich komandosów”.

Podczas I wojny światowej przeprowadzono dwie operacje desantowe, jedna zakończona klęską, druga sukcesem. Pierwszą było lądowanie oddziałów brytyjskich, francuskich, australijskich, nowozelandzkich i Gurkhów na Półwyspie Gallipoli w Cieśninie Dardanele 25 kwietnia 1915 roku. Operacja ta była od początku skazana na niepowodzenie, ponieważ poprzedzająca ją, zakończona fiaskiem ekspedycja floty uprzedziła Turków o zbliżającym się natarciu. Oddziały utrzymały się na półwyspie do końca 1915 roku kosztem ciężkich strat w ludziach i bez widoków na zwycięstwo, a w końcu zostały wycofane pod osłoną nocy z 8 na 9 stycznia 1916 roku. Lądowanie na Gallipoli załamało na pewien czas karierę polityczną Winstona Churchilla, z którego inicjatywy podjęto tę próbę otwarcia bezpiecznej drogi morskiej do Rosji i wyeliminowania Turcji z wojny. Nie osiągnięto zupełnie nic, a straty były ogromne: 30 tysięcy zabitych, 74 tysiące rannych, 8 tysięcy zaginionych lub wziętych do niewoli. Co gorsza, nie wyciągnięto z tego wydarzenia żadnych

wniosków. Churchill został zmuszony do rezygnacji, a brytyjskie władze wojskowe zaczęły podchodzić do operacji desantowych z ogromną nieufnością. Na szczęście następny desant, lądowanie w Zeebrugge, choć na mniejszą skalę, został przeprowadzony z o wiele większym sukcesem.

W dniu św. Jerzego, 23 kwietnia 1917 roku, żołnierze z 4. batalionu Korpusu Królewskiej Piechoty Morskiej dokonali wypadu na belgijski port Zeebrugge. Uważano, że port jest bazą wypadową okrętów podwodnych, a zadaniem uczestników akcji było zablokowanie kanału i doków i zniszczenie urządzeń portowych. Wypad zakończył się sukcesem; port został całkowicie zablokowany, a Korpus otrzymał dwa Krzyże Wiktorii. Operacja ta nie zakończyła działań niemieckich okrętów podwodnych, ponieważ Zeebrugge był tylko jedną z kilku baz U-bootów. Dowódcą operacji był kapitan Roger Keyes, późniejszy admirał sir Roger Keyes, wybitny oficer marynarki i zwolennik akcji desantowych, który w 1940 roku został dowódcą Operacji Połączonych i kierował akcjami desantowymi komandosów brytyjskich.

Państwa centralne zostały w końcu zmuszone do zawarcia pokoju, co stało się możliwe dzięki blokadzie morskiej, ogromnym stratom na froncie zachodnim i przystąpieniu do wojny Stanów Zjednoczonych. Stany Zjednoczone zaferowały aliancom nieograniczone dostawy broni i sprzętu wojskowego, dzięki czemu można było prowadzić wojnę obliczoną na wyczerpanie przeciwnika (skuteczność strategii miała z tym niewiele wspólnego). Wojna zakończyła się 11 listopada 1918 roku i na następne dwadzieścia lat brytyjskie siły zbrojne pogrążyły się w stagnacji. Mimo to zaznaczyło już swoją obecność kilku zwolenników tworzenia oddziałów komandosów. Byli to przede wszystkim Roger Keyes i Winston Churchill, mający już pewne doświadczenie w prowadzeniu nietypowych działań wojennych. Gdy weźmie się pod uwagę dwa tysiące lat historii i niezliczone przykłady tego, co można osiągnąć stosując strategię akcji desantowych, wyda się nieco dziwne, że Brytyjczycy ciągle nie widzieli konieczności specjalnego szkolenia

i wykwapowania sił desantowych innych niż Królewska Piechota Morska, sił przygotowanych specjalnie do prowadzenia operacji na tyłach wroga.

W książce tej, dotyczącej II wojny światowej, omówiono dwa rodzaje akcji desantowych: małe wypadki na wybrzeża i wielkie operacje z użyciem różnych rodzajów wojsk. Od 1664 roku Wielka Brytania utrzymywała mogący wypełniać oba te zadania Korpus Królewskiej Piechoty Morskiej, lecz od 1918 roku Korpus przestał pełnić funkcję wojsk desantowych, pełnił raczej służbę na morzu, żołnierzom ograniczono możliwości ćwiczeń na lądzie, nawet sens dalszego utrzymywania Korpusu podawano często w wątpliwość. Gdyby admirałowie musieli wybierać między nowym okrętem wojennym a piechotą morską, Korpus mógłby przestać istnieć.

Podczas I wojny, z wyjątkiem wypadu do Zeebrugge, żołnierzy Korpusu używano po części do obsługi ciężkiego sprzętu wojskowego, dużych wież działowych na okrętach liniowych i krążownikach, wspierali też brygady piechoty, zamiast służyć z marynarką wojenną na zachodnim teatrze wojennym. Gdy wojna się zakończyła, Korpus liczył 55 tysięcy żołnierzy, podzielony był na artylerię i lekką piechotę. Siły te szybko zredukowano. Po demobilizacji zostało około 15 tysięcy osób. W 1923 roku powstał znów jeden Korpus Królewskiej Piechoty Morskiej. Zadaniem Korpusu miało być, wedle ustaleń admiralicji, „dostarczanie okrętom Jego Królewskiej Mości oddziałów, które, jeśli będą w stanie zapewnić ludzi do obsługi broni, będą także szkolone do wspierania sił uderzeniowych (...) w operacjach desantowych, takich jak wypadki na wybrzeża nieprzyjaciela czy obrona i zdobywanie baz dla naszej własnej floty”.

Rozporządzenie to na pozór dawało Korpusowi szansę rozwinięcia możliwości, jakie zademonstrował w Zeebrugge, nie pojawiły się jednak dalsze sygnały o konieczności rozwijania sił desantowych, dostarczeniu im specjalistycznego sprzętu i ekwipunku, choć problem dokonywania ataków z morza był podnoszony jeszcze w 1913 roku przez połączony Komitet Armii i Marynarki Wojennej. Ustalenia

Komitetu opublikowano w *A Handbook of Combined Operations*, gdzie zagadnienie operacji desantowych zostało bardzo jasno wyłożone. Sama analiza problemu to jednak zbyt mało. Trudno było o pieniądze i nie zrobiono nic, aby rozwiązać najważniejsze kwestie, dostarczyć niezbędny sprzęt czy szkolić ludzi w technikach desantowych. Sądzono, że nauczą się ich w trakcie służby i stosowano typowo brytyjską metodę mnożenia trudności.

Mimo że znaczenie korpusu desantowego zostało ponownie podniesione przez Komitet Maddena w 1924 roku, nie przeznaczono żadnych funduszy na wyposażenie, szkolenie czy sprzęt do lądowania. Gdy 3 września 1939 roku Wielka Brytania przystąpiła do wojny, była jak zwykle całkowicie nieprzygotowana. Na najbliższe dziesięć lat znów stanął na porządku dziennym problem operacji połączonych, czyli zakrojonych na szeroką skalę desantów z morza wspieranych przez lotnictwo i marynarkę, jakby dopiero teraz przypomniano sobie, że Brytania jest wyspą. W 1930 roku założono w Fort Cumberland w Perth wspólne dla wszystkich służb Centrum Szkolenia i Rozwoju (I-STDC), dowodzone przez kapitana marynarki L.E.H. Maunda, którego asystentami byli podpułkownik lotnictwa, major artylerii i były kapitan piechoty morskiej J. Picton-Phillips. Pułkownik Phillips zginął, dowodząc Oddziałem A Królewskiej Piechoty Morskiej (późniejszym 40. oddziałem komandosów) podczas rajdu na Dieppe w 1942 roku.

Od 1930 roku w I-STDC wypróbowywano trzy prototypy barek desantowych. Najlepsza z nich osiągała najwyższą prędkość pięciu węzłów; żadna z nich nie mogła podpłynąć blisko do plaży odpowiedniej do lądowania. W ciągu następnych dziesięciu lat typów łodzi było już sześć, lecz żaden nie był wyraźnie lepszy od pozostałych. Przy rzadkich okazjach, kiedy urządzano próbne lądowania, żołnierze wiosłowali do brzegów w łodziach i kutrach marynarki wojennej. Nelson czułby się jak w domu. Dziesięć lat nieustannych monitów ze strony I-STDC nie wystarczyło, by przekonać Ministerstwo Wojny, że łodzie desantowe czy szkolenia są niezbędne. Centrum nie otrzy-

mało potrzebnych środków ani ludzi.

Wraz z wybuchem wojny we wrześniu 1939 roku i wysłaniem do Francji Brytyjskich Sił Ekspedycyjnych (BEF) nastąpił kres I-STDC. Kapitan Maund wysłał do swych przełożonych prośbę o instrukcję w sprawie dalszych działań i otrzymał odpowiedź, że ponieważ BEF znalazła się już na kontynencie, nie będą potrzebne żadne operacje desantowe. Wyposażenie I-STDC złożono do magazynów lub sprzedano, oficerowie i personel powrócili do swoich jednostek; idea operacji połączonych została porzucona... a w niespełna rok później nastąpiła klęska pod Dunkierką. Wówczas, kiedy Brytyjczycy musieli ewakuować się z kontynentu, oczywista stała się dla wszystkich przydatność jednostek desantowych - ale one już nie istniały.

Myśl wojskową Brytyjczyków cechuje pewien mankament. Żaden naród nie wydał tylu twórczych żołnierzy, wielkich generałów i oficerów, takich jak Marlborough, Wolfe, sir John Moore, Wellington, T.E. Lawrence, Orde Wingate, David Stirling z SAS - lista mogłaby ciągnąć się w nieskończoność. Żaden naród tak chętnie nie eksperymentował z nowymi metodami prowadzenia wojny. Brytyjczycy pierwsi użyli czołgów, oddziałów spadochronowych, powołali SAS (Special Air Service - Specjalna Służba Powietrzna), Long Range Desert Group (Pustynne Grupy Dalekiego Zasięgu), SBS (Special Boat Section - Specjalny Oddział Łodzi), posługiwali się małymi okrętami podwodnymi, używali bomb burzących, samolotów odrzutowych... znów lista nie miałaby końca. Wszyscy zawodowo czynni żołnierze mówią jednak o tak obezwładniającej sile biurokracji, że nawet najlepsze pomysły przedstawiane władzom wojskowym grzęzną w stosach papierów, każdą sprawę przeciąga się w nieskończoność, a jeszcze chętniej likwiduje w zarodku.

Nie ma to nic wspólnego z działaniem tzw. siły wyższej. W papierach wszystko musi się zgadzać, wszystko musi być na swoim miejscu. W papierach nie ma jednak miejsca dla ludzi z szalonymi pomysłami, ludzi, którzy chcą tworzyć tajne armie i krążyć z poczernionymi twarzami, zabijając strażę. Na szczęście nic tak nie

mobilizuje woskowych umysłów, jak miazdząca klęska - taka, jakiej doświadczyła Armia Brytyjska w roku 1940.

Między wrześniem 1939 a wiosną 1940 roku armie Hitlera, mistrzowsko stosujące strategię Blitzkriegu, wojny błyskawicznej, zajęły te kraje Europy, których nie udało się wcześniej wchłonąć wskutek polityki ustępstw. W czasie „dziwnej wojny” z przełomu 1939 i 1940 roku Niemcy okupowały Polskę, następnie zwróciły uwagę na północ, w pierwszym rzędzie na Danię i Norwegię, które armia niemiecka zaatakowała 9 kwietnia 1940 roku. Dania, mająca tylko krótki pas wybrzeża do obrony przeciw Blitzkriegowi, szybko została zajęta, Norwegii jednak mogły pomóc siły francuskie i brytyjskie; dla Norwegów ta prowadzona ze zmiennym szczęściem kampania także okazała się klęską.

Luftwaffe panowała w powietrzu i mimo że Królewska Marynarka Wojenna odniosła pewne sukcesy w walkach z niemiecką flotą i transportowcami, niedostateczna osłona z powietrza i złe warunki atmosferyczne szybko położyły kres działaniom aliantów. Norwegia się poddała. Porażka ta miała jednak dwojakiego rodzaju wpływ na dzieje komandosów. Po pierwsze, klęska wymusiła rezygnację Neville'a Chamberlaina, a premierem został Winston Churchill. Po drugie, do walki ruszyły wówczas po raz pierwszy samodzielne kompanie, poprzedniczki oddziałów komandosów.

Do Norwegii wysłano pięć samodzielnych kompanii, pospiesznie sformowanych z ochotników z pułków obrony terytorialnej, ponieważ Królewska Piechota Morska, która mogłaby być rzucona na północ, była zajęta obsługą dział floty lub służbą w artylerii nadbrzeżnej; widocznie zapomniano o jej właściwym przeznaczeniu. Sformowano brygadę piechoty morskiej, w jej skład weszli przede wszystkim tymczasowo zwerbowani rekruci-marynarze, ludzie najczęściej niezdolni pojąć zawichości wiedzy artyleryjskiej, ponieważ jednak brygada ta - później przekształcona w pełną dywizję - ciągle cierpiała na braki kadrowe i była raczej słabo wyszkolona, zapadła decyzja o utworzeniu kilku niewielkich jednostek, zwanych samodzielnymi

kompaniami, z żołnierzy rozmaitych formacji obrony terytorialnej.

Koncentracja armii brytyjskiej we Francji sprawiła, że do oddziałów obrony terytorialnej powołano rezerwistów, którzy stanowili niewyczerpane źródło ochotników. Każda brygada otrzymała rozkaz dostarczenia plutonu w liczbie trzydziestu ludzi do samodzielnej kompanii, każdy batalion tej brygady - dziesięcioosobowej drużyny (sekcji). Każdą drużyną dowodził porucznik lub podporucznik, każdą kompanią - major. Ostatecznie utworzono dziesięć samodzielnych kompanii, w których szeregach służyło wielu późniejszych sławnych komandosów, np. major Charles Newman, odznaczony później Krzyżem Wiktorii, jako dowódca 2. oddziału komandosów w St Nazaire, major Thomas Trevor z 1. oddziału komandosów, major Ronnie Tod, który dowodził 9. oddziałem komandosów we Włoszech, i wielu innych. Pojawią się oni na kartach tej książki.

Każda samodzielna kompania liczyła 21 oficerów i 268 żołnierzy, a pierwszych pięć szybko znalazło się w Norwegii, gdzie dobrze się sprawdziły zwłaszcza podczas ciężkich walk o Narwik. Kampania norweska skończyła się jednak kompletną katastrofą. Wojska angielskie i francuskie wycofały się z Norwegii 9 czerwca 1940 roku, kraj stał się łupem nazistów... a w ciągu tygodnia nastąpiła klęska pod Dunkierką. Rekrutacja do samodzielnych kompanii trwała cały czas, nie brakowało bowiem ochotników.

Jednym z pierwszych komandosów był Charles Hustwick ze służby łączności, który wstąpił do 9. samodzielnej kompanii:

Pewnego ranka wezwano ochotników, którzy chcą wziąć udział w pewnej akcji, i jako pierwszy wystąpiłem naprzód. Dano nam mundury i wysłano do St Mellons w Herefordshire, gdzie zastaliśmy resztę kompanii, wszystkich ochotników z 38. Dywizji Piechoty. To była prawdziwa mieszanina, nie wszyscy z nas byli piechurami. Byli tu saperzy z wojsk inżynieryjnych, lekarze, artylerzyści, sygnaliści, kawalerzyści, czołgiści, co tylko chcesz, a wszystko razem znalazło się w 9. samodzielnej kompanii, jednostce całkowicie samowystar-

czalnej, liczącej 250 ludzi.

Byłem sygnalistą, mieliśmy sprzęt radiotelegraficzny, ale wyprodukowany w Rumunii, więc wszystkie instrukcje były po rumuńsku i musieliśmy poświęcić pewien czas na rozpracowanie go, zupełnie jakbyśmy uczyli się od początku. Ten sprzęt musieliśmy nosić na plecach; nosiliśmy także broń, po dwieście sztuk amunicji, manierki, maski przeciwgazowe i różne inne dziwne rzeczy. Obładowani, w pełnym rynsztunku nie mogliśmy stanąć prosto. Nasz dowódca, major Siddons, walczył w bitwie pod Mons w 1914 roku, miał szramę po niemieckiej szabli na czole i nosił afrykańską maczugę jako broń osobistą.

Pierwszym zadaniem było złapać dobrą kondycję i rzeczywiście zdobyliśmy ją, zanim zaokrętowano nas w Gourock nad Clyde. Okręt służył wcześniej do przewozu bydła i ciągle pełno było w nim słomy i gnoju. Musieliśmy posprzątać boksy, zanim położyliśmy się spać. Dopłynęliśmy do Norwegii. Naszym zadaniem było przedostać się za linię frontu i zakłócić łączność wroga, ale, jak wiesz, kampania norweska zakończyła się fiaskiem i wróciliśmy do Glasgow, gdzie z jakichś powodów byliśmy witani jak wielcy bohaterowie.

Nadszedł koniec lipca 1940 roku, czas Dunkierki. Po powrocie z Norwegii niektórzy żołnierze 6., 7., 8. i 9. samodzielnych kompanii zostali wysłani do Southampton, do 11. kompanii, tworzącej się pod dowództwem majora Ronniego Toda. Charles Hustwick wspomina:

Po raz pierwszy odbyliśmy przegląd na terenie klubu piłkarskiego w Southampton, ale w sierpniu 1940 roku 11. samodzielna kompania została rozwiązana i powróciliśmy do naszych oddziałów. Ja wróciłem do 9. samodzielnej kompanii, która stacjonowała w Scillies. Stamtąd zostaliśmy wysłani do obrony wybrzeża w Mount Bay - podczas bitwy o Anglię powszechnie sądzono, że inwazja niemiecka jest pewna i obsadzano pozycje obronne na południowym wybrzeżu, kim tylko się dało. Potem powiedziano nam, że 9. samodzielna kompania zostanie rozwiązana i możemy albo wrócić do macierzys-

tych jednostek, albo wstąpić jako ochotnicy do bliżej nie określonych służb specjalnych. Ochotnicy z 9. kompanii połączyli się z ochotnikami z 2. kompanii, która także walczyła w Norwegii, i w ten sposób powstał 1. Batalion Służb Specjalnych (SS), choć nikt nie chciał tak go nazywać ze względu na oczywiste skojarzenie z niemiecką SS; nazwa została więc wkrótce zmieniona. Było nas około 800 żołnierzy, naszym dowódcą był podpułkownik Bill Glendenning, a jego zastępcą major Tom Trevor. Dowódca był dżentelmenem, człowiekiem powszechnie szanowanym. Ponieważ jak na oddział sił specjalnych było nas za dużo - większość oddziałów komandosów liczyła 400 lub mniej ludzi - około października 1940 roku z 1. Batalionu utworzono 1. i 2. oddziały komandosów. Ja wstąpiłem do Brygady Łączności Służb Specjalnych i rozpocząłem długą służbę jako komandos.

W końcu lata 1940 roku Wielka Brytania znalazła się w niebezpiecznej sytuacji. Błyskawiczna ofensywa niemiecka w maju i czerwcu odcięła Brytyjskie Siły Ekspedycyjne w kotle nad kanałem La Manche, pozbawiając je możliwości kontynuowania walki. Konieczna była ewakuacja. Ewakuację z Dunkierki uważano wówczas za cud, było to bardzo wymowne. Przez kanał przerzucono do 'poczernie bezpiecznej Anglii co najmniej 338 tysięcy żołnierzy, w większości Brytyjczyków. Wielka radość Brytyjczyków trwała krótko - co prawda mogli teraz walczyć nie skrzępowani opieszałością i niezdecydowaniem Francuzów, ale, jak zauważył wówczas Winston Churchill, „wojen nie wygrywa się przez ewakuację”. Wielka Brytania straciła swą pozycję na kontynencie i aby ją odzyskać, musiałaby podjąć ogromną operację desantową.

Geoff Riley, później walczący w 5. oddziale komandosów*, wspomina ewakuację z Francji w 1940 roku:

* W polskiej terminologii wojskowej brak odpowiednika angielskiego słowa *commando*, oznaczającego podczas II wojny światowej podstawowy, samodzielny oddział komandosów w Armii Brytyjskiej, odpowiadający mniej więcej batalionowi piechoty i liczący 450-500 żołnierzy, podzielonych zwykle na 10 plutonów. W tej

książce termin „*commando*” jest równoważny polskiemu terminowi „oddział komandosów”. Uważamy za niecelowe używanie zarówno terminu *commando*, jak i komando (kojarzy się z obozem koncentracyjnym).

Byłem na ostatniej łodzi opuszczającej St Nazaire 19 lub 20 czerwca. Najmocniej utkwił mi w pamięci widok francuskiego chłopca, około czternastoletniego, który rozplakał się gwałtownie, widząc nas marszerujących do portu. Przywarł do mnie, błagał, byśmy zabrali go ze sobą. Nie mogłem oczywiście tego zrobić, ale obiecałem sobie, że wrócę z brytyjskim wojskiem najszybciej, jak to będzie możliwe.

Wydawało się więcej niż prawdopodobne, że Niemcy, o ile nie zostaną powstrzymani, dokonają wkrótce inwazji na Wielką Brytanię przez kanał La Manche. Gdyby udało im się wylądować na wybrzeżu, niewiele już mogłoby ich zatrzymać. Premier Winston Churchill bez ogródek powiedział w Izbie Gmin do posłów i wszystkich Brytyjczyków: „Wojna o Francję się skończyła, ale wojna o Brytanię dopiero się zaczyna”.

Nie mogła to być wojna wyłącznie obronna. Brytyjczycy musieli wykazać ducha walki i oddawać ciosy szybko, często i tak mocno, jak to możliwe; armii, która została kompletnie pobita, nie można było zostawić samej sobie przeciw ogromnej sile, ponieważ wróg mógłby to wykorzystać i uderzyć znowu. Taki obrót sprawy mógł być tylko kwestią czasu, ponieważ wojska hitlerowskie po Dunkierce zajęły Paryż, Francja całkowicie się poddała, a Hitler triumfował. Inwazja zdawała się nieunikniona.

Na szczęście, Brytyjczyków oddzielał od najeźdźców, jak wiele razy wcześniej, nieoceniony kanał La Manche, który ma w najwęższym miejscu 38 km szerokości. Aby przepłynąć kanał, okręty niemieckie musiały mieć osłonę lotniczą, walka zaczęła się więc teraz toczyć w powietrzu. Przez kilka tygodni długiego, gorącego lata 1940 roku przyszłość Wielkiej Brytanii i całego wolnego świata zależała od niespełna półtora tysiąca młodych ludzi, wyszkolonych pilotów myśliwców z Królewskich Sił Powietrznych (RAF), bohaterów

swoich czasów, towarzystwa słynącego z odwagi i brawury.

W czerwcu 1940 roku Wielka Brytania była niemal całkowicie osamotniona, a jej środki ograniczone. Wprawdzie w RAF walczyli już piloci z dominiów, ale w krajach Brytyjskiej Wspólnoty Narodów konieczny był ciągły werbunek*. Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny dopiero półtora roku później, po ataku Japonii na bazę floty amerykańskiej w Pearl Harbor w dniu 7 grudnia 1941 roku. Wśród Brytyjczyków nie dominowały nastroje paniki.

Rząd i Naczelne Dowództwo doskonale zdawały sobie sprawę, jak rozpaczliwa jest w sytuacja, nawet jednak w tych ciężkich chwilach nie przestano myśleć o walce i podjęto ją na nowo. Dnia 26 czerwca 1940 roku, dzień przed kapitulacją Francji, mały oddział komandosów brytyjskich dokonał wypadu na wybrzeże francuskie nad kanałem La Manche.

* W 1940 roku w RAF walczyli także piloci polscy, czechosłowaccy, holenderscy, belgijscy, norwescy - przyp. red.

2

PIERWSZE RAJDY, 1940-1941

Służby specjalne powinny mieć do dyspozycji w pełni wyszkolonych, pierwszej klasy żołnierzy, gotowych do działań ofensywnych przeciw nieprzyjacielowi na całym świecie.

Podpułkownik Newman, dowódca 2. oddziału komandosów, 1940

Ewakuacja z plaż Dunkierki, podczas której uratowano większość żołnierzy BEF i wielu żołnierzy francuskich, utracono jednak większość wyposażenia wojsk, zakończyła się 4 czerwca 1940 roku. Pierwszym uczuciem, jakie ogarnęło Brytyjczyków, gdy rozeszły się wieści o powodzeniu ewakuacji, była ulga. Później zastąpił ją pewien niepokój o to, co przyniesie przyszłość i jak Armia Brytyjska, pozbawiona czołgów, ciężkiej artylerii i środków transportu, zdoła znów podjąć walkę. Było oczywiste, że trzeba było zyskać na czasie i pokazać nieprzyjacielowi, że Wielka Brytania ciągle walczy - a jedyną drogą do tego było dokonywanie wypadów na kontynent.

Można dokładnie określić czas narodzin jednostek brytyjskich komandosów. Nastąpiło to około godziny siódmej wieczorem 4 czerwca 1940 roku, gdy podpułkownik Dudley Clarke, asystent generała sir Johna Dilla, szefa Imperialnego Sztabu Generalnego, człowiek, który doradzał rządowi w sprawach wojskowych i przekazywał oficjalne stanowisko władz Naczelnemu Dowództwu, wracał do domu z Ministerstwa Wojny, rozważając po drodze, jak zrewanżować się Niemcom świętującym właśnie zwycięstwo nad kanałem La Manche. Podczas służby w Palestynie, gdzie przyglądał się, jak armia brytyjska próbowała - nie zawsze skutecznie - powstrzymać

Arabów i Żydów od wyrzynania się nawzajem, widział też, jak garstka bojowników potrafiła sparaliżować dwie brytyjskie dywizje.

Clarke zastanawiał się, czy to, co udawało się w Palestynie, nie mogłoby się udać tu, w okupowanej przez wroga Europie, gdzie tysiące mil* wybrzeży, od Norwegii po Hiszpanię, stały otworem przed Royal Navy i jej oddziałami desantowymi. Trudność polegała na tym, że nie było sił desantowych - ani ludzi, ani wyposażenia, ani łodzi, których można by użyć. Istniała co prawda Królewska Piechota Morska, która zgodnie z tradycją powinna pełnić funkcję oddziałów desantowych, ale jej żołnierzami obsadzano teraz pospiesznie baterie artylerii obrony wybrzeża, obsługiwali oni także artylerię na okrętach JKM, a marynarzy-ochotników przydzielano do dywizji piechoty morskiej. Ponadto byli w Admiralicji i wśród marynazy ludzie o jeszcze ciaśniejszych poglądach niż reprezentowane przez Sztab Armii. W tych warunkach rozsądniejsze wydawało się rozpoczęcie tworzenia grup specjalnych na bazie wojsk lądowych.

* 1 mila = 1609,31 m - przyp. red.

Tego wieczora Dudley Clarke spisał swoje pomysły na kartce papieru i dał ją swemu szefowi. Mówiąc najkrócej, pomysły te nawiązywały do działań komand Burów w Afryce Południowej na przełomie stuleci. Clarke uważał, że można spróbować podobnych wypadów na wybrzeże francuskie, gdzie grupy lekko wyekwipowanych ludzi, przewiezionych małymi, szybkimi okrętami marynarki wojennej, mogłyby nękać przeciwnika i dawać świadectwo brytyjskiej woli walki. Mogłoby to także, sugerował Clarke, przekonać opinię publiczną, że nie wszystko jeszcze jest stracone. Ryzyko nie było zbyt wielkie, kilku ludzi i łodzie, a efekt mógł być znakomity.

Winston Churchill zawsze miał słabość do nietypowych sposobów prowadzenia wojny i do oryginalnych propozycji, a w tym przypadku mógł ocenić walory sugerowanego przedsięwzięcia na podstawie własnych doświadczeń z Afryki Południowej. Uznał, że naprawdę warto spróbować i wyraził zgodę. 6 czerwca 1940 roku, cztery lata przed lądowaniem w Normandii, zdecydowano o zbrojnym powrocie

Brytyjczyków na kontynent. General Dill wezwał Clarke'a do swego gabinetu i oznajmił, że jego plan został zaakceptowany. Clarke miał utworzyć „jednostki komandosów” - jak określił je Churchill - i przygotować operację przerzucenia ich przez Kanał najszybciej jak to możliwe.

Dopracowano szczegóły pomysłu Clarke'a i zdecydowano utworzyć dziesięć jednostek komandosów. Każda miała składać się z dziesięciu plutonów w łącznej sile pięciuset ludzi. Założenie to opierało się na doświadczeniach samodzielnych kompanii; z nich wywodziły się także pierwsze jednostki i bardzo wielu pierwszych komandosów. Do dowódców wszystkich jednostek wojsk terytorialnych wysłano okólnik wzywający do ochotniczego wstępowania do służb specjalnych.

Chętni musieli być wyszkolonymi żołnierzami o dobrej kondycji fizycznej i psychicznej, musieli umieć pływać, nie bać się latać i być odporni na chorobę morską. Musieli cechować się odwagą, wytrzymałością, inicjatywą, aktywnością, celnym okiem, pewnością siebie i wolą walki z nieprzyjacielem. Ochotnicy powinni być przygotowani na „dłuższą i cięższą pracę oraz mniej odpoczynku niż inni rekruci do wojsk JKM; będą szkoleni w działaniach zwiadowczych, w umiejętności życia poza krajem, bycia niewidzialnym w dzień i nocą, polowaniu na wroga i donoszeniu o jego posunięciach”.

Wszystko to miało służyć utworzeniu jednostek specjalnych o szczególnie wysokich wartościach bojowych. Oficerowie, po rozmowach z przyszłymi kandydatami, wybieraliby tych, którzy mają cechy moralne i fizyczne niezbędne u dobrego komandosa. W trakcie jeszcze kilku narad i dyskusji z marynarką wojenną ustalono, że ochotnicze jednostki komandosów będą liczyć po 462 ludzi. Typowy batalion piechoty składał się z dziesięciu plutonów liczących po pięćdziesięciu żołnierzy.

Jako jeden z pierwszych zgłosił się oficer artylerii, kapitan John Durnford Slater. Zaniósł on swemu dowódcy raport służbowy i powiedział: „To jest dokładnie to, co chciałbym robić... Czy pan mnie

zwolni?” Pułkownik nie tylko przystał na jego prośbę, ale kazał mu napisać zgłoszenie, na którym następnie się podpisał. List musiał być mocny, ponieważ miał niespodziewany skutek. Dziesięć dni później przyszła odpowiedź: „Kapitan J.F. Durnford Slater z Artylerii Królewskiej zostaje mianowany organizatorem i dowódcą 3. oddziału komandosów i awansowany do stopnia podpułkownika. Ma otrzymywać wszelką pomoc i jak najszybciej zostać zwolnionym do pełnienia niebezpiecznej funkcji operacyjnej”. Oddziały 1. i 2. miano dopiero formować, tak więc John Durnford Slater stał się pierwszym komandosem czasu wojny.

Jak już wspomnieliśmy, efektem okólnika Ministerstwa Wojny było powstanie dziesięciu jednostek komandosów. Major Leslie Calif wspomina, że 9. oddział składał się z żołnierzy pochodzących ze Szkocji i z Anglii. Kiedy formowano oddział, oficerowie dobierali na każdego Anglika jednego Szkota, aby dokładnie ich wymieszać. W 9. oddziale ton nadawali zawsze Szkoci. W każdym plutonie był dunder, a zielone berety, kiedy je wreszcie wydano żołnierzom, ozdobiono czarnymi piórami.

Do 10. oddziału komandosów nigdy nie znaleziono wystarczającej liczby ochotników, lecz po roku lub nieco później powstał 10. międzyaliancki, oddział komandosów, w którym znaleźli się Francuzi, Holendrzy, Belgowie, Norwegowie, Polacy i Jugosłowianie, a nawet niemieccy Żydzi.

Wszyscy komandosowie byli ochotnikami, a każda jednostka sama wybierała spośród nich kandydatów do swoich szeregów. Dowódcy wybierali oficerów, a oficerowie jeździli następnie po garnizonach i werbowali żołnierzy. Peter Young, jeden z wybitnych komandosów czasu wojny, także wstąpił do 3. oddziału, samodzielnie się rekomendując. Jego macierzysta jednostka, 2. batalion Pułku Bedfordshire i Hertfordshire, stacjonowała w Yeovil, gdy Young został wezwany na rozmowę do sztabu 3. oddziału. Spotkał tam „kapitana o wysokim głosie, przypominającego nieco pana Pickwicka”. Dopiero jakiś czas po rozmowie Young zdał sobie sprawę, że „kapitan” to jego przyszły

dowódca, Durnford Slater... mimo to został przyjęty. Wszyscy nowi oficerowie byli wysyłani na poszukiwanie ochotników do swoich oddziałów. Nie było to łatwe zadanie, mimo że Ministerstwo Wojny wydało wojsku rozkaz werbowania ochotników do oddziałów komandosów. Wielu dowódców batalionów nie miało naturalnie ochoty tracić najlepszych ludzi i nie wszyscy ochotnicy w pełni się nadawali, ponieważ prośbę o przeniesienie żołnierzy traktowano jako okazję do pozbycia się chorych, mających jakieś ułomności czy po prostu leniwych. Jak wspomina major Milton z 7. oddziału komandosów, oficerowie po amatorsku zajmujący się rekrutacją, mieli bardzo różne pomysły na to, jak wyławiać potencjalnych komandosów:

Byłem jednym z ostatnich kadetów, którzy skończyli Królewską Akademię Wojskową w Sandhurst przed wojną, i miałem patent oficerski. W czerwcu 1940 roku pułk strzelców królewskich (Royal Fusiliers), w którym służyłem, stacjonował w Hounslow. Było okropnie nudno. Wybawienie nadeszło wkrótce po ewakuacji spod Dunkierki, gdy zaczęto szukać ochotników do eksperymentalnej jednostki spadochronowej i do specjalnych oddziałów wypadowych. To był wspaniały pomysł, zgłosiłem się więc niezwłocznie.

Poszedłem do kasyna na lunch i tam spotkałem kapitana Dudleya Listera, który powiedział mi, że właśnie został mianowany dowódcą jednego z nowych oddziałów komandosów. Powiedziałem mu, że właśnie miałem zamiar zgłosić się na ochotnika, a on odrzekł, że jeśli chodzi o mnie, mogę być jego pierwszym oficerem. Tak znalazłem się w kompanii C 7. oddziału komandosów. Dość szybko zostaliśmy wysłani, aby przeprowadzić rozmowy ze stu ochotnikami. Nie miałem pomysłu, jak wybierać ludzi do naszej jednostki. Wiedzieliśmy, że zasadnicze znaczenie mają upór i wytrzymałość, ale myślałem wówczas, że uda nam się uniknąć surowej, morderczej dyscypliny, niezbędnej w regularnym wojsku.

Najchętniej wybieraliśmy ludzi, którzy wyróżniali się czymś, zrobili coś niezwykłego przed wstąpieniem do wojska. Był taki, który

opłynął Przylądek Horn żaglówką, inny walczył w Hiszpanii w brygadach międzynarodowych, jeszcze inny należał do gangu w Glasgow. Jeden z naszych oficerów służył na wojnie w Gran Chaco w Paragwaju. Kiedy 7. oddział komandosów został w pełni sformowany, wchodzili w jego skład żołnierze z co najmniej 58 różnych korpusów i pułków Armii Brytyjskiej - każdy w nakryciu głowy obowiązującym w jego macierzystej jednostce. Zielony beret pojawił się później.

Peter Young miał jasno określone poglądy na temat komandosów. Wcielał je w życie, tworząc własny oddział:

Przed wojną było w moim pułku może sześciu oficerów, którzy potrafiliby dowodzić komandosami. Było także wielu nie nadających się do niczego lub takich, którzy nie chcieli znaleźć się na wojnie, oficerów rezerwy unikających jakiegokolwiek walki. Oficerowie komandosów byli całkiem inni... to prawdziwi szaleńcy. Niektórzy z nich kochali walczyć i z utęsknieniem wyczekiwali walki, ci byli wzorem dla żołnierzy. Reszta różniła się od nich, co nie może dziwić, jeśli pamięta się mizerię armii w okresie międzywojennym. Gdy zaczęła się wojna, jednostka liczyła może dwustu ludzi, a kompania A. w której służyłem, liczyła dwóch oficerów i dziewiętnastu żołnierzy, podczas gdy powinno być ponad stu. Uzupełniliśmy stan rezerwistami, a typowy rezerwista wolałby mieć do czynienia z diabłem niż z wojskiem. Od tak dawna ugrzęźli w monotonnej, codziennej egzystencji, że było to naprawdę przygnębiające.

Czym powinien odznaczać się dobry komandos? Przede wszystkim niespokojną naturą, ale komandosi byli bardzo różni. Musiałeś ich poznać i grać na nich jak na skrzypcach, używać różnych sposobów, by pobudzić ich do działania. Każdy pluton w 3. oddziale komandosów miał własny charakter i mierzenie wszystkich jedną miarą było śmiechu warte. Mieliśmy znakomitych ludzi. Pewnego razu zostałem odcięty we Włoszech tylko z czterema żołnierzami i oni cholernie dobrze o mnie dbali. Ty dbasz o nich, starannie planując akcje,

oni zadbają o ciebie, uwalniając cię od strachu przed niespodziewaną wpadką. Ci goście zawsze chcieli strzelać pierwsi. To także pomaga szczęściu. Jestem szczęśliwy, ponieważ większość moich żołnierzy wychodziła z akcji na wojnie bez szwanku, a te łobuzy to lubią.

Oddział komandosów jest jak doborowe towarzystwo, a ty musisz o nich dbać. Nie wolno ci zmarnować żołnierzy, tego właśnie nie wolno ci zrobić. Nie należy odnosić się do nich podejrzliwie, nigdy nie dawać wytchnąć, trzymać zawsze na nogach. Kto postępuje w ten sposób, jest dla mnie skończony jako człowiek, oficer czy podoficer... Każdemu, kto ma takie nastawienie, przetrączę grzbiet. Szukam człowieka, który umie służyć w wojsku - bez względu na wszystko.

Ale jak go znaleźć, na Boga? Przecież patrzysz na nich. Rozmawiasz z nimi trochę, orientujesz się, czy ktoś jest kompletnym idiotą, czy się do czegoś nadaje... zazwyczaj w krótkim czasie już coś wiesz. Pomyłki są bardzo rzadkie, a ja przyjmuję do wiadomości, że czasem się mylę. Młodzi żołnierze są dobrzy i naśladują cię w swej naiwności, wiesz o tym doskonale. Dobry stary żołnierz to po prostu dobry żołnierz, ale zły stary żołnierz jest po dwakroć bezużyteczny.

Durnford Slater objeżdżał miasta garnizonowe, by werbować oficerów, i dawał im cztery dni, aby dobrali sobie ludzi i dostarczyli ich do Plymouth. Preferował „ludzi, którzy za dużo nie mówią, typ spokojnego Anglika, który umie się śmiać i umie pracować”. Według Petera Younga, „żołnierze 3. oddziału komandosów byli w większości rezerwistami, znali już wojsko, wielu z nich służyło siedem lat w koloniach, najczęściej w Indiach. Przeciętnie mieli po 26 lat. Byli obeznani z bronią, mieli do czynienia z walką i pragnęli walczyć dalej”.

Komandosi odbiegali zazwyczaj daleko od wizerunku szaleńca, przypisywanego powszechnie żołnierzom służb specjalnych. Byli raczej skromni, nieustępliwi, powściągliwi w języku, z poczuciem humoru, nie bali się ciężkiej pracy, mieli pogodne, nieco bez troskie usposobienie. Typowych komandosów było niewiele, ale wielu

spośród pierwszych ochotników miało podobne cechy.

Stan Weatherall wstąpił do 6. oddziału komandosów w 1940 roku:

Byłem w 1. plutonie. Mieszkaliśmy w kwaterach prywatnych, mieliśmy cywilne kartki żywnościowe i dostawaliśmy dodatkowo 6 szylingów i 8 pensów dziennie na zakwaterowanie. Gospodynie w Scarborough żądały 1 funta 10 szylingów (czyli półtora funta) za tydzień, tak więc chłopcy mieli dodatkowo 16 szylingów 8 pensów tygodniowo, co było nie do pogardzenia, ponieważ wówczas pół kwarty piwa kosztowało 6 pensów, paczka lepszych papierosów także 6 pensów, a niektóre gatunki były nawet tańsze. Na pierwszym apelu dowódca oddziału powiedział: „Będziecie cierpieć wszelkie rodzaje niewygód. Ci, którzy nie potrafią dać z siebie wszystkiego, powrócą do swoich jednostek. Ponieważ wszyscy jesteście ochotnikami, wszyscy możecie w każdej chwili wrócić do swoich jednostek na własne życzenie”. Szkolenie było ciężkie, bez dwóch zdań. Polegało przeważnie na forsownych marszach i ćwiczeniach terenowych na wrzosowiskach Yorkshire. Każdy żołnierz został poddany próbie, ale cywilne kwatery były wspinałe.

Mimo że szkolenie było trudne, zgłaszali się ochotnicy w każdym wieku. Wspomina Cecil Branch z 12. oddziału komandosów:

Szczególnie dobrze pamiętam Szkota, sierżanta Jocka Bellamy'ego. Naprawdę nazywał się McKenzie, nazwisko Bellamy zaczerpnął z książki, którą czytał siedząc w więzieniu za przemyt whisky; bał się, że fakt, iż był notowany, zaszkodzi mu w armii. Jak w ogóle znalazł się w komandzie, było tajemnicą, ponieważ był o wiele starszy niż pozostali z nas, służył w armii podczas I wojny światowej. Sądzę, że miał Krzyż Walecznych i *Croix de Guerre*. Jock był twardy niczym szkocka skała, ale miał złote serce i wielkie poczucie humoru. Gdy w 1942 roku lord Louis Mountbatten został mianowany szefem Operacji Połączonych, wizytował 12. oddział komandosów i podczas inspekcji zatrzymał się przed Jockiem. Życzył mu powodzenia i rzekł: „Jeszcze

jeden prócz mnie pamiętający dawne czasy. W jakim jesteście wieku, sierzancie?” Jock odpowiedział: „Trzydzieści pięć, sir”. „Dajcie spokój, chcę po prostu wiedzieć” - powiedział spokojnie lord Louis. Na to Jock: „O, widzę, że mam jeszcze szansę... Trzydzieści pięć i pół, sir”.

Sidney Dann z 6, oddziału komandosów miał niemałe trudności z wstąpieniem do tej jednostki:

Otrzymując kartę powołania do wojska, zostałem przydzielony do pułku Essex. Podczas walk we Francji w 1940 roku zginęło wielu fachowców. W cywilu byłem masarzem, dlatego przydzielono mnie do korpusu pomocniczego armii, następnie do wojsk inżynieryjnych (naturalnie jako masarza) i w końcu do korpusu zaopatrzenia. Zgłosiłem się na ochotnika przy pierwszej okazji, byle tylko uwolnić się od gotowania i służyć w piechocie. Dowódca mógł nie zgodzić się na moje przeniesienie, a choć ostatecznie stanąłem przed komisją prowadzącą nabór do komandosów, miałem wiele kłopotów z przekonaniem oficera, że kucharz może być dobrym komandosem. Zostałem przyjęty i wróciłem do mego oddziału, by czekać na formalny przydział. Wówczas zostałem z miejsca zdegradowany z kaprała na szeregowego przez dowódcę, który nie chciał mnie stracić, ponieważ byłem niezłym spryciarzem i zaopatrywałem kasyno oficerskie w jajka i kurczaki.

W okresie między sformowaniem pierwszych oddziałów komandosów w połowie 1940 roku a otwarciem Centrum Szkolenia Podstawowego Komandosów w Achnacarry w Szkocji wstępne szkolenie przeprowadzano najczęściej w jednostkach. Alf Barker wstąpił do 5. oddziału komandosów w 1940 roku:

Pierwszym zadaniem było czyszczenie pasów parczanych i taśm z nabojami przez wiele dni. Chodziło przede wszystkim o to, by raz na zawsze wybić nam z głowy wypisywane przez gazety historie o

„oddziałach złożonych z zabójców, pełnych desperatów i kryminalistów”. Wstąpiłem do 12. oddziału komandosów, a po jego rozwiązaniu podczas wojny, znalazłem się w 6. oddziale. Oprócz ćwiczeń w jednostce często mieliśmy także na początku szkolenia w Lochailort i w takich miejscach, jak Dorlin House, których nigdy w pełni nie uhonorowano za ówczesne zasługi. Cała sława przypadła szkole komandosów w Achnacarry. Obsługiwałem broń ciężką i pamiętam ćwiczenia w Braemar pod kierunkiem pułkownika Johna Hunta, później słynnego sir Johna Hunta, zdobywcy Everestu. Oprócz zwykłego szkolenia mieliśmy w górach szkockich jeszcze wiele roboty z mułami objuczonymi moździerzami i bronią maszynową.

Szkolenie w jednostkach miało tę przewagę, że stwarzało lepsze warunki dla indywidualnych inicjatyw. Pomysły mogły od razu zostać sprawdzone i jeśli okazały się dobre, były adaptowane i rozpowszechniane. Minusem były poważne różnice między kryteriami obowiązującymi podczas szkolenia w poszczególnych jednostkach, co miało wpływ na otwarcie w 1942 roku Centrum Szkolenia Podstawowego Komandosów w posiadłości Camerona of Lochiel, szefa klanu Cameron, w Achnacarry House koło Spean Bridge w zachodniej części gór szkockich. Szkolenia i treningi w Achnacarry były bardzo ciężkie i zaczynały się już w chwili przyjazdu - żołnierze musieli skakać z pociągu w Spean Bridge, przejść przez tory, wdrapać się na peron i odbyć siedmiomilowy forsowny marsz do obozu w Achnacarry.

Fred Musson wstąpił do 5. oddziału komandosów w Bridlington w Yorkshire w lipcu 1940 roku:

Na początku nasze ćwiczenia najczęściej odbywały się w Szkocji, w Loch Fyne i Lochailort. Właśnie w Szkocji 5. oddział komandosów otrzymał szkockie berety jako jednolite nakrycie głowy (do tej pory mieliśmy ubiory obowiązujące w naszych macierzystych jednostkach) i odtąd nosiliśmy własne berety, z zielonym podbiciem i ufarbowanym na złoto piórem. Na ramionach mieliśmy naszywki ze

skrzyżowanymi sztyletami i cyfrą 5. Było wiele ćwiczeń z bronią, nocne alarmy, pozorowane ataki. Codziennie wykonywaliśmy szybkie marsze, obciążeni bronią: karabinami, lekkimi karabinami maszynowymi, amunicją, wszystkim, co się dało; pokonywaliśmy pięć mil w pięćdziesiąt minut. Po tygodniach treningu byliśmy w tak dobrej kondycji, że po przejściu tych pięciu mil ciągle byliśmy zdolni do walki.

John Murphy z 2. oddziału komandosów także był jednym z pierwszych rekrutów:

Pamiętam marsze po bezdrożach z Fort William do Lochailort i to wcale nie było śmieszne, mimo że byliśmy w całkiem dobrej formie. Pamiętam także ćwiczenia z walki wręcz prowadzone przez kapitanów Sykesa i Fairbairna, byłych oficerów policji na Dalekim Wschodzie. Ostatecznie 3. samodzielna kompania weszła w skład 2. oddziału komandosów.

Cecil Blanch wstąpił do 12. oddziału komandosów w 1940 roku:

Życie w oddziale komandosów różniło się bardzo od życia w normalnej jednostce wojskowej. Przede wszystkim mieszkaliśmy w prywatnych kwaterach i czuliśmy się jak w domu. Po drugie, nie było bezsensownej dyscypliny. Od początku było jasne, że najważniejsza jest samodyscyplina. Oczekiwano od nas pełnej gotowości i utrzymywania broni w idealnym stanie i tak właśnie było. Nie byliśmy zbirami, za jakich nas uważano, a największą hańbą było dla komandosa odesłanie do jednostki lub wyrzucenie, a były to jedyne kary.

Szkolenie miało dać nam szczytową formę fizyczną, pewność siebie i nauczyć wprawnego obchodzenia się z bronią. Broń stanowiły karabiny 0.303 Lee-Enfield, ręczne karabiny maszynowe Bren, pistolety maszynowe Thompson kaliber 45, a później pistolety maszynowe Sten. Do tego dochodziły pałki, kastety i sztylety firmy

Wilkinson. Marsze do trzydziestu mil były czymś zwyczajnym, także w nocy nie brakowało zajęć. Bez wątpienia udało nam się osiągnąć znakomitą kondycję fizyczną. Na przykład, zimą 1940/1941 kompania B 12. oddziału komandosów maszerowała z Crumlin do Londonderry z pełnym obciążeniem, pokonując 63 mile w ciągu dwiętnastu godzin.

Cecil Blanch wspomina także inne ćwiczenia:

W listopadzie 1941 roku, gdy 12. oddział komandosów stacjonował w Ayr, przeszliśmy o świcie rzekę Doon, aby zaatakować Carrick Hills. Aż do powrotnego marszu do Ayr późnym popołudniem następnego dnia przebywaliśmy cały czas na dworze. Było przenikliwie zimno, byliśmy całkiem przemoknięci, ale nie pamiętam, by którykolwiek z nas zachorował z tego powodu. Zasadniczo nasze szkolenie było podobne do szkolenia piechoty, ale dużo dłuższe i intensywniejsze. Podczas marszu nie mogłeś odpaść, chyba że umarłeś, a gdy marsz lub ćwiczenia skończyły się, nie wydawano rozkazu: „Rozejść się”, lecz uczono atakowania, ćwiczone musztrę czy prowadzono ćwiczenia z bronią. Miało to nauczyć cię, że można chodzić i walczyć nawet po ciężkim dniu. Chodziło o to, aby jak najlepiej zahartować swoją psychikę.

Ćwiczenia komandosów mogły także być niebezpieczne. W latach 1942-1945 zginęło podczas szkolenia w Achnacarry ponad czterdziestu żołnierzy. Geoff Riley z 5. oddziału komandosów tak wspomina wypadek podczas ćwiczeń swojego oddziału w Kornwalii:

Byliśmy na strzelnicy usytuowanej na szczycie skalistego wzgórza, ćwicząc rzut granatem. Granat jest uzbrojony albo w zapalnik czterosekundowy, albo siedmiosekundowy - siedmiosekundowy do rzutu na odległość, czterosekundowy do walk ulicznych. Tego szczególnego dnia rzucaliśmy granaty na odległość około czterdziestu jardów* do oznaczonego stanowiska, tak by wybuchaly przy uderzeniu. Na-

leżało wyciągnąć zawleczkę, przytrzymując dźwignię spustową zapalnika, odliczyć do czterech i rzucić. Miało to eliminować możliwość podniesienia granatu przez nieprzyjaciela i odrzucenia go w twoją stronę. Byłem w tym rzeczywiście dobry, trafiałem raz za razem, ćwiczyliśmy to cały dzień. Około wpół do piątej przyjąłem zwykłą pozycję, wyciągnąłem zawleczkę, przytrzymując dźwignię, i odliczywszy do czterech, upuściłem granat na swoje stopy!

* 1 jard = 0,914 m - przyp. red.

Zrobiło się pandemonium! „Wszyscy na ziemię!” - wrzasnął kapitan Addington, jednocześnie rzucając mnie na ziemię i przykrywając własnym ciałem. Granat wybuchł z hukiem, obaj zostaliśmy pokryci kurzem i odłamkami skał. Nikt nie został ranny, już było po wszystkim. Kapitan Addington zapytał, gdzie jest Geoffrey, bo nigdzie nie było widać dowódcy mojego oddziału, Geoffa Rees-Jonesa. Nagle usłyszeliśmy słaby krzyk dochodzący z dołu - okazało się, że kapitan Rees-Jones spadł ze skały i zatrzymał się na krzakach około pięćdziesiąt stóp** niżej, widzieliśmy tylko jego wąsy. Wyglądało to dość zabawnie. Kapitan Tom powiedział wówczas: „Dobrze, kończymy na dziś. Jesteśmy już wszyscy zmęczeni”. Nie robiono mi żadnych wymówek, przyjęto to zdarzenie jako coś normalnego na wojnie.

** 1 stopa = 30,48 cm - przyp. red.

W czasie, gdy działo się to wszystko, ustanawiano dowództwo sił specjalnych. 12 czerwca 1940 roku Churchill mianował generała porucznika, sir Alana Bourne'a z Królewskiej Piechoty Morskiej, dowódcą Operacji Połączonych lub, jak je wówczas nazywano, „Ofensywnych”. Generał Bourne pozostał na tym stanowisku tylko miesiąc, do 17 lipca, kiedy to został zastąpiony przez admirała sir Rogera Keyesa, słynnego dowódcę desantu na Zeebrugge. Keyes poprosił Bourne'a, aby został jego zastępcą.

Od tej chwili świeżo upieczeni komandosi mieli posmakować walki. Oficjalny komunikat władz brytyjskich z 26 czerwca 1940 roku

głosił: „Przy współpracy Królewskich Sił Powietrznych, marynarki i komandosów armii przeprowadzono rekonesans na okupowane przez wroga wybrzeże Francji. Lądowanie odbyło się pomyślnie, nawiązano kontakt z oddziałami niemieckimi, którym zadano straty, nasze oddziały wycofały się bez strat”. Operację tę przeprowadziła 11. samodzielna kompania pod dowództwem majora R.I.F. Toda. Wśród uczestników znalazł się podpułkownik Dudley Clarke, który równo trzy tygodnie wcześniej wpadł na pomysł organizowania akcji desantowych. Oddziały lądowały w czterech punktach wybrzeża francuskiego między Boulogne a Berek.

Jeden z oddziałów wszedł na ćwierć mili w głąb lądu, niczego nie znalazł i wycofał się. Inny oddział znalazł się na lądowisku wodnosamolotów. Gdy szykował się do ataku, ku wielkiemu rozczarowaniu samolot wystartował. Trzecia grupa, która wylądowała na plaży w Mirlimont koło Le Touquet, zaskoczyła i zabiła dwóch niemieckich wartowników. Ostatni oddział, w którego skład wchodził major Tod i podpułkownik Clarke, bez kłopotów znalazł się na brzegu, ale został zaskoczony przez wroga podczas wycofywania się. Podczas wymiany ognia kula drasnęła podpułkownika Clarke'a za uchem.

Trzy tygodnie później przyszła kolej na 3. oddział komandosów, który dokonał wypadu na wyspę Guernsey. Operacja ta przygotowywana była w wielkim pośpiechu. Johna Durnforda Slatera mianowano dowódcą 3. oddziału komandosów 28 czerwca. Po raz pierwszy oddział zebrał się w Plymouth siedem dni później, 5 lipca, a 7 lipca rozpoczęło ćwiczenia przed wypadem na Guernsey.

Grupa wypadowa z kompanii H 3. oddziału komandosów pod dowództwem Durnforda Slatera i 11. samodzielna kompania pod dowództwem majora Ronniego Toda zaokrętowały się na niszczycielach HMS „Scimitar” i HMS „Saladin”. Towarzyszyło im siedem należących do RAF motorówek ratunkowych, które wobec braku barek desantowych miały przewieźć ludzi na brzeg. Godzinę H, czyli początek operacji, wyznaczono na 0.50 w nocy z 14 na 15 lipca.

Wyruszone z Dartmouth o 18.00 w sobotę, 14 lipca. Celem był

półwysp Jerbourg, gdzie 3. oddział komandosów miał zaatakować stanowisko broni maszynowej i przeciąć kable radiowe, natomiast 11. samodzielna kompania miała zaatakować główny cel - znajdujące się na wyspie lotnisko. Sprawy zaczęły iść na opak wkrótce po wypłynięciu. Dwie motorówki RAF, przydzielone 11. kompanii, musiały zawrócić z powodu awarii silników, a te, które pozostały, okazały się przeraźliwie głośnie. O północy oddziały były już na pozycji przy południowym brzegu wyspy, osłoniętym od strony lądu. Tu komandosi przesiedli się do motorówek, po czym motorówka Durnforda Slatera natychmiast przyjęła zły kierunek, w stronę wybrzeży Bretanii. Gdy odkryto błąd kompasu, łódź zawróciła i około 1.00 w nocy podpłynęła do plaży na Guernsey; zostawiono ludzi na brzegu w porze przyływu, w głębokiej na kilka stóp wodzie, która przemoczyła całą broń i zniszczyła sprzęt radiowy. To wszystko sprawiło, że lądowanie nie odbyło się w ciszy, a po nim nastąpiła pospieszna, ciężka przeprawa przez wodę i wspinaczka na szczyt skał, gdzie znaleziono stanowisko broni maszynowej, ale było ono opuszczone.

3. oddział komandosów błąkał się po Guernsey około godziny, dopóki Durnford Slater nie przewrócił się; jego pistolet wystrzelił, co spowodowało serię z broni maszynowej ze strony nieprzyjaciela. W punkcie, w którym miano ponownie załadować się na motorówki, czterech ludzi przyznało się, że nie umieją pływać; musieli zostać, ale reszta dopłynęła do łodzi. Samodzielna kompania, która płynęła do brzegu na dwóch łodziach, także została wyposażona w wadliwe kompasy i całkowicie się pogubiła; jedna z motorówek trafiła na skałę, druga wylądowała na wyspie Sark. Komandosi nie wyrządzili nieprzyjacielowi żadnych szkód, ale nauczyli się kilku pożytecznych rzeczy, a przede wszystkim tego, że akcje desantowe nie są nawet w połowie tak łatwe, jak się wydaje.

Churchill, który już wcześniej miał pewne trudności z władzami wojskowymi, nie do końca akceptującymi koncepcję powołania oddziałów komandosów, nie był zadowolony z tych pierwszych wypadów. „Byłoby w najwyższym stopniu nierozsądne niepokoić

wybrzeża tych krajów głupio nieudanymi akcjami, jakich dokonaliśmy w Boulogne i na Guernsey - napisał. - Pomysł prowokowania wszystkich przeciw nam przez śmieszne i nieskuteczne wypadki i wydawanie potem napuszonych komunikatów to działania, których należy absolutnie unikać”.

Bolączką operacji komandosów podczas wojny był problem barek desantowych, z powodu których akcja mogła zakończyć się fiaskiem jeszcze przed wylądowaniem na wybrzeżu. Barki się psuły, gubiły, zostawiały ludzi na plażach nieprzyjaciela, nie wracały lub tak głęboko wbijały się w brzeg, że nie można było nimi wrócić. Nie wtajemniczonym czytelnikom mogłoby się wydawać, że stojących przed trudnymi zadaniami komandosów te dodatkowe uciążliwości doprowadzały do szaleństwa, w rzeczywistości jednak bardzo cenili oni sobie pomoc ze strony przyjaciół i kolegów z załóg barek desantowych. Być może dlatego, że dobrze wiedzieli, jak skomplikowane musieli oni wypełniać zadania.

Na pozór przybicie do brzegu i desant na plażę z płaskodennej barki wydają się proste, wystarczy jednak zastanowić się głębiej. Podczas wojny komandosi korzystali z różnego rodzaju jednostek pływających - od szalup do wielkich okrętów desantowych do przewożących czołgów LTS (Landing Ship Tank), ale coraz częściej korzystali z barek desantowych LCA (Landing Craft Assault), płaskodennych, ze sterem z przodu i komorą silnika na rufie. Załoga składała się z czterech osób - dowódcy, sternika, mechanika i marynarza pokładowego. Barka osiągała szybkość około sześciu węzłów. Przy pełnym obciążeniu mogła przewieźć oddział trzydziestu komandosów, siedzących w czasie drogi na długich ławkach pod pokładem. W odległości około pięćdziesięciu jardów od lądu barka zwalniała, a marynarz spuszczał na rufie kotwicę. Następnie barka stawała w miejscu, sternik opuszczał rampę dziobową. Otwierały się stalowe drzwi pomieszczenia dla pasażerów i na rozkaz „Rampa w dół! - Żołnierze wyjść!” komandosi ruszali do brzegu, formując szyk podczas biegu przez plażę. Załoga odciągała barkę od plaży za

pomocą liny kotwicznej... a przynajmniej tak to miało wyglądać.

W niedługim czasie komandosi nauczyli się szybko opuszczać barki i równie szybko wsiadać na nie z powrotem. W Inveray w 1941 roku trzydziestu ludzi z kompanii F 3. oddziału komandosów pod dowództwem Algy'ego Forrestera opuściło barkę i znalazło się dwadzieścia pięć jardów w głębi plaży, w pełnym uzbrojeniu, w ciągu dziesięciu sekund. Oddział Petera Younga pobił rekord szybkości powrotu na barkę, wynoszący czternaście sekund. Szybkie wyjście i powrót miały decydujące znaczenie, ponieważ przy brzegu zarówno barka, jak i ludzie wystawieni byli na wielkie niebezpieczeństwo ze strony nieprzyjaciela; ciągłe ćwiczenie tych umiejętności było sprawą zasadniczą dla przeżycia na polu walki.

Wyjście na brzeg w czasie wojny, nie podczas ćwiczeń pokojowych, jest bardzo trudne. Odbywa się najczęściej w ciemnościach, trzeba też przejść przez wodę. Pierwsza grupa ludzi musi wspiąć się na barkę przez nadburcie transportowca, bez światła i w zupełnej ciszy. Następnie barka jest spuszczana na wodę. Kolejna grupa musi opuścić się w dół po siatce. Każdy, kto wpadnie do morza w pełnym obciążeniu, w rynsztunku i z amunicją, niemal na pewno utonie. Barka jest bardzo niska, a widoczność nawet w pełnym świetle dnia ograniczona. Z odległości mniej więcej pięciu mil wybrzeże można dostrzec tylko wznosząc się na fali, nie sposób zobaczyć miejsca lądowania.

Znalezienie nocą właściwej plaży, przybycie dokładnie w wyznaczonym terminie i dokonanie ataku po ciemku, tylko w błyskach wystrzałów, nigdy nie było zadaniem łatwym, a naprawdę zadziwiające jest być może właśnie to, że załogi barek desantowych nie gubiły się i nie popadały w tarapaty częściej, niż to się zdarzało w rzeczywistości. W późniejszym okresie wojny Komitet Operacji Połączonych, chcąc zmniejszyć problemy z lądowaniem, założył Szkołę Pilotażu Plażowego dla załóg statków desantowych; mieściła się ona w Tighnabruaich w Szkocji, szkolono tam personel wszelkiego typu statków desantowych przed przydziałem do poszczególnych jedno-

stek.

W końcu lipca 1940 roku organizacja oddziałów komandosów została zakończona, nastąpiły jednak pewne przetasowania. W październiku dowództwo zdecydowało, że oddziały i samodzielne kompanie połączą się w Bataliony Służb Specjalnych (SS). Skrót SS nie mógł spodobać się komandosom, John Durnford Slater oświadczył, że osobiście nie chce mieć nic do czynienia z tą nazwą. „Określenie »Batalion Służb Specjalnych« nigdy nie pojawi się w naszych rozkazach” - powiedział swemu adiutantowi, kapitanowi Charliemu Headowi.

Po kilku tygodniach Ministerstwo Wojny zarzuciło koncepcję batalionów SS, ale brygady komandosów pozostały „Brygadami Służb Specjalnych”, przynajmniej oficjalnie, do końca 1944 roku. Pierwsza brygada została utworzona w październiku 1940 roku i w marcu 1941 roku liczyła jedenaście oddziałów komandosów; dowódcą był generał I.C. Haydon, odznaczony m.in. Orderem Imperium Brytyjskiego.

W wyniku kolejnej reorganizacji liczbę kompanii w każdym oddziale komandosów zmniejszono z dziesięciu do sześciu; każdy liczył trzech oficerów i 62 żołnierzy, których mogły przewieźć dwie nowe barki desantowe (ALC, później zwane LCA), właśnie wchodzące na uzbrojenie.

Struktura organizacyjna jednostek ciągle nie była jednolita, choć większość składała się z pięciu „oddziałów bojowych” czy „strzeleckich” i kompanii wsparcia, dysponującej trzycalowymi moździerzami i karabinami maszynowymi Vickers. Każda kompania podzielona była na dwie sekcje pod dowództwem młodszego oficera, a każda sekcja na dwie podsekcje dowodzone przez sierżantów. Każdy dowódca jednostki miał jednak całkowicie wolną rękę w kierowaniu nią.

Jedną z wielkich atrakcji służby w oddziałach komandosów była początkowo całkowita nieobecność biurokracji, choć jednak zawsze starano się ograniczyć ją do minimum, pewne elementy administracji

stały się konieczne.

„To wspaniała rzecz w armii - pisał Geoffrey Appleton z 7. oddziału komandosów - żadnej biurokracji, żadnej papierkowej roboty, tylko akcje”. Durnford Slater, który trzy lata później dowodził 2. Brygadą Służb Specjalnych we Włoszech, napisał w swych wspomnieniach, że major Brian Franks przechowywał wówczas całą dokumentację brygady w kieszeni spodni munduru polowego. Ktoś jednak musiał zajmować się sprawami administracyjnymi, dbać o wypłatę żołdu, pilnować poczty, wysyłać ludzi na szkolenia, zamawiać amunicję i prowiant. W niektórych jednostkach powstały więc oddziały administracyjne, większość miała oficera administracyjnego; szczególną sławę zyskał groźny „Slinger” Martin z 8., a później 3. oddziału komandosów, który bardzo dbał o żołnierzy i brał udział w walkach.

W tym okresie, gdy większość komandosów przebywała w Szkocji, w Arrand lub koło Largs, w niektórych jednostkach zaczęto tworzyć sekcje specjalne. W 6. oddziale komandosów powstała np. sekcja kajakowa, później zwana oddziałem 101; 2. oddział komandosów przekształcił się najpierw w 11. Batalion SAS, a później w 1. Batalion Pułku Spadochronowego. 12. oddział komandosów stacjonował w Irlandii Północnej na wypadek zagrożenia ze strony IRA. natomiast oddziały 7., 8. i 11. (szkockie) zostały przerzucone w lutym 1941 roku do rejonu Morza Śródziemnego, gdzie zostały połączone z dwiema małymi, powołanymi tam jednostkami komandosów, 50. i 5., i oddane pod dowództwo pułkownika Roberta Laycocka; jednostka ta stała się znana jako Layforce.

Zbyt dużo ćwiczeń bez perspektywy udziału w akcji mogło wkrótce ostudzić zapał każdego żołnierza; w pierwszych miesiącach 1941 roku wielu pierwszych ochotników czuło wielkie niezadowolenie, niektórzy chcieli nawet wracać do macierzystych jednostek. Akcje były ciągle planowane i ćwiczone, ale jakoś żadna nie doszła do skutku; często odwoływano je w ostatniej chwili. W końcu jednak, 4 marca 1941 roku, nadszedł czas prawdziwego działania - oddziały 3. i

4. dostały rozkaz dokonania wielkiego desantu na Lofoty, wyspy u wybrzeży Norwegii.

3

OD LOFOTÓW DO VAAGSÖ, 1941

1941. Pierwszą zasadą szkolenia na wypadek wojny jest uznać szkolenie za najważniejszy obowiązek armii w czasie, gdy oddziały nie są zaangażowane w bezpośrednie działania wojenne.

Szkolenie na wypadek wojen
British Army Handbook

Jednostki komandosów zostały utworzone w celu dokonywania wypadów na terytorium wroga. Komandosi odgrywali także główną rolę w szeroko zakrojonych, łączonych akcjach desantowych, ale ich specjalnością, tym, co najgłębiej utkwіło w powszechnej świadomości, były wypadu i większość komandosów to właśnie chciała robić.

Łądowanie nocą na wybrzeżu opanowanym przez wroga, wspinaczka na skały w małych grupach, zadanie nieprzyjacielowi strat i zniknięcie wraz z nadejściem świtu to mniej więcej wszystko, co robią komandosi - przynajmniej w powszechnym wyobrażeniu. W pierwszym okresie istnienia oddziałów komandosów takie akcje były bardzo rzadkie, ponieważ dla przebiegu wojny większe znaczenie miały duże operacje desantowe. Dokonywano jednak także wypadów, a pierwszym był rajd na Lofoty.

Archipelag Lofotów leży za kręgiem polarnym, tysiąc mil morskich na północ od Wysp Brytyjskich, u ujścia fiordu Vest w północnej Norwegii, naprzeciw Narwiku, dobrze znanego tym komandosom, którzy służyli w samodzielnych kompaniach. W latach 40. głównym zajęciem wyspiarzy było rybołówstwo. Znajdujące się w czterech portach Lofotów: Brettesnes, Hennigsvaer, Stamsund i

Solvar wytwórnice konserw rybnych i przetwórnice tranu stanowiły dla Niemców obfite źródło zaopatrzenia. Dowództwo Operacji Połączonych zdecydowało, że celem tego pierwszego wypadu, noszącego kryptonim operacja „Claymore”, będzie zniszczenie urządzeń przetwórczych, zabicie Niemców, aresztowanie norweskich zdrajców i powrót z jeńcami, a także z ochotnikami do norweskich sił zbrojnych w Wielkiej Brytanii. Oddziały wypadowe, dowodzone przez generała Haydona, eskortowane przez pięć niszczycieli, wypłynęły 1 marca 1941 roku ze Scapa Flow na dwóch promach, dawniej pływających po kanale La Manche: „Princess Emma” i „Princess Beatrix”. Promy te były pierwowzorem okrętu „Norlanda”, który przewoził pułk spadochronowy na Falklandy w 1982 roku. Promy przewoziły barki desantowe LCA zamiast szalup. Oddział liczył 500 żołnierzy, po 250 z dwóch oddziałów komandosów. W jego skład weszli także saperzy z wojsk inżynieryjnych oraz grupa przewodników i tłumaczy z utworzonych na terenie Wielkiej Brytanii w 1940 roku Niezależnych Norweskich Sił Zbrojnych.

Rajd na Lofoty zakończył się sukcesem, choć przebiegał bez specjalnych emocji. Miejscowa ludność zgótowała komandosom burzliwe przyjęcie. Okazało się też, ku niejakiemu rozczarowaniu żołnierzy, że nie ma tam wojsk okupacyjnych, nie było więc walki, choć liczba jeńców niemieckich powiększyła się w ciągu dnia. Zniszczono przetwórnice, zabrano trzystu norweskich ochotników i wczesnym popołudniem komandosi odpłynęli do domu, żegnani wiwatami, chorągiewkami i wcale niemałą porcją łez wylanych przez mieszkańców wysp. Operacja na Lofotach dowiodła, że zakrojone na dużą skalę wypadki były możliwe, jednak do końca roku nie organizowano tego typu rajdów.

Przeprowadzono natomiast kilka mniejszych akcji - i bardzo wiele ciężkich szkoleń. Młody oficer 3. oddziału komandosów, porucznik Algy Forrester, rzucił pomysł, by zamiast do płaskich, piaszczystych plaż, przybijać na małych łódkach raczej do skalistych, stromych wybrzeży i wykorzystać w pełni umiejętność wspinania się na skały, o

czym zwykli żołnierze mogli tylko marzyć. Lądowanie na skalistych wybrzeżach zostało włączone do repertuaru operacyjnego komandosów, ponieważ Algy Forrester uświadomił Durnfordowi Slaterowi, że narzucające się same jako miejsca lądowania piaszczyste plaże i osłonięte tereny z pewnością są zaminowane, opasane drutami kolczastymi i obsadzone stanowiskami broni maszynowej; przybijanie do brzegu w takich miejscach równałoby się samobójstwu. Wszelkie uciążliwości lądowania na skalistych brzegach i wspinaczki na skały rekompensować miało większe bezpieczeństwo żołnierzy i niezwykle ważny element zaskoczenia.

Koncepcja Algy'ego Forreстера doprowadziła ostatecznie do utworzenia oddziału, którego specjalnością były tego typu działania. Został on później przekształcony w centrum szkoleniowe, szkolące do dziś specjalne oddziały piechoty morskiej; komandosi uczą się tam elementów wspinaczki i taktyki zdobywania skalistych wybrzeży. W początkowym okresie szkolenia wypadki były oczywiście na porządku dziennym. Ludzie spadali i zabijali się podczas wspinaczki po oсыpiskach Cumberland, wpadali do morza w pełnym rynsztunku i tonęli; rozkazy mówiły, że każdy powinien umieć przepłynąć kilka jardów w szyku bojowym, a nie jest to łatwe.

W większości jednostek żołnierze uczeni byli niezbędnych metod przetrwania także w ten sposób, że szli w szyku bojowym forsownym marszem na najbliższą pływalnię. Tam dowódca prowadził wszystkich gęsiego po schodkach na trampolinę, z której depcząc sobie po piętach skakali do wody. Jeśli kogoś trzeba było ratować, dostawał dodatkowe lekcje pływania - lub był odsyłany do swojej jednostki.

Joe Edmans, który służył w 1. oddziale komandosów, ukończył jedną z pierwszych szkół dla komandosów:

Przyłynęliśmy do Szkocji na okręcie desantowym „Princess Beat-rix” i zostaliśmy wysłani na kurs wspinaczki górskiej w Glencoe, na południe od Fort William, niedaleko Achnacarry. Mój oddział uczono wspinaczki od podstaw, najpierw na małe skałki, później wyższe

skwały, następnie spuszczenia się ze szczytu do podnóża. Kiedy skończyliśmy ćwiczenia, pozostałem tam jako instruktor innych oddziałów, które miały przybyć.

Wśród instruktorów szkolących w owym czasie komandosów było dwóch oficerów policji z Szanghaju, kapitanowie Fairburn i Sykes, którzy uczyli ochotników walki wręcz i walki na noże. W tej ostatniej używano jako broni czarnych, ostrych jak żyłtka sztyletów bojowych o dwóch ostrzach, firmy Wilkinson; należało je trzymać balansując nisko w prawej ręce, unieść lewą rękę i uderzać w górę między zębra.

Jedną z technik walki wręcz, jakich uczono komandosów, były nagły zwrot w sytuacji, gdy ktoś przykłada pistolet do pleców - zwrot powodował złamanie trzymanego na spuście palca. Należy wątpić, czy wszystko to było rzeczywiście przydatne, ale pozwalało ochotnikom doskonale poznać walkę wręcz i utwierdzało ich reputację jako budzących grozę przeciwników. Broni nigdy nie było dość, ale 2. oddział komandosów otrzymał prezent od burmistrza Nowego Jorku: skrzynię pistoletów maszynowych Thompson kaliber 11,43 mm, zwanych Tommy, zarekwirowanych nowojorskim gangsterom przez policję.

Tymczasem, dzięki rajdowi na Lofoty szeroko opisywanemu przez prasę, do jednostek zgłosiło się wielu ochotników. Teraz można było pozbyć się wszystkich maruderów i niedołęgów, zawodowych bohaterów i zabijaków. Komandosów przedstawiano w gazetach jako „oddziały zabójców” czy zbirów. Dusty Miller, który chciał wstąpić do 2. oddziału komandosów w 1941 roku, opowiada: „Gdy mój kolega Reg Tuson i ja opuszczaliśmy Gwardię Grenadierów w Windsorze, aby wstąpić do komandosów, starszy sierżant zęgnął nas z wielkim żalem. »Miller - powiedział - zęgnaj, chłopie... Nie mogę znieść myśli, że umrzesz tak młodo«”.

Dusty i jego przyjaciel zostali zakwaterowani w Ayr. Syn ich gospodyni był gorliwym członkiem miejscowych Ochotniczych Sił Obrony (Home Guard). Miller opowiada:

Po miesiącu od wstąpienia do Home Guard został sierżantem. Uczyliśmy go wszystkiego, czego nas uczono: strzelania, posługiwania się mapą i kompasem, walki wręcz - musiał być najlepiej wyszkolonym członkiem Home Guard w Brytanii... i jak wielu z nich, dobrym żołnierzem. Podobnie jak my, wszyscy oni byli ochotnikami.

Wypadki były ciągle rzadkie, ale szkolenia, nieodłączna część życia komandosów, trwały nieprzerwanie. Oprócz kursów podstawowych odbywał się także kurs saperski i sabotażu, a wśród instruktorów znaleźli się lord Lovat, późniejszy szef 4. oddziału komandosów, major Spencer-Chapman, który został odcięty w Singapurze i przeżył trzy lata za liniami japońskimi na Malajach, i Bill Stirling, jeden z braci Stirling słynnych z wyczynów w SAS. Kurs dla komandosów w Lochailort obejmował przedmiot, który dziś nazwalibyśmy „szkołą przetrwania”.

Ostatnim ćwiczeniem na kursie był długi marsz taktyczny przez góry szkockie, z niewielką ilością prowiantu i bez względu na pogodę. Podczas tego marszu należało wykonać najrozmaitsze zadania. Jednym z nich było przygotowanie rzekomo nie używanej linii kolejowej do wysadzenia w powietrze, podkładano przy tym uzbrojone ładunki. Pewnego razu komandosowie właśnie założyli detonatory, gdy okazało się, że nadjeżdża pociąg i trzeba było na szybko rozbrajać ładunki, zanim pociąg wraz z pasażerami wyleci w powietrze.

Szkolenie było doskonale zorganizowane i dawało żołnierzom dużo zadowolenia. Major Milton z 7. oddziału komandosów powiedział: „Nie raz miałem okazję zastosować w praktyce lub uczyć wszystkiego, czego sam nauczyłem się w Lochailort, to był najlepszy kurs, jaki kiedykolwiek skończyłem”.

Prawda była jednak taka, że dowództwo armii i wyższe władze niezbyt wysoko oceniały możliwości bojowe komandosów. W dniu 27 października 1941 roku sir Roger Keyes ustąpił ze stanowiska szefa Operacji Połączonych, włożył swój mundur admirałski i udał się prosto do Izby Gmin, gdzie oświadczył: „Będąc głęboko rozczar-

wany tym, że wszystkie podejmowane przeze mnie próby przeprowadzenia znaczących akcji ofensywnych zostały zablokowane, muszę zgodzić się z opinią premiera w sprawie negatywnego wpływu wywieranego przez osoby sprawujące kontrolę nad machiną wojenną w Whitehall”. Sir Roger był członkiem parlamentu, lecz to nie przeszkadzało „siłom wyższym”; próbowano go uciszyć, przesyłając mu pocztą kopie dokumentów z Kancelarii Ministra Spraw Wojskowych i jednocześnie wysyłając oficera, który skonfiskował w jego mieszkaniu prywatne papiery.

Kłopoty i rozczarowanie sir Rogera nie były czymś niezwykłym. Jeden z oficerów komentował: „Prawdziwa wojna, jedyna wojna warta każdego poświęcenia, to wojna między żołnierzami na linii frontu a dowództwem”. W tej wojnie jednostki komandosów od początku były w złej sytuacji, teraz jednak wygrana urzędników ministerialnych wydawała się przesądzona. W czasie pokoju może się to wydawać dziwne, ale żołnierze frontowi pragnęli walczyć. Nigdy nie brakuje chętnych do ryzykownej służby. Trudniej znaleźć możliwość takiej służby, gdy naczelne dowództwo unika wszystkiego, co ma najłżejszy choćby posmak ryzyka.

Władze wojskowe nie lubiły też „prywatnych armii” i nowych formacji. Zwłaszcza 3. oddział komandosów Durnforda Slatera z Plymouth był traktowany przez wojsko i marynarkę wojenną nader podejrzliwie jako „prywatna armia Winstona Churchilla” - niepotrzebna, nietypowa i powołana bez sensu jednostka, która przyciągała powszechną uwagę, a zajmowała się głównie podbieraniem najlepszych ludzi z oddziałów regularnego wojska i uczyła żołnierzy czołgania się w koło po nocy i podrzynania gardel przy każdej okazji. Wobec tego, że jednostki komandosów nie mogły po prostu zniknąć, były ignorowane i pozbawiane wszystkiego, co mogłoby ułatwić im funkcjonowanie, na przykład terenów do ćwiczeń, przede wszystkim jednak pozbawiano je możliwości czynnej walki z nieprzyjacielem.

Naczelne dowództwo stosowało taktykę biernego oporu przeciw jednostkom komandosów, dość skuteczną, bo prowadzoną po cichu.

Jeśli potrzebny był teren do ćwiczeń, okazywał się nieosiągalny. Jeśli zdarzyła się w mieście bójka między komandosami a marynarzami, obwiniano komandosów i zakazywano im wychodzić z koszar czy kwater. „Na szczęście opuściliśmy Plymouth - pisał Durnford Slater. - Mieszkańcy byli nam bardzo życzliwi, ale ciągłe dokuczliwości i obstrukcja ze strony władz wojskowych rzeczywiście zaczęły nas męczyć. Potrzebowaliśmy większej aktywności, możliwości wypróbowania się, inaczej ludzie zaczęliby mieć wszystkiego dość i odeszliby”.

Naczelne Dowództwo zwlekało nawet z wydaniem komandosom stosownych nakryć głowy. W latach 1940-1941 nosili oni na zbiorcach i poza koszarami nakrycia głowy przywiezione z macierzystych jednostek - od stalowych hełmów do niezgrabnych wełnianych czapek. Gdy zbierała się cała jednostka, wyglądało to bardzo dziwnie. Należało koniecznie ujednoczyć nakrycia głowy, wprowadzić choćby, podobnie jak w jednostkach spadochroniarzy, kolorowe berety. Gdy zaproponowano zielony beret, Naczelne Dowództwo natychmiast się sprzeciwiło, argumentując, że różnorodność nakryć głowy służy zwiększeniu bezpieczeństwa i pomoże zachować w tajemnicy fakt przybycia komandosów do portu, z którego mieli dokonać wypadu przez kanał La Manche. Był to głupi argument, ponieważ jednostki specjalne zawsze przyciągają uwagę, nie tylko podczas parady. Jedną z osobliwości życia komandosów była sprawa wypłaty żołdu. Jednostki komandosów nie miały statusu pułków, ludzie byli raczej „postawieni do dyspozycji” niż przyjęci do służby z wszystkimi swymi dokumentami personalnymi, wypłata żołdu przeciągała się w nieskończoność, ponieważ żołnierze przybyli ze wszystkich pułków armii i musieli być opłacani z odrębnych list płac.

Różnica ta była też widoczna w kwestii umundurowania. Przepisy wojskowe zdawały się nie dotyczyć komandosów - choć domagano się właściwego wyglądu i zachowania - nie był więc niczym nadzwyczajnym widok żołnierzy wychodzących wieczorem w marynarskich golfach, skórzanych wojskowych kurtkach i sznurowanych

butach. Jeśli potrzebne było coś bardziej formalnego, potrzebę tę zaspokajał połowy mundur khaki i pułkowa furażerka. Skoro jednak żaden oficer nie potrafił zapamiętać, do jakiego pułku należy każdy żołnierz, wkrótce rozplenila się artystyczna swoboda.

Na odznace lansjerów widniały czaszka i piszczele, złota flaga ładnie wyglądała na ciemnoniebieskich z żółtym otokiem czapkach Służb Zaopatrzenia i Transportu Królewskich Wojsk Lądowych (RASC), ale na ogół żołnierze prezentowali się na zbiórkach nieporządnie; zielony beret zastąpił tę różnorodność w 1942 roku, gdy obiekcje co do niego przełamał mianowany 27 października 1941 roku nowy szef Operacji Połączonych, wiceadmirał lord Louis Mountbatten.

Między rajdem na Lofoty a kolejnym dużym wypadem na Vaagsö w Boże Narodzenie 1941 roku odbyło się kilka mniejszych wypadów, najczęściej przez kanał La Manche, przeprowadzanych ze zmiennym szczęściem. W końcu lipca podporucznik Pinkney zabrał grupę żołnierzy z 12. oddziału komandosów na wybrzeże francuskie koło Ambleteuse, gdzie spędzili godzinę i powrócili łodziami. W sierpniu oddziały norweskie dokonały wypadu na Spitzbergen, niszcząc ogromne zapasy węgla oraz szyby i urządzenia tamtejszych kopalni. W końcu sierpnia serię małych wypadów przez kanał rozpoczął 5. oddział komandosów; pierwszy rajd odbył się nocą 30 sierpnia 1941 roku. Komandosi wylądowali w dwóch grupach na wybrzeżu Pikardii i Pas de Calais, jedna grupa w Hardelot, druga Merlimont koło Boulogne. Żadna nie natrafiła na opór, obie pozostały na brzegu tylko pół godziny i wycofały się.

Geoff Riley, który służył w 5. oddziale także na Madagaskarze i w Birmie, należał do jednej z takich grup:

Jak pamiętam, morze było bardzo wzburzone, niespokojne, miało barką desantową na wszystkie strony, mimo to byliśmy w dobrej formie. Rajd był raczej próbą czy rekonesansem niż poważną operacją, ale dobrze było robić cokolwiek i naprawdę znaleźć się na tery-

torium wroga. Tak czy inaczej przybiliśmy na plażę, całą oplecioną drutami, a ponieważ byliśmy niedoświadczeni, weszliśmy na nie, co spowodowało serię wybuchów rakiet świetlnych na całej plaży. Nie doszło jednak do bezpośredniego starcia. Niemcy zmykali, aż się kurzyło, a my zrobiliśmy to samo, tylko w odwrotnym kierunku. Nie wzięliśmy więc żadnych jeńców i nie biliśmy się, ale dowódca powiedział: „To wszystko przyda się później, chłopaki”. I miał rację.

W końcu września 1941 roku wypad do Francji przeprowadził 1. oddział komandosów; jedna grupa z 5. kompanii, pod dowództwem porucznika Scaramangi, wylądowała koło St Vaast w okolicach Cherbourga, druga, pod dowództwem kapitana Daviesa, koło Courseulles, portu rybackiego, gdzie trzy lata później (6 czerwca 1944 r.) wylądowali Kanadyjczycy. Grupa Scaramangi przeskoczyła plażę; zderzyła się z niemieckim patrolem rowerowym i otworzyła ogień z broni maszynowej, zabijając trzech nieprzyjaciół, po czym się wycofała. Kapitan Scaramanga napisał relację z tej operacji:

To był jedyny rajd w tym roku, kiedy mieliśmy rzeczywisty kontakt z nieprzyjacielem, natknęliśmy się w ciemnościach na niemiecki patrol. Byli na rowerach, podjechali więc do nas szybko i cicho, nie było czasu na układanie planów. Na szczęście miałem na przedzie trzech ludzi z karabinami maszynowymi, wszystko trwało sekundy. Nic nie można przewidzieć, gdy lądujesz nocą na obcym brzegu, ale jestem pewny, że Niemcy stopniowo uświadamiali sobie, że muszą być przygotowani na wypadki komandosów o każdej porze i w każdym miejscu na tysiącach mil wybrzeża i obsadzili wybrzeża Francji wieloma dobrymi żołnierzami, którzy mogliby walczyć w Rosji czy w Afryce Północnej pod dowództwem generała E. Rommła.

Tymczasem kapitan J.H. Davies i jego grupa byli zajęci w Courseulles:

Nasza barka desantowa (LCA) została spuszczonej na wodę o godzinie

0.55. Zobaczyliśmy łód o 2.10 i okazało się, że nie jest to Courseulles, lecz miejscowość St Aubin, kilka mil na wschód w kierunku na Luc sur Mer. Ludzie wyszli na brzeg i gdy kilku ostatnich opuszczało barkę, usłyszeliśmy głośne krzyki z lewej strony. Niektórzy myśleli, że słyszą „Halt!”, ale natychmiast po tym otworzono ogień z broni maszynowej, więc mógł to być rozkaz oddania ognia. Strzelał do nas patrol, ale oddzieleni byliśmy wysokim na dziesięć stóp ogrodzeniem ze zwykłych sztachet i dwóch rzędów drutu kolczastego. Podczas gdy ludzie z patrolu wspinali się na ogrodzenie, z prawej flanki otworzył ogień drugi karabin maszynowy, a potem załało nas niebieskie światło rakiety oświetlającej i bardzo gwałtowny ogień otworzył trzeci karabin, najwyraźniej o większym kalibrze - być może Spandau - z okna na drugim piętrze i z odległości siedemdziesięciu do stu jardów z lewej strony.

Wobec tak gwałtownego ataku i mając tak mało czasu kapitan Davies nie miał wyboru - musiał wycofać się z ludźmi do barki. Odwrót odbywał się pod ciągłym ogniem trzech karabinów maszynowych i w blasku rakiet oświetlających. Gdy zakończyliśmy ładować się na barkę, zobaczyliśmy, że w wodzie szamocze się dwóch naszych ludzi. Sierżant Hewlett, nie bacząc zupełnie na własne bezpieczeństwo, natychmiast skoczył za burtę i pod ciągłym silnym ogniem przyholował ich na plecach do barki. Jeden z nich był ranny.

W tym czasie wykorzystaliśmy całą dostępną na barce broń, w tym także Breny, aby odpowiedzieć na ostrzał niemiecki. Po policzeniu ludzi okazało się, że dwóch zaginęło. Na plaży nie zostały ciała, w ciemnościach nie widać ich także było w wodzie. Musieliśmy przyjąć, że prawdopodobnie wpadli do wody i utonęli. Barka odplynęła szybko, ciągle pod silnym ostrzałem. Niemcy wystrzeliwali rakiety oświetlające, dopóki nie znaleźliśmy się daleko na morzu, poza zasięgiem ostrzału. Piętnaście minut później znaleźliśmy nasz okręt, przeladowaliśmy się z barki i z największą szybkością ruszyliśmy przez kanał. Do Portsmouth dotarliśmy 28 września o godzinie 9.50.

Te dwie szybkie operacje dały początek regularnym, comiesięcznym rajdom komandosów na okupowane wybrzeża. Oddziały nie rywalizowały ze sobą o to, który ma organizować wypad. W ciągu kilku następnych miesięcy przeprowadzali się przez kanał żołnierze z 2., 5., 9. i 12. oddziałów komandosów. Niekiedy były to małe wypadki, czasem duże przedsięwzięcia z udziałem pięćdziesięciu lub nawet większej liczby żołnierzy. Rajd zorganizowany przez 9. oddział komandosów w listopadzie 1941 roku należał do dużych. Wzięło w nim udział dziewięćdziesięciu komandosów, którzy zaatakowali niemiecką baterię nadbrzeżną w pobliżu Houlgate. Grupa dotarła do brzegu bez trudności, niepostrzeżenie, lecz wskutek opóźnienia i błędów sygnalizacji nie było czasu na podjęcie ataku, wycofano się więc bez strat, choć nie obyło się bez wypadku. Kapitan Lucas napisał żartobliwą relację z tej operacji, w której wszystko przebiegało na opak.

W operacji „Sunstar” w listopadzie 1941 roku brało udział około stu żołnierzy z 9. oddziału komandosów. Dowodzący tym oddziałem podpułkownik Saegert z wojsk inżynieryjnych wyznaczył do wykonania zadania 1. kompanię i poszczególnych ludzi z innych kompanii, w tym różnych specjalistów (łącznościowców, saperów, lekarzy), którzy mogliby się przydać. Wypad poprowadzić miał kapitan Cyril Suter, dowódca 1. kompanii. Pułkownik Saegert odpowiadał za całą akcję, wyraził także chęć towarzyszenia komandosom.

Zostałem właśnie mianowany dowódcą 4. kompanii, ale ponieważ od marca byłem oficerem wywiadu i mój następca nie został jeszcze wyznaczony, brałem udział w tej operacji jako oficer wywiadu. Dlatego pojechałem wraz z pułkownikiem i Cyrelem do Londynu na odprawę do dowództwa Operacji Połączonych. Było dla nas oczywiste, że nękanie, choćby na skromną skalę, wybrzeża Normandii wokół Ouistreham u ujścia Orne jest działaniem pożytecznym; nieco na lewo od tego miejsca był brytyjski sektor „Sword” podczas inwazji 6 czerwca 1944 roku. Mieliśmy dostać wsparcie trzech lub czterech kutrów artyleryjskich, które miały interweniować w przypadku za-

grożenia. Odniosłem także wrażenie, że oficerowie z dowództwa Operacji Połączonych byli raczej przychylnie nastawieni do tego planu.

Nie było jednak jasne, co mielibyśmy robić po dotarciu do brzegu, oprócz zadania strat obronie, jednak pułkownik Saegert inaczej widział cel naszej akcji. Uważał, że niemiecka bateria na wzniesieniu za Houlgate byłaby idealnym celem dla naszej grupy. Na podstawie map i zdjęć wydawało się, że lądowanie mogą utrudnić tylko zwykłe patrole; skały miały tu siedemdziesiąt pięć do stu stóp wysokości i były niezbyt strome.

Bateria znajdowała się około dwie mile w głębi lądu i wydawało się, że mamy wszelkie szanse dotrzeć do celu w ciągu bardzo krótkiego czasu - narzuconego przez księżyc, przyływ i ich szefów z Admiralicji - zaskoczyć stacjonujący tam garnizon i złapać ostatni statek do domu. Oświadczono nam bardzo stanowczo, że załogi otrzymały rozkaz, by nie ryzykować osadzenia na mieliźnie podczas odpływu. Zdawaliśmy sobie z tego sprawę - bardzo chcieliśmy wrócić do domu, a zwłaszcza ja, ponieważ 3 grudnia miałem wziąć ślub i absolutnie zamierzałem to zrobić w kościele w wyznaczonym czasie. 15 listopada zaokrętowaliśmy się na nadbrzeżu Jamaica w Glasgow na kursujący po Kanale prom „Prince Leopold”, jeden z pierwszych okrętów desantowych dla komandosów, i po bardzo ciężkiej podróży przez Kanał Irlandzki zatrzymaliśmy się w Falmouth na ćwiczenia z barkami desantowymi

Na plaży położonej około siedmiu mii na zachód od Falmouth mieliśmy ćwiczyć lądowanie nocą, a także powrót i załadowanie się na barkę krótko po rozpoczęciu przyływu. Gdy pierwsze oddziały zbliżyły się do plaży, zobaczyły barki, najwidoczniej ciągle krążące, ale około trzystu jardów od zatoki. Ludzie zaczęli brnąć w ich stronę, ale zanim pierwszy z nas dotarł do najbliższej barki, wszystkie mocno osiadły na mieliźnie - dookoła widać było suchy ląd. Tę lekcję wzięli sobie do serca i wbili do głowy wszyscy zainteresowani, a rozmyślaliśmy o niej podczas powrotnego marszu do Falmouth, gdzie dotar-

liśmy akurat na śniadanie i rozpoczęliśmy kolejny pracowity dzień.

Następnie popłynęliśmy do Spithead, gdzie opracowany został ostateczny plan wypadu. Mieliśmy bardzo pouczającą i interesującą naradę z oficerami z marynarki wojennej i RAF. Plan, opracowany w głównej mierze pod kątem możliwości marynarki wojennej, zakładał, że „Prince Leopold” opuści Spithead z grupą komandosów na pokładzie o zmierzchu 22 listopada i dopłynie do punktu odległego o pięć mil od wybranej plaży, gdzie komandosi przesiądą się na cztery barki desantowe i popłyną do plaży, natomiast okręt wróci do Spithead. Po wylądowaniu komandosów barka miała oddalić się od plaży i wrócić krótko przed przyplywem, zabrać komandosów i odpłynąć do Spithead.

Wszystko szło dobrze do chwili, gdy znaleźliśmy się około mili od plaży. Okazało się wówczas, że nie ma jednej z barek, na której znajdował się pułkownik i mała grupa komandosów. Odłączyli się od nas w ciemnościach i wylądowali gdzieś na wschód od nas. Nie brali więc udziału w operacji, lecz, jak wiem, mieli własne przygody. Na szczęście, większość grupy, włącznie z dowódcą Cyrilem Suterem, była ciągle razem. Szczęśliwie wylądowaliśmy na właściwej plaży... i od tej chwili sprawy zaczęły iść naprawdę źle.

Dopiero teraz, poniewczasie zorientowałem się, że popełniłem poważną pomyłkę, uznając to miejsce za odpowiednie do lądowania, i że ściśle planując czas pomyliłem się, uznając baterię w Houlgate za łatwy cel. Gdybym wziął pod uwagę geologiczny typ skał i skutki ulewnych listopadowych deszczów, plan wyglądałby inaczej. W tej sytuacji komandosi wspinali się na występy skalne, zapadając się po kolana lub głębiej w rozmokłą, ciężką glinę. Dotarcie na szczyt zajęło im co najmniej półtorej godziny więcej, niż zakładał precyzyjny plan, a na szczycie znaleźli kolejną przeszkodę - cierniste zarośla, niezwykle trudne do przejścia. W czasie gdy wszyscy zbierali się po drugiej stronie szczytu, dla Cyrila stało się oczywiste, że nie będzie w stanie wykonać zadania i wrócić, pokonując te same przeszkody, ani w czasie wyznaczonym, ani nawet przybliżonym.

Zdecydował więc rozsądnie, by nie brnąć dalej, dowiedzieć się natomiast czegoś o ruchach miejscowych patroli, być może nawet jakiś przechwycić i wziąć jednego lub dwu jeńców. Poszedł do najbliższego domu i zapukał do drzwi. Zdenerwowanej żonie gospodarza, która zapytała, kim jest, odpowiedział: „Armia Brytyjska”; oświadczenie to zrobiło, jak mi mówił, niejaki wrażenie. Od tej życzliwej kobiety dowiedział się, że dowódca baterii kwateruje w jej domu i jest właśnie w kasynie oficerskim, ale w każdej chwili może wrócić. Brzmiało to obiecująco. Cyril i jego ludzie postanowili przygotować się na przyjęcie tego dżentelmena. Niestety, miał on zwyczaj późno kłaść się spać. Cyril czekał tak długo, jak się dało - o wiele dłużej, niż nakazywał rozsądek - wreszcie zrezygnował i grupa wróciła na plażę.

Tymczasem ja realizowałem bardzo proste zadanie, polegające na sprawdzeniu, czy plaża nadaje się do lądowania większych oddziałów, i próbowałem odkryć, czy małe bunkry na obu końcach plaży (oddalone od siebie około milę) są obsadzone. Gdy zbliżyliśmy się do bunkra przy zachodnim krańcu, usłyszeliśmy język niemiecki, a ja miałem krótki sen o chwale, w którym wystąpiły granaty ręczne, błyskawiczna akcja, jeniec albo dwóch i Krzyż Wiktorii dla każdego z nas. Razem z towarzyszącym mi żołnierzem mieliśmy raptem jeden karabin i pistolet, i nie byliśmy tu po to, by poruszać gniazdo os, cofnęliśmy się więc na drugi koniec plaży, znaleźliśmy drugi bunkier, który był pusty, i wróciliśmy na czas, aby zastać główną grupę bojkującą się właśnie z zejściem ze skały, spóźnioną co najmniej półtorej godziny.

Od kiedy wylądowaliśmy, nie widzieliśmy żadnych sygnałów z barek i czekaliśmy teraz, aż się pojawią. Dyskusja Cyrila z kolegami oficerami, czy powinniśmy iść do Ouistreham i próbować zdobyć łódź rybacką, czy też czas rozdzielić się i podjąć próbę ucieczki pojedynczo lub w małych grupkach, dochodziła właśnie do punktu szczytowego, gdy komuś wydało się, że słyszy silniki. Wdrapałem się na duży biały głaz, który służył nam jako znak rozpoznawczy, gdy

przybywaliśmy na plażę, i zobaczyłem sylwetkę małego statku. Zaświeciłem latarką przesłoniętą niebieskim papierem, co oznaczało sygnał „Q” w alfabecie Morse’a. Żadnej odpowiedzi, oderwałem więc papier i próbowałem znów.

Odpowiedź przyszła natychmiast i w tej samej chwili ze szczytu wzgórza otworzono ogień z broni maszynowej. Uderzyłem o piasek z wysokości około dwunastu stóp i przez chwilę leżałem, obserwując pociski rozrywające się na glazie, na którym przed chwilą stałem. Nic nie mogliśmy zrobić; pewien młody oficer, pierwszy raz pod ostrzałem, wydał prawdziwie histeryczny rozkaz: „Ognia!”, ale - na szczęście - ani my, ani niemiecki patrol na szczycie wzgórza nie strzelaliśmy zbyt celnie. Zaczęliśmy więc płynąć do barki, znajdującej się teraz około pięćdziesięciu jardów od plaży. Zostawiliśmy część ekwipunku, a szeregowiec Alanach został ranny w ramię - niezbyt ciężko, lecz stracił dość dużo krwi i trochę nas to niepokoiło, zwłaszcza że było oczywiste, iż nieprędko otrzyma właściwą pomoc.

Tak więc dostaliśmy się na barkę, gdzie większość z nas poszła spać w tak komfortowych warunkach, jakie były możliwe, gdy siedemdziesięciu lub więcej ludzi płynęło wehikułem przeznaczonym do przewozu trzydziestu pasażerów. Obudziłem się około dziewiątej rano i zobaczyłem, że barka znajduje się około pięciu mil od Hawru i w pełnym słońcu kołysze się na wodzie, ale nie płynie. Koło sterowe zostało złamane i raz jeszcze miałem wizję mojej narzeczonej, czekającej przed ołtarzem i zastanawiającej się, czy zdąży włożyć jej obrączkę. Na szczęście w tej chwili dostrzegliśmy inną barkę, oddaloną o około pół mili i płynącą w naszym kierunku. Jej dowódca próbował wziąć nas na hol, lecz fala była zbyt duża, zostaliśmy więc przywiązani burta w burtę i popłynęliśmy powoli, lecz pewnie, w stronę odległego o dziewięćdziesiąt mil Spithead.

Morale było dobre, a stało się znakomite, gdy wysoko nad naszymi głowami pojawiły się obiecane Spitfire’y czy Hurricane’y, nie pamiętam dokładnie, i zaczęły zabawiać nas wspaniałymi popisami akrobatycznymi. Bawiliśmy się wspaniale, gdy usłyszeliśmy prze-

ciągly huk działka lotniczego i strzałów z broni maszynowej i zobaczyliśmy, że woda kipi koło nas; Messerschmitt nadleciał za naszym myśliwcem, przestrzelił nam flagę i odleciał z dwoma brytyjskimi myśliwcami na ogonie. Kilka tygodni później dowiedzieliśmy się ze zdobytego w Vaagsö raportu niemieckiego lotnictwa, że pilot tego Messerschmitta został odznaczony Krzyżem Żelaznym za swój bohatercki wyczyn, a więc być może nasza wyprawa nie poszła całkiem na marne.

O północy chmury pokryły cały horyzont, naszych myśliwców nie było i czuliśmy się dość osamotnieni. Znów zerwał się wiatr i wzburzył morze, na szczęście jeszcze niegroźnie; niemniej jednak barki także nie były w najlepszym stanie. Na burtach nie było odbijaczy i wszystko, co włożyliśmy między burty łodzi, wkrótce było w kawałkach. Jeszcze przed zapadnięciem mroku osłony zaczęły pękać i w burtach pojawiły się dziury. Barki doskonale trzymały się na wodzie, ale woda przeciekała i mieliśmy ją niemal do pasa. Biedny Alanach był raczej słaby, musiał leżeć na łóżku ze skrzyń na amunicję na tyle wysokim, by nie dosięgała go woda. Wyglądał dość dobrze, ale zapewne gonił ostatkiem sił. Tuż przed zapadnięciem całkowitych ciemności ktoś zauważył cypel około pięciu stopni od naszej sterburty. „Culver Cliff powiedział nasz sternik. - Ta niska linia, którą widzicie po prawej, to zapora obronna przeciw okrętom podwodnym w Spithead. Przy odrobinie szczęścia zauważą nas, bo jest ciągle jasno, i wyślą kogoś naprzeciw nam”.

Rozczarował się. „Cypel” okazał się Beachy Head, „zapora” plażą w Eastbourne, całe mile od Spithead. Kompas, starannie wyskalowane, jak w każdym pojeździe opancerzonym, zachowywały się całkiem inaczej, gdy dwa statki zostały ze sobą połączone; kompas, którym się kierowaliśmy, mylił się mniej więcej o czterdzieści stopni. Kiedy spuściliśmy rampy, pierwsi ludzie, którzy opuścili barkę, wrócili pędem krzycząc, że wylądowaliśmy we Francji. Okazało się, że ten odcinek naszego wybrzeża obsadzały oddziały francuskojęzycznych Kanadyjczyków, którzy zgotowali nam wspaniałe przyję-

cie.

Nie udało nam się i biedny pułkownik Saegert stracił dowództwo, choć nie miał się czego wstydzić. To ja wprowadziłem go w błąd, wskazując miejsce nie spełniające warunków i nieodpowiednie do lądowania, ale zastanawiam się, jak wielu oficerów wywiadu w oddziałach wojskowych czy w oddziałach komandosów konsultowało się na tym etapie wojny ze specjalistą geologiem. Prawdę mówiąc, nikomu ta historia nie przyniosła chwały, z wyjątkiem być może dowódców barek desantowych, którzy nie wypełnili rozkazu dowiedzenia nas do kraju, i oczywiście niemieckiego pilota, ponieważ był tak marnym strzelcem. Tylko on został odznaczony za udział w tej przygodzie - całkiem słusznie. Szeregowiec Alanach szybko wyzdrowiał i po kilku tygodniach powrócił do 4. oddziału komandosów, a ja poślubiłem 3 grudnia moją narzeczoną i przez długie lata byłem szczęśliwym człowiekiem.

Ta raczej zabawna porażka nie zniechęciła komandosów. Teraz przyszła kolej na 6. i 12. oddziały komandosów, które w grudniu 1941 roku wypłynęły ze Scapa Flow, by zaatakować miasto Floss w Norwegii. Na wypad ten rzucił cień wypadek, jaki wydarzył się na wiozącym komandosów okręcie „Prince Charles”, kiedy to eksplodował uzbrojony granat, zabijając sześciu ludzi pod pokładem. Komandosom towarzyszyło wówczas kilku fotooperatorów z prasy, którzy chcieli zarejestrować na taśmie tę operację. Filmowali typowe sceny rozgrywające się na statku - ćwiczenia komandosów, żołnierzy śpiących w hamakach lub piszących ostatni list do domu. Zasugerowano im też, że powinni sfotografować i sfilmować końcowy przegląd broni i uzbrajanie granatów pod jednym z pokładów.

To był dobry pomysł. Kamery uchwyciły bardzo żywą scenę, kiedy to stu mężczyzn czyściło wszystkie typy broni, sześciu zajętych było przy stole czyszczeniem bomb Milla (granatów nr 36), a ostatni zakładał detonatory. Jeden z przedsiębiorczych kamerzystów, chcąc uzyskać efektowne zbliżenie, przysunął sobie bliżej wiązkę granatów,

czego nie zauważył pochłonięty swoim zajęciem żołnierz, i pomieszał granaty uzbrojone z nieuzbrojonymi. Żołnierz, który pierwszy podniósł granat, myślał, że jest on nieuzbrojony i wyjął zawleczkę. Ku jego przerażeniu rozległ się cichy stuk, co oznaczało, że granat jest uzbrojony, i zaczęła palić się tulejka urządzenia zapalającego. Krzyknął i uczynił desperacką próbę wyrzucenia granatu przez otwarty luk na pusty pokład powyżej.

Był to wspaniały i godny uznania odruch, ale granat uderzył o krawędź luku i spadł z powrotem. Stojący pod lukiem Norweg złapał go i rzucił jeszcze raz - za późno, minęły już cztery sekundy. Granat eksplodował dokładnie na wysokości jego piersi, zabijając na miejscu sześciu ludzi i raniąc jedenastu. Wszystko to stało się niezwykle szybko. Niełatwo opisać, jak grupa szczęśliwych mężczyzn znalazła się nagle w środku krwawej jatki i zapanował wszechogarniający chaos. Morale na statku obniżyło się jeszcze bardziej, gdy dowodzący nim kapitan okazał się niezdolny do utrzymania załogi w ryzach i w końcu wypad został odwołany.

Tym, czego naprawdę potrzebowali teraz komandos, była możliwość walki z nieprzyjacielem, prawdziwej walki na śmierć i życie. Możliwość taka pojawiła się wreszcie w drugi dzień Bożego Narodzenia 1941 roku. 3. oddział komandosów, wzmocniony dwoma plutonami z 2. oddziału komandosów oraz saperami i lekarzami z 4. i 6. oddziałów komandosów, wziął udział w wypadzie na norweski port Vaagsö i leżącą naprzeciw niego wysepkę Maalöy. Raid ten, nazywany operacją „Archer”, był pierwszym wypadem podjętym pod dowództwem nowego szefa Operacji Połączonych, wiceadmirała lorda Louisa Mountbattena. Była to pierwsza rzeczywiście „połączona” operacja, wielki desant wspierany przez lotnictwo i marynarkę, wzór dla innych, jeszcze większych desantów, jakie miały nastąpić później.

Siły marynarki wojennej, dowodzone przez kontradmirała Burrouha, składały się z flagowego krążownika „Kenya”, czterech niszczycieli: „Offa”, „Childingfold”, „Onslow” i „Oribi”, eskortują-

cych dwa znane już nam transportowce: „Prince Charles” i „Prince Leopold”, które przewoziły komandosów, a także okrętu podwodnego „Tuna”, wyznaczającego drogę i prowadzącego wszystkich do fiordu Vaagsö.

Wsparcie lotnicze zapewniało dziesięć bombowców Handley Page Hampden z 50. Dywizjonu RAF, których zadaniem było stawianie zasłony dymnej wokół barek desantowych i bombardowanie dostrzeżonych niemieckich stanowisk obronnych. Inne samoloty miały wspierać Hampdeny ogniem i bombardować niemieckie stanowiska ogniowe w Herdla. Rajd na Vaagsö należał do zupełnie innej kategorii niż wszystkie poprzednie. Był właściwie ich przeciwieństwem, ponieważ nie przypominał przeprowadzanego nocą wypadu typu „bij i w nogi”.

Niemcy zgromadzili poważne siły na wyspie Maalöy i w cieśninie Ulve. Wzdłuż fiordu na Maalöy rozmieszczone były niemieckie baterie przeciwlotnicze i stanowiska broni maszynowej, a na wyspie Rugsundo ciężkie działa, mogące ostrzeliwać cały fiord Vaagsö. W mieście Vaagsö i na wyspie Maalöy znajdowały się niemieckie garnizony i choć nie wiadomo było, jak liczne, ze względu na fortyfikacje można było przypuszczać, że garnizon piechoty jest duży, dobrze uzbrojony i dobrze wyszkolony.

W akcji miało wziąć udział 51 oficerów i 525 żołnierzy z 3. oddziału komandosów oraz dwa plutony z 2. oddziału, które Durnford Slater trzymał w rezerwie. Plan zakładał, że komandosi wpłyną niepostrzeżenie do fiordu Vaagsö, a stamtąd do cieśniny Ulve, która oddzielała południowy cypel wyspy Vaagsö od wysepki Maalöy. Tu mieli podzielić się na pięć grup, dopłynąć do brzegu na barkach i zdobyć Maalöy i południową część Vaagsö. Tymczasem niemieckie pozycje artyleryjskie miały zostać zaatakowane przez bombowce, i ostrzelane przez artylerię główną krążownika HMS „Kenya” oraz przez niszczyciele stanowiące eskortę krążownika. Po unieszkodliwieniu Niemców grupy saperów miały wysadzić w powietrze urządzenia wojskowe, przemysłowe i portowe, a następnie wycofać się,

zabierając jeńców, ochotników norweskich i wszystkich rannych. Operacje połączone rzadko jednak przebiegają zgodnie z planem i tak też było w tym przypadku.

Ekspedycja wyruszyła ze Scapa Flow w Wigilię Bożego Narodzenia. Lądowanie miało się odbyć następnego dnia, zła pogoda wymusiła jednak zmianę planów. Charles Hustwick brał udział w rajdzie na Vaagsö:

Po drodze do Invergordon przybyliśmy do Scapa Flow i odpłynęliśmy stamtąd wraz z 3. oddziałem komandosów na pokładzie „Prince Charles”. Mieliśmy na śniadanie duszone serca, niezbyt smakowite przy wietrze o sile siedmiu stopni, a kiedy wypłynęliśmy w Wigilię ze Scapa Flow, siła wiatru wzrosła, o zgrozo, do dziewięciu stopni. To była okropna podróż! Załoga i komandosi byli naprawdę chorzy, spieniona woda przelewała się wszędzie, zawinęliśmy więc do Sul-lom Voe na Szetlandach na Boże Narodzenie, aby zrobić porządek, wysuszyć się i nabrać sił. Tu dowiedzieliśmy się, że naszym celem jest Vaagsö.

Bitwa o Vaagsö rozpoczęła się 27 grudnia o godzinie 8.48, kiedy HMS „Kenya” oświetlił wyspę Maalöy rakietami, a bombowce postawiły zasłonę dymną. Zanim komandosi dotarli do brzegu, krążownik „Kenya” i niszczyciele wystrzeliły w stronę lądu ponad czterysta pocisków. Na szczęście, wiały silne wiatry, a Niemcy byli przekonani, że nic się nie może zdarzyć w czasie Bożego Narodzenia. Niemiecki garnizon został zupełnie zaskoczony, a wyspa zdobyta bez trudności.

Atak został przeprowadzony z werwą, 5. i 6. kompanie z 3. oddziału komandosów poprowadził zastępca dowódcy, major Jack Churchill (powszechnie znany jako „Szalony Jack”), przygrywając żołnierzom do boju na dudach. Churchill jako pierwszy wyszedł ze swymi ludźmi na brzeg, następnie odłożył dudy, wyciągnął swój szkocki pałasz (*glaymore*) - Jack Churchill uważał, że oficer nie jest stosownie ubrany bez pałasza - i poprowadził ludzi do ataku, ude-

rzając w główny punkt obrony nieprzyjaciela. W obliczu takiej furii Niemcy czmychnęli. Wyspa Maalöy została opanowana w osiem minut. W czasie akcji zginął kapitan Martin Linge z armii norweskiej. Ranny został nieustraszony major Jack Churchill, który stanął zbyt blisko miejsca wybuchu ładunku, i został odniesiony na barkę. Stracił nieco krwi, ale głośno domagał się, by przyniesiono mu jego dudy.

Vaagsö jest miastem o rzadkiej zabudowie, rozciągającym się na długość około mili wzdłuż brzegu Ulvesund. Ludzie Durnforda Slatera wylądowali na jego południowym krańcu. Najpierw wspięli się na niewielkie wzgórze, następnie zaczęli torować sobie drogę ogniem, od domu do domu, wzdłuż głównej ulicy. Walka uliczna pochłania zawsze ofiary, tu także zginęło w pierwszym starciu kilku dobrych żołnierzy. Wkrótce po wylądowaniu zginął kapitan Johny Giles, dowódca 3. plutonu, natomiast 4. pluton stracił Arthura Komrowera, który dostał się między barkę desantową a skałę i został zmiażdżony. Porucznik Bill Lloyd otrzymał postrzał w szyję, gdy wychodził na brzeg. Wyzdrowiał, ale dowódca jego oddziału, Algy Forrester, specjalista od szturmów na skały, został zabity podczas szturmów na kwaterę niemieckiego sztabu w hotelu „Ulvesund”, około stu jardów od głównej ulicy. Wielu dobrych podoficerów zostało zabitych lub rannych w ataku na czołg. W ciągu dwudziestu minut od wylądowania oddział Algy'ego Forrester stracił wszystkich oficerów i starszych podoficerów, dowodzenie przejął więc kapral White, który został za to odznaczony później Krzyżem Walecznych.

Opór Niemców, początkowo słaby, okazał się znacznie silniejszy, niż przewidywano, być może dlatego, że niemiecki garnizon otrzymał doraźne wsparcie w postaci pięćdziesięciu dobrze wyszkolonych żołnierzy. Właśnie ci żołnierze odparli atak komandosów w centrum miasta, a niepewny zwycięstwa Durnford Slater posłał po swe oddziały rezerwowe i polecił Jackowi Churchillowi, który wrócił już do swego oddziału, przysłać wszystkich ludzi z Maalöy.

Niedługo potem przybył z 6. plutonem porucznik Peter Young i wraz z sierżantem George'em Herbertem, również dzielnym żołnie-

rzem, zaczęli obrzucać granatami ulicę. Wszyscy komandos i przy-
puścili teraz szturm, niszcząc nieprzyjacielskie stanowiska broni
maszynowej i eliminując strzelców. O 13.45 walka została zakoń-
czona, godzinę później komandosi wycofali się z Vaagsö.

Ten rajd był wielkim sukcesem. 3. oddział komandosów wykonał
wszystkie zadania, zadał Niemcom ciężkie straty i wrócił do kraju z
ponad stu jeńcami i ponad siedemdziesięcioma ochotnikami do armii
norweskiej. Straty komandosów także były duże. Z tej małej i blisko
ze sobą związanej grupy zginęło dwudziestu ludzi i byli wśród nich
organizatorzy jednostek komandosów; rannych zostało pięćdziesięciu
siedmiu żołnierzy. 3. oddział komandosów odzyskał zdolność bojową
po otrzymaniu licznych uzupełnień.

Dzięki akcji na Vaagsö rok 1941, rok zmiennych kolei losu, za-
kończył się pomyślnie, przynajmniej dla oddziałów stacjonujących w
Wielkiej Brytanii, bowiem rajdy przez kanał La Manche ciągle
podtrzymywały zapał i chęć do walki. Bliski Wschód to zupełnie inna
historia; tam trzy szkockie oddziały komandosów 7., 8. i 11., tworzące
Layforce, przeżywały o wiele trudniejsze chwile.

4

LAYFORCE, 1941

Celem działań komandosów jest nękanie wroga.

Commando Training Notes, 1942

Po ewakuacji z plaż Dunkierki, w latach 1940-1943 wojna lądowa przeciw państwowi Osi, Niemcom i Włochom, toczyła się albo w Rosji, albo - w przypadku Brytyjczyków i Amerykanów - na pustyniach Afryki Północnej. Dużą część tych obszarów zajęli Włosi jeszcze przed wojną; początkowo 8. Armia Brytyjska, wzmocniona silnymi kontyngentami z Nowej Zelandii, Australii i Afryki Południowej, odnosiła sukcesy, zadając Włochom klęskę po klęsce; jednocześnie zdołano także wysłać wojska do Syrii, aby zmusić do kapitulacji wojska wierne rządowi Vichy.

Głównym problemem, z jakim musiały sobie poradzić dowództwa obu stron podczas wojny na pustyni, był problem zaopatrzenia. O sukcesie w tej wojnie, toczonej przy użyciu czołgów i ciężkiej piechoty, decydowała mobilność, armie zaś posuwały się naprzód lub cofały zależnie od możliwości transportu paliwa, żywności, amunicji i posiłków na linię frontu. W Afryce Północnej zarówno Brytyjczycy, jak wojska niemiecko-włoskie posuwały się do granicy wyznaczonej przez linie zaopatrzenia, następnie były zmuszone do wycofania się (podczas gdy nieprzyjaciel deptał im po piętach) do chwili, gdy linie zaopatrzenia także się przesunęły i skróciły, i wszystko zaczynało się na nowo.

Pustynia z jednej strony i Morze Śródziemne z drugiej były w istocie otwarte dla wypadów komandosów. W lutym 1941 roku

generał Robert Laycock zaokrętował się w Szkocji wraz z 7., 8. i 11. oddziałami komandosów na okręty transportowe „Glenearn”, „Glenroy” i „Glengyle” i odpłynął na Bliski Wschód, by prowadzić akcje desantowe przeciwko niemieckiemu Afrika Korps.

Porucznik Milton płynął wraz z 7. oddziałem komandosów:

Te trzy okręty były dawniej statkami handlowymi, a teraz przystosowano je do przewozu łodzi desantowych. Oficerowie kwaterowali na „Glengyle” pod pokładem poniżej poziomu morza. Spędziliśmy na tych okrętach pewien czas, płynąc z Gourock do zatoki Lamlash w Arran, gdzie czekaliśmy na jakąś akcję, która nigdy nie nastąpiła, a morale mocno podupadało, dopóki nie przybył na pokład sir Roger Keyes, wówczas szef Operacji Połączonych, i nie wygłosił porывającej mowy.

Zapewniano nas stanowczo, że popłyniemy za morza. Przeniesiono mnie z 7. oddziału komandosów i znalazłem się na „Glenroy” wraz z grupą oficerów, do której należeli też Evelyn Waugh i Randolph Churchill. Zdawali się spędzać większość czasu na hazardowej grze w karty. Płynęliśmy od końca stycznia, spędziliśmy dzień czy dwa we Freetown, dotarliśmy do Kapsztadu, gdzie byliśmy niezwykle serdecznie i gościnnie witani przez mieszkańców, następnie popłynęliśmy wzdłuż wschodnich wybrzeży Afryki i przez Kanał Sueski; w końcu przybyliśmy do naszego obozu w Genifie nad Morzem Martwym.

Ta mała brygada komandosów przybyła do Egiptu 7 marca 1941 roku i została połączona z dwoma powstałymi na miejscu jednostkami komandosów - 50. i 52. Formacja ta stała się później znana jako Layforce (od nazwiska generała Laycocka). Layforce natychmiast padły ofiarą władz wojskowych i zostały włączone jako brygada piechoty do 6. Dywizji 8. Armii, dowodzonej wówczas przez generała Wavella. Oddziały komandosów stały się batalionami; 7. oddział został batalionem A. 8.- B. 11.- C, dwa oddziały (50. i 52.) miejscowe - batalionem D. Te „bataliony”, jak i sama brygada, pozbawione były

pododdziałów wsparcia i służb niezbędnych oddziałom piechoty liniowej - służb inżynierskich, transportowych, artylerii polowej, plutonów łączności.

Najgorsze jednak ze wszystkiego było to, że wojna na Bliskim Wschodzie była wojną defensywną, a Brytyjczycy w Egipcie znajdowali się na krawędzi klęski. Po długiej serii sukcesów w walkach z Wiochami 8. Armia zetknęła się w końcu marca 1941 roku ze znacznie groźniejszym przeciwnikiem - w Cyrenajce wylądował niemiecki Afrika Korps, dowodzony przez generała Erwina Rommla. Korpus ten - mobilny, doskonale wyszkolony, wyposażony w najnowocześniejsze czołgi - wykonał silne uderzenie na 8. Armię i osłabioną zepchnął w kierunku Egiptu. W ramach strategii podwójnego uderzenia inne zgrupowania wojsk niemieckich dokonały jednocześnie inwazji na Grecję, której mieszkańcy stawili już wcześniej zdecydowany opór armii włoskiej.

Tym razem Grecy zmuszeni byli ustąpić, choć na pomoc zostały im pospiesznie wysłane przez Morze Śródziemne szczupłe rezerwy 8. Armii, ludzie i sprzęt. Layforce stacjonowały na tyłach, w Egipcie, gdzie oficerowie, zaaferowani szukaniem posiłków dla jednostek frontowych, wkrótce spojrzeli łakomym wzrokiem na dobrze wyszkolonych ludzi Laycocka. Co gorsza, zaczęto już po cichu snuć plany rezygnacji z ewentualnego wykorzystania komandosów w walce na Bliskim Wschodzie.

Przed wszystkim dlatego, że w Grecji, na Krecie, na pustyniach Afryki wiele się w tej wojnie działo, walczyły już inne jednostki, a komandosi nie mogli prowadzić takich akcji ofensywnych, do jakich przygotowano ich w kraju. W dodatku 8. Armia wycofywała się teraz, atakowana przez dywizje Rommla, a trzy przydzielone Layforce transportowce, bez których komandosi byli unieruchomieni, zostały użyte do przewiezienia oddziałów alianckich do Grecji. Na koniec, alianci nie mieli przewagi w powietrzu, bez której rajdy wzdłuż wybrzeża były zbyt ryzykowne dla okrętów desantowych.

Oczywiście, brygada dobrze wyszkolonych ludzi nie mogła być w

takim czasie utrzymywana w bezczynności. General Laycock szybko dostał rozkaz przygotowania wypadu na znajdujący się w rękach wroga port Bardia, trzysta mil na zachód od Aleksandrii. Pierwszy wypad był nieudany, lecz następny, który odbył się nocą z 19 na 20 kwietnia 1941 roku, zakończył się sukcesem. Uczestniczył w nim 7. oddział komandosów, przewieziony na HMS „Glengyle” w silnej eskorcie, którą tworzyły krążownik przeciwlotniczy „Coventry”, trzy australijskie niszczyciele oraz okręt podwodny „Triumph”, który przewoził łodzie składane oddziału SBS kapitana Courtneya, mającego ustawić światła nawigacyjne i wprowadzić komandosów do portu.

Podczas rajdu zdarzyło się wiele nieszczęśliwych zbiegów okoliczności. Okręt podwodny „Triumph” został dostrzeżony i zaatakowany na morzu przez samoloty alianckie, co podczas II wojny światowej zdarzało się dosyć często, i przybył spóźniony do punktu rozładowania. Składane łodzie były uszkodzone i niezdatne do użytku, nie można więc było ustawić świateł nawigacyjnych, główna barka desantowa została uszkodzona i przybiła do brzegu z opóźnieniem, w innych barkach kompasy były zepsute i komandosi wylądowali w niewłaściwych miejscach, a oficer dowodzący, który chodził po plaży po wylądowaniu, został zastrzelony przez jednego ze swych ludzi. Mimo wszystko komandosi utrzymali się na brzegu przez pewien czas i zdołali zniszczyć cztery działa, zanim się wycofali. Niestety, do niewoli dostało się około siedemdziesięciu Brytyjczyków.

Nie był to dla komandosów udany debiut na Bliskim Wschodzie. Jedynym jaśniejszym punktem w tym ponurym obrazie była wizyta złożona żołnierzom 7. oddziału komandosów przez 71-letniego emerytowanego admirała, sir Waltera Cowana, baroneta, komandora Orderu Łaźni. Pierwszą bitwą, w jakiej wziął udział sir Cowan, była bitwa z Arabami pod Omdurmanem w 1898 roku, w której wojskami brytyjskimi dowodził generał Kitchener.

Admirał Cowan był despotycznym starym dżentelmenem, którego

nudziło życie emeryta, a ponieważ był od dawna przyjacielem admirała Keyesa, przyjechał w odwiedziny do komandosów. Porucznik Milton opowiada:

Pierwotnie plan wypadu do Bardii zakładał udział zarówno 7., jak i 8. oddziału komandosów i wszystkich trzech transportowców, ale z powodu złej pogody wypad został odwołany, a plan zmieniony. Do udziału w tej akcji wyznaczono tylko 7. oddział komandosów i okręt desantowy „Glengyle”. Podzielono nas na dwie grupy, mniejsza miała wpłynąć do portu, wylądować i zniszczyć wodociągi, druga natomiast miała wylądować na zachód od miasta, zaatakować baterię artylerii nadbrzeżnej i wykonać rozmaite zadania, na przykład wysadzić mosty.

Moim zadaniem było dowieźć sekcję do portu pierwszą barką desantową, wylądować, wspiąć się na skalną ścieżkę i pomaszerować w głąb lądu, a tam znaleźć i wysadzić w powietrze pompy wodociągów miejskich. Miało to, jak mnie zapewniano, odciąć na jakiś czas zaopatrzenie Bardii w wodę, wywołać alarm i chaos w garnizonie. Towarzyszył nam admirał sir Walter Cowan, kipiący energią weteran o wroście około pięciu stóp i trzech cali; wraz z porucznikiem Evelynem Waughem znalazł się on na mojej barce.

Gdy dopłynęliśmy w okolice portu i dotarliśmy do przystani łodzi około godziny 22.00, morze było dość niespokojne. W owym czasie zawsze pierwsza grupa komandosów wchodziła na okręcie na barkę desantową, którą następnie spuszczano na wodę. Z jakiegoś powodu żuraw na naszym okręcie szybciej opuścił dziób barki niż rufę, uderzyliśmy więc dziobem w wodę, rąbnęliśmy w burtę „Glengyle” i uszkodziliśmy silnik na sterburcie naszej barki. Dlatego, choć byliśmy rzekomo barką prowadzącą, wlekliśmy się powoli, daleko w tyle za resztą i na jednym silniku. Widziałem brzeg i wyliczyłem, gdzie jesteśmy, ale gdy znaleźliśmy około stu jardów od plaży, dotknęliśmy dnem ławicy piaskowej; admirał Cowan rozkazał naszemu sternikowi, podporucznikowi Englandowi, opuścić rampę. Sternik spełnił

rozkaz, admirał i Evelyn Waugh wybiegli i zniknęli pod wodą. Zatrzymałem ludzi, dopóki nie przebrnęliśmy przez piach i nie dotarliśmy do prawdziwej plaży.

Weszliśmy na skalną ścieżkę i szliśmy w kierunku naszych celów w zupełnej ciszy, gdy zobaczyłem przed sobą jakieś postacie. Okazało się, że był to oddział dowodzony przez zastępcę dowódcy jednostki, Kennetha Wylie, który szedł wysadzić most. Wylie powiedział mi, że już jest zbyt późno, by iść do wodociągów i pomp, i polecił przeprowadzić zwiad w pobliskich budynkach; jeden z nich okazał się wypełniony nitrogliceryną w fatalnym stanie - ładunki były zawilgocone i wyglądały na w najwyższym stopniu niebezpieczne. Nie było sposobu, żeby je zdetonować, ponieważ mieliśmy tylko krótkie lonty do ładunków mających wysadzić wodociąg, a z drugiej strony, gdyby to wszystko eksplodowało, 7. oddział komandosów i większość Bardii znalazłyby się na środku Morza Śródziemnego.

Byłem odkomenderowany do straży tylnej, późno więc weszliśmy na naszą uszkodzoną barkę i wolno wyszliśmy w morze, mieliśmy przy tym okropne kłopoty z ruszeniem z plaży. Natknęliśmy się następnie na Wyliego. Widział on sygnały na brzegu, zorientował się, w czym rzecz, i znalazł jeszcze dwie barki, które osiadły na mieliźnie. Zabrał na pokład wielu ludzi, ale mimo to około pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu żołnierzy z grupy zachodniej pozostało na plaży. Tak czy inaczej, Wylie płynął na „Glengyle”, a my wolno pelziliśmy z tyłu, lecz kiedy dotarliśmy na miejsce, „Glengyle” już odpłynął... to był koszmar, słowo daję.

Podporucznik England i ja zdecydowaliśmy, że najlepszą rzeczą, jaką możemy zrobić, to popłynąć do Tobruku, jakieś sześćdziesiąt mil na zachód. Tobruk był otoczony przez wojska nieprzyjaciela, ale broniła się w nim australijska 9. Dywizja. Płynęliśmy bardzo wolno. Nie pamiętam wiele z tej nocy z wyjątkiem tego, że była bardzo niespokojna i że spałem z głową na plecaku, w którym było 808 ładunków wybuchowych. Od tego rozboleła mnie mocno głowa.

O świcie znaleźliśmy się niedaleko brzegu, lecz morze ciągle było

wzburzone. Ranek się dłużył, gdy wtem pojawił się na horyzoncie okręt płynący bez bandery i bez dział, i skierował się w naszą stronę. Gdy podpłynął bliżej, spytałem podporucznika Englanda, co powinniśmy zrobić, jeśli okaże się, że jest to okręt włoski. Spodziewałem się, że powie, iż powinniśmy się poddać, ale nic z tego. Zaświecił lampą sygnalizacyjną i powiedział, że będzie wysyłał sygnały, aż znajdziemy się blisko, następnie podpłyniemy, przechwycimy okręt i zawrócimy do Aleksandrii - on naprawdę miał duszę Nelsona!

Na szczęście, okazało się, że jest to okręt brytyjski i rzeczywiście popłynęliśmy do Tobruku. Polecono mi złożyć raport generałowi Morsheadowi, dowódcy 9. Dywizji. W porcie znalazłem ciężarówkę, którą prowadził bardzo niechlujny żołnierz australijski. Zawiózł mnie on do kwatery głównej dywizji, przez całą drogę zachowując milczenie. Poznałem tam generała, który także obejrzał mnie od stóp do głów i powiedział: „To, czego ci trzeba, to coś mocniejszego”. Jeden z jego adiutantów wyszedł, wrócił z napełnioną do połowy szklaneczką whisky i stał cały czas przy mnie, gdy osuszałem szklanekę. Przełknąłem ostatni łyk, a on westchnął: „Właśnie wypileś ostatni łyk whisky w Tobruku”.

Po powrocie do Egiptu Layforce kontynuowały szkolenie, oczekując jednocześnie na nowe zadania. Porucznik Ted Galbraith z 8. oddziału komandosów wspomina:

W czasie, gdy stacjonowaliśmy w Mersa Matruh, wielu oficerów i żołnierzy, między innymi Randolph Churchill, zgłosiło się na ochotnika na będące nowością ćwiczenia w skokach ze spadochronem. Wszyscy byli ubrani zupełnie nieodpowiednio do skakania. Silne wiatry wypchnęły wiele osób poza strefę lądowania, na skalisty grunt, co zakończyło się paskudnymi kontuzjami kolan i łokci.

Wśród poważniej rannych żołnierzy 8. oddziału komandosów był porucznik David Stirling, twórca SAS, który leżąc właśnie wówczas w szpitalu wpadł na pomysł utworzenia takiej jednostki, co zreali-

zowano kilka miesięcy później.

Zgrupowaniu Layforce, jednemu dobrze wyszkolonemu, lecz nie w pełni wykorzystanemu podczas walk w Grecji i w Afryce Północnej, nie tylko odmawiano uzupełnienia strat, ale poważnie uszczuplono. Wynikało to z faktu, że tu, podobnie jak w kraju, dowództwo nie było poważnie zainteresowane akcjami komandosów, uważając, w tych warunkach nie bez słuszności, że wyszkoleni żołnierze bardziej przydadzą się na froncie.

Dlatego w końcu maja 1941 roku zgrupowanie Layforce zaczęło rozpraszać. Batalion C z 11. oddziału komandosów wysłano na Cypr, inne oddziały włączono do głównej rezerwy armii. 20 maja Niemcy, zmusiwszy przedtem Brytyjczyków do wycofania się z Grecji kontynentalnej, dokonali na Kretę desantu z powietrza. Sytuacja bardzo szybko stała się poważna. Wojska brytyjskie zaczęły wycofywać się ze swych pozycji koło Heraklionu, kierując się przez góry do zatoki Suda. Tam właśnie nocą z 26 na 27 kwietnia wylądowały jako posiłki 7. i 8. oddziały komandosów oraz samodzielny oddział komandosów utworzony na Bliskim Wschodzie.

Bitwa o Kretę polegała na wymagającym wielkiej odwagi stawianiu czoła wszelkiego rodzaju przeciwnościom. Niemieckie oddziały spadochronowe zaczęły lądować na północnym wybrzeżu wyspy 20 maja 1941 roku. Początkowo zostały zatrzymane przez obronę i poniosły ciężkie straty, stopniowo jednak Niemcy opanowali tereny wokół lotniska w Maleme. Z tą chwilą zaczęły przybywać transportowe Junkersy Ju 52, przywożąc posiłki i artylerię, podczas gdy obrońcy byli trzymeni w szachu przez bombowce, które atakowały ich pozycje i płynące z pomocą statki.

W ciągu trzech dni wylądowało w Maleme ponad 20 tysięcy żołnierzy niemieckich, a jedynym sposobem zatrzymania tej fali było odbicie lotniska. Zdanie to uznano za odpowiednie dla komandosów z Layforce, ale nie doszło do jego realizacji, ponieważ 26 maja front brytyjski zaczął się załamywać. Oddziały Layforce przybyły tylko po to, by utrzymywać przyczółki podczas ewakuacji wojsk brytyjskich.

Komandosi, nie wyposażeni w ciężką broń, nie byli odpowiednio przygotowani do tego typu zadania.

Opowiada szeregowiec Freeman:

Opuściliśmy zatokę Suda i okopaliśmy się, nieustannie bombardowani i ostrzeliwani z broni maszynowej przez Niemców. Nie mieliśmy żadnego wsparcia, żadnych samolotów i służyliśmy jako tylna straż podczas wycofywania się Nowozelandczyków i Australijczyków. Mniej więcej dzień później wycofaliśmy się i następnego pół dnia maszerowaliśmy przez gaje oliwne. Stały w nich spalone ciężarówki z ciałami zabitych, a wróg był dookoła, nawet za nami. Mój kolega dostał postrzał w żołądek z broni maszynowej. Oficer kazał ułożyć go wygodnie, dałem mu więc papierosa i podłożyłem pod głowę jego mały plecak, a potem zostawiliśmy go niemieckim lekarzom.

Pomaszerowaliśmy przez wyspę do Sfakii, gdzie było miejsce ewakuacji, i ukryliśmy się w jaskiniach, lecz po tym, jak przyleciał wodnosamolot typu Sunderland i zabrał kilku oficerów, niemiecki patrol odkrył jaskinie i wziął mnie do niewoli. Niemieccy żołnierze frontowi nie byli tacy źli, ale myślałem, że jestem jedynym wziętym przez nich jeńcem, i czułem się źle. Szedłem z Niemcami około godziny, przekroczyliśmy górski grzbiet, a tam były tysiące jeńców: Brytyjczyków, Nowozelandczyków, Australijczyków. Próbowałem uciekać do Grecji, ale zostałem złapany i odesłany w bydłowym wagonie do Niemiec. Podróż trwała szesnaście dni, zmarło podczas niej wielu ludzi. Kolega, który został ranny w żołądek, rozpoznał mnie na zjeździe dawnych komandosów kilka lat później. Po dużej ilości piwa i opowieściach o moim ocaleniu powiedział mi, że Niemcy chcieli go zastrzelić, ale pojawił się mówiący po angielsku oficer, który kazał im zabrać go wraz z ich własnymi rannymi.

Żołnierze Layforce przemieścili się pod ciężkim ostrzałem z powietrza i zaczęli się okopywać, gdy obok ich pozycji przeszły wojska cofające się w stronę plaż. Atak lądowy na te pozycje nastąpił rano 28 maja. Poprzedził go silny ogień z moździerzy i ciężki nalot, po którym

nastąpiło natarcie piechoty. 7. oddział komandosów, wspierany przez piechotę nowozelandzką i dwa czołgi Matylda, zdołał odeprzeć ten atak i wycofać się na pozycje bliskowschodniego oddziału komandosów.

Teraz zaczął się odwrót przez góry w stronę Sfakii. „Wyczerpujący marsz, w którym główną rolę odgrywały upał, pragnienie i Stukasy”, jak stwierdził jego uczestnik, major F.C.G. Graham. Po zajęciu nowych pozycji obronnych kapitan Evelyn Waugh, oficer wywiadu z 8. oddziału komandosów, został wysłany do dowódcy wojsk brytyjskich, generała Freyberga. Generał rozkazał, by zgrupowanie Layforce, teraz zredukowane do około czterystu ludzi, zajęło pozycje obronne wokół plaż wyznaczonych do ewakuacji i osłaniało odwrót, który mimo ciągłych ataków niemieckich z ziemi i powietrza zakończył się nocą z 30 na 31 maja.

Marynarka wojenna straciła już zbyt wiele okrętów na wodach wokół Krety, oświadczono więc, że jeśli jakiś oddział nie dotrze na statki tej nocy, nie zostanie ewakuowany. Generał Laycock i niektórzy z jego oficerów dostali pozwolenie odpłynięcia do Egiptu, lecz większość żołnierzy batalionu D (50. oddział komandosów) i większość ocalałych żołnierzy batalionu A (7. oddział komandosów) dostało się do niewoli. Tylko około połowy komandosów wróciło do Egiptu. Niektórzy z nich dopłynęli do wybrzeży Afryki na porzuconej barce desantowej; kiedy skończyło się paliwo, zrobili żagle z koców. Jednym z tych żeglarzy był Jock Davidson:

Mieliśmy jeszcze do wyboru iść w stronę wzgórz, ale o świcie Ron Rogers i ja zauważyliśmy barkę i szalupę okrętową z „Glengyle”, pozostawione około dwustu czy trzystu jardów od nas. Rozebraliśmy się, dopłynęliśmy do barki i okazało się, że możemy uruchomić jeden silnik. W tej samej chwili przyплыł porucznik Day i wszedł na pokład z jednym ze swych ludzi. Wróciliśmy na plażę, by zabrać Billa Smitha, około ośmiu czy dziesięciu ludzi porucznika Daya i oczywiście naszych chłopców. Wyłączyliśmy szybko, bo usłyszeliśmy

nadlatujące samoloty. Wylądowaliśmy na małej wysepce i czekaliśmy do zapadnięcia mroku, aby nie wypatrzyli nas niemieccy lotnicy. Znaleźliśmy tu wielu uchodźców, żyjących w bardzo prymitywnych warunkach. Zabili oni dwa kozły i nakarmili nas, za co dobrze zapłaciliśmy - greckie pieniądze nie były nam już potrzebne. Nabraliśmy także wody ze źródła.

O zmierzchu wyruszyliśmy, biorąc łódź wiosłową na hol. Wzięliśmy kurs na Tobruk lub, gdyby było to możliwe, na Solium. Następnego wieczoru paliwo do diesla się skończyło, ustawiliśmy więc kwadratowy żagiel z brezentu i koca na długim kiju, ale oczywiście musiałoby upłynąć wiele dni, zanim przybilibyśmy do brzegów Afryki, nawet przy sprzyjającym wietrze. Uzgodniliśmy, że Tom Rogers, Bill Smith i ja oraz porucznik Day i dwaj jego ludzie popłyniemy przodem szalupą, aby wylądować najszybciej jak to możliwe i znaleźć jakąś pomoc dla barki.

Skleciliśmy niezdarny żagiel z pałatki i wyruszyliśmy. Morze było dość wzburzone, niektórzy chorowali. Mieliśmy jedną, może dwie puszki konserwy wołowej i dwa lub trzy suchary na każdego z sześciu czy siedmiu mężczyzn oraz butelki z wodą. Byliśmy na morzu trzy dni i trzy noce. Nocami wiał silny wiatr i fala była duża, w ciągu dnia uspokajało się i dalej wiosłowaliśmy.

Dni były upalne, niebo błękitne i czyste. Trzeciego dnia, około dziesiątej rano, zobaczyliśmy na horyzoncie coś, co wyglądało jak długa smuga. Czyżby to była ziemia? Wydawało nam się, że widzimy błyski i zastanawialiśmy się, czy to jest Tobruk, czy linia frontu w Solium. Tak czy inaczej, musieliśmy przede wszystkim zdobyć pomoc dla kolegów zostawionych na barce z bardzo małym zapasem żywności i wody.

W końcu przybilibyśmy do brzegu, przywiązaliśmy łódź na wypadek, gdybyśmy musieli wracać, i poszliśmy wzdłuż tego brzegu. Okolica była pustynna, gdziekolwiek widać było rzadkie zarośla. Po około piętnastu czy dwudziestu minutach zobaczyliśmy w oddali tuman kurzu. Drogą jechał jakiś pojazd. Dwóch mężczyzn krzyknęło

ostrzegawczo i zeskoczyło na ziemię - to byli Włosi, a pojazd okazał się opancerzoną ciężarówką z karabinem maszynowym z tyłu... zostaliśmy więc prawdziwymi jeńcami wojennymi! A barka dopłynęła do brzegów Afryki pod żaglem i koledzy wrócili do wojska, czyli udało im się.

W czasie gdy trwała ta mała odyseja, komandosi znaleźli nowe pole do działania w Syrii, gdzie zaczęły się walki z wojskami francuskimi podporządkowanymi rządowi Vichy. Francuzi byli w owym czasie podzieleni. Ci, którzy nie godzili się z klęską Francji i chcieli dalej walczyć z Niemcami, znaleźli się w Anglii, gdzie generał de Gaulle tworzył oddziały Wolnych Francuzów, siły zbrojne walczące u boku sprzymierzonych. Część Francuzów żyła pod okupacją niemiecką, w strefie na północ od Loary. Pozostali znaleźli się w strefie nie okupowanej (do 1942 roku), której stolicą było Vichy, a władzę sprawował kolaboracyjny rząd marszałka Philippe'a Pétaina.

Rząd Vichy, proniemiecki - i siłą rzeczy antybrytyjski - był w początkowych latach wojny w najlepszym przypadku neutralny i utrzymywał władzę w koloniach francuskich, przede wszystkim w Algierii i w Syrii. Stosunki między Vichy a Brytyjczykami były złe od chwili, gdy w 1940 roku Brytyjczycy, nie chcąc dopuścić do zajęcia francuskiej floty wojennej przez Niemców, próbowali ją przejąć, a napotkawszy opór francuskich załóg, zablokowali port Mersel-Kebir pod Oranem i otworzyli ogień, zatapiając wiele okrętów; wielu francuskich marynarzy straciło wówczas życie. W 1941 roku pojawił się kolejny problem. Brytyjczycy obawiali się, że Niemcy mogą wejść do rządzonej przez Vichy Syrii i otworzyć trzeci front lub przynajmniej uzyskać dostęp do tamtejszych lotnisk, dlatego też, nakłanianiani przez generała de Gaulle'a, podjęli ofensywę z Palestyny i Iraku.

Dnia 6 czerwca 1941 roku australijska 7. Dywizja, stanowiąca główną siłę, uderzyła z południa, z Palestyny, kierując się na Damaszek i Bejrut, podczas gdy inne oddziały wkroczyły do Syrii od wschodu, z Iraku. Australijczycy napotykali coraz silniejszy opór

Francuzów i musieli zatrzymać się przed rzeką Litani, na południe od Bejrutu, gdzie oddziały francuskie zajęły pozycje. Zdecydowano, że aby ich stamtąd usunąć, na trzech plażach na północ od rzeki, za liniami francuskimi, wylądują komandosi z 11. oddziału komandosów: mieli oni przejąć i utrzymać przejście przez rzekę do chwili, gdy będzie mogła do nich dołączyć australijska 25. Brygada Piechoty.

Komandosi zostali przewiezieni okrętem „Glenlyle”, wylądowali na wybrzeżu o świcie, 9 czerwca 1941 roku, bez specjalnych trudności, lecz wkrótce Francuzi zaczęli stawiać silny opór. Porucznik Gerald Bryan z 7. oddziału komandosów opowiada o swoich ówczesnych przygotowaniach nad Litani:

Po wyjściu na brzeg pogałem jak szalony przez plażę i ukryłem się za wydumą. Ludzie za mną ciągle wyladowywali się z barki i przebiegali dwadzieścia jardów otwartą plażą. Z prawej strony dochodził daleki terkot karabinu maszynowego, a z góry świst kul, ale wydawały się lecieć bardzo wysoko. Byłem właśnie przy wyschniętym korycie potoku i zaczynałem iść wzdłuż niego, próbując odwiązać pas ratunkowy przymocowany do mego karabinu. Nasz dowódca, podpułkownik Pedder, krzyczał, abyśmy ruszali się jak najszybciej. Wkrótce koryto, którym szedłem, stało się za wąskie i trzeba było wyjść na otwartą przestrzeń.

Wyszedłem i zacząłem zwoływać sekcję A, którą dowodziłem. Szybko zebraliśmy się z moim przybocznym i żołnierzem uzbrojonym w Tommy'ego. Doszliśmy do głównej drogi i zobaczyliśmy rów strzelecki, wyraźnie widoczny w kredowej skale. Był pusty, ale za nim znajdowały się dwie jaskinie. Strzeliłem do tej z prawej strony i usłyszeliśmy dochodzący z wewnątrz tumult. Staliśmy gotowi z granatami i Tommym; krzyczeliśmy do tych w środku, by wyszli - i pojawiło się siedmiu zaspanych Francuzów w pizamach i podkoszulkach.

Była godzina 4.45 i zrobiło się już całkiem jasno. Reszta sekcji poszła przodem, ruszyłem więc za nimi i znalazłem ich unierucho-

mionych pod ostrzałem. A co gorsza, natknęli się na działo kalibru 75 mm. Znajdowało się w odległości około trzydziestu jardów i strzelało niezwykle szybko. Rzuciliśmy kilka granatów i zapanował spokój. Mieliśmy jednak trzech rannych, nie było więc dobrze. Kapral został postrzelony w nadgarstek i kłął na wszystkich Francuzów, jacy się kiedykolwiek urodzili. Ponieważ nie mógł używać karabinu, dałem mu mojego automatycznego Colta. Przeczółgaliśmy się przez jakieś krzaki, aby zbliżyć się do dział, i natknęliśmy się na oficera z sekcji B. Alastaira Coade, i kilku ludzi także atakujących stanowisko dział, połączyliśmy więc siły. Obok dział nikogo nie było, obsługa schowała się w rowie. Rzuciliśmy tam kilka granatów, a potem poszliśmy z bagnetami. Połało się dużo krwi.

Moja sekcja składała się z wielu gości z Artylerii Królewskiej, którzy umieli obsługiwać dział, i w ciągu kilku minut sierżant wydobyl od jednego z Francuzów, jakiego zapalnika trzeba użyć. Było to jedno z czterech dział baterii, pozostałe trzy ciągle strzelały. Nasze umieszczone było po prawej stronie i wycelowane daleko od baterii, szybko więc podnieśliśmy je i obróciliśmy, tak aby było wycelowane w stronę najbliższego dział. Sierżant objął komendę, załadował nabój, wycelował i wystrzelił.

Rezultat był zadziwiający. Na stanowisku dział nastąpił piekielny wybuch, a samo działo poszybowało w niebo niczym strzała. Musieliśmy trafić w skrzynię z amunicją. Nie było czasu do stracenia. Sierżant podbiegł do naszego dział, szybko wycelował i strzelił. Nic się nie dzieje - gdzie podziały się pociski? Po chwili błysk i kłęb dymu uniósł się z kopuły kaplicy, stojącej około pół mili dalej na stoku wzgórza. Sierżant błyskawicznie strzelił ponownie, tym razem nieco niżej. Obsada dział zaczęła uciekać, a nasze Breny strzelać; zrobiły dobrą robotę. Nie czekaliśmy długo na odpowiedź obu pozostałych dział, a do tego sierżant złamał iglicę naszego. Aby dotrzeć do pułkownika, musieliśmy pokonać około trzystu jardów otwartej prze-strzeni, pognaliśmy więc galopem i choć dookoła latały kule, nikt nie został wówczas ranny.

Przybyłem do sztabu oddziału i złożyłem raport pułkownikowi. Powiedział, że wyruszył z kilkoma ludźmi i czekał na wsparcie ze strony naszej sekcji i wyeliminowanie snajperów. Zastanawialiśmy się, jakie pozycje moglibyśmy zająć, ale nie mieliśmy dostatecznej osłony. Wyszedłem od pułkownika i ruszyłem do stanowiska rkm-u Bren, oddalonego około pięćdziesiąt jardów, ale zajęło mi to dobre dziesięć minut, ponieważ całą drogę musiałem się czołgać. Francuzi zauważyli nas i przycisnęli do ziemi gęstym ostrzałem. Cały czas kule latały koło mojej głowy, świstały bardzo blisko. Było to bardzo nieprzyjemne i utrudniało zebranie myśli, a kiedy dotarłem do stanowiska Brenna, okazało się, że ludzie zostali unieruchomieni. Próbowali cały czas strzelać, ale otworzył do nich ogień karabin maszynowy, którego nie mogli wypatrzeć. Nagle oficer z sekcji B zauważył go i chwycił broń, ale gdy mierzył do celu, został postrzelony w pierś i zmarł kaszląc krwią. Następnie sierżant został trafiony w ramię z innego kierunku, co świadczyło, byliśmy wzięci w ogień z dwóch stron. Poczłogałem się z powrotem do kwatery dowódcy, ale kiedy byłem około dziesięciu jardów dalej, usłyszałem, jak ktoś krzyczy: „Pułkownik dostał! Wezwijcie pomoc!”

Zawołałem adiutanta, a on odpowiedział, że pułkownik nie żyje i że on sam zamierza zrezygnować z ataku i spróbować szczęścia gdzie indziej. Krzyknąłem więc do moich ludzi, aby wycofali się w jakieś krzaki około stu jardów dalej i zacząłem czołgać się w tamtą stronę. Cały czas latały pociski, o wiele za blisko, i czuliśmy się bardzo podle. Sierżant, który został ranny, zdecydował się mimo to na ucieczkę, lecz został trafiony z broni maszynowej i padł z twarzą zalaną krwią... a potem trafili i mnie.

Nagle poczułem straszliwe uderzenie w głowę i wiedziałem, że zostałem trafiony. Ale gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem, że postrzelono mnie w nogi i postanowiłem nie umierać. Powlokłem się więc zgięty w pół i próbowałem zachować całkowity spokój, ale gdy tylko się ruszyłem, otwierano do nas ogień. Usłyszałem, że jakiś podoficer wrzeszczy do mnie, abym się położył albo zostałem zabity,

więc się położyłem. Po pewnym czasie, kiedy minął pierwszy szok, ból w nogach stał się piekielny. Moja prawa łydka paskudnie krwawiła, lecz nic nie mogłem z tym zrobić; moja lewa noga zeszytywniała.

Słońce było teraz wysoko i zrobiło się bardzo gorąco. Byłem cholernie spragniony, ale nie mogłem się napić, ponieważ aby dostać się do butelki z wodą, musiałbym się odsłonić, a za każdym razem, gdy próbowałem, leciało w moją stronę ze dwadzieścia kul; dałem więc spokój i leżałem nieruchomo, mając nadzieję, że stracę świadomość. Po mniej więcej dwóch godzinach ostrzał znacznie osłabł, a potem zobaczyłem dwudziestu pięciu Francuzów wychodzących z krzaków z bagnetami w dłoniach.

Czterech ludzi z mojej sekcji zostało złapanych. Podniosłem rękę, jeden z Francuzów podszedł i spojrzał na mnie wrogo. Miałem przy sobie francuski pistolet automatyczny, który sierżant dał mi w zmian za mój karabin. Zablokował się przy pierwszym strzale, ale jak głupiec nie pozbyłem się go. Tak czy inaczej, Francuz patrzył na mnie przez chwilę i poszedł sobie, a ja zostałem sam. Byłem nieludzko spragniony i czułem się coraz gorzej. Około pół godziny później czterej moi ludzie wrócili z noszami i francuskim strażnikiem. Zarówno pułkownik, jak i dowódca sekcji B nie żyli, koledzy wzięli więc mnie na nosze i znieśli w dół, do punktu opatrunkowego, gdzie brytyjski sanitariusz dał mi zastrzyk morfiny.

Leżeliśmy tam i nagle zaczął strzelać karabin maszynowy, a francuska ekipa medyczna schowała się do jaskini; pociski przeleciały jednak na prawo od naszych głów i było oczywiste, że to nie my stanowiliśmy cel. Jakiś czas później ambulans zabrał nas do szpitala w Bejrucie. W ambulansie było dwóch rannych Francuzów, sierżantów walczących po naszej stronie; wszyscy byliśmy jeńcami wojennymi, dopóki Brytyjczycy nie weszli do miasta sześć tygodni później.

Porucznik Bryan stracił nogę i opuścił oddział. Pracował później jako specjalista od materiałów wybuchowych dla Komitetu Operacji Specjalnych. Główne siły, dowodzone przez podpułkownika Dicka

Peddera, skierowały się prosto na most Kaffa Badr, lecz - jak opisywano - napotykały coraz silniejszy opór Francuzów, strzegących przejść, i musiały wstrzymać marsz. Pedder został zabity, a wszyscy jego oficerowie ranni. Dowództwo przejął sierżant sztabowy Fraser, który zajął francuskie koszary. Niefortunnie, grupa południowa, dowodzona przez zastępcę dowódcy jednostki, majora Geoffreya Keyesa, syna dyrektora Operacji Połączonych, admirała Rogera Keyesa, wylądowała przez pomyłkę na południowym brzegu rzeki.

Keyes wkrótce znalazł łódź i przewiózł trochę żołnierzy przez rzekę, aby dołączyli do głównych sił. Mocno atakowani, zdołali się tu utrzymać, natomiast reszta oddziałów Keyesa zajęła pozycję na południowym brzegu rzeki. Francuzom ostatecznie udało się wysadzić most Kaffa Badr tuż przed przybyciem Australijczyków. Komandosów utrzymywali północny brzeg rzeki, osłaniając przejścia, dopóki nie przerzucono mostu pontonowego. Później, po nocnym ataku Australijczyków, Francuzi zrezygnowali ze stawiania oporu, złożyli broń żołnierzom kapitana More'a i poddali się. Mimo tych wszystkich trudności 11. oddział komandosów odniósł sukces, choć koszty były wysokie - stracił jedną czwartą swoich ludzi. Dowództwo objął major Keyes i bardzo uszczuplona jednostka wróciła na Cypr.

Zgrupowanie Layforce było już teraz w niewielkim stopniu zdolne do walki i w sierpniu 1941 roku, po zaledwie dziewięciu miesiącach istnienia, zostało rozwiązane. Ludzie tacy jak porucznik Milton, których macierzyste jednostki walczyły na Bliskim Wschodzie, powrócili do swoich oddziałów. Kilku żołnierzy z 7. oddziału komandosów wyjechało do Birmy, większość pozostałych wstąpiła natomiast do Oddziału L SAS (Specjalnych Służb Powietrznych), powołanych właśnie przez porucznika Davida Stirlinga, który wyjechał na Bliski Wschód wraz z 8. oddziałem komandosów.

Zgrupowanie Layforce nie miało szczęścia. Przybyło na Bliski Wschód jako pełna formacja, na własnych okrętach wojennych, ale w tym czasie sytuacja militarna w tym regionie nieustannie się zmieniała. Żaden z dowódców wyższego szczebla nie miał czasu ani chęci

zawracać sobie głowy nowo wymyślonym rodzajem jednostki piechoty. Oddziały Layforce traktowano jak zbędny balast. Nie miały one możliwości wypełniania zadań typowych dla komandosów, nie miały środków transportu, artylerii, saperów, czyli pododdziałów wsparcia niezbędnych każdej większej jednostce piechoty. Roztrwoniono siły, wysyłając oddziały komandosów na niezbyt ważne i zbyt spóźnione operacje, ale kiedy dano żołnierzom możliwość walki, tak jak nad Litani, walczyli doskonale.

Winston Churchill był bardzo niezadowolony, kiedy dotarła do niego wiadomość, że właśnie kolejna jednostka komandosów została zmarnowana. Natychmiast wysłał notatkę do naczelnego dowództwa, że bliskowschodni oddział komandosów musi zostać zreformowany i ma być dowodzony nie przez Komitet, lecz przez miejscowego dyrektora Operacji Połączonych - na przykład Laycocka - i składać raporty nie armii, lecz dowódcy Floty Śródziemnomorskiej, admirałowi Cunninghamowi. Churchill dodał na koniec zgryźliwy komentarz na temat losów zgrupowania Layforce: „Oddziały komandosów na Bliskim Wschodzie zostały rzeczywiście sponiewierane, nie wykorzystano tak wartościowej siły”.

Generał Robert Laycock wrócił na Bliski Wschód, ale wbrew poleceniom Churchilla ostatnia jednostka, 11. oddział komandosów, została rozwiązana 11 sierpnia 1941 roku. Następnie z oddziału L SAS, nazwanego teraz 2. oddziałem, utworzono „nowy” bliskowschodni oddział komandosów. Z żołnierzy, którzy w Palestynie służyli w 51. oddziale, sformowano oddziały 4. i 5. a z SBS - 6. oddział pod dowództwem Rogera Courtneya; w skład 3. oddziału, którym dowodził major Geoffrey Keyes, weszli komandosi z dawnego 11. oddziału.

Sześćdziesięciu ludzi, tworzących ten oddział, uparcie nazywało się 11. oddziałem komandosów, inne oddziały natomiast nowego bliskowschodniego oddziału komandosów uprawiały działalność pozorowaną, zajmując się po prostu własnymi sprawami. W listopadzie 1941 roku 11. oddział komandosów wykonał swe ostatnie,

najbardziej dramatyczne zadanie.

Przez większość 1941 i w 1942 roku 8. Armia miała problem z utrzymaniem wysokiego morale żołnierzy. Od przybycia do Afryki Północnej niemiecki generał Erwin Rommel był powszechnie uważany za najwybitniejszego dowódcę przeciwnej strony. Jak powiedział pewien australijski piechur: „Wszyscy uważaliśmy Rommła za cholernie cwane gościa”. Gdy po wojnie generał Desmond Young napisał biografię marszałka Rommła, słowem wstępnym poprzedził książkę brytyjski marszałek sir Claude Auchinleck, wychwalając „elastyczność, pomysłowość i żywość umysłu” Rommła i dodając: „Oddaję mu hołd jako żołnierzowi i człowiekowi, jako odważnemu, utalentowanemu i uczciwemu przeciwnikowi”.

Była to wielkoduszna i zasłużona pochwała, ale w 1941 roku Rommel był nieprzyjacielem, a legendę, jaka go otaczała, postrzegano jako zgubną dla wojsk sprzymierzonych. Dowódcy starali się przeciwdziałać tej legendzie i osłabiać podziw żołnierzy dla Rommła, ale 11. oddział komandosów miał spróbować innego sposobu. Otrzymał rozkaz zabicia generała.

W październiku 1941 roku, na początku operacji „Crusader” - kontrofensywy generała Auchinlecka przeciw Afryka Korps - Rommel kwaterował, jak sądzono, w domu w Beda Littoria, w pobliżu kwatery głównej wojsk włoskich walczących w Afryce Północnej. Kwatera Rommła znajdowała się tylko około dwudziestu mil od morza. 11. oddział komandosów otrzymał rozkaz wylądowania na wybrzeżu (komandosów dowieźć miały okręty podwodne), zaatakowania kwatery głównej Włochów, zniszczenia połączeń telefonicznych i telegrafu i przede wszystkim zabicia lub pojmania generała Rommła. Raid zaplanowano na noc z 18 na 19 listopada.

Dowódcą akcji został major Keyes, ale ogólny nadzór sprawował dawny dowódca zgrupowania Layforce, Robert Laycock. Komandosi wypłynęli z Aleksandrii 10 listopada na pokładach okrętów podwodnych „Torbay” i „Talisman”. Na wysokości Beda Littoria znaleźli się 14 listopada. Tej nocy kilku komandosów nawiązało na brzegu

kontakt z oficerem wywiadu, pułkownikiem Haseldenem. Został on przerzucony za linie nieprzyjaciela przez pustynną grupę dalekiego rozpoznania (Long Range Desert Group - LRDG), aby przeprowadzić wstępny zwiad i zebrać szczegółowe dane o kwaterze głównej w Beda Littoria.

Główne siły komandosów, dowodzone przez Laycocka i Keyesa, płynęły do brzegu w gumowych pontonach. Z powodu złej pogody z „Talismana” dotarł tylko Laycock z siedmioma ludźmi, co osłabiło grupę i wymusiło zmianę planu. Keyes otrzymał rozkaz zaatakowania domu Rommla i włoskiej kwatery głównej, reszta natomiast, pod dowództwem Haseldena i porucznika Cooka, miała urządzić zasadzki na okolicznych drogach. Laycock tymczasem pozostał z małą grupą rezerwową na plaży, mając nadzieję, że reszta jego ludzi z „Talismana” dotrze do brzegu następnego nocy. Od przychylnych Brytyjczykom Arabów nadeszły jednak informacje, że Rommel nie przebywa w swej kwaterze, lecz znajduje się wraz ze swym sztabem w domu w Sidi Rafa koło Beda Littoria, plany więc jeszcze raz musiały zostać zmienione.

Keyes zabrał siedemnastu ludzi i zjawił się w Sidi Rafa tuż po północy. W ulewnym deszczu przemknął obok silosów zbożowych i hotelu i dotarł do dwupiętrowego domu, gdzie - jak mówiono - miał mieszkać Rommel. Było zupełnie ciemno. Keyes obstawił teren, sprawdził tylne drzwi i okna, a następnie zdecydował się wkroczyć do domu wraz z kapitanem Campbellem i sierżantem Jackiem Terryem. Pomaszerował do drzwi frontowych i załomotał w nie, Campbell zaś głośno zażądał po niemiecku, by ich wpuszczono. Drzwi otworzył wartownik. Próbowali go obezwładnić, lecz zaczął się opierać, wrzeszczał i wzywał pomocy, dopóki Campbell go nie zastrzelił. Ten strzał obudził cały dom, strażę i całe sąsiedztwo.

Sierżant Terry wszedł do domu i zastrzelił z Tommy'ego dwóch zbiegających po schodach Niemców. Do akcji włączyli się komandosi rozstawieni na zewnątrz i zabili wartowników biegnących w stronę domu. Teraz Keyes i Campbell zaczęli czyścić granatami pomiesz-

czenia na parterze, lecz gdy w pewnym momencie Keyes gwałtownie otworzył kolejne drzwi, ze środka padła seria ze Schmeissera i major został śmiertelnie ranny. Ten, który go zabił, zginął od strzału sierżanta Terry'ego i granatu kapitana Campbella. Obaj próbowali wynieść Keyesa z domu, lecz kula trafiła Campbella w łydkę i przestrzeliła mu nogę. Komandosi byli teraz ostrzeliwani zarówno z wewnątrz, jak i z zewnątrz domu. W tej sytuacji kapitan Campbell rozkazał sierżantowi Terry'emu zebrać grupę i wycofać się, ale najpierw obrzucić dom resztą granatów.

Geoffrey Keyes zmarł niedługo potem, a Campbell ponownie rozkazał Terry'emu wycofać się i zostawić go. Sierżant Terry i większość komandosów zdołała dołączyć do Laycocka na plaży. Wieczorem 18 listopada „Torbay” wynurzył się na powierzchnię i zbliżył do plaży, lecz pogoda ciągle była tak zła, że nie można było wysłać pontonów po komandosów. „Torbay” zanurzył się i odpłynął, powrócił następnego dnia i znów wysoka fala uniemożliwiła odwrót. Następnego dnia po południu grupa została ostatecznie zlokalizowana przez Niemców i wkrótce znalazła się pod ostrzałem. O zmierzchu Laycock rozkazał tym, którzy przeżyli, uciekać w małych grupach. On sam i sierżant Terry dotarli do linii brytyjskich w Wigilię Bożego Narodzenia, po 41 dniach marszu przez pustynię.

Pozostali uczestnicy rajdu zostali albo schwytani, albo zamordowani przez Arabów. Sierżant Terry, odznaczony Krzyżem Walecznych, tak wspominał tę akcję:

Wstąpiłem do Królewskiej Artylerii w 1938 roku i znalazłem się na Bliskim Wschodzie wraz z 1. kompanią 11. oddziału komandosów, z porucznikami Bryanem i Coade'em, którzy zginęli od razu na początku akcji nad Litani. Na akcję wymierzoną w Rommla popłynąłem na pokładzie okrętu podwodnego „Torbay”. Od brzegu do Bada Littoria było tylko około dwudziestu mil, ale teren był trudny, trzeba było sforsować strome skaliste zbocza. Szliśmy to w górę, to w dół, doszliśmy dopiero trzeciej nocy.

Jednym z naszych zadań było zabicie Rommla. Mieliśmy zaatakować włoską kwaterę główną i posterunek radiowy przy skrzyżowaniu dróg. Przybyliśmy o północy, w zupełnych ciemnościach. Keyes rozstawił ludzi wokół domu i podeszliśmy od tyłu. Nie potrafiłbym rozpoznać Rommla, ale chcieliśmy go porwać. Gdyby jednak ktoś strzelał, gotowi byliśmy zabijać.

Kapitan Campbell dostał się do niewoli i stracił nogę. My maszerowaliśmy z powrotem na plażę, na spotkanie z resztą, prawie cały dzień. Upadłem na jakiejś skarpie i straciłem mojego Tommy'ego. Gdy dotarliśmy na plażę, morze ciągle było wzburzone i choć marynarze przyплыли łódką z żywnością, nie mogliśmy się zabrać; a potem znaleźli nas Włosi. Na zboczu widzieliśmy Niemców i mieliśmy do wyboru albo kierować się na rezerwową plażę, albo w głąb lądu, by znaleźć jakiś patrol LRDG. Porucznik Pryor próbował zrobić rekonesans, lecz został ranny, zostawiliśmy go więc w jaskini i podzieliliśmy się na małe grupy. Poszedłem z pułkownikiem Laycockiem. Najpierw próbowaliśmy dotrzeć do rezerwowej plaży, lecz usłyszeliśmy na niej niemieckie głosy, co oznaczało, że znaleźli mapy lub zostali poinformowani o naszych zamiarach. Potem próbowaliśmy znaleźć pozycje patroli LRDG, ale bez powodzenia, w końcu poszliśmy przez pustynię.

Zajął to 41 dni i schudłem do 64 kilogramów. Żywiliśmy się jagodami i od czasu do czasu koźlim mięsem. Mieliśmy włoskie pieniądze i mogliśmy zapłacić za pomoc pojedynczym Arabom, nie grupom, ponieważ nie ufali sobie wzajemnie. Gdy dotarliśmy do naszych linii, burmistrz Cyreny dał nam trochę jedzenia i wysłał do kwatery generała Ritchie'ego, a potem popłynęliśmy z powrotem do Kairu.

Nikt inny nie wrócił. Postali komandosi albo zginęli, albo dostali się do niewoli. Sierżant Terry wstąpił do SAS Davida Stirlinga, służył w tej jednostce na pustyni i we Włoszech, a do kraju wrócił przed inwazją na kontynent w 1944 roku. Potem walczył we Francji w

oddziałach maquis w okolicach Dijon.

Tej nocy Rommla nie było ani w Sidi Rafa, ani w Beda Littoria. Jego kwatera główna znajdowała się w rzeczywistości o wiele dalej w głębi pustyni, blisko linii frontu. A kiedy 15 listopada komandosi dobijali do brzegu, nie było go nawet w Afryce. Wyjechał do Rzymu, gdzie wraz z żoną obchodzić miał swoje urodziny, przypadające 16 listopada, i ustalić z włoskimi sojusznikami przyszłą strategię.

Tak więc, jak wiele podobnych, ta ostatnia operacja oddziałów Layforce nie zakończyła się sukcesem. W pamięci pozostała ona jednak jako klasyczny mały wypad, kamień milowy w historii komandosów. Za udział w niej jeden z dowódców, podpułkownik Geoffrey Keyes, został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Wiktorii, pierwszym, ale nie ostatnim Krzyżem Wiktorii przyznany komandosowi.

5

RAJD NA ST NAZAIRE, 1942

Jeśli jednostka nie jest wyszkolona, wyposażona i umotywowana do akcji bezpośredniej, nie przeżyje pierwszego kontaktu z nieprzyjacielem.

Commando Training Notes, 1942

W 1942 roku alianci zaczęli odnosić sukcesy na frontach II wojny światowej, w tym samym roku nastąpiło wiele zmian i komandosi stanowić zaczęli rzeczywistą siłę. Pierwszym symptomem tych zmian było utworzenie w lutym 1942 roku pierwszego oddziału komandosów piechoty morskiej - oddziału komandosów A. W tym samym miesiącu zdecydowano skoncentrować szkolenie komandosów w Centrum Szkolenia Podstawowego, które otwarto w Achnacarry House, posiadłości Camerona of Lochiel, siedem mil od Spean Bridge, w górach w zachodniej Szkocji.

Zanim otworzono centrum w Achnacarry, każdy oddział komandosów rekrutował i szkolił własnych ludzi, ale wraz z szybkim zwiększaniem zakresu działań koordynowanych przez sztab Operacji Połączony, na którego czele stał lord Louis Mountbatten, ten prowizoryczny system musiał ulec zmianie. Komendantem ośrodka Achnacarry został major Charles Vaughan z pułku Buffs i 4. oddziału komandosów. Od tej pory każdy potencjalny komandos, a nawet całe jednostki, zanim otrzymały zielone berety, musiały przejść szkolenie w Achnacarry.

Następnym etapem było szkolenie specjalistyczne w ośrodku w Wrexham i dopiero potem kierowano komandosów do jednostek.

Szkolenie w Achnacarry było niezwykle trudne i pozostawiało na żołnierzach niezatarty ślad. Pewien bardzo doświadczony wojak powiedział mi, że nie jest „prawdziwym” komandosem, ponieważ nie był w Achnacarry. Ze szkolenia zwolnieni byli tylko ochotnicy z jednostek służących na Bliskim Wschodzie i we Włoszech, które musiały rekrutować i szkolić własnych ludzi, ale i oni byli okresowo kierowani na kursy szkoleniowe w Wrexham.

Szkolenie w Achnacarry było ciężkie zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym. Nie wystarczyło skończyć kurs walki wręcz i zaliczyć wszelkie ćwiczenia. Zadania trzeba było wykonywać z uśmiechem na twarzy i być gotowym na następne. Podczas ćwiczeń używano ostrej amunicji. Instruktorów uprzedzono, że w żadnym wypadku nie może być wśród rekrutów więcej niż 10% rannych. Ćwiczenia podstawowe kończyły się ustawieniem kilku pustych grobów przy głównej bramie. Na każdym z nich był napis podający przyczynę śmierci: „Zapomniał nasmarować wiązania”, „Biegał na linii strzału Brena” itp.

Szkolenie trwało sześć tygodni i obejmowało pełny zakres wychowania fizycznego, wspinaczkę, biegi przełajowe, pływanie kajakiem, nocne marsze w terenie, spuszczenie się na linie ze skał - to ćwiczone na murach zamku - walkę wręcz, walkę na noże, strzelanie i forsowne marsze. Wszyscy komandos z Achnacarry pamiętają bezlitosne tempo i presję podczas treningów, szkockie deszcze, morderczy wysiłek podczas szybkich marszów.

Szybkie marsze polegały na pokonywaniu, także biegiem, dużych odległości w pełnym rynsztunku i z bronią. Miłą należało pokonać w dziesięć minut niezależnie od terenu. Zwieńczeniem był piętnastomilowy marsz w dół do Spean Bridge i z powrotem. Podstawą było szkolenie w dwuosobowych, dobrze zgranych zespołach, w których partnerzy robili wszystko wspólnie, wspólnie kopali okopy, wspólnie zakładali biwaki itd.

Celem nauki w Achnacarry było nie tylko dobre przygotowanie żołnierzy do walki, lecz także pokazanie im, że sprawny, wyszkolony

komandos osiągnie więcej, jeśli ma właściwą postawę. Jednym ze znanych powiedzonek komandosów stało się: „Wszystko jest w sercu i w głowie”. Cierpiącym rannym kolegom powtarzano zwykle: „Jeśli nie potrafisz śmiać się z siebie, nie powinienes wstępować do woj-ska”.

Charles Vaughan stawiał niezmiennie wysokie wymagania co do musztry i wyglądu zewnętrznego. Oddziały wracające do obozu, nawet jeśli były bardzo zmęczone, musiały maszerować do koszar z karabinami na ramieniu, a potem miały musztrę z bronią lub ćwiczenia ze strzelania na strzelnicy. Ci, którzy przeszli przez Achnacarry, czuli, że mogą zrobić wszystko, i dostawali zielone berety. Ci, którzy odpadli po drodze, wracali do swoich macierzystych jednostek - wspominałem już, że była to jedyna kara dla komandosów. Jeśli nie byłeś dość dobry, poddałeś się lub niewłaściwie się zachowywałeś, musiałeś odejść.

Wiosną 1942 roku organizacja oddziałów komandosów wyglądała mniej więcej tak: pod dowództwo sztabu Operacji Połączonych przeszła Brygada Służb Specjalnych, pod której komendę przeszły z kolei jednostki komandosów armii: oddziały komandosów od 1. do 12., oraz oddziały komandosów piechoty morskiej. Istniało także Centrum Szkolenia Podstawowego w Achnacarry i ośrodek szkoleniowy w Wrexham. W tym czasie znów zaczęto organizować wypad-y na teren okupowanej Francji. Pierwszym i najwspanialszym ze wszystkich był desant nocą z 27 na 28 marca 1942 roku na suchy dok we francuskim porcie St Nazaire.

Port St Nazaire leży w Bretanii, sześć mil od ujścia Loary. Jego najbardziej charakterystyczną cechą jest ogromny suchy dok, naj-większy w Europie i jedyny, do którego mogły wpłynąć wymagające naprawy wielkie okręty o wyporności powyżej 85 tysięcy ton. To zdecydowało, że brytyjska marynarka wojenna była szczególnie zainteresowana St Nazaire. Od 1939 roku jednostki marynarki, stacjonujące w Scapa Flow, starały się uniemożliwiać wypad-y niemieckich okrętów na północny Atlantyk. Szczególnie ważne było

zablokowanie potężnego pancernika „Tirpitz”. Bez możliwości dokowania i napraw w St Nazaire prawdopodobieństwo przedarcia się „Tirpitz” na Atlantyk stawało się o wiele mniejsze.

Bombardowanie doku nie wchodziło w rachubę, ponieważ każda tego rodzaju próba mogłaby spowodować duże straty wśród francuskiej ludności cywilnej. Zdecydowano się więc na desant, którego celem było zniszczenie doku i urządzeń portowych. Zorganizowanie tego wypadu powierzono podpułkownikowi A.C. Newmanowi z 2. oddziału komandosów.

Główne siły miały składać się ze stu ludzi z 2. oddziału komandosów, którzy mieli zaatakować stanowiska dział i zapewnić osłonę grupom saperów, wyznaczonych do tej akcji z oddziałów 1.-5. i 12. Zadaniem saperów było oczywiście rozmieszczenie jak największej liczby ładunków wybuchowych. W bramę doku miał wbić się najpierw niszczyciel z dziobem wyładowanym materiałem wybuchowym. Niszczyciel ten miał przewieźć część komandosów, pozostali byliby dowiezieni przez ścigacze okrętów podwodnych. Dowódcą komandosów został podpułkownik Newman, a dowódcą sił morskich komandor R.E.D. (Red) Ryder.

W St Nazaire stacjonował duży garnizon niemiecki. Tworzyły go zarówno załogi okrętów nawodnych i podwodnych, jak i obsługa baterii przybrzeżnych, obsługa reflektorów przeciwlotniczych oraz oddziały strzegące bezpieczeństwa wokół portu. Wiadomo było, że atak na St Nazaire poruszy gniazdo szerszeni i o ile ludzie Newmana mogą dostać się do portu i wykonać zadanie, to ich szanse na powrót są raczej niewielkie. „Za to z pewnością ktoś dostanie Krzyż Wiktorii” - powiedział pewien starszy oficer. Ostatecznie było ich pięć.

Plan Newmana i Rydera zakładał śmiałe podejście ujściem rzeki, w zupełnej ciszy, aby nie dać się wysledzić, dopóki niszczyciel nie wbije się w bramę doku. Komandosi i saperzy mieli wysiąść z niszczyciela i ścigaczy i podzieleni na dziesięć grup wykonać swoje zadania, a następnie przy odrobinie szczęścia wycofać się do Starego Mola, położonego blisko doku, wsiaść na ścigacze i wyjść w morze.

Plan został zaaprobowany przez szefów sztabu 3 marca 1942 roku, operacja zaś, znana pod kryptonimem „Rydwan”, odbyła się 23 dni później.

Podczas gdy saperzy i komandosi Newmana zaczęli ćwiczenia - nie wiedząc, czemu mają one służyć - rozpoczęto poszukiwania odpowiedniego i nadającego się do spisania na straty niszczyciela. Ostatecznie zdecydowano się na jeden z pięćdziesięciu starych amerykańskich niszczycieli, przekazanych Wielkiej Brytanii w zamian za udostępnienie Amerykanom baz na Bermudach, czterokominowy USS „Buchanan”, przemianowany na HMS „Campbeltown”. Okrętem dowodził kapitan marynarki S.H. Beattie. „Campbeltown” został przerobiony. Usunięto całe niepotrzebne wyposażenie, by jak najbardziej zmniejszyć zanurzenie okrętu. Z czterech kominów zostały dwa. Oba skrócono i upodobniono do kominów niemieckich torpedowców klasy Möwe, stacjonujących w St Nazaire. Ubytek ciężaru został zrównoważony przez tony materiałów wybuchowych ukryte w przestrzeni między podstawą działa dziobowego a pomostem oraz stalowe płyty wzdłuż pomostu i pokładu dziobowego. Miały one stanowić dodatkową osłonę dla leżących tam komandosów w chwili, gdy „Campbeltown” będzie się wbijał w bramę doku.

Kapral Arthur Woodiwiss z 2. oddziału komandosów wspomina:

Mieliśmy plany doku, do którego musieliśmy wejść, a potem wyjść, oraz wspinałą makietę, którą mogliśmy długo i dokładnie studiować, co miało nam pomóc zidentyfikować nasze cele. Jako dowódca jednej z grup atakujących ćwiczyłem starannie sposoby podejścia do stanowisk dział, które musiałem wysadzić. W Devonport przeprowadziliśmy próbny atak na Home Guard, co skończyło się zupełną klęską, a ci z Home Guard byli bardzo zadowoleni. Wiedzieliśmy jednak, że podczas nocnego ataku wszystko będzie dobrze. Jeśli musisz robić błędy, rób je w czasie ćwiczeń.

Zespoły saperów obejrzały dok króla Jerzego w Southampton, mający bramy podobne do bram doku w St Nazaire. Rozmiary bram dały

pewne wyobrażenie o skali przedsięwzięcia. Każda z nich miała 167 stóp długości, 54 stopy wysokości i 35 stóp grubości. Zniszczenie bramy zależało od tego, czy „Campbeltown” wbije się mocno w środek bramy doku przed zdetonowaniem własnych ładunków. Saperzy przygotowywali także ładunki w celu zniszczenia stacji pomp na zachodnim nabrzeżu doku i uczyli się biegać po ciemku z plecakami wypełnionymi 90 funtami* silnych materiałów wybuchowych. Zespoły saperów miały być osłaniane przez grupy komandosów z 2. oddziału. Komandosi ćwiczyli także walki uliczne. Wszyscy uczestnicy operacji zebraли się w Falmouth w nie wróżącym nic dobrego dniu, w piątek, 13 marca 1942 roku.

* 1 funt = 453,6 g - przyp. red.

Pierwszym zadaniem marynarki było dowieźć oddziały do St Nazaire. Statki musiały przepłynąć do bram doku sześć mil mocno zwężającym się i bardzo silnie bronionym ujściem rzeki. Ze względu na pory przyptywów decydujące znaczenie miało ściśle trzymanie się ustalonego czasu. Zdjęcia lotnicze ujawniły natomiast nieoczekiwaną przeszkodę. Do uzbrojonego w działa przeciwlotnicze okrętu, zakotwiczonego w pobliżu doku, dołączyły teraz nowo przybyłe do St Nazaire cztery torpedowce klasy Mōwe, które cumowały w pobliżu miejsca lądowania i nic nie wskazywało, że mają zamiar odpłynąć.

Był także problem z bombardowaniem wspomagającym, które miały przeprowadzić bombowce RAF. Pułkownik Newman słusznie przewidywał, że ten plan się nie powiedzie i że bombardowanie portu zamiast odwrócić uwagę Niemców, ostrzeże ich, że coś się dzieje. Uważał więc, że powinno się z niego zrezygnować, został jednak przegłosowany.

W operacji „Rydwan” brało udział 630 żołnierzy i marynarzy, w tym 277 komandosów. Do St Nazaire popłynęli w eskorcie dwu niszczycieli klasy Hunt na HMS „Campbeltown” i szesnastu ścigaczach okrętów podwodnych, dostarczonych przez obronę wybrzeża. Ścigacze były zbudowane z drewna, rozwijały prędkość maksymalną szesnastu węzłów, a ich uzbrojenie składało się z pary karabinów

maszynowych i dodanych dla potrzeb tej operacji dwu dział Oerlikon. Każdy wiózł pod górnym pokładem dodatkowo, pięćdziesięciogalonowe zbiorniki z benzyną, prawdziwe pływające bomby, mogące wybuchnąć przy najbliższym ostrzale nieprzyjaciela. Ostatnie dwa statki tej małej flotyli to ścigacz artyleryjski MGB 314 i kuter torpedowy MTB 74, wiozący dwie torpedy przeznaczone do rozbicia bramy doku, gdyby „Campbeltown” został po drodze zatopiony.

Zespół okrętów biorący udział w operacji skierował się najpierw na zachód, na Atlantyk, w nadziei, że każdy niemiecki samolot czy okręt podwodny, które ich zauważą, uzna konwój za płynący w typowym szyku zespołu okrętów do zwalczania U-bootów. Drugiego dnia dostrzeżono niemiecki okręt podwodny, który został natychmiast zaatakowany przez niszczyciel „Tynedale”. Dokładnie o godzinie 22.00 ukazało się światło w kiosku okrętu podwodnego „Sturgeon”, oznaczające wejście do ujścia Loary. Konwój z „Campbeltown” na przedzie wpłynął na rzekę i ruszył w sześciomilową drogę do doku.

Około godziny 23.30 rozpoczął się nalot samolotów RAF, lecz jego dziwny przebieg zwrócił uwagę obrony przeciwlotniczej. Nie było zmasowanego bombardowania; zamiast tego bombowce krążyły wokół ujścia rzeki, zrzucając pojedyncze bomby w dużych odstępach czasu. Po około pół godzinie kapitan Mecke, dowódca obrony przeciwlotniczej w rejonie St Nazaire, wysłał ostrzeżenie do podległych mu posterunków: „Zachowanie nieprzyjacielskich samolotów niezrozumiałe (...) możliwość lądowania spadochroniarzy”.

Po otrzymaniu tego sygnału jeden z podwładnych kapitana zwrócił uwagę na ujście rzeki i dostrzegł płynące w konwoju małe jednostki. Zameldował o tym komendantowi portu, który potwierdził, że żadnego konwoju nie oczekiwano. 28 marca o godzinie 1.20 kapitan Mecke wysłał kolejny sygnał: „Uwaga na desant!”. W chwili, gdy ogłoszono alarm, „Campbeltown” znajdował się w odległości dwóch mil od bram doku i rozwijał pełną prędkość.

Pierwszą oznaką tego, że wróg został zaalarmowany, było włączenie wielkiego reflektora, który oświetlił rzekę, płynący po niej

niszczyciel „Campbeltown” i towarzyszące mu ścigacze. Dwie niemieckie stacje sygnalizacyjne nadały w stronę konwoju sygnały rozpoznawcze, padła też krótka seria strzałów ostrzegawczych. Zgodnie z poleceniem komandora Rydera odpowiedziano powoli, starając się zyskać na czasie, po niemiecku - niemiecki system sygnałowy odkryto podczas rajdu na Vaagsö - „Wchodzimy do portu zgodnie z rozkazem”. Ten blef zadziałał wspaniale. Ogień ustał, wyłączono nawet wielki reflektor. Konwój zyskał kilka cennych minut, bramy doku pojawiły się już w polu widzenia.

Nastąpiła kolejna wymiana sygnałów. W odpowiedzi Ryder wystrzelił czerwoną rakietę rozpoznawczą; mimo iż miała ona niewłaściwy odcień czerwieni, powstrzymała nieprzyjaciela na kilka drogocennych sekund. O godzinie 1.27, gdy bramy doku były coraz bliżej, „Campbeltown” opuścił niemiecką banderę, wciągnął na maszt brytyjską - i wszystkie okręty uczestniczące w operacji „Rydwan” otworzyły ogień do Niemców.

„Przez następne pięć minut widok był niesamowity - pisał Ryder - obie strony strzelały ze wszystkiego, co miały. W powietrzu gęsto krzyżowały się niemal płaskie tory pocisków smugowych”.

HMS „Campbeltown” uderzył w bramę doku o godzinie 1.34, wbijając dziób głęboko w keson. Komandosi i saperzy wydostali się ze statku, utworzyli pięć grup i rozbiegli w różne miejsca w porcie. Do huku wybuchających granatów dołączyły się strzały z karabinów i Brenów.

Kapral Woodiwiss wspomina wejście do doku:

Gdy niemiecki reflektor wyłowił „Campbeltown”, pierwszym, co można było dostrzec, była niemiecka flaga na maszcie. Wywołało to pewną konfuzję. Gdy Niemcy w końcu nas zaatakowali, flaga ze swastyką poszła w dół i została pocięta na kawałki na pamiątkę. Kapitan Roy do końca wojny nosił taki kawałek naszyty na berecie. Uderzając, „Campbeltown” wbił się w keson o wiele wyżej, niż zakładaliśmy. Moja drabinka okazała się zbyt krótka i nie sięgała dna

doku, musiałem więc skakać w dół, aby zaatakować najbliższe stanowisko działa, które ostrzeliwało nas ogniem flankowym. Zatrzymałem się na chwilę, by zorientować się w sytuacji, i zobaczyłem nadlatujący w moją stronę niemiecki granat trzonkowy. Kopnąłem go, na szczęście uderzając w trzonek. Zawróciłem w stronę, skąd nadleciał granat i wykończyłem grupę Niemców, która go rzuciła.

Wyeliminowałem wartowników, którzy stali mi na drodze do stanowiska działa, i ostrzelałem jego obsługę z Tommy'ego. Następnie rozłożyłem przygotowane ładunki wybuchowe wokół zamka działa i wysadziłem je. Wróciłem do mojej grupy i zaatakowaliśmy wszystkie pozostałe stanowiska dział, następnie umieściliśmy ładunki zapalające przy zbiornikach z ropą. Wtedy porucznik Roderick rozkazał nam wycofać się. Oslaniałem odwrót, aby ci, którzy przeżyli, mogli ponownie wejść na okręt i przegrupować się. Duża grupa Niemców szykowała się, aby zająć pozycje, które właśnie opuściliśmy. Na pokładzie, za osłoną przeciw szrapnelom, leżały porzucone Breny z magazynkami na 100 nabojów. Strzelaliśmy z nich na Loarze. Ustawiłem trzy z nich za osłoną i zacząłem strzelać z każdego po kolei, aby zapobiec podejściu Niemców i zmusić ich do wycofania się. Zapalniki w sześciotonowym ładunku wybuchowym były już ustawione, a ja leżałem około 1 stopy nad nim, zdecydowałem więc opuścić to miejsce. Całą broń, jaka pozostała i jaką udało mi się znaleźć, wrzuciłem do rzeki. Zebrałem tylko tyle magazynków do Tommy'ego, ile mogłem unieść. Wróciłem do mojej sekcji i rozdzieliłem amunicję. Wreszcie amunicja się skończyła, mieliśmy także wielu ciężko rannych, byliśmy więc zmuszeni poddać się. Później wypytywano nas, co robiliśmy w doku, ale przesłuchanie zakończyła potężna eksplozja na „Campbeltown”, dowodząca, że wykonaliśmy nasze zadanie; zginęło wówczas stu pięćdziesięciu Niemców.

Kapral Woodiwiss został odznaczony za bohaterstwo w St Nazaire Krzyżem Walecznych.

Komandosi, rozproszeni na małe grupy walczące w różnych

punktach stoczni, wkrótce ją zajęli i przygotowali się do obrony zajętych pozycji. Każdy z żołnierzy mógłby opowiedzieć całą historię o tym, co wydarzyło się w St Nazaire, lecz tu ograniczymy się do opowieści o dwóch z wielu przeprowadzonych wówczas akcji. Zadaniem porucznika Stuarta Chanta z 5. oddziału komandosów było wysadzenie stacji pomp, napełniających i opróżniających basen. Mimo iż był ranny w czasie drogi, Chant zszedł wraz z zespołem saperów, składającym się z czterech sierżantów, na dno doku i skierował się w stronę stacji pomp, chronionej stalowymi drzwiami.

Wysadzili drzwi i wśliznęli się do środka. Zostawiając na straży sierżanta Chamberlaina, który także był ranny, Chant poprowadził wszystkich po stalowych schodach 40 stóp w dół. W stacji szybko rozmieścili 150 funtów materiałów wybuchowych, ustawili zapalniki i biegiem wrócili po schodach do otwartego doku. Ranny Chant był zupełnie wyczerpany. Na zewnątrz doku latały we wszystkich kierunkach kule i pociski smugowe. Scenę oświetlały błyski wystrzałów z dział i wiele płonących ścigaczy, które dryfowały po rzece. Grupa Chanta schowała się za rogiem bunkra, a w dwie minuty później podłożone przez nią ładunki eksplodowały. Chant udał się następnie na stanowisko dowódcy, podpułkownika Newmana, przy Starym Molo i zameldował o wykonaniu zadania.

Było około godziny 2.30, czas na wycofanie się, ale na rzece toczyła się walka między ścigaczami a obroną wybrzeża. Załogi ścigaczy strzelały z pistoletów maszynowych i rkm Bren oraz działek Oerlikon kaliber 20 mm, Niemcy z dział i ciężkiej broni maszynowej.

Ścigacz ML 192 został trafiony pociskami artyleryjskimi opodal Starego Molo i stanął w płomieniach w chwili, gdy miał z niego wysiadać oddział komandosów. Ocalało tylko pięciu ludzi. Ścigacz ML 262 został wychwycony na rzece przez reflektory i pod ciężkim ostrzałem z działek kaliber 20 mm, prześliznąwszy się za ścigaczem ML 177, dotarł do „Campbeltown”. Tu kapitan wysadził ludzi, mechanik natomiast osłaniał ich ogniem ze swego karabinu maszynowego Lewis. Ścigacz ML 268 został trafiony przez pocisk smu-

gowy i eksplodował. Przeżył na nim tylko jeden człowiek.

Okręty, które mogły manewrować, ciągle podchodziły do nabrzeży lub strzelały do niemieckiego trałowca, którego działa ostrzeliwały ogniem flankowym nabrzeże doku. Niemieckie torpedowce klasy Mōwe były tej nocy na morzu. Na rzece zniszczonych zostało siedem ścigaczy, zginęło wielu komandosów i marynarzy. Inne uległy zniszczeniu podczas prób lądowania, w czasie czekania na powrót oddziałów lub podczas odwrotu. Warto przypomnieć historię choćby jednego z tych małych okrętów i jego dzielnej załogi.

Ścigacz ML 306, dowodzony przez porucznika I.B. Hendersona, wycofał się z St Nazaire około godziny 2.30. Na pokładzie znajdowało się dwudziestu ośmiu ludzi, między innymi czternastu komandosów z 1. i 2. oddziału, a wśród nich sierżant Tom Durrant z 1. oddziału komandosów. O godzinie 5.30, gdy wszyscy byli już daleko na morzu i cieszyli się, że wracają do Anglii, na ich drodze pojawiło się pięć torpedowców klasy Mōwe należących do niemieckiej 5. flotylli, wracających do portu. Dwa okręty przepląły obok ML 306, nie zauważając go w ciemnościach, jednak trzeci, „Jaguar”, wyszedł zaciemniony ścigacz, skierował nań reflektor i otworzył ogień.

Załoga i komandosi natychmiast odpowiedzieli ogniem z kaemów i pistoletów maszynowych. Ścigacz i torpedowiec walczyły na bliskiej odległości. Niemiecki okręt próbował rozbić drewniany ścigacz i zastraszyć załogę ogniem karabinów maszynowych. Spośród Brytyjczyków dwudziestu zginęło lub zostało rannych. Teraz

„Jaguar oddalił się nieco i wstrzymał ogień. Zażądano od porucznika Hendersona poddania się. Henderson odmówił.

Sierżant Durrant, który obsługiwał dwa karabiny maszynowe Lewis na rufie ML 306, już trzykrotnie ranny, widząc powracający torpedowiec poprosił o więcej amunicji. Niemiecki kapitan wciąż wzywał Brytyjczyków do poddania się. Durrant ostatnim wysiłkiem znów otworzył ogień, ostrzeliwując pomost bojowy niemieckiego okrętu. „Jaguar” cofnął się na odległość umożliwiającą użycie artylerii i otworzył ogień. Zginęli porucznik Henderson i Durrant, zupeł-

nie podziurawiony kulami. Było już całkiem widno i gdy „Jaguar” znów podszedł do tonącego teraz ścigacza, porucznik Swayne z 1. oddziału komandosów, jedyny, który wyszedł cało z walki, stojąc pośród ciał zabitych i rannych zawołał przepraszająco: „Boję się, że to już koniec podróży”.

ML 306 walczył z niemieckim torpedowcem blisko godzinę. Zatonął po zabraniu tych, którzy przeżyli, na pokład „Jaguara”, gdzie otoczono ich dobrą opieką. „Nie miał pan szans - powiedział porucznikowi Swayne kapitan Paul, dowódca okrętu. - Ale muszę pogratulować panu bohaterskiej postawy”. Paul zapytał także o nazwisko sierżanta, który obsługiwał oba kaemy Lewis.

Kilka tygodni później oficer z „Jaguara” wezwał pułkownika Newmana, przebywającego w obozie jenieckim w Rennes, i opowiedział mu o bitwie ze ścigaczem ML 306. Szczegółowo opisał zwłaszcza postawę sierżanta Durranta i dodał, że powinien on zostać odznaczony wysokim odznaczeniem wojskowym. Sierżant Durrant dostał później pośmiertnie Krzyż Wiktorii, pierwszy, jaki przyznano kiedykolwiek żołnierzowi za udział w akcji na morzu i z rekomendacji oficera przeciwnej strony.

Cztery kolejne Krzyże Wiktorii za bohaterską postawę w St Nazaire otrzymali: kapitan „Campbeltown” S.H. Beattie, podpułkownik Newman z 2. oddziału komandosów, komandor Ryder i starszy marynarz Savage z Królewskiej Morskiej Rezerwy Ochotniczej (RNVR). Tylko 270 z 630 żołnierzy i marynarzy, biorących udział w akcji, powróciło do Anglii. Jedna czwarta jej uczestników poległa. Z dziewiętnastu okrętów, które wpłynęły na Loarę, wróciły cztery. Dok w St Nazaire został jednak naprawiony dopiero kilka lat po zakończeniu wojny.

6

DIEPPE I MADAGASKAR, 1942

Bitwa w dniu D została wygrana na plażach Dieppe.

Admirał lord Louis Mountbatten,
szef Operacji Połączonych, 1942

Pięć miesięcy po desancie w St Nazaire nastąpił kolejny wypad na okupowane przez nieprzyjaciela wybrzeże Francji - port i miasto Dieppe zostały zaatakowane przez kanadyjską 2. Dywizję, którą wspierali komandosi z 3. i 4. oddziału oraz z oddziału A piechoty morskiej (późniejszy 40. oddział komandosów). Desant na Dieppe oceniany jest bardzo różnie. Uważa się go bądź za totalną klęskę, bądź niezbędne preludium do inwazji w Europie; często kwestionuje się forsowany przez Mountbattena pomysł zorganizowania tego typu akcji.

Desant mógłby przynieść korzyści, zamienił się jednak w serię nieszczęść, a główny cel - opanowanie Dieppe, lądowanie czołgów i wejście wiele mil w głąb lądu, a potem wycofanie się - nie został osiągnięty... ale gdyby został osiągnięty, to co dalej? Rajd był pouczającą lekcją tego, czego nie należy robić, mając przeciw sobie dobrze wyszkolonego i zdeterminowanego przeciwnika, jednak koszty tej lekcji były wysokie.

Kanadyjczycy zostali uwięzieni na plażach i straszliwie zdzięsiątkowani. Royal Regiment of Canada w ciągu pięciu minut od wylądowania w Puits został rozerwany na strzępy ogniem z broni maszynowej. Zginęli wszyscy oficerowie i 496 z 523 żołnierzy, którzy dotarli na brzeg. Na drugim skrzydle, w Pourville, wylądował i

przekroczył rzekę pułk South Saskatchewan, lecz musiał się wycofać i połączył się z resztkami pułku Queens Own Cameron Highlanders of Canada. Te dwa oddziały, otoczone i pozbawione możliwości odwrotu, walczyły, dopóki starczyło amunicji. Pułk South Saskatchewan stracił 19 oficerów i 498 żołnierzy (jego dowódca został odznaczony za męstwo Krzyżem Wiktorii), natomiast pułk Queen's Own Highlanders - 24 oficerów i 322 żołnierzy.

Główne natarcie, którego celem było przekroczenie nadmorskich bulwarów i opanowanie Dieppe, zakończyło się na plaży. Trzy doborowe pułki kanadyjskie, Essex Scottish, Royal Hamilton Light Infantry i Fusiliers Mount Royal, wspierane przez czołgi pułku Calgary, zostały zdziesiątkowane w czasie próby wejścia do miasta. Komandosy piechoty morskiej, wysłani o godzinie 8.30, zostali przywitani morderczym ogniem, gdy tylko wynurzyli się z zasłony dymnej 200 jardów od plaży. Dowódca, podpułkownik Picton-Phillips, został zabity, gdy stojąc na pokładzie barki desantowej dawał sygnał do natychmiastowego odwrotu. Ocalało to komandosów od całkowitej zagłady, straty były jednak bardzo ciężkie. Tylko część operacji wykonywana przez komandosów armii była zgodna z planem.

Pierwotny plan desantu na Dieppe zakładał lądowanie spadochroniarzy na wybrzeżu, na wschód i zachód od Dieppe, aby wyeliminować baterie nadbrzeżne, które mogłyby zadać ciężkie straty okrętom i jednostkom desantowym. Plan ten został ostatecznie zarzucony, a w kolejnym planie operacji, oznaczonej kryptonimem „Jubilee”, oddziały spadochronowe zostały zastąpione przez komandosów. 3. oddział komandosów miał wylądować w Petit Berneval i zaatakować baterię w Belleville, 4. oddział komandosów natomiast miał wylądować na zachód od Dieppe, w Varengeville, i zaatakować złożoną z sześciu dział baterię, ukrytą w przybrzeżnym lesie.

Sprawy zaczęły iść źle o godzinie 4.00 19 sierpnia, gdy ścigacze i barki desantowe, przewożące 3. oddział komandosów, natknęły się na niemieckie okręty patrolujące wybrzeże. Charles Hustwick z brygady

łączności służb specjalnych został przydzielony do 3. oddziału komandosów na czas desantu w Dieppe:

Przejście przez pola minowe, wytrałowane przez naszą marynarkę, odbyło się bez problemów, dopiero w pobliżu wybrzeża francuskiego oświetliło nas jasne światło wystrzelonej przez Niemców rakiety. Rozpętało się piekło. Zostaliśmy zaatakowani przez uzbrojone trałowce niemieckie, eskortujące konwój do Dieppe.

Powiedziano nam, dokąd płyniemy, dopiero w godzinę po wyjściu w morze, ale kazano za wszelką cenę dostać się na brzeg. Nasza fлотylla została teraz rozproszona na morzu; wszędzie rozchodził się dym i smród kordytu, świeciło, a z brzegu zaczął się ciężki ostrzał, bo Niemcy zostali zaalarmowani... mogli nas powystrzelać jak kaczki.

Po krótkiej kłótni adiutanta za sterem zawróciliśmy do okrętu, który miał nas osłaniać. Wyglądał żałośnie, był podziurawiony jak sito. Mostek został zniszczony, sterówka nie istniała i tylko działo ciągle strzelało. Zostaliśmy wciągnięci na pokład, a adiutant i dowódca 3. oddziału komandosów, podpułkownik Durnford Slater, wsiedli na naszą barkę desantową, aby znaleźć niszczyciel „Calpe”, na którym znajdowało się dowództwo operacji. Nie mieliśmy możliwości zawiadomienia dowódcy, jak bezowocne okazały się nasze dalsze wysiłki.

Radiostacja była zniszczona, podobnie jak ster, okręt kręcił się teraz w kółko. Zostaliśmy w końcu zabrani na pokład motorówki ratowniczej RAF i wróciliśmy do Newhaven około 13.30. Nie wiem, ilu ludzi z 3. oddziału komandosów przeżyło, ale następnego dnia na śniadanie wszyscy dostaliśmy potrójne racje.

Sześć ocalałych barek, wiozących 3. oddział komandosów, wysadziło ludzi na brzeg na plaży koło Belleville, nazwanej przez sztab Operacji Połączonych kryptonimem „Żółta Plaża 1”. Komandosi natychmiast zostali zaatakowani przez Niemców. Posuwali się w głąb lądu, w kierunku baterii, dopóki byli w stanie. Tylko jeden żołnierz z tych, którzy wylądowali, wrócił do Anglii. Około stu zostało zabitych,

rannych lub wziętych w niewolę.

Ostatnia barka z 3. oddziałem komandosów, wioząca majora Petera Younga i osiemnastu ludzi, dotarła bez trudności do „Żółtej Plaży 2” koło Belleville. Komandosi wspięli się na strome skały, posuwając się cał po calu wzdłuż żlebu pokrytego zasiekami z drutu kolczastego. Po wejściu na szczyt rozpoczęli atak na baterię, strzelającą właśnie do celów znajdujących się na morzu.

Zdołali utrzymać baterię pod ogniem swoich karabinów i rkm Bren, dopóki starczyło amunicji. Następnie wycofali się, dotarli do swojej cierpliwie czekającej barki tuż po godzinie 8.00. Później generał Peter Young, który w czasie II wojny światowej otrzymał trzykrotnie Krzyż Wojenny oraz DSO (Distinguished Service Order), uważał Dieppe za jeden ze swych największych wyczynów: „Zabrałem osiemnastu ludzi na brzeg, zrobiliśmy, co mieliśmy do zrobienia, i dowiozłem osiemnastu ludzi z powrotem”.

4. oddział komandosów, dowodzony przez podpułkownika lorda Lovata, został przewieziony pod Dieppe na okręcie desantowym „Prince Albert”. Dziesięć mil od brzegów Francji komandosi przesiedli się na barki. Lovat podzielił swój oddział na dwie grupy. Pierwsza, pod dowództwem majora Dereka Millsa-Roberts, miała wylądować na „Pomarańczowej Plaży 1”, poniżej latarni morskiej w Ponte d'Ailly, wspiąć się wąskim żlebem i dotrzeć na skraj Varengeville, aby dawać osłonę ogniową. Druga grupa natomiast, pod komendą samego Lovata, miała wylądować nieco dalej na południe, na „Pomarańczowej Plaży 2” i zaatakować baterię znajdującą się około kilometr w głąb lądu. Bateria składała się z sześciu dział kaliber 150 mm, ochraniających przez piechotę, karabiny maszynowe i zasieki z drutu kolczastego.

Grupa Millsa-Roberts wylądowała dokładnie w wyznaczonym czasie, choć przy akompaniamencie przeraźliwego huku dział baterii, która otworzyła ogień do celów na morzu o wiele wcześniej, niż grupa Lovata mogłaby dotrzeć na pozycję. Mills-Roberts otrzymał z plaży meldunek, że konwoje do Dieppe znalazły się już w polu widzenia i

oczywiście w zasięgu ognia baterii. Postanowił więc zaatakować natychmiast i odwrócić uwagę nieprzyjaciela. Grupa ruszyła w górę zlebem, w którym Niemcy postawili zasieki z drutu kolczastego i umieścili wiele min. Dotarła do miejsca, z którego widać było baterię, i zaczęła ostrzeliwać działa ogniem z karabinów, rkm Bren i moździerz.

Pół godziny później grupa Lovata rozpoczęła atak z prawego skrzydła. Niemcy, teraz już ostrzeżeni, otworzyli silny ogień do napastników. Zginęło dwóch oficerów brytyjskich, było wielu rannych. Wokół baterii toczyła się już walka wręcz. Kapitan Pat Porteous zabił z pistoletu Niemca, po czym wraz ze swymi ludźmi zaczął torować sobie drogę do baterii bagnetem. Walczył, dopóki nie upadł z przestrzelonymi udami. Za wykazane męstwo kapitan Porteous został odznaczony Krzyżem Wiktorii.

4. oddział komandosów zdobył i zniszczył baterię w Varengeville. Poległo w tej akcji 12 komandosów, 20 zostało rannych, a 13 zginęło. Reszta oddziału wycofała się bez dalszych strat na plażę i wróciła do Anglii.

Dla komandosów desant w Dieppe był sukcesem. Uczestniczyli w nim, oprócz 3. i 4. oddziałów komandosów, także żołnierze z innych jednostek - pięćdziesięciu komandosów amerykańskich (American Rangers), oraz grupa komandosów z osobliwej jednostki, 10. międzyalianckiego oddziału komandosów, sformowanego w czerwcu 1942 roku, dowodzonego przez pułkownika Dudleya Listera, który przeszedł tu z 7. oddziału komandosów. W 10. oddziale komandosów znajdowali się żołnierze wielu narodowości - Francuzi, Holendrzy, Jugosłowianie, Polacy, Norwegowie, a nawet Niemcy (ci ostatni występowali pod przybranymi brytyjskimi nazwiskami). Oddział ten nigdy nie walczył w całości, lecz wysyłał pododdziały wspomagające inne jednostki komandosów na terenach, gdzie znajomość języków była równie ważna jak umiejętność walki.

Dr Anthony Hodges służył w 10. oddziale komandosów od początku:

Spędziłem półtora roku w Lochailort, zostałem awansowany do stopnia podpułkownika i szkoliłem oficerów lekarzy w umiejętności przeżycia z dala od kraju, w skrajnie ciężkich warunkach. Dałem im mocno w kość, to jasne, ale sam też nie widziałem się w roli podpułkownika tkwiącego za biurkiem, dlatego poprosiłem o obniżenie mi stopnia do kapitana i przeniesienie do komandosów. Wszyscy uważali mnie za kompletnego idiotę! Zostałem odesłany do Harlech w północnej Walii, do 10. oddziału komandosów, który wtedy powstawał - była to zdumiewająca jednostka. Do 10. oddziału zgłaszali się niemieccy Żydzi, niektórzy z nich byli w bardzo złej kondycji, wielu spędziło jakiś czas w obozach koncentracyjnych. Byli w stosunku do mnie raczej nieufni. Wszyscy przyjęli brytyjskie nazwiska.

Wśród Francuzów znalazł się Philippe Keiffer, który dowodził później pododdziałami francuskimi w 4. oddziale komandosów. Norwegowie tworzyli wspaniałą grupę. Często wyskakiwałem na Szetlandy, dokąd przyplływali z Norwegii łodziami żaglowymi lub wiosłowymi; wielu z nich było rybakami. Holendrzy także byli doskonałymi komandosami, a z pododdziału belgijskiego powstał po wojnie pułk komandosów istniejący do dziś.

W 1942 roku organizowano nie tylko wypadu przez kanał La Manche. Na początku tego roku 5. oddział komandosów popłynął na Ocean Indyjski wraz z siłami ekspedycyjnymi, aby zająć administrowaną przez rząd Vichy wyspę Madagaskar, leżącą w pobliżu wschodnich wybrzeży Afryki. Na Oceanie Indyjskim zaczęły operować japońskie okręty podwodne, na co Brytyjczycy musieli zareagować.

Opowiada generał Eric Holt, wówczas major w 5. oddziale komandosów:

Sztab Generalny w Londynie uznał, że francuski rząd w Vichy może w istotny sposób pomóc Japończykom, zezwalając im na dostęp do ważnego portu w Diego Suarez na północno-wschodnim wybrzeżu Madagaskaru. Mając bazę w tym porcie, japońskie okręty podwodne mogłyby poważnie zagrozić konwojom alianckim płynącym wokół

Przyłądka Dobrej Nadziei do Afryki Wschodniej, a zwłaszcza do Indii. Dlatego zdecydowano, że Brytyjczycy zorganizują operację desantową - pokonają 9000 mil drogą morską, aby zająć port i powstrzymać w ten sposób Japończyków.

Główną siłę desantu stanowiła 29. Brygada Piechoty i przydzielony do niej 5. oddział komandosów. Dowodził nimi generał Francis Festing, późniejszy szef Sztabu Generalnego i marszałek polny. Marynarką dowodził admirał Syfret, którego okrętem flagowym był stary pancernik „Ramilles”, wsparcie z powietrza miały zapewniać dwa lotniskowce: „Illustrious” i „Indomitable”. W skład flotylli wchodziły także dwa krążowniki, dziewięć niszczycieli i sześć trałowców. Żołnierze zostali zaokrętowani na cywilne statki: „Winchester Castle”, „Keren” i „Karania”, które zamiast szalup ratunkowych zabrały barki desantowe. Plan zakładał, że 29. Brygada wyląduje 5 maja na dwóch wyznaczonych plażach na północno-wschodnim wybrzeżu wyspy i lądem dotrze do Diego Suarez od południowego zachodu.

Nad plażami dominowały i strzegły ich dwie francuskie baterie artylerii. Ich neutralizacja była zadaniem 5. oddziału komandosów, który miał wylądować przed świtem, zanim brygada uderzy na plażę kilka mil na południe od tego miejsca. Lądowanie odbyło się zgodnie z planem. Francuzi zostali zupełnie zaskoczeni - załogi obu baterii poddały się po krótkiej walce. Komandosowie mieli tylko kilku lekko rannych i zagarnęli około trzystu jeńców.

Geoff Riley wspomina swój udział w kampanii madagaskarskiej:

Było nas tylko 365 ludzi i stanowiliśmy część sił, na które składały się brygady piechoty: 29. i 13. Mieliśmy na pokładzie francuskich oficerów wywiadu. Domyśliliśmy się, że naszym celem jest kolonia administrowana przez Vichy.

5 maja wylądowaliśmy w zatoce Courier, na północno-zachodnim wybrzeżu Madagaskaru, około 11 mil od Diego Suarez. Wpłynęliśmy na barkach do kanału oczyszczonego z min przez trałowce. Nie napotkaliśmy żadnego oporu i zaskoczyliśmy nieprzy-

jaciela zupełnie nie przygotowanego, co było zasługą naszych marynarzy, którzy poprowadzili okręty przez rafy koralowe, uważane za niedostępne dla większych jednostek.

Około 50 stóp nad nami, na skałach umieszczona była bateria dział kaliber 150 mm. Wspięliśmy się na szczyt i zaskoczyliśmy artylerzystów we śnie. Byli tu francuscy oficerowie i podoficerowie oraz oddziały malgaskie i senegalskie, trzymane razem i pod strażą. Gdy tylko mrok zaczął się przejaśniać, nastąpił kontratak. Ruszyło w naszą stronę czterdziestu żołnierzy wojsk kolonialnych, dowodzonych przez dwóch podoficerów. Ruszyliśmy do szturmu na bagnety, podoficerowie zostali zabici, żołnierze poddali się i złożyli broń. Nikt z nas nie odniósł poważniejszych obrażeń.

Kapitan „Chips” Heron poszedł przodem, aby przyjąć kapitulację obsady części baterii, znajdującej się na sąsiednim wzgórzu. Gdy podchodził wraz ze swymi ludźmi, z pozycji baterii poleciało w ich stronę kilka granatów, raniąc kapitana Herona i kilku innych. Nie daliśmy nieprzyjacielowi drugiej szansy poddania się.

W spiekocie, objuczeni niczym muły amunicją i granatami, marszerowaliśmy pod wiatr 18 mil do Cap Diego. Stoczyliśmy potyczkę z oddziałem Legii Cudzoziemskiej - postrzelaliśmy do nich trochę, zanim się poddali, było pięćdziesięciu rannych. Zrobiliśmy porządek z oddziałami kolonialnymi, podczas gdy dwie brygady piechoty zajęły miasto Antisrane, ponosząc ciężkie straty.

Sytuację uratowała akcja pięćdziesięciu żołnierzy piechoty morskiej. Przybyli oni do zatoki Courier na pancerniku „Ramilles” i przesiedli się na niszczyciel „Anthony”, który wpłynął do portu o godzinie 22.00, w całkowitej ciemności, ale pod ostrzałem wszystkich dział, jakie były w zasięgu ręki. „Anthony” płynął wzdłuż nabrzeża, a żołnierze wysypywali się błyskawicznie na brzeg. Mieli oni rozkaz atakować wszystko prócz koszar i magazynu, które miały silną obronę, ale w ciągu pół godziny zajęli oba te obiekty. Wykonali wszystkie zadania, tracąc jednego zabitego. Zapobiegli walkom ulicznym i zniszczeniu miasta. Oficjalny meldunek stwierdzał:

„Pięćdziesięciu żołnierzy piechoty morskiej zrobiło w mieście zamieszanie całkowicie nieproporcjonalne do tej liczby” - byli rzeczywiście dobrzy.

Popłynęliśmy następnie do Mombasy, gdzie ćwiczyliśmy skakanie na nabrzeże z niszczycieli, które płynęły z prędkością trzydziestu węzłów. Potem wyruszyliśmy zająć Majungę, największy port na zachodnim wybrzeżu Madagaskaru. Planowaliśmy wylądować w dokach, ale nie wyszło. Barka się zepsuła i zamiast wylądować przed świtem, dotarliśmy do brzegu w świetle dnia. Otworzono do nas ogień z czterech karabinów maszynowych, ale mieliśmy dobrą osłonę ze strony marynarki, obyło się więc bez strat. Nie mieliśmy drabinek - wdrapywaliśmy się na nabrzeże niczym szczury uciekające z tonącego okrętu. Kątem oka widziałem kolegów spadających w dół jak kręgle. Pierwszym naszym celem była poczta, musieliśmy przeciąć łączność ze stolicą, Atananarywą. Drugim celem było zajęcie rezydencji gubernatora, uwięzienie tegoż i wciągnięcie na maszt flagi brytyjskiej.

Zdobyliśmy oba obiekty. Tu przeżyłem pierwsze bezpośrednie starcie z nieprzyjacielem. Weszliśmy na dziedziniec. Zająłem pozycję u stóp schodów, a mój kumpel Matt Bolton ustawił się przy ścianie naprzeciwko mnie. Kilka metrów na lewo ode mnie stał zardzewiały wrak samochodu. Pogadałem chwilę z Mattem, a gdy odwróciłem głowę, dostrzegłem wylaniającą się zza samochodu lufę karabinu, a za nią fez. Mężczyzna próbował wymknąć się z prawej strony. Strzeliłem z biodra i zabiłem go. Francuzi ponieśli wówczas ciężkie straty. Zaokrętowaliśmy się w Diego Suarez i popłynęliśmy do Tamatawy, największego portu na wschodnim wybrzeżu Madagaskaru.

Plan zakładał, że przybędziemy o świcie, marynarka uformuje półokrąg pół mili morskiej od portu, a „Warspite” i „Illustrious” zajmą pozycję dziesięć mil dalej. Następnie mieliśmy wysłać parlamentariusza z białą flagą i żądaniem bezwarunkowej kapitulacji. Gdyby odrzucono żądanie lub otwarto ogień, miał nastąpić trwający 55 minut ostrzał z dział kal. 150 mm z niszczycieli i z artylerii

głównej „Warspite'a”; z lotniskowca „Illustrious” miały wystartować samoloty Seafire i Swordfish i zbombardować port. Potem nasze niszczyciele miały rozwinąć prędkość trzydziestu węzłów, staranować zapory i płynąć wzdłuż nabrzeża, a my mieliśmy wyskakiwać na nabrzeże i wykonać zadanie nawet walcząc na bagnety.

Parlamentariusz poszedł i wkrótce zasygnalizował, że został ostrzelany. Natychmiast rozległa się salwa z niszczyciela „Birmingham”, będąca sygnałem do ostrzału i bombardowania. Trwało to trzy minuty, w tym czasie na francuskie pozycje spadło kilka setek pocisków i wszędzie pojawiły się białe flagi. Nasze niszczyciele wpłynęły do portu, Francuzi poddali się. Następnie ruszyliśmy, aby zająć pozycje francuskie na południu. Do listopada cała wyspa była w naszych rękach. Żołnierze francuscy przechodzili pod komendę de Gaulle'a. Do domu wróciliśmy akurat na krótki urlop z okazji Bożego Narodzenia.

Fred Musson uzupełnia opowieść o Madagaskarze:

Naszym pierwszym celem była Majunga, leżąca od strony Kanału Mozambickiego. 2. oddział komandosów, przewieziony przez rzekę na łodziach typu Eureka, miał odciąć odwrót wszystkim oddziałom francuskim wycofującym się z Majungi. Gdy przeprawialiśmy się przez rzekę, zaczął się odpływ i zaczęliśmy osiadać na mieliźnie. Rzeka była pełna krokodyli, zanim więc weszliśmy do wody, aby odciążyć barcę i przepchnąć ją przez mieliznę, rzuciliśmy do rzeki granaty ręczne, w celu odstraszenia ich. Kiedy dopłynęliśmy do celu, nie napotkaliśmy wycofujących się Francuzów. Później dowiedzieliśmy się, że główne siły komandosów zlikwidowały wszelki opór gwałtownym ostrzałem z broni maszynowej.

Mówi major Holt:

Po chaotycznej walce ulicznej garnizon z Majungi skapitulował. Kilka dni później nastąpiło oficjalne poddanie się władz francuskich

w Tamatawie. Operacji nie można było jednak uznać za zakończoną, dopóki w rejonie Antisrane działało kilka grup gotowych na wszystko żołnierzy francuskich. Zastępca dowódcy oddziału komandosów wraz z około sześćdziesięcioma żołnierzami (wielu z nich jechało na zdobytych na miejscu koniach) wyruszył na południe. Po serii zasadzek o świcie, potyczek i wypadów Francuzi zostali otoczeni. Opór przeciw brytyjskiej okupacji został stłumiony. Krótco potem 5. oddział komandosów wrócił na swoje okręty i popłynął do kraju. Następnym etapem był Daleki Wschód.

Było oczywiste, że wypadki komandosów są bardzo dokuczliwe dla wroga. Oprócz wymienionych w tym rozdziale dużych operacji niemal co noc aż do jesieni dokonywano wypadów przez kanał. W listopadzie 1942 roku 2. oddział komandosów zaatakował elektrownię w Norwegii i spowodował wiele zniszczeń, zanim się wycofał. Miesiąc wcześniej, nocą z 3 na 4 października, grupa żołnierzy należąca do Small Scale Raiding Force i kilku ludzi z 12. oddziału komandosów wylądowało na wyspie Sark, który to wypad miał dalekosiężne skutki.

Brało w nim udział wielu wybitnych oficerów: kapitan Ogden-Smith, który później przeprowadzał zwiad na plażach normandzkich wraz z grupą pilotażową Operacji Połączonych, kapitanowie: Pinkey, Appleyard i Dudgeon, a także Duńczyk Anders Lassen, który został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Wiktorii za akcję nad jeziorem Comacchio w 1945 roku. Ten niewielki oddział wdarł się do hotelu „Dixcart” na wyspie Sark, gdzie mieściło się niemieckie dowództwo, wziął pięciu jeńców i skrępowawszy im ręce prowadził na plażę. Podczas drogi cała piątka próbowała uciekać; czterech Niemców zostało zastrzelonych.

Odkrycie ciał zabitych żołnierzy dało Hitlerowi asumpt do wydania osławionego rozkazu dotyczącego komandosów; nakazywał on ścigać i zabijać wszystkich komandosów i zabraniał brania jeńców, a jeśli zostaliby wzięci, nie można ich było wysłać do zwykłych obo-

zów jenieckich, lecz należało przekazać Gestapo w celu przesłuchania, a następnie zlikwidować.

Gdy rozkaz ten został przekazany Wehrmachtowi, generał Jodl, szef Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu, zrobił adnotację: „Rozkaz jest przeznaczony tylko dla wyższych dowódców i nie może wpaść w ręce wroga”. Wiadomość o rozkazie wkrótce rozeszła się jednak wśród komandosów. Nie miało to wpływu na ich działania, operacje podejmowano coraz częściej. Na mocy tego rozkazu rozstrzelano żołnierzy piechoty morskiej wziętych do niewoli po operacji „Frankton” („Łupina Orzecha”), kajakowym rajdzie na Bordeaux. Od października 1942 roku do końca wojny stał się on przyczyną śmierci wielu komandosów i żołnierzy służb specjalnych.

Na przykład, kapitan Graham Hayes ze Small Scale Raiding Force, pojmany podczas wypadu we wrześniu 1942 roku, zdołał uciec do Hiszpanii, ale został tam aresztowany, odesłany do Niemiec i rozstrzelany w lipcu 1943 roku. Dwaj inni żołnierze schwytani podczas tej operacji, sierżant Williams i szeregowiec Leonard, zostali rozstrzelani następnego dnia po poddaniu się. SSRF poniosły bardzo ciężkie straty. Niemal żaden z oficerów, którzy zakładali tę jednostkę, jak kapitan Peter Pinkney, Gus March-Philips, Anders Lassen i wielu innych, nie przeżył wojny.

7

OPERACJA „TORCH” I TUNEZJA. 1942

Istotą wojny jest gwałt, umiar na wojnie to idiotyzm.

Lord Macaulay, 1831

Celem operacji „Torch”, czyli lądowania aliantów na zachodnim i północnym wybrzeżu Afryki w listopadzie 1942 roku, było uwięzienie wojsk niemieckich między brytyjską 8. Armią kontynuującą ofensywę od strony Egiptu a 1. Armią nacierającą od zachodu. Według pierwotnych planów manewru tego mieli dokonać Amerykanie, ponieważ podporządkowany Niemcom rząd francuski w Vichy był wrogo nastawiony do Brytyjczyków. Sądzone, że jeśli w Afryce Północnej wylądują wojska amerykańskie, opór Francuzów będzie niezbyt silny.

Amerykanie dokonali desantu w dwóch miejscach, w Casablance i w Oranie, przy czym oddziały amerykańskie przybyły prosto z USA. W Algierze lądowania dokonały połączone siły amerykańskie i brytyjskie, w których skład wchodził brytyjski komandos z 1. i 6. oddziału oraz rangersi, amerykańscy odpowiednicy komandosów; niektórzy z nich brali udział w desancie w Dieppe, wielu szkoliło się w Achnacarry.

1. oddziałem komandosów dowodził podpułkownik Tom Trevor, natomiast 6. oddziałem - podpułkownik I.F. McAlpine. Oddziały wyruszyły z Belfastu wczesnym ranem 8 listopada 1942 roku. 6. oddział komandosów płynął w całości. 1. oddział został podzielony na potrzeby operacji „Torch”; połowa jednostki, dowodzona przez

podpułkownika Trevora, płynęła na „Otranto”, połowa na amerykańskim okręcie „Leedstown”.

Sierżant sztabowy Henry Brown z 1. oddziału komandosów dobrze pamięta „Leedstown”:

Jako oficer poszedłem coś zjeść do mesy oficerskiej. Choć lubiłem pływać, nie mogłem docenić wszystkich serwowanych tam wspaniałości, ponieważ strasznie huštało, zdołałem jednak jakoś zamówić bekon i jajka. Amerykański pułkownik poprosił mnie, abym przysunął mu melasę, którą natychmiast obficie polał swój bekon i jajka. Zerwałem się na nogi i szybko wybiegłem, aby przechylić się przez barierkę na pokładzie.

Sierżant sztabowy Edmans z 1. oddziału komandosów wspomina lądowanie:

Weszliśmy na pokład w Larne, płynęliśmy kilka dni, a gdy dotarliśmy do celu, przesiedliśmy się na barki i dopłynęliśmy do brzegu; wokół naszych głów latały kule. Później, gdy marynarka zaczęła ostrzeliwać fort, znaleźliśmy się za blisko, ludzie ginęli od pocisków wystrzelonych z naszych dział. Aby podtrzymać fikcję, że jest to operacja wyłącznie amerykańska, brytyjskie oddziały nosiły amerykańskie helmy i miały karabiny Garand M1, włączono nas do amerykańskiego 168. Regimental Combat Team.

Plan operacji zakładał, że połowa 1. oddziału komandosów pod dowództwem podpułkownika Trevora wyląduje na prawym skrzydle wyznaczonego obszaru, na przylądku Sidi Ferruch, 10 mil na zachód od Algieru, i zajmie fort. Zadanie zostało wykonane bez jednego strzału. Do niewoli wzięto, oprócz innych osobistości, niemieckiego ambasadora przy rządzie Vichy i jego rodzinę. Tom Trevor ruszył następnie ze swoją grupą, by zająć lotnisko w Blidzie.

Reszta 1. oddziału komandosów, prowadzona przez zastępcę dowódcy, majora Kena Trevora, nie miała tyle szczęścia. Jej zadaniem

było zająć Fort d'Estres na lewym skrzydle terenu wyznaczonego do lądowania, a także Batterie de Lazerete, czyli baterie obrony wybrzeża. Komandosi wylądowali przy wysokiej fali przybrzeżnej i w złym miejscu, a francuskie oddziały broniące fortu i baterii otworzyły do nich silny ogień. O godzinie 11.00 major Trevor poprosił o wsparcie artylerii marynarki wojennej. Niszczyciel szybko otworzył ogień, ale przez pomyłkę ostrzelał pozycje komandosów, powodując duże straty. Fort został ostatecznie zbombardowany wczesnym popołudniem przez lotnictwo marynarki wojennej i dopiero wówczas francuski garnizon się poddał.

Lądowanie na niewłaściwej plaży było bardzo częstym problemem, dręczącym komandosów przez większość wojny. Nie zawsze było ono zawinione przez marynarkę. Widoczność z barek jest bardzo ograniczona, większość desantów przeprowadzano w nocy, psuły się kompasy, a załogi nie zawsze były dobrze wyszkolone. Próbowano ograniczyć liczbę pomyłek, ustawiając światła nawigacyjne; robiły to czasem okręty podwodne, a czasem grupy kajakowe, które poprzedzały oddziały szturmowe i oznaczały plaże. Takie właśnie zadanie otrzymali komandosi z 6. oddziału podczas lądowania rangersów w Oranie.

6. oddział komandosów nie miał zbyt wiele czasu, by świętować pomyślne zakończenie nie całkiem fortunnego pierwszego dnia. Musiał wrócić na plażę i wraz z rangersami załadować się na dwa brytyjskie niszczyciele, aby zdobyć lotniska w pobliżu portu Bone, 250 mil na wschód od Algieru. Miało to zapobiec wkroczeniu Niemców z Tunezji. 6. oddział dopłynął do Bone 6 listopada i dotarł do lotniska właśnie wtedy, gdy wylądowały na nim pierwsze oddziały brytyjskich spadochroniarzy z 1. Brygady Powietrznodesantowej, przybyłe z Gibraltaru.

Alianci gromadzili nadal siły wokół Bone, 18 listopada przybył tam 1. oddział komandosów. Cztery dni później nad Bone nadleciały niemieckie bombowce Junkers Ju 87 i rozpoczął się oczekiwany kontratak Niemców. 6. oddział został wysłany na spotkanie z nie-

przyjacielem w pobliżu oddalonej o 60 mil Tabarki, miasta w Tunezji. Komandosi podróżowali pociągiem, który został dwukrotnie ostrzeżony przez myśliwce nieprzyjaciela, zginęło blisko pięćdziesiąt osób. Następnie doszli do wzgórz koło Sedjenane i tam się okopali.

C.L.G. Bryen opisał tę podróż w swoim dzienniku:

22 listopada, niedziela. Posunęliśmy się mocno do przodu. Zatrzymaliśmy się w Morris, gdzie zrobiliśmy herbatę i zrywaliśmy pomańcze. Od Boue eskortował nas Spitfire, lecz co pół godziny musiał wracać, by uzupełnić paliwo. O godzinie 10.15 nadleciały nisko dwa Focke-Wulfy Fw 190 i ostrzelały pociąg z broni maszynowej i działek. Pociąg w końcu się zatrzymał, lecz ludzie wyskakowali z niego, gdy był jeszcze w ruchu. Wielu dostało się pod koła i odniosło obrażenia. Granaty przewożone w otwartych wagonach wybuchły od pocisków z działek lotniczych. Rezultat: jedenastu zabitych i dwudziestu pięciu ciężko rannych, dwudziestu dwóch ludzi odniosło lżejsze obrażenia.

T.S.M. Barlow, podobnie jak inni, którzy wpadli pod koła, został dosłownie rozerwany na strzępy. Arabski maszynista uciekł na wzgórze i nie wrócił. Przeczekaliśmy w El Tarf do zmierzchu; dwa oddziały wyruszyły wówczas do La Calle pociągiem, który prowadził jeden ze starszych szeregowych, aby zaatakować nieprzyjacielski port znajdujący się na drodze 1 Armii. Reszta komandosów maszerowała 18 mil do La Calle, dotarliśmy tam mocno zmęczeni i spaliśmy w szkole. Taki dzień się pamięta.

Był teraz koniec listopada, pogoda w Afryce Północnej była okropna - bardzo zimne noce i nieustanny ulewny deszcz. W tym czasie 1 Armia, prowadzona przez 78. Dywizję, zmierzała w stronę Tunisu; idący na czele pułk 8. Argyll & Sutherland Highlanders 10 mil na wschód od Sedjenane napotkał na opór Niemców, którzy zajęli tu pozycje na dwóch wzgórzach, broniąc dostępu do drogi. Pułk poniósł tu ciężkie straty, próbując wywalczyć sobie wolną drogę.

30 listopada 6. oddział komandosów otrzymał rozkaz ataku na

pozycje niemieckie na tzw. Zielonym Wzgórzu, natomiast oddział piechoty miał ruszyć na Łyse Wzgórze. O godzinie 4.00 cztery oddziały komandosów zaatakowały Zielone Wzgórze. Niemcy mieli wiele ciężkich i ręcznych karabinów maszynowych i bronili się zajadłe.

Po kilku nieudanych atakach i stracie osiemdziesięciu ludzi komandosi wycofali się. Jednostka musiała się przeorganizować w cztery małe oddziały strzelców.

Znów dziennik C.L.G. Bryena:

29 listopada, niedziela. Ostrzeżenie, że gniazda karabinów maszynowych trzymają 36. Brygadę przy Zielonym Wzgórzu w Jaffnie. Cztery oddziały komandosów dostały rozkaz ataku i zajęcia wzgórza. Plan akcji przygotowano w pośpiechu i bez należytego zwiadu. Mieliśmy nie brać amerykańskich stalowych hełmów ze względu na ich podobieństwo do niemieckich. Wieczorem ruszyliśmy transportem wojskowym, wyładowaliśmy się o milę od Zielonego Wzgórza, o godzinie 20.00 zaczęliśmy skradać się na pozycje. Według planu 5. pluton miał wykonać o 4.00 atak pozorowany, a plutony 3., 4. i 6. wejść w tym czasie na szczyt i zlikwidować gniazda karabinów maszynowych.

Wszędzie leżeli martwi żołnierze z Argyll, brytyjski sprzęt, broń itd. Droga była trudna, wiodła przez pola uprawne i arabskie wioski. Oddział był na pozycji o godzinie 10.00 i czekał na godzinę zero.

30 listopada, poniedziałek. Godzina 4.00, czyli godzina zero, i ani śladu nieprzyjaciela, otworzyliśmy więc ogień z karabinów, lekkiej broni maszynowej i moździerzy. Jak się później dowiedzieliśmy, to tylko obudziło Niemców, którzy ze swoich umocnionych linii odpowiedzieli strzałami z broni maszynowej. Plutony 3. i 4. doszły do wzgórza, ale nie były w stanie przebić się przez śmiertcionośny ogień z karabinów maszynowych, próbując się przedrzeć, straciły wielu ludzi. Z nastaniem dnia podjęliśmy kolejne próby, ale zawsze byliśmy zmuszani do odwrotu, nieprzyjaciel nieustannie zmieniał swą pozycję.

cję. Buffs, którzy w tym samym czasie atakowali Łyse Wzgórze, odnieśli większy sukces, Royal West Kents ciągle byli w akcji.

Godzina 11.00. Moja sekcja została wysłana na północną stronę wzgórza, aby odciąć ewentualny odwrót nieprzyjaciela, który mógłby próbować wycofać się w czasie naszych szturmów. Artyleria wsparła nas ogniem zaporowym, Niemcy mieli jednak tak umocnione stanowiska, że ostrzał nie odniósł skutku. O godzinie 13.00 kapitan Maine przywołał wszystkich komandosów na szczyt, aby podjąć próbę zdobycia wzgórza ciągłym, narastającym ogniem, lecz sekcja wpadła w zasadzkę żołnierzy Afrika Korps przebranych za Arabów, rozproszyliśmy się więc; tylko pięciu ludzi dotarło na szczyt Zielonego Wzgórza. Do ataku poszło 67 komandosów, pięciu z 5. plutonu było w rezerwie. Kończyła się amunicja, kapitan Mayne zmuszony był wycofać ludzi do stóp wzgórza.

Kapitanowi Scottowi przestrelono głowę, gdy przejmował karabin maszynowy. Ostrzał był coraz silniejszy, komandosi wycofali się do sztabu brygady, by się na nowo zorganizować; zabrano sporo lżej rannych, lecz zostawiono zabitych i ciężko rannych. Nie można było nawiązać kontaktu z sekcją Z 5. plutonu, trzeba ją więc było pozostawić. Potem gorący posiłek w sztabie brygady i powrót do Sedjane. Chłopcy, walczący bez chwili wytchnienia, bardzo wyczerpani.

Frank Barton kontynuuje tę opowieść:

Niemcy mieli chyba wielką liczbę karabinów maszynowych Spandau i strzelali tuż nad naszymi głowami z linii, które wydawały się dobrze umocnione. W żadnym miejscu nie mogliśmy podejść do nich blisko, dosłownie nas kosili i w końcu musieliśmy się wycofać. Kolejny atak podjęliśmy po południu, lecz znów bez powodzenia. Podczas tych dwóch szturmów straciliśmy osiemdziesięciu ludzi i zostaliśmy zredukowani do czterech plutonów. Kiedy zachorował podpułkownik McAlpine, zastąpił go podpułkownik Mills-Roberts. A potem była bitwa pod Lokomobilową Farmą, gdzie zostałem wzięty do niewoli.

Sierżant Blackburn z 6. oddziału komandosów widział atak na Zielone Wzgórze:

Podczas ostatniej próby zdobycia wzgórza (co nie udało się mimo kilku szturmów naszych komandosów i piechoty) zadaniem mojego oddziału było zajęcie sąsiedniego wzniesienia - nazywano je chyba Głową Cukru - z którego widzieliśmy ostatni atak na Zielone Wzgórze. Ta próba także się nie powiodła i dostaliśmy rozkaz wycofania się pod osłoną ciemności. Na nieszczęście mieliśmy rannego, który nie zniósłby drogi powrotnej. Noszowy naszej sekcji zgłosił się na ochotnika, że zostanie z nim. Dostał się do niewoli. Był to odważny i szlachetny czyn. Ten noszowy wrócił później do 6. oddziału w zadziwiających okolicznościach.

Na początku stycznia komandosi zaatakowali Zielone Wzgórze jeszcze raz, zginął wówczas dowódca jednostki, podpułkownik McAlpine. Mocno zredukowany 6. oddział komandosów składał się po reorganizacji z czterech niedużych plutonów pod dowództwem majora McLeoda, który dowodził do przybycia z Anglii podpułkownika Dereka Millsa-Roberts. Podpułkownik najpierw leciał różnymi samolotami przez Gibraltary i Algier, potem tłukł się ciężarówkami, a w końcu pieszo dotarł do sztabu swego oddziału, mieszczącego się w tunelu kolejowym.

Podczas gdy 6. oddział walczyło o Zielone Wzgórze, 1. oddział wraz z dołączonymi do niego czterema kompaniami amerykańskiej piechoty został wysłany na wypad za linie nieprzyjaciela; zadaniem było przecięcie łączności i przedarcie się na tyły niemieckich linii wokół Zielonego Wzgórza.

Charles Hustwick służył teraz w sztabie 1. oddziału komandosów:

Dopłynęliśmy do Tabarki. Miasto było mocno zniszczone. 1. Armia mogłaby się tam teraz zatrzymać, lecz chciała zająć Bizertę, dlatego zdecydowano wysłać 1. oddział, aby odciął miasto od strony lądu. Miał też zająć główną drogę, aby uniemożliwić przyjacielowi do-

stawy zaopatrzenia. Mieliśmy osły, które miały nieść trzyciałowe mózdzierze, ale ostatni raz widzieliśmy je, wypływające w morze, w każdym razie żaden nie dotarł na plażę.

Czekaliśmy cały dzień na nasze oddziały, lecz bez skutku. Nieprzyjaciel odkrył naszą obecność. Doszło do kilku poważnych potyczek, w których poległo wielu komandosów, ale jednocześnie wzięliśmy wielu jeńców. W końcu wycofaliśmy się na nasze linie, maszerując dwa dni i dwie noce niemal bez jedzenia po bezludziu. Przy życiu utrzymały nas jedna czy dwie zbłąkane owce... wróciliśmy więc do Tabarki.

Aby wykonać tę operację, 1. oddział komandosów wylądował o godzinie 3.00, 1 grudnia i podobnie jak w Algierze podzielił się na dwie grupy, dowodzone przez Toma Trevora i jego zastępcę, Kena Trevora. Komandosi weszli 5 mil w głąb lądu, za linie nieprzyjaciela, nie napotykając na żaden opór. O świcie zajęli stanowiska w poprzek głównej drogi z Bizerty do Tabarki, zamykając przejazd na następne trzy dni, ostrzeliwując każdy nadjeżdżający nieprzyjacielski pojazd i odpierając ataki stacjonujących w tym rejonie oddziałów; zbrojne patrole kontrolowały przy tym obszar o powierzchni ponad 100 mil kwadratowych. Cena była wysoka: 1. oddział stracił sześćdziesięciu ludzi, amerykańska piechota - siedemdziesięciu czterech.

W grudniu 1. oddział komandosów, podzielony pierwotnie na dziesięć plutonów, zreorganizował się i wraz z odkomenderowanymi do niego amerykańskimi sojusznikami utworzył sześć plutonów, które służyły pewien czas na linii ognia jako zwykła piechota. Rola ta nie była zbyt odpowiednia dla lekko uzbrojonych komandosów.

Jeszcze raz Charles Hustwick:

Służyliśmy następnie na linii frontu jako piechota. Było to bardzo ciężkie zadanie, było nas coraz mniej, a gdy wycofano na koniec naszych amerykańskich przyjaciół, mieliśmy problem z utrzymaniem linii frontu. Spędziliśmy tam Boże Narodzenie, a pogoda była straszliwa - bardzo zimno i cały czas deszcz, zupełnie inaczej niż w

szkolnych czytankach o Afryce.

Sierżant sztabowy Edmans, służący w 6. plutonie 1. oddziału komandosów, opowiada o jednej z gwałtownych potyczek:

Zajęliśmy pozycje, układając się na drodze, na lewo od nas znajdował się 2. pluton. Po chwili zobaczyliśmy żołnierzy z Afrika Korps przeskakujących na lewą stronę drogi, zbyt blisko, by strzelać, czekaliśmy więc cierpliwie - Felmingham i Freddie Witton, obsługa Brena, strzelec Wales z karabinem Garand, ja z pistoletem maszynowym. Nagle ktoś krzyknął: „Wróg na lewo!” - przez krzaki zbliżał się Niemiec. Oddał do nas serię, zanim Felminghamowi udało się go zabić, postrzelił Freddiego w żołądek, sierżanta Smitha w plecy, młodszego sierżanta Simsa w kolano.

Zauważyliśmy, że zaszli nas od tyłu. Sierżant Smith krzyknął więc: „Zwiewajmy, idzie ich tu więcej!”. Uciekaliśmy szybko przez kłęby dymu, całą drogę ścigani kulami nieprzyjaciela. Freddie bardzo cierpiał, dotarliśmy jednak do sztabu i złożyliśmy meldunek. Potem minęliśmy tylne straże i poszliśmy do oddalonego o 7 mil szpitala. Freddie przeszedł tę odległość z kulą w żołądku, ssąc wilgotną chusteczkę do nosa i mocno ściskając swego Colta 45. Cierpiał okropnie, ale nie mogliśmy pozwolić mu usiąść.

1. oddział komandosów otrzymał teraz wsparcie sześćdziesięciu pięciu żołnierzy amerykańskich. Wzięli oni razem z komandosami udział w operacji „Bizerta” i z własnej woli pozostali z nami podczas kampanii. Oddziały komandosów 1. i 6. pozostały w Afryce Północnej do końca kwietnia 1943 roku, raz za razem powracając na pierwszą linię. Okazały się też niezwykle sprawne w służbie patrolowej.

Podpułkownik Derek Mills-Roberts, dowódca 6. oddziału komandosów, został przydzielony w połowie stycznia do 78. Dywizji i rozmieściwszy jednostkę - teraz liczącą zaledwie 250 ludzi - na pozycjach, zdecydował, że utrzymywać będzie swój odcinek linii

frontu, wysyłając ofensywne patrole. Pewnego razu patrol z 6. oddziału komandosów zderzył się z silnym patrolem z pułku spadochronowego Dywizji „Hermann Goring”. Wywiązała się zjadła walka, obie strony zostały wsparte przez żołnierzy chcących utrzymać własne linie frontu. Pięciogodzinna bitwa, w większości toczona w bezpośrednim zwarciu, zakończyła się odwrotem oddziału niemieckiego.

W tej bitwie, znanej w historii komandosów jako bitwa pod Lokomobilową Farmą, został wzięty do niewoli Frank Barton:

Na podwórku stała lokomobila, stąd wzięła się nazwa farmy. Porucznik Bonnin został ciężko ranny, zaopiekowałem się nim i wtedy zostałem pojmany. Wyślano mnie ostatecznie do Włoch, do obozu nr 66 koło Capui, gdzie spotkałem mego brata, który dostał się do niewoli w 1942 roku pod Tobrukiem. We wrześniu 1943 roku, po poddaniu się Włoch, zdołaliśmy uciec i dotrzeć do linii alianckich; szliśmy najczęściej nocą, kierując się na południe, czasem zbaczaliśmy nieco na wschód w głąb kraju - zajęło to dwa miesiące, ale udało się.

Kierowaliśmy się gwiazdami, najpierw znaleźliśmy Wielki Wóz, potem Gwiazdę Północną. Włosi pomagali nam, jak mogli, dawali nam żywność, a my zbieraliśmy i piekliśmy mnóstwo grzybów. W listopadzie okazało się, że znaleźliśmy się w pobliżu niemieckiej linii frontu, wśród Niemców, i musieliśmy się ukrywać. O włos uniknęliśmy nieszczęścia, gdy jakiś Niemiec zaczął przyglądać się żywoplitowi, w którym się ukryliśmy. Tak czy inaczej po dwu i pół miesiącach wędrówki doszliśmy do linii brytyjskich i w końcu zostaliśmy odesłani do Anglii. Po urlopie i wielu staraniach udało mi się wrócić do 6. oddziału komandosów, stacjonującego wówczas w Brighton. Po raz pierwszy lądowałem z nim w Afryce Północnej, kolejny raz podczas dnia „D”, i służyłem do samego końca wojny. Wielu akcji 6. oddziału nigdy nie zapomnę.

W bitwie pod Lokomobilową Farmą 6. oddział stracił 40% stanów

osobowych, ale zadał bolesne straty nieprzyjacielowi i zmusił go do zatrzymania się, dopóki nie nadeszła pomoc ze strony gwardii Coldstream i pułku Royal Sussex, które zmusiły Niemców do odwrotu. Za tę akcję Mills-Roberts został odznaczony orderem (DSO, Distinguished Service Order, medal przyznawany oficerom w wojsku i marynarce wojennej).

W Afryce Północnej, podobnie jak przedtem na Krecie, komandosi pełnili rolę piechoty liniowej, rolę, do której nie mieli ani odpowiedniej liczby ludzi, ani wyposażenia. Nie dostawali żadnych posiłków, a ich stan liczebny stale zmniejszał się. Na początku kwietnia 1943 roku zostali wycofani z linii frontu i po kilku dniach wypoczynku w Algierze odpłynęli ostatecznie do kraju.

Kapral Hustwick tak podsumowuje koniec kampanii tunezyjskiej:

Z końcowej stacji kolejowej w Soukel-Arbaive oba oddziały wróciły wozami konnymi do Algieru. Po przyjeździe rozbiliśmy obóz w lesie, około 8 mil na południe od miasta; zanim odpłynęliśmy, kilka razy wyprawialiśmy się nocą na zabawę do miasta. Do Liverpoolu przybyliśmy po sześciu dniach. Płynęliśmy bez eskorty i zostaliśmy ostrzelani przez Focke-Wulfy przy wybrzeżu Irlandii. Nawiasem mówiąc, zanim opuściliśmy Algier, zabraliśmy ze szpitala wszystkich naszych rannych i upewniliśmy się, że ci, którzy mogli się poruszać, zwolnili się sami, by razem z nami wrócić do domu. A potem wszyscy dostaliśmy czternaście dni urlopu.

8

SYCYLIA I PÓŁWYSEP APENIŃSKI, 1943

Najważniejsza rzecz na wojnie to próbować odgadnąć to, czego nie wiesz, i sprawdzić to... na tym właśnie polega zgadywanie, co jest po drugiej stronie wzgórza.

Książę Wellington, 1815

Od początku kampanii włoskiej 1943 roku, czyli od desantu na Sycylię, aż do końca wojny komandosów obsadzano w podwójnej roli - lądowali wraz z wojskiem jako awangarda w większości operacji i walczyli na pierwszej linii wraz z innymi, większymi jednostkami piechoty. Bardzo często komandosi wysyłani byli przodem, by postępujące za nimi armie sprzymierzone mogły zorientować się, na jaki opór napotkają za plażami czy grzbietami przybrzeżnych skał.

We Włoszech komandosi armii zostali od razu połączeni z jednostkami piechoty morskiej; w kampaniach na Sycylii i na Półwyspie Apenińskim walczyły 2., 3., a później także 9. oddziały komandosów wojsk lądowych oraz 40., 41., a później 43. oddziały komandosów piechoty morskiej.

Podczas pracy nad tą książką wielokrotnie spotkałem się ze zdaniem, że o ile wszyscy komandosi armii byli ochotnikami, to oddziały komandosów piechoty morskiej tworzono odgórnie z oddziałów piechoty morskiej, będących częścią marynarki wojennej. Jest to tylko po części prawda. 40. oddział komandosów składał się z ochotników, a żaden komandos armii nie powiedział złego słowa o tych marines, z którymi przyszło mu znaleźć się na polu walki. Ze swojej strony

marines nie mogli się nachwalić kolegów komandosów wojsk lądowych.

41. i 43 oddziały komandosów piechoty morskiej walczyły wraz z komandosami armii we Włoszech, przede wszystkim pod Salerno i nad Adriatykiem, oba składały się w głównej mierze z ochotników. W oddziałach komandosów formowanych później rzeczywiście nie było ochotników, lecz wszyscy żołnierze musieli przejść szkolenie w Achnacarry, ci zaś, którzy nie spełniali wymogów, byli odsyłani do macierzystych jednostek. Korpus Piechoty Morskiej rozrósł się podczas II wojny światowej do 80 tysięcy ludzi i zawsze gotów był przyjąć kolejnych ochotników.

Dowódcą 2. oddziału komandosów był Jack Churchill, a jednym z oficerów kapitan R.I. Bavister, który wstąpił na służbę w 1942 roku:

Rozmowę przeprowadzali ze mną dowódca, zastępca dowódcy i adiutant. Zgodziłem się na proponowaną mi rangę, otrzymałem czarno-białe naszywki 2. oddziału komandosów i zostałem wysłany na urlop. Czarno-białe naszywki zastąpione zostały później czerwono-niebieskimi naszywkami Operacji Połączonych. Na porządek dnia składały się ćwiczenia z bronią, trening kondycyjny i wiele marszów.

W przeciwieństwie do wielu innych nigdy nie odbyłem szkolenia w Achnacarry. Gdy wstępowałem do komandosów, 2. oddział miał szczególny charakter, ciągle żywa była w nim pamięć dawnej niezależnej kompanii. Mieliśmy wiele ćwiczeń w górach szkockich w pobliżu Long Fyne. Naszym pozorowanym przeciwnikiem były oddziały amerykańskie szkolące się przed desantem w Afryce Północnej.

Nie brałem w nich udziału, ponieważ zostałem wysłany na kurs obsługi trzycalowych moździerzy, byłem także w szpitalu. Na kursie po raz pierwszy strzelałem z moździerzy, zaprzyjaźniłem się też z oficerem piechoty morskiej - następnym razem spotkałem go na okręcie przewożącym moją sekcję do Scaletty we Włoszech. Naszym dowódcą był oczywiście „Szalony Jack” Churchill, mający około

trzydziestu pięciu lat i charakterystyczne bardzo jasne włosy, wąsy i brwi. Zimą 1943 roku oddział otrzymał zielone berety. Nosiliśmy je na sposób szkocki, nasunięte na czoło, a nie na bok głowy, jak nakazywały przepisy.

Zadaniem 3. oddziału komandosów podczas inwazji na Sycylię było wylądowanie z HMS „Prince of Albert” na południe od Syrakuz i zdobycie baterii obrony wybrzeża w Avola, 3 mile w głąb lądu, w pobliżu miasta Cassibile. Mimo pewnych trudności lądowanie na nieprzyjacielskim wybrzeżu powiodło się; natarcie rozpoczęto o północy 10 lipca. „Jestem więcej niż pewny - napisał potem Laycock - że nie sposób nigdy oczekiwać, iż wylądujemy tam, gdzie chcemy”. Pod ostrzałem z broni maszynowej 3. oddział dotarł do brzegu bez strat, a potem bez problemów zdobył baterię. Dwa oddziały komandosów piechoty morskiej także wykonały swoje zadania, zabijając przy tym około pięćdziesięciu Włochów i biorąc wielu jeńców.

Następną operację 3. oddział komandosów przeprowadził 13 lipca. Ten wypad nie przebiegł równie gładko jak poprzedni, ponieważ komandosi napotkali niezwykle silny opór elitarnych oddziałów niemieckich. Oddział miał wylądować w Agnone, kilka kilometrów za liniami wroga, i dotrzeć do mostu nad rzeką Leonardo w Punta dei Milati, 7 mil od morza. W tym samym czasie spadochroniarze mieli zająć most w Primasole. Gdyby oba te mosty zostały zajęte, wojska alianckie mogłyby podjąć szybki marsz do Katanii.

W Syrakuzach Durnford Slater dostał dokładnie trzy godziny na zaplanowanie tej operacji, uzyskał też informację, że most jest obsadzony przez oddziały włoskie. Nie był jednak tego pewny; czuł, że jeśli most jest ważnym obiektem, jest także dobrze strzeżony. Plan Durnforda Slatera zakładał lądowanie z dwóch stron, z jednej oddziałów 1., 2., 3. i 4., z drugiej - 5. i 6. Dwa ostatnie oddziały miały dotrzeć do mostu i zdobyć go, przy czym jeden oddział miał udać się na północ, aby nawiązać kontakt ze spadochroniarzami, drugi zaś na południe, by nawiązać kontakt z 50. Dywizją, która miała dotrzeć do

mostu o świcie następnego dnia. W rzeczywistości rejon wokół mostu obsadzony był przez niemiecką 1. Dywizję Spadochronową - 3. oddział komandosów miał godnego przeciwnika.

Łądowanie rozpoczęło o godzinie 22.00, a komandosowie znaleźli się pod ostrzałem z broni maszynowej, zanim jeszcze dotarli na brzeg. Nadzieja na zaskoczenie przeciwnika okazała się płonna, do walki włączyły się Breny komandosów i działa okrętu desantowego. Zejście na brzeg odbyło się pod ogniem. Zamieszanie na plaży zostało szybko opanowane przez majora Petera Younga i porucznika George'a Herberta. Jednostka dotarła do mostu około godziny 3.00, spotkawszy nieoczekiwanie sekcję spadochronową, zrzuconą daleko od miejsca, gdzie powinna się znaleźć.

W 3. oddziale komandosów byli już ranni, np. Walter Skrine postrzelony w nogę i kapitan Leese z 1. plutonu, który dostał postrzał w oko. Bunkry po drugiej stronie mostu obsadzali Włosi, zbyt zajęci rozmową, by usłyszeć ciche podejście komandosów; granaty szybko załatwiły sprawę. 3. oddział zajął teraz pozycje wokół mostu, w bunkrach, w okolicznych gajach pomarańczowych i wąwozach. Zbudowano tam szańce obronne z kamieni, ponieważ ziemia była zbyt twarda, by się okopać. Komandosowie usadowili się tam, 10 mil za liniami wroga, przygotowani na wszystko, co się może zdarzyć - lub na przybycie 50. Dywizji. Było ich około 350, broń stanowiły tylko karabiny, pistolety, Steny, lekkie karabiny maszynowe Bren i granaty.

Do zmroku komandosowie trzymali się świetnie, strzelali do wszystkiego, co się zbliżało, aż wejście na most zostało zasłane przewróconymi lub płonącymi pojazdami. Niemcy zaczęli jednak silny ostrzał ich pozycji, wkrótce też nadjechał czołg Tygrys, wyposażony w działko kalibru 88 mm, które siało spustoszenie na pozycjach komandosów, zbyt słabo uzbrojonych, by się skutecznie bronić.

Grupa, która została wysłana, by zniszczyć czołg, nie mogła podejść dostatecznie blisko, ponieważ zatrzymał się on na otwartym terenie, a niemieccy spadochroniarze podchodzili coraz bliżej, zacieśniaли krąg, zadając coraz więcej strat.

O godzinie 4.30, wobec tego, że ciągle nie było żadnego sygnału od 50. Dywizji, pozycje komandosów były już nie do utrzymania. Było wielu rannych, nieosłonięte stanowiska w dolinie ostrzeliwano ogniem flankowym, przybywało coraz więcej piechoty niemieckiej, a czołg w regularnych odstępach czasu wzmacniał ostrzał. Durnford Slater rozkazał podzielić się na małe grupy i wycofywać, pozostawiając rannych. Zostali oni dobrze potraktowani przez niemieckich spadochroniarzy, a 3. oddział komandosów miał okazję odplacić im tą samą monetą kilka tygodni później w Termoli. Podczas tej operacji zabitych zostało pięciu oficerów i 23 żołnierzy, rannych było czterech oficerów i 62 żołnierzy, ośmiu oficerów i 51 żołnierzy zaginęło, choć niektórzy z nich później się odnaleźli.

W tydzień później na Sycylię przybył 2. oddział komandosów. Generał Laycock wyjechał do Afryki Północnej, Durnford Slater natomiast objął dowództwo 2. Brygady Służb Specjalnych, która składała się teraz z oddziałów komandosów wojsk lądowych 2. i 3. oraz oddziałów komandosów 40. i 41. piechoty morskiej, a także Special Raiding Squadron pod komendą majora Paddy'ego Mayne'a. Pierwszą operacją 2. oddziału było lądowanie w Scaletta.

Wspomina je Ted Kelly:

Szkoda, że nie mogę zaświadczyć, iż był to zakończony pełnym sukcesem pokaz możliwości operacji połączonych. Wolę nie myśleć, jaką zapłaciliśmy cenę, ale faktem jest, że wylądowaliśmy na niewłaściwej plaży i o wiele za późno, by złapać oddziały niemieckie, które mieliśmy powstrzymać. Natknęliśmy się tylko na dwie wlokące się w ogniu ciężarówce z personelem pomocniczym armii. Tych kilku nieszczęśników miało przeciw sobie nas wszystkich, łącznie ze straszliwym szkockim pałaszem, którym Jack Churchill wymachiwał im przed głowami, klnąc stosownie do sytuacji. O świcie zebraliśmy się, by wykonać zadanie i ruszyć w pościg za Niemcami. Początek był spokojny, ale potem nastąpił morderczy ostrzał ze strony Niemców i zrozumieliśmy, że dla nas prawdziwa wojna dopiero się zaczyna.

Gdy padła Sycylia, wszystkie jednostki przygotowały się do ataku na Półwysep Apeniński. Na potrzeby tej operacji podzielono 2. Brygadę Służb Specjalnych na dwie części. 3. i 40. oddziały komandosów miały przekroczyć Cieśninę Mesyńską wraz z XIII Korpusem brytyjskiej 8. Armii, natomiast 2. i 42. oddziały komandosów, dołączone do X Korpusu amerykańskiej 5. Armii, miały wraz z nim zaatakować Salerno.

XIII Korpus, oddziały 3. i 40. oraz Special Raiding Squadron Paddy'ego Mayne'a przekroczyły Cieśninę Mesyńską 3 września 1943 roku i szybko zmierzały w stronę Vibo Valentia, którą zajęły 9 września. Tego samego dnia o godzinie 3.30 5. Armia amerykańska, w której skład wchodził X Korpus brytyjski i VII Korpus amerykański, zaczęła lądowanie pod Salerno. Oddziały 2. i 41. znalazły się w ogniu jednej z najcięższych bitew całej kampanii włoskiej.

Niemcy spodziewali się desantu i gdy 5. Armia dotarła do brzegu, zajmowali umocnione pozycje na wzgórzach wznoszących się nad plażami. Aby wydostać się z plaż i pomaszerować na Neapol, 5. Armia musiała najpierw zdobyć przełęcz na otaczających te plaże wzgórzach, zwaną La Molina. 2. oddział komandosów lądował w pierwszej grupie, aby oczyścić plaże i ubezpieczać przyczółek. Następnie wylądowały 41. oddział i sztab brygady i ruszyły w stronę La Molina, aby zdobyć tę przełęcz. 2. oddział i sztab brygady skierowały się do wsi Vietri, leżącej na skraju przełęcz od strony morza, natomiast 41. oddział ruszył wprost na przełęcz. Dwa plutony z 2. oddziału - jednym z nich dowodził kapitan książę Wellington - zajęły północne przedmieścia Salerno, gdzie wkrótce natknęły się na nieprzyjacielskie czołgi i piechotę.

Tymczasem dalszy przebieg lądowania nie był już tak pomyślny. Plaże znalazły się pod ciężkim ostrzałem, pojawiły się też samoloty Luftwaffe, bombardujące cele na morzu. Bombardowanie i ostrzał były niezwykle silne, a potem jeszcze Niemcy zaatakowali plaże przy użyciu czołgów i piechoty. Niemiecki kontratak, wspierany przez artylerię i czołgi, zaczął obejmować cały teren wokół przyczółka.

Pozycje 2. oddziału w Vietri znalazły się wkrótce pod silnym ogniem z moździerzy. Natarcie niemieckie trwało cały dzień.

Ken McAllister z 2. oddziału komandosów brał udział w tym desancie:

Opis naszych przeżyć w Salerno zająłby grubą książkę. Przez szesnaście dni znajdowałem się w piekle, zarówno 2., jak 41. oddział zostały ciężko doświadczone. Wydawało się, że dowódcy wysyłali nas, komandosów, wszędzie tam, gdzie sytuacja była najgroźniejsza. Uważam za cud, że ktoś z nas przeżył i może opowiedzieć o tym, co się wydarzyło.

Dudley Cooper, odznaczony Krzyżem Walecznych, był w Salci no.

Po wylądowaniu poszliśmy w stronę wzgórz. Walka wokół Vietri była ciężka, Niemcy strzelali z moździerzy, dział kalibru 88 mm, karabinów maszynowych; część jednego oddziału znalazła się w pewnym momencie za liniami niemieckimi. Zorientowali się, wrócili i na nowo zajęli stanowiska. Dzień i noc zwały się ze sobą, a gdy sytuacja się ustabilizowała, wycofano nas nieco na południe i pozwolono się przespać - nie spali tylko ci, którzy pełnili wartę, między innymi ja. Siedziałem na stanowisku i całą noc słyszałem odgłosy toczącej się wokół nas walki, ale ludzie byli tak zmęczeni, że spali wśród tego huku.

Następnego dnia zostaliśmy rozstawieni po obu stronach doliny, w której Niemcy zadali ciężkie straty naszej lekkiej piechocie. Wyruszyliśmy z linii startu u podnóża wzgórz i poszliśmy doliną do Pigoletti. Ludzie idący południową stroną doliny przekradli się do wsi i po krótkiej, gwałtownej bitwie pojмали Niemców i ich dowódcę. Zajęliśmy pozycję na szczycie wzgórza wznoszącego się nad drogą do Neapolu i słuchaliśmy, co dzieje się na drodze. W ciągu następnej godziny zostaliśmy ostrzelani seriami z powietrza i straciliśmy dwóch ludzi z naszej sekcji. Wszyscy zgodziliśmy się, że robi się zbyt gorąco, i zajęliśmy bezpieczniejszą pozycję po prawej stronie.

Udało nam się złapać chwilę drzemki na patio i właśnie wtedy wzgórze nad nami zostało ostrzelane. Okazało się potem, że były to nasze własne działa na pociski 27-funtowe i że wycelowano je w niewłaściwe wzniesienie. Ponieważ nie było już mowy o spaniu, obeszlśmy patio i znaleźliśmy sześciu kolegów zabitych przez jeden pocisk. Wyczekiwaliśmy na atak 2. oddziału, zauważyliśmy też stanowisk dwu niemieckich karabinów maszynowych. Następnego rana było spokojnie. Trzech z nas weszło na piętro domu, przyjrzelśmy się dokładnie przez lornetki miejscu, gdzie - jak sądziliśmy - znajdują się karabiny maszynowe. Ustawiliśmy Breny, otworzyliśmy ogień, w odpowiedzi kule poszarpały parapet i było po sprawie. Willy Neil dostrzegł Niemca, który poderwał się i uciekał z boczem wzgórza, i zabił go strzałem z karabinu z odległości mniej więcej 800 jardów.

Aby upewnić się, że nie byt to przypadek, Willy zabił później z tej samej odległości innego Niemca na biegnącej dołem drodze. Został dzięki temu uznany za snajpera i nie chciał być nikim innym, tylko strzelcem oddziału. Po południu coraz wyraźniej słychać było na wzgórzu huk, nadjechał Tygrys i skierował się w stronę Pigoletti. Ci z nas, którzy znajdowali się w domu, mogli patrząc prosto w dół zobaczyć lufę czołgu - i właśnie wtedy usłyszeliśmy nasze moździerz. Pierwszy pocisk trafił w górną część wieży czołgu. Zanim zakończyły się walki o Salerno, minęło jedenaście dni nieprzerwanych bojów, ale przyczółek został utrzymany.

Na przełęczy La Molina 41. oddział komandosów ustępował wobec ciągłych ataków niemieckich. Natarcia piechoty przeplatały się z ciężkim ostrzałem z dział i moździerzy. Pociski trafiły w sztab oddziału, ranny został jego dowódca, podpułkownik Bertie Lumsden. Ostatni z trwających cały dzień szturmów został odparty w wyniku kontrataku plutonu Q. 2. oddział komandosów musiał znosić nękający ostrzał z broni maszynowej, dział i moździerzy do północy 10 września, kiedy to obie jednostki zluzowano i wycofano na wybrzeże na krótki, ośmiogodzinny odpoczynek; potem wróciły na swoje pozycje.

Podczas gdy Niemcy ostrzeliwali przyczółek ogniem artyleryjskim, oba oddziały komandosów powróciły do swoich starych szańców i okopów w Vietri na przełęczy La Molina i utrzymywały je, nie mając chwili wytchnienia do zmroku 13 września, kiedy rozpoczęło się godzinne bombardowanie pozycji 2. oddziału komandosów i gwałtowne natarcie piechoty na oba skrzydła. 2. oddział walczył już cztery dni i miał około trzystu zdolnych do walki, lecz wyczerpanych ludzi; 41. oddział stracił dowódcę i jedenastu oficerów oraz 74 żołnierzy. W czasie, gdy komandosi byli trzymeni w szachu przez ogień artyleryjski, nieprzyjaciel zdołał sforsować drogę obok Vietri i zajął pozycję umożliwiającą zdobycie dużego wzgórza Dragone na ich tyłach. Jednocześnie zaczął się kontratak pozostającego dotąd w odwodzie oddziału komandosów, składającego się żołnierzy jednostek 2. i 41. i liczącego około stu ludzi. Niemcy zostali zatrzymani i cofnęli się na przełęcz La Molina. Komandosi wrócili na plażę i cały ten dzień odpoczywali.

15 września obie jednostki zostały dyslokowane na pierwszą linię i otrzymały rozkaz ataku na wioskę Pigoletti, położoną na szczycie wzgórza, wznoszącego się nad plażami wyznaczonymi do lądowania. Nad wioską górowały dwa inne wzniesienia, a od wschodu wysokie strome urwisko. 41. oddział komandosów zaatakował i zdobył tę stromiznę, nazywając ją Wzgórzem 41. Oddziału. 2. oddział komandosów ruszył natomiast do Pigoletti wąską doliną; dowodził pułkownik Jack z pałaszem w ręku. Podczas gdy jego żołnierze zdobywali pozycje wroga, pułkownik tak szybko parł do przodu, że dotarł do Pigoletti w towarzystwie tylko jednego żołnierza, kaprała Ruffela. We dwóch zaatakowali stanowisko niemieckiego moździerza, pułkownik Jack wziął jednego z jeńców jako tłumacza i ruszył sam zdobywać wieś, odsyłając pozostałych czterdziestu jeńców pod straż 6. plutonu. W ciągu tej nocy 2. oddział wziął 136 jeńców, a pułkownik Jack dodał do swego Krzyża Wojennego kolejne odznaczenie - DSO.

Następnym zadaniem 2. oddziału było zajęcie znajdującego się za

Pigoletti wzgórze, zwanego „Pryszcz”. Natarciem dowodził kapitan książę Wellington. Jego żołnierze zostali zdziesiątkowani w wyniku silnego ostrzału z broni maszynowej i obrzucenia granatami, a książę zginął. Wspomina WG. Bleach:

Książę dowodził 2. oddziałem w Vie tri, a później na „Pryszczy”. Jego ordynans, Tommy Tombs, sygnalista Syd Crane i ja zostaliśmy raz odcięci w jaskini naprzeciwko wiaduktu w Vietri i musieliśmy przesiedzieć tam dwa dni. Syd wyszedł i próbował znaleźć coś do jedzenia, ale mu się nie udało, książę wyjął więc ostatnią puszkę konserwy z plecaka i podał Tommy'emu, aby ją podzielił. Tommy podzielił konserwę na cztery części, lecz książę powiedział: „Nie, ja dziękuję. Nie jestem głodny”... i powiedział to z takim przekonaniem, że wszyscy mu uwierzyliśmy.

Następnego ranka oddziały 2. i 41. połączyły się, ciągle trwając przy zboczach wzgórza. Potem znalazły się pod ciężkim ostrzałem niemieckich dział kalibru 88 mm i własnej artylerii, która otworzyła ogień zaporowy na pozycję 41. oddziału w chwili, gdy ruszał do ataku na wzgórze „Pryszcz”. Zginął nowy dowódca oddziału, major Edwards - w ciągu trzech dni poległo dwóch dowódców tej jednostki. Zdołano jednak wysłać jeden pluton na wzgórze i utrzymywano je przez dwadzieścia cztery godziny, dopóki nie wycofało się ostatnich sześciu ludzi, którzy przeżyli i nie zostali ranni.

Ted Kelly tak wspomina Salerno:

W noc poprzedzającą lądowanie usłyszeliśmy w radiu, że Włochy się poddały. Pomyśleliśmy, że należy to uczcić i przygotować się na huczne powitanie, którego byliśmy pewni, zjedliśmy więc twardą czekoladę i cukierki z naszych żelaznych racji. Lądowanie w Vietri poszło zgodnie z planem, ale czekali na nas Niemcy i gdy dwa dni później zaczął kończyć się prowiant, byliśmy bardzo głodni. Krótco po wylądowaniu znaleźliśmy się na górującym nad całą doliną

wzgórzu nad Salerno. Daleko w dole widać było niemieckie czołgi. Jeden z naszych otworzył ogień z Breny, co wydało mi się wzniosłym, ale całkowicie bezsensownym gestem, w którego rezultacie znaleźliśmy się pod ogniem z dział czołgowych kalibru 88 mm. Seria pocisków przeleciała jakieś 15 stóp nad nami. Wyglądało to jak na obrazach przedstawiających ostrzał artyleryjski - płomienie w centrum, a wokół rozpryskujące się odłamki. Dwóch moich kumpli, Stan i Tim, zostało trafionych. Tim stracił rękę, Stan zginął. Mnie nie wpadł nawet pyłek do oka.

W kulminacyjnym momencie niemieckiego kontrataku walka była zażarta, byliśmy mocno naciskani. Potrzebowaliśmy wsparcia okrętów marynarki i właśnie otrzymaliśmy je. Niemcy strzelali celnie, pociski padały między naszymi pozycjami, było to niesamowite. Pociski wystrzelone przez nasze okręty wybuchły tak blisko mego okopu, że zostałem z niego dosłownie wymieciony. Mówiąc krótko - nie wiem, jakie szkody wyrządziło to Niemcom, ale mnie napędziło piekielnego stracha! Czternastego dnia akcji zachorowałem na malarię i zostałem odwieziony do szpitala. Byłem w nim nadal, gdy wycofywano 2. oddział, i martwiłem się, czy zdążę dołączyć do swoich, ale udało mi się to zrobić w Bari.

Bitwa o Salerno okazała się nieoczekiwanie zacięta. W pewnym momencie general Mark Clark, dowódca amerykańskiej 5. Armii, poważnie rozważał możliwość ewakuacji. Oddziały 2. i 41. odegrały ważną rolę w powstrzymaniu niemieckich kontrataków i utrzymaniu linii frontu. Brytyjska 8. Armia połączyła się ostatecznie 20 września z amerykańską 5. Armią, dziesięć dni później zajęty został Neapol.

Operacje desantowe na wybrzeżu włoskim przebiegały bardzo podobnie; zazwyczaj udawało się wylądować niepostrzeżenie lub napotykać na niewielki opór - Salerno było wyjątkiem - później przez kilka godzin lub nawet dzień nic się nie działo, a w końcu Niemcy uderzali.

„Miałem w życiu różnych przeciwników na polu bitwy - mówi generał Peter Young - lecz kto nie bił się z Niemcami, nie wie, co znaczy walka. Nawet przyciśnięci do muru znajdą coś, by w ciebie rzucić”. Prawdziwość tych słów potwierdziły dwie następne bitwy, w których brali udział komandosi, dowodzeni przez Johna Durnforda Slatera; awansował on na generała brygady i objął dowództwo nad operacją lądowania w Termoli.

Termoli, mały port u ujścia rzeki Bifurno na wschodnim wybrzeżu Włoch, leżał 10 mil za liniami nieprzyjacielskimi. Zmierzała do niego szybkim marszem 8. Armia. Włochy są krajem, w którym ukształtowanie terenu stwarza korzystne warunki dla obrony, a jedna z najlepszych linii obronnych rozciągała się wzdłuż Bifurno. Aby uniemożliwić Niemcom okopanie się za rzeką, generał Montgomery zdecydował wysłać dowodzone przez; Durnforda Slatera oddziały 3. i 40. oraz Special Raiding Squadron do Termoli, aby zajęły miasto i utrzymały je do przybycia 8. Armii.

Operacja otrzymała kryptonim „Devon”. Oddziały wypłynęły z Manfredonii 12 października 1943 roku o godzinie 11.30. Informacje wywiadu były bardzo skąpe, lecz 3. oddział komandosów zaintrygowany został wiadomością, że najprawdopodobniej jego przeciwnikami będą niemieccy spadochroniarze widziani w Punta dei Milati. Komandosi dotarli do brzegu tuż po północy. 3. oddział lądował bez problemów, lecz żołnierze 40. oddziału wpadli w głęboki rów za rzekomą plażą, stracili cały sprzęt radiowy i musieli brnąć przez głęboką wodę. Niektórzy żołnierze z SRS musieli nawet płynąć. Mimo to - ponieważ opór Niemców był słaby szybko zajęli miasto i o godzinie 8.00 komandosi byli już na docelowych pozycjach. Wzięli około pięciuset jeńców, z których większość stanowili żołnierze niemieckiej 4. Brygady Spadochronowej.

O godzinie 9.30 40. oddział zablokował drogę za miastem i odciął drogę posiłkom nieprzyjaciela. 3. oddział komandosów pozostał w mieście, SRS natomiast nawiązał już kontakt z oddziałem Lancashire Fusiliers z 8. Armii. W ciągu następnego dnia i nocy posiłki z 78.

Dywizji przekraczały rzekę i wchodziły do miasta. Ranek 4 października był spokojny, a koło południa Niemcy zaczęli silny kontratak.

Durnford Slater jadł właśnie lunch, gdy jeden z jego oficerów, John Pooley, zameldował, że zbliżają się „tabuny” niemieckich czołgów. Slater ogłosił alarm bojowy. Sytuacja stała się poważna, gdy wskutek długotrwałych opadów poziom wody w Bifurmo podniósł się tak wysoko, że został zniesiony jedyny most łączący komandosów z 8. Armią. Niemcy rzucili do ataku na miasto świeżo przerzuconą na ten odcinek frontu 6. (czy 16?) Dywizję Pancerną. Natarcie zaczęło się 5 października o świcie od bombardowania i ostrzału przez samoloty Luftwaffe. Potem rozpoczął się skoncentrowany ostrzał artyleryjski, a po nim szturm piechoty wspieranej przez czołgi. O godzinie 14.00 wszystkie jednostki brytyjskie, broniące Termoli na skrzydłach, zostały zmuszone do wycofania się. Miasta broniły tylko dwa bataliony piechoty i komandosi Durnforda Slatera. Niektóre oddziały piechoty zaczęły się wycofywać. Peter Young, przybyły prosto ze szpitala, i kapitan Peter Hellings z 40. oddziału zmusili uciekinierów do powrotu na pozycje i ostrzeliwania ogniem artyleryjskim czołgów nieprzyjaciela.

„To było mniej więcej wszystko, co zrobiłem - mówi Peter Young - ponieważ byłem w szpitalu i nie brałem udziału w desancie. Wszystkiego pilnowali Arthur Komrower, dowódca 3. oddziału, »Papa« Manners dowodzący 40. oddziałem i ten ogromny Irlandczyk Paddy Mayne, szef SRS”.

Na przedpolach Termoli trwał ciężki ostrzał, na miasto leciał grad pocisków z moździerzy. O zmierzchu niemieckie czołgi dotarły od zachodu na odległość około 100 jardów od pozycji 3. oddziału, a piechota znalazła się nawet bliżej kwatery dowództwa. Komandosi spokojnie wycofali się do Termoli i zaczęli przygotowywać się do walk ulicznych.

W tym czasie 40. oddział i SRS ciągle utrzymywały swe pozycje na obrzeżach miasta, chcąc pozostać tam, dopóki saperzy nie napra-

wią mostu na Bifurno i irlandzka 38. Brygada nie wejdzie do miasta. Rano 6 października komandosi odparli natarcie czołgów i piechoty od strony cmentarza miejskiego. Bitwa o Termoli zakończyła się. „Uczestniczyłem w wielu akcjach podczas wojny - napisał Durnford Slater - ale tylko wówczas myślałem, że naprawdę możemy przegrać”.

W końcu października 1943 roku oddziały 3. i 41. oraz SRS wróciły do Anglii, by przygotowywać się do inwazji Europy. Ich miejsce w 2. Brygadzie Służb Specjalnych zajęły oddziały 9. i 43. (piechoty morskiej). Dowódcą brygady został na początku listopada 1943 roku generał Tom Churchill, brat Jacka Churchilla. Jednostka stacjonowała w Casteliamaire, a kwatery główna mieściła się w Molfetta.

Generał Churchill chciał, by oddane mu świeżo pod komendę: 9. oddział komandosów, dowodzony przez pułkownika Ronniego Toda, i 10. międzyaliancki oddział komandosów zyskały jak najszybciej doświadczenie operacyjne. Belgowie i Polacy zostali odkomenderowani do oddziałów piechoty rozmieszczonych wzdłuż rzeki Sangro, gdzie pełnili nocną służbę patrolową, dopóki duże opady śniegu nie uniemożliwiły pieszych patroli. Tymczasem 9. oddział zorganizował wypad za rzekę Garigliano koło miasta Cassino.

Zadaniem komandosów było wylądować z morza, oskrzydlić pozycje nieprzyjaciela na północ od Garigliano, a następnie ruszyć w głąb lądu i zniszczyć most na rzece. Atak musiał być przeprowadzony pod osłoną ciemności. Komandosi wylądowali na plaży na północ od rzeki nocą z 29 na 30 grudnia 1943 roku. Operacja „Partridge” tak została opisana w *Historii 9. oddziału komandosów*:

W poprzednich trzech latach niemal żadna operacja, w której planowano udział naszej jednostki, nie doszła do skutku. W ciągu następujących trzech miesięcy niemal wszystkie zaplanowane operacje zostały przeprowadzone. 5. Armia dotarła do Garigliano i została zatrzymana przez nieprzyjaciela, mocno okopanego w górach na północ od rzeki i dalej na wschód, w Cassino. Szkolenie na potrzeby operacji trwało

trzy tygodnie. Przeprowadzono wiele próbnych lądowań z transportowców „Princess Beatrix” i „Royal Ulsterman”.

Operacja zaczęła się źle - komandosi wylądowali 1000 jardów od właściwej plaży i z półtoragodzinnym opóźnieniem. Jedna z barek desantowych zepsuła się i nie dopłynęła na przyczółek, mimo to wszyscy znaleźli się na brzegu. Ruszyli do ataku podzieleni na trzy grupy: X, Y i Z; podczas zdobywania pozycji nieprzyjaciela u ujścia Garigliano grupa X straciła pięciu ludzi.

Kapitan McNeil poprowadził grupę Y do ataku na niemieckie pozycje na wzgórzu leżącym na północ od plaży, na której wylądowano. Grupa po przejściu przez zaminowany teren zdobyła pozycje niemieckie i zniszczyła czołg. Grupa Z przekonała się, że nizina położona za plażą została zalana, opleciona zasiekami i zaminowana, zaatakowała jednak pozycje niemieckie wokół rzymskiego amfiteatru. Następnie oddziały wycofały się do miejsca położonego około 1 mili od morza, gdzie znajdował się zrujnowany most. Kapitan Mike Long zaczął przeprowadzać ludzi na drugi brzeg rzeki, obsadzony przez oddziały brytyjskie.

Mówi Mike Long:

Kolejnym problemem była przeprawa przez rzekę i dotarcie do naszych linii. Było nas około dziewięćdziesięciu oraz jeńcy. Rzeka miała koło około 30 jardów szerokości. W wodzie leżało kilka filarów zburzonego mostu, mogliśmy więc wykorzystać je i przejść po nich około 8-9 jardów. Następnie była przerwa długości mniej więcej 15 jardów; widać było inne filary wystające tuż nad wodą, ale najgorsze było ostatnie 8 jardów do brytyjskiego brzegu. Wypatrzyliśmy filary pośrodku rzeki, bardzo rwącej i zimnej. Przynieśliśmy liny, a ja zgłosiłem się do majora Camerona i powiedziałem, że - moim zdaniem - da się dopłynąć do filarów pośrodku i że chciałbym spróbować.

Popłynąłem więc i przywiązałem linę do filarów. Po mnie przepłynął rzekę szeregowiec z drugą liną, którą przywiązał jednym

końcem do filaru, drugim do drzewa na brytyjskim brzegu. Mielśmy kamizelki ratunkowe, które wszyscy włożyli przed wejściem do wody. Następny w kolejce był żołnierz z plecakiem, który skoczył do rzeki i nie złapał liny. Został zniesiony przez nurt i zniknął pod wodą, więcej go już nie zobaczyliśmy.

Inni, trzymając się liny, przeprawiali się na drugi brzeg. Około godziny 6.00 zaczynało robić się jasno, wówczas nasza artyleria postawiła zasłonę dymną i ogniową, a Niemcy zaczęli do nas strzelać z moździerzy i dział. Na szczęście, grunt był bardzo miękki i mimo że zostaliśmy obrzuceni ziemią poderwaną przez eksplodujące pociski, nikt nie został ranny. O godzinie 8.00 wszyscy byliśmy na drugim brzegu.

Większość żołnierzy 9. oddziału komandosów wróciła znad ujścia Garigliano na barkę desantową. Straty podczas operacji „Partridge” wyniosły około trzydziestu ludzi, w tym dziewięciu zabitych. Komandosi wykonali zadanie, zabili szesnastu Niemców i mieli dwudziestu sześciu jeńców. Operacja zakończyła się sukcesem. 9. oddział otrzymał pochwałę od naczelnego dowództwa. Radosny nastrój został niestety zakłócony przez przykry wypadek. Podpułkownik Tod dostał rozkaz wysłania patrolu, który miał przynieść ciała kilku zabitych, pozostawione na brzegu rzeki. Ciało nie odnaleziono, teren okazał się zaminowany, a bardzo lubiany sierżant stracił stopę.

Po świętach Bożego Narodzenia, gdy wojska alianckie stanęły przed Cassino, 2. oddział komandosów dostał rozkaz przygotowania się do operacji, którą miał przeprowadzić wspólnie z partyzantami jugosłowiańskimi w Dalmacji. 40. oddział miał współdziałać z 56. Dywizją, oddziały 9. i 43. natomiast przerzucono na północ, gdzie miały przygotować się do desantu pod Anzio, daleko za liniami niemieckimi.

9

ANZIO, 1944

Na wojnie każda zwłoka jest niebezpieczna.

John Dryden, 1649

Desant pod Anzio, niedaleko Rzymu, był próbą oskrzydlenia linii Gustawa i zmuszenia Niemców do wycofania się z pozycji wokół Cassino, gdzie utrzymywali się od miesięcy, odpierając atak za atakiem i zadając wielkie straty armiom sprzymierzonym. Anzio także stało się obleganym przyczółkiem, o który wiele miesięcy toczyły się walki, dopóki linia Gustawa ostatecznie nie padła.

Desant pod Anzio, czyli operacja „Shingle”, był powtórką innych operacji desantowych we Włoszech. Oddziały alianckie lądowały na brzegu niemal niepostrzeżenie i posuwały się naprzód, a potem Niemcy rozpoczęli kontratak i zatrzymywali je. W Anzio błąd został popełniony pierwszego dnia - alianci nie posunęli się w głąb lądu, mimo że nie napotkali żadnego oporu, i nie poszerzyli przyczółka. Gdy Niemcy zlokalizowali ich pozycje, to dobrowolne „wyhamowanie” zaowocowało krwawymi walkami, które trwały od 21 stycznia aż do końca maja 1944 roku; wojska alianckie poniosły bardzo ciężkie straty. Na początku jednak wszystko wydawało się proste.

Kapitan Lucas z 9. oddziału komandosów:

Na początku stycznia oficerowie 9. oddziału dowiedzieli się, że jednostka ma wziąć udział w desancie, po wylądowaniu zająć duże

miasto i utrzymać je, w całości lub w części, do przybycia większych sił, a potem wycofać się. Komandosi mieli być uzbrojeni w szybkostrzelne karabiny maszynowe Vickers K, tego samego typu jak używane w myśliwcach. Dostarczono broń i wkrótce zaczęło się szkolenie. Cała jednostka miała wylądować i zostać dowieziona do celu jeepami. Napomykano o delcie dużej rzeki i nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by domyślić się, że chodzi o Tyber i o Rzym. Mniejsza o to dlaczego, ale wielu z nas nie przeżyło zawodu, że ten nedorzeczny - nawet dla komandosów - plan został zarzucony i że nie będziemy jako pierwsi przecierać szlaków bojowych w Wiecznym Mieście.

Naszym zadaniem było wylądowanie wraz z dużymi siłami sprzymierzonych na plażach na północ od Anzio, zniszczenie niemieckiej łączności za linią Gustawa i wsparcie głównych sił, mających atakować przez rzekę Garigliano. Brytyjska 1. Dywizja Piechoty miała wylądować jako pierwsza i zająć pozycje na wzniesieniu odległym około ćwierć mili od plaży. Oddziały 9. i 43. miały lądować w drugiej kolejności, przekroczyć pozycje w punkcie utrzymywanym przez Gwardię Szkoeką, przejść 7 mil i zająć wzgórze leżące przy głównej drodze do Rzymu, około 5 mil na północ od Anzio, i utrzymać je do chwili, gdy przyczółek zostanie powiększony aż do naszej pozycji. Potem mieliśmy zostać zlurowani i wrócić do bazy. Nie spodziewano się wielkiego oporu na samym początku, prawdopodobna była jednak bardzo szybka reakcja ze strony nieprzyjaciela - i liczone, że tak się stanie, bo taki był cel tej operacji.

Komandosi zaokrętowali się na „Derbyshire” 21 stycznia i wylądowali następnego dnia krótko przed świtem, rzeczywiście nie niepokojeni przez nikogo. Nastąpiło małe zamieszanie, gdy barki wiozące wszystkich komandosów, z wyjątkiem sztabu i 3. plutonu (broni ciężkiej) z 9. oddziału, osiadły na mieliźnie w pewnej odległości od brzegu. Generał znalazł się na brzegu bez większości swoich podkomendnych na mniej więcej godzinę. 3. pluton nie narzekał jednak - od nieprzyjaciela oddzielali nas gwardziści, mieliśmy też bardzo ciężki ekwipunek i byliśmy zadowoleni, że możemy iść na

czyle kolegów. Od czasu do czasu otwierało do nas ogień tylko jedno działo (kalibru 88 mm). Natknąłem się na generała w chwilę po tym, jak jego ordynans został ranny pociskiem z tego działa. Generał zgodził się, że powinienem doprowadzić mój oddział na teren utrzymywany przez 1. Dywizję i tam zaczekać na resztę przyjaciół.

3. pluton, niosący trzycalowe moździerze i karabiny maszynowe Vickers i amunicję załadowaną na ręczne wózki ze stalowych prętów obciążonych płótnem, miał udać się ścieżką biegnącą kilkaset metrów na północ, wejść na wzniesienie, na którym okopali się gwardziści, i znaleźć ścieżkę prowadzącą na południe, równoległą do brzegu. Powiedziałem porucznikowi Davidowi Ballsowi, dowódcy sekcji moździerzy, że wraz z moim przybocznym Tedem Healeyem spróbuję znaleźć ścieżkę przez las, on natomiast przeprowadzi oddział dłuższą drogą, zgodnie z planem.

Wyruszyłem z Healeyem, mijając zabezpieczone workami z piaskiem stanowisko działa. Znaleźliśmy początek ścieżki, zamieniliśmy słowo z jednym czy dwoma gwardzistami i siedliśmy, by zapalić papierosa i poczekać na naszych kolegów idących brzegiem. Healey powiedział: „Działo już nie strzela”. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, ze stanowiska, które minęliśmy, wyskoczyło trzynastu Niemców, rzucili broń i poddali się nam, mamrocząc coś o swoim obowiązku. W tym czasie sekcja prowadząca 9. oddział prawie już do nas dotarła, a jednocześnie zbliżał się 3. pluton, przekazałem więc jeńców gwardzistom i wszyscy ruszyliśmy w drogę.

Szliśmy przez las z ubezpieczeniem bocznym i szpicą, aby uniknąć zaskoczenia. Dla 3. plutonu droga okazała się bardzo męcząca, ponieważ małe koła wózków grzęzły w piachu. Po mniej więcej godzinie, gdy mijaliśmy małe gospodarstwo, David zarekwirował wóz zaprzężony w wołu, dzięki czemu mogliśmy iść znacznie szybciej. 43. oddział odłączył się i skierował na prawo, aby zaatakować cel frontalnie, my natomiast poszliśmy naokoło, by uderzyć od tyłu. Było zupełnie spokojnie do chwili, gdy sekcja prowadząca dotarła do drogi - usłyszeliśmy wówczas warkot motocykla i krótkie serie z broni

automatycznej, ponieważ sekcja ostrzelała niemieckiego motocyklistę. Odważny gość - gdy pierwsza seria wytrąciła mu karabin, podjął desperacką próbę ucieczki, co kosztowało go życie. Zlokalizowaliśmy w końcu nasz cel i szybko zajęliśmy pozycje do ataku. Trzycałowe moździerzce zostały wycelowane i przygotowane do wsparcia ataku pociskami odłamkowymi i dymnymi, karabiny maszynowe miały osłaniać szturm na lewym skrzydle, które wydawało się najbardziej zagrożone.

Komandosi ustawili karabiny maszynowe na pozycjach wokół kilku gospodarstw. Szedłem do dowództwa, by powiedzieć, że jesteśmy gotowi, gdy zostałem zawołany przez sierżanta namierzającego nasz cel, znajdujący się w odległości około 2000 jardów. Zauważyliśmy jakiś ruch, coś czerwonego i białego - kobieta rozwieszała pranie. Znaleźliśmy się w sytuacji wręcz nierzeczywistej, na spokojnej wsi, której mieszkańcy byli zupełnie nieświadomi naszej obecności, a tym bardziej naszego zamiaru rozpętania nad ich głowami wojny. Spojrzawszy znów na nasz cel, zobaczyłem grupę Niemców schodzących z boczem w naszą stronę z podniesionymi rękami. Byli bardzo młodzi i wystraszeni. Wyglądało to tak, jakby uciekli marines tylko po to, by wpaść w nasze ręce.

W ciągu następnych 48 godzin nastąpiła szybka koncentracja ludzi i sprzętu. Artyleria polowa i średniego zasięgu, czołgi, działa samobieżne i przeciwlotnicze, amunicja, magazyny, punkty pomocy medycznej i szpitale polowe - wszystko, czego potrzebuje armia obejmująca przyczółek. Trzeciego dnia zostaliśmy zlurowani i wróciliśmy do Anzio, a stamtąd popłynęliśmy do Bacoli. W pamięci utkwiło mi kilka wydarzeń. Pierwszego ranka ucieliśmy sobie pogawędkę z załogami czołgów, wracającymi z patrolu na przedmieściach Rzymu. W czasie, gdy oni jechali do Anzio, nad naszymi głowami w regularnych odstępach przeraźliwie gwizdały pociski, wystrzeliwane przez „Anzio Archie”, niemieckie działa kolejowe. Natomiast gdy staliśmy na miejskim placu, czekając na wejście na pokład, „Anzio Archie” wystrzeliło do nas, ale nie wyrządziło żad-

nych szkód. Na chwilę przed opuszczeniem tego miejsca ogarnęło mnie niewytłumaczalne, niezwykle silne przecucie nieszczęścia - jakbym przewidział wszystkie straszne rzeczy, jakie będą się tu działy w najbliższych tygodniach. Uczucie to znikło na szczęście równie szybko, jak się pojawiło.

Oddziały 9. i 43. wylądowały pod Anzio 21 stycznia 1944 roku o godzinie 5.30 i ruszyły w stronę pobliskich wzgórz. Utrzymywały kontakt z 3. batalionem rangersów, napotkały na niewielki opór i zostały wycofane 24 stycznia do bazy w Bacoli, na północ od Neapolu. Jak mówi *Historia 9. oddziału komandosów*: „Nigdy nie noszono więcej amunicji i nigdy mniej nie strzelano”.

Trzy dni później oba oddziały zostały wysłane, by wesprzeć 46. Dywizję, która przekroczyła Garigliano i wolno torowała sobie drogę w górzystym rejonie na północ od rzeki. 46. Dywizja zajęła wprawdzie dwa szczyty, Monte Turlito i Monte Fuga, w okolicy znajdowały się jednak dwie wyższe góry: Monte Ornito z dwoma szczytami (zwanymi Ornito i Punkt 711) oraz Monte Faito, górująca nad całym rejonem. 9. oddział miał oczyścić drogę za tymi dwiema przeszkodami, a nie było to łatwe zadanie.

Dowódca brygady zdecydował, że komandosi obejdą Monte Fuga i zaatakują Faito i Ornito od północnego wschodu. Oznaczało to marsz doliną prosto na północ od Monte Fuga, gdzie należało liczyć się z oporem nieprzyjaciela, uniknięto by jednak przy tym ciężkiego ostrzału niemieckiego, który dał się we znaki oddziałom atakującym szczyty Fugi i Turlito oraz posuwającym się leżącą za nimi doliną. 43. oddział wyruszyło od Turlito, ominął Monte Fuga, kierując się na północny wschód, a następnie na północny zachód, i dotarł do Monte Ornito. Po zdobyciu Ornito komandosi skierowali się na południowy zachód, do Punktu 711.

Opowiada porucznik Leslie Calif z 9. oddziału komandosów:

Oba oddziały miały trudne zadanie do wykonania. Nie mieliśmy szans

na zaskoczenie przeciwnika, zwłaszcza w przypadku dalej położonego Monte Faito, a nasze informacje o tym, co się tam dzieje, były co najmniej skromne. Nie napotkaliśmy żadnej obrony, ale podejść na szczyty, zwłaszcza Monte Faito, strzegły dobrze usytuowane stanowiska broni maszynowej, a co najważniejsze, znajdowało się tam kilka stanowisk obserwacyjnych, które mogły - i zrobiły to - spowodować skoncentrowany ostrzał artylerii i ciężkich moździerzy.

43. oddział przypuścił szturm i zdobył Ornito bez specjalnych trudności, podczas gdy 9. oddział natknął się na kilka odosobnionych stanowisk niemieckich na północ od Ornito. 4. pluton, wspierany przez pluton 1. i 2., zaatakował je i wziął jeńców. Byliśmy teraz rozciągnięci na skalistej przełęczy, a 5. pluton miał nas poprowadzić do ostatecznego natarcia. Przez większość drogi wokół wschodniego stoku Ornito cała kolumna była ostrzeliwana ciągłym ogniem dział i moździerzy. Gdy plutony 5. i 6. ruszyły naprzód, cały teren zasypyany został gradem pocisków, trwało to chyba całe wieki. Oba plutony parły dalej, reszta próbowała wygrzebać jakąś osłonę w kamienistym gruncie. Nie wiem, co było lepsze, lecz woląłem iść najszybciej, jak mogłem.

Ta scena najżywiej utkwiała mi w pamięci. Oślepiający błysk wybuchów, pokrywające wszystko odłamki skał i pocisków, krzyk rannych - to było straszne. A do tego z przodu i z prawej strony usadowiły się dwa stanowiska broni maszynowej i siekły w kolumnę komandosów pociskami smugowymi.

5. pluton (czy raczej to, co z niego zostało) zaatakował stanowisko z przodu i wziął dwóch jeńców. 6. pluton stracił jednego żołnierza, a dwóch zostało rannych, zanim udało się uciszyć bardzo zdeterminowaną obsadę stanowiska z prawej strony. Mocno uszczuplone plutony 5. i 6. zaczęły teraz wspinać się na niżej położone zbocza Monte Faito, a grupa szturmowa szła jako straż przednia. Ponieważ straty były bardzo poważne, około pięćdziesięciu procent (zginęli m.in. dowódca oddziału i jego zastępca), wydano rozkaz wycofania się i koncentracji na stokach Monte Ornito. Monte Faito została ostatecznie zdobyta 12

maja, trzy i pół miesiąca później, przez *goumiers* z francuskiej Marokańskiej Dywizji Górskiej.

Opowiada kapitan Harry Lucas:

Mieliśmy dwa karabiny maszynowe Vickers i dwa trzycalowe moździerze, wszystko zapakowane w co najmniej dziesięć ciężkich tobołów. Pociski do moździerzy ważyły 10 funtów każdy, mieściły się po trzy w skrzynce, a każdy żołnierz niósł dwie skrzynki, czyli ciężar o wadze 60 funtów, także amunicja do broni maszynowej ważyła bardzo dużo, a karabiny były nienasycone - wystrzeliwały 250 nabojów, jedną taśmę na minutę. Wszystko to, dodane do zwykłego ekwipunku i broni osobistej, tworzyło ogromny ciężar, który musiało przemieszczać 36 ludzi. To właśnie sprawiło, że nie byliśmy w stanie dokonywać krótkich wypadów, co miało być pierwotnie rolą komandosów - odsunięto nas, na przykład, od udziału w operacji „Partridge”.

Od większości kłopotów z transportem ciężarów miały nas, co prawda, uwolnić muły, ale zamiast tego przysporzyły nam kolejnych problemów. Muły nie nawykły do strzelaniny. Jeden zwierzak czmychnął z płytą oporową moździerza na grzbiecie i nigdy więcej go nie widzieliśmy, a jeden z dwóch moich moździerzy stał się bezużyteczny. Tak czy inaczej - od tej chwili musieliśmy zrezygnować z mułów i dźwigać wszystko sami. Mój niepokój budziła jeszcze jedna kwestia. Nasze karabiny maszynowe i moździerze znakomicie sprawdzały się w ataku pod warunkiem, że ostrzał był kontrolowany przez oficera obserwacyjnego, mającego rozeznanie, skąd padają strzały i gdzie znajdują się nasze oddziały. W przeciwnym wypadku mogło powstać zagrożenie dla naszych ludzi.

W sytuacji, gdy mieliśmy atakować nocą, w skrajnie trudnych warunkach, w górach i bez rekonesansu, te niebezpieczeństwa i trudności mogły się spotęgować. Rozumiał to zastępca dowódcy 9. oddziału, Francis Clark, obsługujący karabin maszynowy i doskonałe radzący sobie z moździerzami. Także pułkownik Tod stwierdził, że

może nastąpić krwawa jatka, jeśli przypadnie decydujący element zaskoczenia.

Okolo godziny 20.00 sztab oddziału komandosów i oddział strzelców minęły pozycje 3. plutonu i ruszyły do ataku, docinając żartobliwie żołnierzom, którzy nie pozostali dłużni. Byliśmy jednak niespokojni. Wydawało się, że nieprzyjaciel utrzymuje się w tych górach, mając stosunkowo niewielkie siły, lecz bardzo silną artylerię, wszystko zależało więc od szybkiego zdobycia pozycji i umocnienia się na nich, zanim Niemcy zdołają zareagować.

Wyprawiano się do sztabu brygady, aby zasięgnąć informacji, panowała jednak cisza radiowa i niewiele można było usłyszeć poza sporadycznymi seriami strzałów (niektóre były dość gwałtowne). Potem, po zdobyciu Ornito, przybyli pierwsi jeńcy.

Wspiąłem się po zboczu Fugi, by zobaczyć, czy coś się dzieje wokół Faito. Z Fugi obserwowaliśmy przez prześwit między Punktem 711 a Ornito wyjątkowo silny, trwający wiele minut ostrzał doliny prowadzącej na północny zachód, do niższych partii Faito. Miał tamtędy przechodzić 9. oddział komandosów.

Ciągły ogień z dział i moździerzy, setki pocisków (prawdopodobnie kalibru większego niż 88 mm) świadczyły dobitnie, że 9. oddział nie zdołał zaskoczyć nieprzyjaciela. Później dowiedzieliśmy się, że zginęła lub została ranna więcej niż połowa sztabu i czterech dowódców plutonów, między innymi oficer dowodzący, jego zastępca, oficer wywiadu, co najmniej czterech innych oficerów i wielu starszych podoficerów.

Mike Allen uczestniczył w tych wydarzeniach:

Pamiętam, że zostaliśmy silnie ostrzelani przez naszą artylerię, gdy lizaliśmy rany na wysuniętym zboczu Monte Ornito. Nieco wcześniej przeżyliśmy podobny, wyniszczający ogień nieprzyjaciela po drodze na Ornito. Pomyłka była konsekwencją błędnego odczytania mapy przez oficera, który przekazywał współrzędne celów naszej artylerii. Pomyłka została szybko sprostowana.

Ponownie Harry Lucas:

O godzinie 3.02, krótko po wschodzie słońca, poszedłem z Tedem Healeyem na zwiad, aby dowiedzieć się, co dzieje się na przedpolu i nawiązać kontakt z dowództwem oddziału. Natknęliśmy się na wielu rannych, między innymi kapitana Mike'a Logana i poruczników Martina Ferreya i „Ally'ego” Wilsona - ten ostatni miał dziurę zamiast oka i poranioną twarz. Sanitariusze przynosili na noszach ciężiej poszkodowanych. Gdy obchodziliśmy od wschodu Monte Ornito i weszliśmy do długiej doliny, prowadzącej na północny zachód, w stronę niższych partii Faito, widzieliśmy wielu zabitych, zwłaszcza na zboczach przylegającym do Faito. Pozostaliśmy tam może dwadzieścia minut, nie widzieliśmy nikogo i na pozór nikt nas nie zauważył, ani nasi, ani nieprzyjaciel, z czego wysnułem wniosek, że nasze oddziały zajęły Faito lub że przynajmniej nie ma tam Niemców.

Po powrocie do oddziału musiałem zameldować się generałowi, który rozkazał mi doprowadzić 3. pluton na pozycje na Monte Ornito, dokąd zostały wycofane resztki 9. oddziału i gdzie spodziewano się kontrataku. Wykonując rozkaz, najpierw poszedłem zobaczyć, czy wśród lżej rannych, snujących się wokół punktu pomocy medycznej, znajdują się jacyś ochotnicy. Chodziłem między nimi i mówiłem, że idę naprzód z 3. plutonem i potrzebny jest każdy żołnierz, bo trzeba utrzymać teren, który zdobyli tak wielkim kosztem. Kapral Walsh z mojego dawnego 4. plutonu, świetny żołnierz i dzielny człowiek, odznaczony później Krzyżem Walecznych, powiedział: „Nie mogę prosić tych ludzi, aby teraz wrócili do walki, sir - może rano, ale nie teraz”. Uwierzyłem mu i wróciłem do mojego oddziału.

Należy podkreślić, że każdy z tych żołnierzy powrócił do jednostki następnego dnia lub niewiele później i nim minął miesiąc, walczyli wspaniale na przyczółku pod Anzio. To byli żołnierze najdzielniejsi z dzielnych, ale w owym momencie znajdowali się w szoku po bombardowaniu, którego byłem świadkiem. Poszedłem na przedzie wraz z grupą zwiadowczą, do której należał między innymi

porucznik David Balls, aby utrzymywać kontakt z dowództwem i wybrać stanowiska dla karabinów maszynowych i ocalałego mężczyzny. Resztę oddziału prowadził starszy sierżant. Mieli z sobą tyle ciężkiej broni i amunicji, ile zdołali unieść. Nastroje były dobre, szliśmy przecież walczyć i zwyciężać, a sporadyczny ostrzał podnosił nam tylko poziom adrenaliny. Nagle wydarzyło się nieszczęście.

Pocisk trafił w środek grupy zwiadowczej i ciężko mnie zranił, tak że opuściłem Włochy na noszach; trzy miesiące spędziłem w szpitalu w Blightly, następne osiemnaście miesięcy w oddziale operacyjnym komandosów. Na szczęście nikt inny nie został trafiony, oddział ruszył dalej pod dowództwem porucznika Balisa. O dalszych losach 3. plutonu powinni opowiedzieć naoczni świadkowie, wiem jednak, że do końca wojny spisywał się doskonale. David Balls poległ pod Anzio, jeden z jego następców nad - Lago Comacchio.

Warto może opowiedzieć o moich przeżyciach po tym, jak zostałem ranny. Nasz sanitariusz opatrzył mi rany i troskliwie się mną opiekował. David zrobił mi zastrzyk z morfiny i dodawał otuchy. Byłem nieco przygnębiony, ponieważ nie miałem czucia poniżej bioder i przypuszczałem (co okazało się prawdą), że zostałem trafiony w kręgosłup. Zaniesiono mnie na noszach do punktu medycznego w pobliżu sztabu brygady, tam doktor John d'Arcy dał mi trzydzieści tabletek sulfatiazolu, zastosował środki przeciw gangrenie, na nowo opatrzył wszystkie rany, a potem poświęcił swoją uwagę bardziej obiecującym przypadkom.

Czterech jeńców niemieckich, którzy nie wyglądali na specjalnie przygnębionych swoim losem, przeniosło mnie na teren tuż za granicę; za wątpliwą osłoną z kamieni leżał tam na noszach długi szereg rannych, czekających na ambulans. Leżałem twarzą do dołu, nie mogłem więc widzieć, co się dzieje. Od czasu do czasu padały pociski, niektóre daleko, inne całkiem blisko. W pewnej chwili nadszedł kapelan i zaproponował, że pomodli się ze mną.

Jakby w odpowiedzi na moją modlitwę pojawił się sierżant Miller z 2. plutonu (jego matka była sąsiadką mojej ciotki w Bornemouth) i

zapytał, czy nie napiłbym się czegoś. Powiedział, że oficer dowodzący leży na trzecich noszach za mną. „Flaszka wystaje mu z kieszeni, a on mocno śpi. Pożyczę ją”... i tak zrobił. Zapytałem go o godzinę, było około 16.00. Zostałem trafiony około 13.00 - wyglądało na to, że nieprędko się to skończy. Na szczęście, byłem na wpół przytomny i dziwnie obojętny na to, co się dzieje. Wiedziałem już, że nic nie mogę zrobić, i wydawało mi się, że wojna już się dla mnie skończyła.

Moi noszowi szamotali się, potykali, padali, klęli, upuszczali mnie i podnosili, czasem miałem głowę wyżej niż nogi, a czasem odwrotnie. Jedną ze zmian stanowili bardzo weseli Gurkhowie, którzy śmiali się bez przerwy i zawsze, gdy ostrzał był zbyt bliski, upuszczali mnie na ziemię i kładli się na mnie. Miałem jednak i tak więcej szczęścia niż ci moi koledzy, których transportowano na noszach przywiązanych do naszych starych przyjaciół, mułów. Cały ten czas wspinali się za nami z mozołem po wąskiej ścieżce żołnierze pułku Hampshire, który miały zluzować naszą brygadę. Jednym z żołnierzy był mój kuzyn, ale w chwili, gdy przechodził tuż obok mnie, spałem lub byłem nieprzytomny.

Wreszcie dotarliśmy do naszego głównego punktu zbiorczego. Oficer administracyjny Andrew Cochrane pochylił się nade mną: „Kto to jest? Harry, mój biedny druhu. Przykro mi widzieć cię w tym stanie. No tak, nie potrzebujesz już swoich rzeczy, zabieram twoje buty, hełm, kompas, rewolwer i lornetkę polową”. Przekonałem go, że lornetka to moja własność, ale resztę zabrał. Najsprawniejszy oficer administracyjny, ten nasz Andrew.

Jeszcze jedna grupa noszowych zabrała mnie w dół, do drogi, potem krótka jazda na noszach w jeepie przez most pontonowy, następnie ambulansem (przerobionym z ciężarówki) do szpitala. Odzyskałem już wówczas całkowicie świadomość i zdawałem sobie sprawę, że leżący na noszach obok mnie sierżant Albert Cruishank z 4. plutonu ma krwotok - stracił nogi mniej więcej dobie wcześniej. Na szczęście Albert przeżył, zmarł w 1987 roku. Operował mnie na-

tychmiast i z doskonałym skutkiem major Robb z Korpusu Medycznego Królewskich Sił Zbrojnych wraz z zespołem chirurgów; jestem im dozgonnie wdzięczny. Wyjął z mojej jamy brzusznej kilka odłamków pocisku, pełną garść kawałków mapy i mapnika, kwiatów i rozmaitych „pamiątek z Włoch”. Powiedział mi jednak, że musiał zostawić kawałek odłamka wbity między dwa kręgi lędźwiowe, ale i tak jestem szczęściarzem i szybko dojdę do siebie. Miał całkowitą rację.

Podczas operacji pod Ornito do 2. Brygady Służb Specjalnych dołączył niespożyty admirał sir Walter Cowan. Wzięty do niewoli w Afryce Północnej, gdzie po raz ostatni widziano go atakującego czołg tylko z pistoletem kalibru 9 mm, został uznany przez Włochów za „71-letniego starca, zbyt wiekowego, by nadal brać udział w wojnie”, po czym natychmiast wrócił do komandosów. Wkrótce potem pomagał pod Ornito rannemu pułkownikowi Todowi zejść z pola bitwy. 9. oddział komandosów stracił wówczas jedną czwartą swoich ludzi, w tym połowę oficerów, ale nadal brał udział w walkach.

29 lutego oddział 9. i 40. znów przerzucono pod Anzio, gdzie w ciągu poprzednich trzech tygodni sytuacja gwałtownie się pogorszyła. 40. oddział komandosów dołączył do 169. Brygady Piechoty, 10 mil na północ od miasta. Tego samego dnia 9. oddział komandosów zajął pozycję na zachód od Anzio, w poprzecinanym głębokimi parowami rejonie utrzymywanym przez 167. Brygadę. Dowodził znów podpułkownik Tod, wyleczony już z ran odniesionych pod Ornito. W ciągu ośmiu dni 9. oddział komandosów nie tylko utrzymywał swój odcinek linii frontu, ale wysłał jedenaście patroli bojowych, zabijając lub biorąc w niewolę 62 żołnierzy nieprzyjaciela; poległo przy tym lub odniosło rany 19 komandosów.

10 marca pułkownik Tod dostał rozkaz zorganizowania natarcia, oznaczonego kryptonimem „Operacja X”, którego celem było oczyszczenie od nieprzyjaciela trzech wąwozów położonych tylko 500 jardów od przyczółka. Wąwozy te miały kryptonimy „Haydon”,

„Laycock” i „Charles”. W środku tego rejonu znajdowało się niewielkie wzgórze, zwane „Beechers”.

Opowiada kapral Clifford Searle:

Mieliśmy wrażenie, że bierzemy udział w nietypowym zadaniu. Przydzielono nam kapitana Callfa, wysłano patrole z 5. plutonu do wąwozu, aby zebrać informacje o przeciwniku.

Zbliżając się do wąwozu, znalazłem ukrytego w rowie, mocno wystraszonego młodego żołnierza. Wyznał mi, że ma szesnaście lat i że tego dnia, kiedy przybył do Włoch, został od razu wysłany na front. Mogłem mu tylko powiedzieć, że raczej nie ma się czego bać, zwłaszcza że jest otoczony przez swoich, i poradziłem, by jak najszybciej wyjawil przełożonym swój prawdziwy wiek. Wkrótce potem znaleźliśmy porzucone resztki prowiantu niedawno zaginionej kompanii. Gdy szliśmy do wąwozu, tyły osłaniała jak zwykle sekcja moździerzy. Byliśmy ostrzeliwani z góry, z prawej strony. Pocisk z broni automatycznej trafił Tommy'ego Bostocka w rękę i przypadliśmy do ziemi. Powiedziałem koledze obsługującemu moździerz, by posłał kilka serii pocisków nieco wyżej, a kapitan Callf szybko poderwał nas nowo do ataku. Natarliśmy na zbocze wąwozu i doszliśmy do szczytu w rozciągniętym szyku, z bagnietami na karabinach, wrzeszcząc i strzelając.

Kapitan Leslie Callf, odznaczony Krzyżem Wojennym:

Najbardziej poruszającym i wspinałym momentem na wojnie był dla mnie czas, gdy pod Anzio prowadziłem mój pododdział do ataku na doborowy oddział niemieckich spadochroniarzy. 5. pluton miał mniej więcej połowę stanu etatowego - jednego oficera i dwudziestu ośmiu podoficerów i żołnierzy. Przybyliśmy o świcie i skontaktowaliśmy się z oficerem pełniącym służbę, by zasięgnąć informacji o nieprzyjacielu. Jedyne, co uzyskaliśmy, to bezradny gest ręki wskazującej wąwóz i słowa: „Tu... gdzieś tu na dole... Właśnie zostałem awansowany na majora!”. Z tymi słowami oficer zniknął w ziemiance i

zostawił nas samych sobie. Grupa uderzeniowa pod dowództwem kaprała Bostocka ruszyła na przedzie, osłaniana przez karabin maszynowy umieszczony w najwyższej partii wąwozu. Nasze wypadki i patrole odbywały się zazwyczaj w ciemnościach, lecz dziś wyjątkowo musieliśmy iść na akcję w pełnym świetle dnia. Wróg był dobrze okopany w terenie górującym nad wąwozem i zaczął ostrzelać z broni automatycznej. Kapral Bostock został trafiony w dłoń, gdy naciskał spust.

Jedynym sposobem wykonania zadania był atak na bagnety. Opuściliśmy wąwóz i rozproszyliśmy się w terenie poniżej pozycji wroga. Breny na skrzydłach miały osłaniać nas ogniem. Strzelec Storey, który znajdował się tuż za mną, został zabity, gdy podchodziliśmy na pozycję. Każdy z nas zawsze nosił dwa granaty dymne nr 77, mógł więc postawić krótkotrwałą zasłonę dymną długości około 40 jardów. Żołnierze byli dobrze wyszkoleni, rzucili granaty i pognali przez dym jak szaleni. Nigdy nie zapomnę tej chwili. W pełnym świetle dnia musieliśmy przebiec około 60 jardów po odkrytym terenie, mając naprzeciw siebie dobrze okopanych niemieckich spadochroniarzy. Spojrzałem na prawo, na lewo, na sierżanta sztabowego Walsha i dałem rozkaz: „Rzucić!”, a gdy rozszedł się dym, ruszyliśmy ostro.

Myślę, że nadbiegając w kłębach dymu, wyglądaliśmy jak przeżajające zjawy. Wielu Niemców zginęło, inni się poddali. Mieliśmy trzech zabitych i dziewięciu rannych. Nie jestem pewien, ilu Niemców raniliśmy, ale oficjalny raport mówił o 25 zabitych i 23 wziętych do niewoli. Było to blisko dwa razy więcej, niż liczył w tym dniu 5. pluton.

Kapral Hankinson brał udział w „Operacji X”:

Szliśmy nocą, z ubezpieczeniem, pod sporadycznym ostrzałem, próbując zająć jak najlepszą pozycję; o świcie znalazłem się ze swoją sekcją nad krawędzią wąwozu. Gdy wzeszło słońce, zobaczyliśmy wyraźnie, że pozycja nieprzyjaciela znajduje się na nierównym tere-

nie, pod kilkoma połamanymi, karłowatymi drzewami. Prawdopodobnie była to ich pozycja rezerwowa. Rozciągała się w odległości 30-40 jardów.

Cały dzień znajdowaliśmy się pod ciężkim ogniem moździerzy, dział i broni mniejszego kalibru. Choć byliśmy wystawieni na ostrzał i ciągle ponosiliśmy straty, nie mogliśmy zejść do wąwozu, bo utracilibyśmy dogodnie pole ostrzału. Była to bardzo niewygodna sytuacja, ten dzień okazał się bardzo długi! Można było przypuszczać, że nie mamy żadnego dobrego wyjścia, ale jak się później okazało, po zapadnięciu zmierzchu planowano rozpocząć ogień zaporowy wokół naszej pozycji; pod jego osłoną jednostka miała podjąć próbę wycofania się. Zanim ten plan mógł dojść do skutku, zanim zapadły ciemności i rozpostarto zasłonę dymną, nieprzyjaciel zaatakował nas frontalnie.

Pamiętam krzyki Niemców: „Ręce do góry!”, odgłos strzałów, zamazane postacie, choć odległość między nami wynosiła zaledwie kilka jardów. Gdzieś z tyłu, w wąwozie, grały dudy. Przeczułem, usłyszałem, wyczułem - nie wiem, jak to określić - że coś upadło na ziemię obok miejsca, gdzie leżałem. Obejrzałem się i zobaczyłem granat. Odruchowo wyciągnąłem rękę, by odrzucić go dalej, lecz nie zdążyłem. W pierwszej chwili poczułem tylko uderzenie w ramię, wkrótce jednak okazało się, że mam ranę na prawym przedramieniu i dłoni oraz lekkie zadrapania na twarzy i uchu.

Ostatecznie, pod osłoną ognia zaporowego, który teraz się rozpoczął, udało mi się dotrzeć do naszych względnie bezpiecznych linii i zostałem wysłany do szpitala polowego na tyłach. Tego dnia oddział, liczący niewiele ponad dwustu ludzi, stracił dalszych dwudziestu trzech żołnierzy, a pięćdziesięciu zostało rannych. Poległo trzech ludzi z mojej sekcji, a także dowódca oddziału, kapitan David Balls.

O godzinie 10.00 dwunastu rannych ewakuowano w konwoju pod flagą Czerwonego Krzyża. Oznaczało to jednak, że i tak niewielkie siły komandosów zostały jeszcze uszczuplone o dwudziestu czterech ludzi, którzy ponieśli nosze. Niemcy respektowali flagę Czerwonego

Krzyża i przepuścili grupę przez otwarty teren, lecz gdy znikła z pola widzenia, reszta komandosów znalazła się pod skoncentrowanym ogniem ciężkiej artylerii.

Mike Allen, odznaczony Krzyżem Wojennym, późniejszy dowódca 9. oddziału komandosów, podaje swą wersję wydarzeń:

Operacja składała się z serii szturmów, których celem było zajęcie trzech wawozów. Nieprzyjaciel zwykł rozpoczynać z nich kontrnatarcia. Zdobywając i utrzymując najważniejszy wawóz, poruszyliśmy gniazdo szerszeni. Stało się jasne, że Niemcy nie zamierzają zrezygnować. Kolejne kontrataki przeplatały się z precyzyjnym, morderczym ostrzałem artyleryjskim, a cały teren stał się jedną wielką dziurą. Bez posiłków komandosi mogliby zostać unicestwieni lub musieliby się wycofać.

Ponieważ plan operacji nie przewidywał odsieczy czy wsparcia w takiej sytuacji, nasz dowódca Ronnie Tod zasugerował dowództwu 5. Dywizji, że pozostawienie 9. oddziału komandosów jako osłony dywizji przed kontratakami wroga zostanie źle przyjęte przez dowództwo 2. Brygady Komandosów. Dostaliśmy więc rozkaz wycofania się na pozycje wyjściowe i w tym momencie kontakt radiowy ze sztabem dywizji został zerwany. Jako zastępca dowódcy konsekwentnie wysyłałem na linię frontu meldunki o grożącym nam niebezpieczeństwie i domagałem się wsparcia artylerii podczas odwrotu oraz przeprowadzenia komandosów na naszą linię. Jesteśmy szczególnie dumni z tego, że z wyjątkiem poległych i śmiertelnie rannych komandosi przenieśli wszystkich swoich rannych przez zasieki i pola minowe, zarówno nieprzyjaciela, jak i sojuszników.

Od około godziny 18.00 ogień nieprzyjaciela stawał się coraz silniejszy, a wraz z zapadnięciem zmroku, około 19.00 cały wawóz wypełnił się dymem. Na pozycję 3. plutonu, pośrodku wawozu, dołącznie naprzeciw pozycji sztabu oddziału komandosów, ruszyło gwałtowne natarcie. W tym samym czasie dwa słabsze uderzenia, każde w sile mniej więcej plutonu, ruszyły na lewe i prawe skrzydło.

Atak na skrzydła został szybko odparty. Nieprzyjaciel poprzestał na rozmieszczeniu małych grup w odległości trzystu lub czterystu jardów od każdego skrzydła i ostrzeliwaniu naszych pozycji. Tymczasem pośrodku wąwozu walka była zajadła. Pierwsza grupa uderzeniowa rzuciła z góry granaty i ostrzelała nas; po niej zaatakowała następna, uzbrojona głównie w broń automatyczną, i próbowała zdobyć pozycje 3. plutonu. Kolejna grupa pojawiła się oczywiście po to, by umocnić zdobyte pozycje.

Pierwsza grupa osiągnęła pewien sukces, wbijając klin między pozycje 3. plutonu i sztabu. Granaty zniszczyły cały nasz sprzęt radiowy, a połowa oddziału sztabowego znalazła się w ogniu walki. Druga grupa nie była jednak w stanie utrzymać uzyskanej po początkowych sukcesach przewagi, ponieważ znalazła się pod skoncentrowanym ogniem wszystkich komandosów. Gdy pozycje 3. oddziału zostały ustalone, reszta oddziału sztabowego i 4. oddział ruszyły do walki. Przy akompaniamencie dudów i strzałów z wszelkiej broni oraz przy wsparciu czołgów 3. oddział i oddział sztabowy odbiły swe pozycje i zmusiły napastników do odwrotu.

Podpułkownik Tod rozkazał wszystkim strzelcom wycofywać się jako pierwszym i zabrać rannych na improwizowanych noszach zrobionych z karabinów i płacht namiotowych lub płaszczy. Gdy ranni znaleźli się już w bezpiecznej odległości, wycofano wszystkie karabiny maszynowe. Podczas odwrotu, który zakończył się w samą porę i był osłaniany przez naszą artylerię, nie napotkaliśmy na żaden opór. Kiedy jednak dochodziliśmy do naszych linii, zostaliśmy ostrzelani silnym ogniem z dział i moździerzy. Nie obyło się bez strat. W ciągu następnych kilku dni 9. oddział komandosów został wycofany do Anzio, gdzie połączył się z 40. oddziałem i wsiadł na statki do Neapolu.

W „Operacji X” poległo dwóch oficerów i siedemnastu żołnierzy 9. oddziału komandosów, dwóch oficerów i czterdziestu ośmiu żołnierzy zostało rannych; czterech zaginęło - dwóch z nich zostało praw-

dopodobnie zabitych. Ostrożne szacunki, uzyskane na podstawie zeznań jeńców, podawały liczbę ponad 105 zabitych i rannych po stronie nieprzyjaciela, komandosi zadali więc Niemcom znacznie większe straty, niż sami ponieśli. Obronili swoje pozycje przed silnymi kontratakami i zdołali wywikłać się z trudnej sytuacji bez nadmiernych strat. Anzio, Comacchio i Monte Ornito to miejsca najważniejszych bitew 9. oddziału komandosów.

Kapitan Harry Lucas wspomina żołnierzy, którzy tam walczyli:

Z pewnością słyszałeś o legendarnym, bohaterskim, jedynym w swoim rodzaju „Szalonym Jacku” Churchillu z 2. oddziału komandosów, ale nie słyszałeś być może o jego bracie, Tomie, który dowodził naszą brygadą we Włoszech. On także był zawodowym oficerem, ale bardziej tradycyjnego typu. Był niewątpliwie doskonałym żołnierzem, a kiedy objął naszą brygadę, okazał się wybitnym dowódcą; ufaliśmy mu bez zastrzeżeń, a brygada miała się świetnie pod jego komendą. Zawsze czułem, że komandosi ze swej natury potrzebują trzeźwo myślącego i zrównoważonego szefa. W tej fazie wojny, a być może szczególnie w rejonie Morza Śródziemnego, istniało niebezpieczeństwo, że zostaniemy użyci do walk w polu. Byliśmy do tego dobrze przygotowani, ale źle wyekwipowani, nie mieliśmy choćby środków transportu. Drogo to kosztowało innych komandosów, na przykład 6. oddział walczący w Afryce Północnej. Wierzyliśmy, że generał Churchill, pragnąc zapewnić nam znaczący udział w pokonaniu Niemców, zrobi wszystko, abyśmy zostali przydzieleni do odpowiednich dla nas zadań.

Podobnie jak wszyscy dowódcy oddziałów komandosów, był on generałem frontowym i za to był lubiany i podziwiany. Zawsze kojarzy mi się z pierwszym dowódcą 9. oddziału, generałem Haydonem, który także miał chłodne, profesjonalne podejście i podobnie jak „generał Tom” wspaniale dbał o swoich ludzi. Chciałbym jeszcze wspomnieć sierżanta Coupe, śmiertelnie rannego pod Anzio i śpiewającego: „Wypijmy za następnego, który umrze”; sierżanta Cooka,

który w tej samej bitwie obsługiwał Brenę ze swoim dowódcą, Ronnie Todem; porucznika „Ally'ego” Wilsona z 5. plutonu, który straciwszy oko nadal walczył, dopóki nie został odwołany; a także starszego sierżanta George'a Drury'ego i „Pipera” Rossa z 4. plutonu - rano, po bitwie o Monte Ornito, w pełnym świetle, doszli oni niemal do niemieckich pozycji, aby przynieść sierżanta Alberta Cruishanka, który leżał tam całą noc ze zgruchotaną nogą. Było także wielu innych wspaniałych żołnierzy, których nie poznałem osobiście.

Kapitan Mike Long opowiada, co działo się z 9. oddziałem komandosów po powrocie do bazy:

Po ciężkich walkach pod Monte Ornito i pod Anzio oddział przezucono na wschodnie wybrzeże Włoch, do Molfetty. Pułkownik Tod zwołał wszystkich oficerów na naradę i oświadczył, że nasze przejścia były podobne do tych, które stały się udziałem 2. oddziału pod Salerno. Dodał, że 2. oddział dostał uzupełnienie w postaci żołnierzy przybyłych z kraju, ale miną trzy lub cztery miesiące, nim wróci prawdziwy *esprit de corps* tego oddziału, bardzo wysoki przed walkami pod Salerno. To nie powinno się przydarzyć 9. oddziałowi. Bardzo wielu żołnierzy silnie przeżywało to, że ich przyjaciele zostali ciężko ranni lub polegli. Aby temu przeciwdziałać, pułkownik zarządził musztrę paradną dwa razy dziennie, rano i wieczorem. W ciągu dziesięciu dni komandosi osiągnęli tak wysoki poziom - musztrę prowadził kapitan Davies, odznaczony Krzyżem Wojennym, były gwardzista pułku Coldstream - że pułkownik uznał, iż jeśli wszystko dobrze pójdzie rano, wieczorna musztra nie będzie konieczna.

Nowo przybyli żołnierze odbywali musztrę rano i wieczorem, a weterani 9. oddziału tylko rano. Gdy nowicjusze osiągnęli nasz poziom, i tylko wówczas, mogli przypiąć sobie do beretów czarne pióra. Wśród komandosów silne było poczucie własnej godności i dumy z przynależności do tego oddziału, obecne wśród żołnierzy do końca wojny, a nawet jeszcze do dziś.

4. pluton kapitana Longa został następnie wysłany na dwie akcje na wybrzeżach Wioch, których celem była pomoc zbiegłym jeńcom wojennym:

Początkowo stacjonowaliśmy w obozie koło Bari; było bardzo gorąco, codziennie więc zabierałem ludzi na lekcje pływania w morzu. W tym czasie tylko połowa oddziału potrafiła pływać, lecz wkrótce każdy z moich ludzi potrafił przepłynąć co najmniej pięćdziesiąt jardów. Potem ruszyliśmy do Manfredonii, gdzie wsiedliśmy na okręt desantowy do przewozu piechoty (LSI, Landing Ship Infantry) i popłynęliśmy zabrać 150 zbiegłych jeńców z plaży w pobliżu ujścia Teny, niedaleko Ankony. W czasie pierwszej wyprawy uratowaliśmy 132 ludzi, przy czym nie obyło się bez trudności, ponieważ zbyt obciążona barka nie mogła odbić od brzegu.

W dniu 14 czerwca 1944 roku popłynęliśmy znów na tę samą plażę na barce desantowej do przewozu czołgów (LCT, Landing Craft Tank). Na pokładzie było sześć czy osiem uzbrojonych w broń ciężką jeepów, dwa karabiny maszynowe na przedzie, dwa z tyłu. Należały one do „prywatnej armii Popskiego”, który miał udać się na wypad znad Teny, podczas gdy my wracaliśmy z jeńcami. W każdym razie byliśmy bardzo obciążeni i dopływając do plaży tak mocno wbiliśmy się w dno, że nie mogliśmy odplłynąć, mimo iż marynarka próbowała ściągnąć nas na głębszą wodę za pomocą specjalnej kotwicy. Byliśmy eskortowani przez kuter patrolowy, który wrócił po nas i trafił na mieliznę, a następnie wycofał się dwieście jardów od brzegu. Major Popski, rezygnując z planowanej operacji, rozkazał wszystkim dopłynąć do niego. Jego ludzie rozebrali się, ale cały 9. oddział popłynął z bronią i amunicją.

Po naszych lekcjach pływania, mając kamizelki ratunkowe, czuliśmy się pewnie, lecz jeden z żołnierzy, wchodząc do wody, zaczepił starszego sierżanta Scotta: „Sierzancie, ja utonę... powiedzcie mojej matce, że myślałem o niej przed śmiercią”. Na to Scott: „Nie gadaj głupstw, chłopie, ruszaj, to niedaleko”. A żołnierz swoje: „Nie, wiem

na pewno, że umrę” - i stanął w wodzie głębokiej na niecałe 3 stopy! Przeszli po mieliźnie. Major Popski był wściekły, że komandos zabrali swoją broń na i tak zbyt obciążony kuter, pułkownik Tod upierał się jednak, że gdziekolwiek idziemy czy płyniemy, zawsze zabieramy naszą broń, my zaś wolelibyśmy raczej narazić się na gniew Popskiego niż na odesłanie do jednostki przez pułkownika Toda.

Zostawimy teraz na chwilę 9. oddział, odpoczywający po bohater-
skich wyczynach we Włoszech, i udamy się wraz z 2. oddziałem Jacka
Churchilla do Jugosławii, gdzie partyzanci Tity walczyli z niemiec-
kim okupantem.

10

JUGOSŁAWIA. 1943-1945

Widzę wojny, straszne wojny, a Tyber spłynie krwią.

Wergiliusz

Gdy armia niemiecka wkroczyła do Jugosławii w kwietniu 1941 roku, nie napotkała większego oporu. Jugosławia od początku swego istnienia była zlepkiem wielu narodów - Chorwatów, Serbów, Słowenów, Czarnogórców i Macedończyków - które nigdy nie żyły ze sobą w zgodzie. W 1941 roku na różnice narodowościowe nakładały się różnice polityczne. Głównymi przeciwnikami były dwa ugrupowania - rojaliści, zwani czetnikami, których przywódcą był Draže Mihajlović, i komuniści pod wodzą Josipa Broza, późniejszego marszałka Tito. Zwolenników obu grup łączył jedynie opór przeciw Niemcom. W pierwszych miesiącach po zajęciu Jugosławii współpracowali ze sobą, różnice okazały się jednak zbyt duże. Obie grupy uszły w góry i rozpoczęły bezwzględną wojnę partyzancką przeciw najeźdźcy i - jeśli nadarzyła się okazja - przeciw sobie.

Czetnicy zaczęli korzystać z pomocy Niemców w zwalczaniu Tity, partyzanci komunistyczni natomiast walczyli osamotnieni z Niemcami. Początkowo Brytyjczycy wspierali Mihajlovicia, kiedy jednak jego związki z Niemcami stały się oczywiste, skierowali pomoc do Tity. Niemcy mocno trzymali się w Jugosławii. W połowie 1943 roku partyzanci kontrolowali tylko kilka stref w górach w głębi kraju i wysepki na Adriatyku: Vrac, Hvar i Brač.

W 1942 roku Brytyjczycy wysłali do partyzantów misję wojskową pod dowództwem generała Fitzroya Macleana. W grudniu 1943 roku

Mclean wysiał prośbę o natychmiastową pomoc wojskową, która wsparłaby partyzantów na wyspie Vis i dzięki której mogliby dokonać wypadu na inne wyspy przy brzegach Dalmacji i być może zająć je, uprzedzając tym samym zamiary Niemców. 16 lutego 1944 roku zaczęli przybywać na Vis żołnierze 2. oddziału komandosów, dowodzeni przez podpułkownika Jacka Churchilla.

Ted Kelly był jednym z pierwszych:

Płynęliśmy na partyzanckim szkunerze. Po drodze udzielano nam dokładnych wskazówek, jak odpowiadać na odzywki partyzantów w serbsko-chorwackim. Wydawało nam się to wówczas raczej niepotrzebne, ale gdy poznaliśmy bliżej tych zapalczywych, fanatycznie oddanych sprawie ludzi i pracowaliśmy z nimi, zrozumieliśmy w czym rzecz. Brytyjskie poczucie humoru, a zwłaszcza rubaszny humor wojskowy, niezbyt im odpowiadał i wkrótce pojawiły się problemy.

Partyzanci lubowali się w patriotycznych i zaangażowanych pieśniach, które śpiewali z wielkim przejęciem. Żołnierzom brytyjskim podobały się melodie i chętnie układali do nich własne, niepoważne i obsceniczne teksty; nasi gospodarze czuli się mocno obrażeni naszymi przeróbkami swoich ukochanych piosenek. Nie jestem pewny, czy byli mniej urażeni, gdy uczyliśmy ich naszej - jak im wmawialiśmy - najbardziej patriotycznej piosenki: „Nie podpalaj wychodka, proszę, matka obiecała zapłacić”. Wypiliśmy z tymi ludźmi mnóstwo wina, podziwialiśmy ich i na swój sposób kochaliśmy, ale nigdy ich naprawdę nie rozumieliśmy. Świat, w którym żyli, wydawał nam się dziwaczny i niezrozumiały, nieco teatralny. Ściany budynków były pokryte hasłami i symbolami komunistycznymi, kobiety-żołnierze z bronią stanowiły dla nas nowość, a język serbsko-chorwacki ze słowami nie do wymówienia, jak choćby „crvna”, był całkowicie niepojęty.

Z naszego punktu widzenia miłość partyzantów do komunizmu stanowiła przeszkodę nie tylko dlatego, że był on obcy naszemu my-

śleniu, lecz ze względu na fanatyzm jego wyznawców. Nieustanne manifestacje żarliwego patriotyzmu wydawały się nam przesadne, nużące i w nie najlepszym guście, tym bardziej że byliśmy po tej samej stronie. Głęboko zakorzeniona była w nas typowa brytyjska powściągliwość. Demonstracje uczuć patriotycznych wydawały nam się żenujące, partyzanci natomiast traktowali nas w sposób nieco przypominający nasze podejście do Amerykanów. Przyjmowali naszą pomoc w ludziach i w sprzęcie, ale nigdy za nami nie przepadali. Drażnił nasz wyszukany ekwipunek, nasze mundury i nasze jedzenie. Uważani byliśmy za pieśzochów, za żołnierzy pozbawionych prawdziwego zapału do walki z faszystami. „Za dużo pieniędzy, za dużo seksu, za dużo wszystkiego” - tak prawdopodobnie nas widzieli.

Mimo to piliśmy razem cienkie czerwone wino w zadymionych winiarniach i uczyliśmy się śpiewać piosenki. Kilka z nich miało skoczne, łatwo wpadające w ucho melodie, słów uczyliśmy się fonetycznie. W mieszanej armii partyzanckiej seks był absolutnie zakazany, a naruszenie zakazu karano śmiercią. Było tam wiele ładnych dziewcząt, a my nie mogliśmy się pogodzić z zakazem nawet zwykłej pogawędki. Kto jednak chciałby ryzykować życie jugosłowiańskiej dziewczyny dla zaspokojenia własnej próżności?

Uważaliśmy także za barbarzyński sposób, w jaki traktowali jeńców. Złapani przez nas Niemcy wpadali w przerażenie na myśl, że oddamy ich partyzantom. Dyskusje o tym, do kogo należą jeńcy, prowadziły do licznych utarczek. Nasi jeńcy byli odsyłani statkami do Włoch najszybciej, jak to było możliwe, ponieważ nie mogliśmy wybaczyć Jugosłowianom złego traktowania i zbiorowych egzekucji dokonywanych na jeńcach... choć to rozumieliśmy. Wiele opowieści, które słyszeliśmy, mogło być przesadzonych, nie mieliśmy jednak wątpliwości, że ludzie wycierpieli tu wiele i doznali przerażających okrucieństw ze strony Niemców, a także ze strony swoich pobratymców, zniechęconych ustaszy, czyli jugosłowiańskich faszystów.

Wojna w Jugosławii nigdy nie była dżentelmeńską rozgrywką. Żadna ze stron nie była zainteresowana braniem jeńców, a partyzanci najchętniej zabijali od razu każdego Niemca, którego złapali; równie bezwzględnie traktowali własnych ludzi. „Pokażę to na przykładzie jednego zdarzenia” - mówi biskup Ross Hook, odznaczony Krzyżem Wojennym kapelan 43. oddziału komandosów piechoty morskiej:

Gdy odwiedziłem szpital polowy, zobaczyłem tam mnóstwo dzieci z oberwanymi stopami i straszliwymi ranami nóg. Niektóre z tych dzieci nie miały więcej niż dziesięć lat. Okazało się, że Niemcy minowali małymi minami przeciwpiechotnymi teren przed swoimi liniami obronnymi. Partyzanci wysyłali więc przed natarciem grupy dzieci, aby przebiegły przez pola minowe, wysadziły miny i zrobiły przejścia. Byłem wstrząśnięty. Powiedziałem naszemu tłumaczowi, że moim zdaniem to barbarzyństwo posługiwać się dziećmi na wojnie, ale wcale się tym nie przejął. „Dzięki temu chronimy życie naszych żołnierzy - powiedział - a dzieci mamy pełno”.

Partyzantów obowiązywała surowa dyscyplina, nawet niewielkie uchybienia karano rozstrzelaniem. Od kiedy w armii pojawiły się kobiety, nie tolerowano rozwiązłości seksualnej. W kilka miesięcy po przybyciu na Vis żołnierze z 2. oddziału komandosów musieli przysłuchiwać się, jak partyzanci zabijają na ich oczach trzy kobiety za to, że zaszły w ciążę.

2. oddział pułkownika Jacka Churchilla, który poniósł duże straty pod Salerno, ciągle nie miał pełnego stanu etatowego, toteż na wyspę Vis wysłano istną mieszaninę: Amerykanów, wielu Greków i Jugosłowian, ludzi mówiących co najmniej jednym z języków słowiańskich, pluton jugosłowiański z 10. międzyalianckiego oddziału komandosów, trochę wojsk inżynierskich i artylerii, a marynarka wojenna przydzieliła kutry torpedowe MTB. Wszyscy wylądowali w Komiży na wyspie Vis 16 stycznia 1944 roku. „Było bardzo pięknie - opowiada generał Tom Churchill. - Zielone skały nad błękitnym morzem, czerwona ziemia i zielone krzewy winorośli pnące się na tarasowa-

tych wzgórzach, wszędzie kwiaty, różowe cyklameny, niebieskie gencjany, purpurowe storczyki, a powietrze pełne zapachów i niezwykle przejrzyste”.

Operacja zaczęła się natychmiast. Niemcy zdecydowanie dążyli do zajęcia wszystkich wysp u wybrzeży Dalmacji i wzmocnienia swoich rozproszonych garnizonów; w tym celu ściągnęli z gór w głębi kraju 118. Dywizję Piechoty. Pułkownik Jack Churchill był zdania, że tylko nieustanna aktywność i wypadki mogą umocnić niezbyt pewną pozycję aliantów na wyspie Vis. Dziesięć dni po wylądowaniu poprowadził Amerykanów i trzy grupy z 2. oddziału komandosów na Hvar, dużą wyspę u wybrzeży Jugosławii, zaatakował garnizon w pobliżu portu Milna i wrócił z czterema mocno wystraszonymi jeńcami. Wypad na Hvar powtórzono, także z sukcesem, a na początku lutego 1944 roku 2. oddział dokonał wypadu na wyspę Brać. Podporucznik Barton utrzymywał się tam na wybrzeżu z niewielką grupą przez kilka dni, zabito także niemieckiego komendanta.

27 lutego amerykańska grupa operacyjna wróciła na Hvar i stoczyła bitwę z niemieckim patrolem. Tego samego dnia nieustraszonego podporucznik Barton wyprawił się na Brać z patrolem, który zabił granatami wielu niemieckich żołnierzy i powrócił na Vis z wieloma jeńcami. Za te dwie akcje Barton został odznaczony DSO, medalem rzadko przyznawanym młodszym oficerom. Dostał się także na niemiecką listę śmierci, co oznaczało: „schwytanego zabić”, został więc przeniesiony z powrotem do Włoch.

Po tych początkowych sukcesach siły komandosów na wyspie Vis zaczęły rosnąć. 20 lutego przybył 43. oddział komandosów piechoty morskiej pod dowództwem podpułkownika R.W.B. Simmondsa, a 5 marca przybyli generał Tom Churchill i sztab brygady, aby objąć dowodzenie nad obiema jednostkami komandosów. 17 marca dwa plutony z 2. oddziału, trochę Amerykanów i pluton broni ciężkiej z 43. oddziału komandosów zaatakowały wyspę Solta. Nieprzyjacielski garnizon był już uprzedzony o możliwości wypadów, dlatego obrona przywitała ogniem karabinowym komandosów wspinających się na

tarasowate wzgórza wokół miasta Grohote. O świcie Grohote zostało zbombardowane przez myśliwce Kittyhawk, a potem nastąpiło natarcie dwóch grup szturmowych z 2. oddziału wspieranych przez moździerz i karabiny maszynowe 43. oddziału.

Opowiada Ted Kelly:

Na odprawie pokazano nam jak zwykle zdjęcia. Plan zakładał, że otoczmy Grohote uformowani w podkowę, której końce wychodząc będą na otwartą przestrzeń, gdzie rozegra się walka. Było oczywiste, że następnego dnia po wypadzie Niemcy przyjdą swoim z odsieczą. Naszym celem było przywitać tę odsiecz na wyspie, na której nie będzie już ani jednego Niemca. Wylądowaliśmy nocą z 17 na 18 marca na skalistej plaży, powodując wiele bezsensownego hałasu. Każdy pies na wyspie szczekaniem ostrzegł swego pana przed intruzami, spodziewaliśmy się więc kłopotów. Partyzantcy przewodnicy, którzy wyszli nam na spotkanie, zabrali pasterza wraz z całym stadem. Zadźwięczały owcze dzwonki, mogło się więc z pozoru wydawać, że to owce wywołały zaniepokojenie psów. Poszliśmy cicho za naszymi przewodnikami i bez przeszkód zajęliśmy zaplanowane pozycje.

Czekaliśmy najciszej, jak tylko się dało, marząc o papierosie, do pierwszego brzasku, kiedy to „Szalony Jack” kazał mówiącemu po niemiecku komandosowi zapowiedzieć przez megafon nasze przybycie i wezwać Niemców do poddania się. Odpowiedzią były strzały z karabinów. W zapowiedzi podkreślono, że następstwem odmowy poddania się będzie bombardowanie Grohote; w wyznaczonym czasie nadleciały więc myśliwce Kittyhawk, które dały taki pokaz bombardowania, że czapki odfrunęły nam z głów. Gdy spadła ostatnia bomba, weszliśmy do miasta, aby pojmać jeńców i sprawdzić dom po domu. Zdobyliśmy listę obsady garnizonu i wiedzieliśmy, co stało się z każdym niemieckim żołnierzem.

Zmarli zostali pogrzebani, rannymi się zaopiekowano, a wszyscy Niemcy, którzy przeżyli, czyli około stu, zostali zabrani na miejsce,

skąd odpływaliśmy. Większość operacji wojskowych zawiera ryzyko pomyłki związane z niedostatkami planowania czy organizacji, niekiedy bardzo poważnymi, Solta była jednak przykładem operacji połączonej bliskiej niemal doskonałości. Wywiezienie z wyspy całego niemieckiego garnizonu godzinę przed przybyciem posiłków było majstersztykiem pomysłowości, planowania i wykonania. Odwetowy nalot Stukasów na Komiżę był tylko dowodem bezsilności Niemców.

Jednym z zadań, których mogliśmy podjąć się na ochotnika, był udział w operacjach ścigaczy (MGB i MTB), patrolujących Adriatyk. Pełniliśmy rolę grupy zaczepnej i zdobyliśmy wiele łupów, między innymi szkuner wyładowany masłem, które przez pewien czas urozmaicało naszą dietę. Ochotników nigdy nie brakowało. Nie miało to nic wspólnego z brawurą, po prostu jedzenie na okrętach marynarki wojennej, przede wszystkim świeży biały chleb, było naprawdę znakomite. Po sześciu pełnych wrażeń miesiącach spędzonych z partyzantami zostaliśmy zlurowani i wróciliśmy do Włoch, niestety bez naszego ukochanego „Szalonego Jacka”, który został wzięty do niewoli na wyspie Brač.

W sześć dni po wylądowaniu na Solcie komandosi wrócili na wyspę Hvar, aby zaatakować niemiecki garnizon w porcie Jelsa. Był to wielki desant. Uczestniczył w nim cały 43. oddział komandosów pod dowództwem podpułkownika Simmondsa oraz liczący trzy tysiące ludzi oddział partyzantów. Mimo problemów z łącznością i mimo iż partyzanci z nikim się nie liczyli, atakując tylko wówczas, gdy chcieli, i tylko tam, gdzie chcieli, wypadł odbył się zgodnie z planem. Kontratak niemiecki został odparty, poległo pięćdziesięciu Niemców, a ponad stu zostało wziętych do niewoli, po czym komandosi i partyzanci się wycofali. Komandosi mieli teraz duże trudności z utrzymaniem jeńców przy życiu, partyzanci domagali się bowiem, by przekazywać im pojmanych na przesłuchanie - a przesłuchanie nieuchronnie kończyło się egzekucją.

W tym czasie życie na wyspie Vis, choć nigdy nie poddawało się ścisłym rygorom, zostało znacznie sprawniej zorganizowane. Wojska inżynieryjne wybudowały lądowisko. W przerwach między akcjami żołnierze mieszkali w małych namiotach na wzgórzach otaczających lądowisko, gdzie każdej nocy przybywały posiłki z Włoch. Na wyspie stacjonowała teraz eskadra Spitfire'ów, a w porcie eskadra MTB i MGB. Wychodziła nawet gazeta „Vis à Vis”. Wyspę nazywano słusznie „Maltą Adriatyku”. Uważano, że jest w stanie odeprzeć nawet najsilniejszy atak. I kontynuowano wypad.

Patrole z 2. oddziału komandosów dokonywały wraz z partyzantami rajdów na Korčulę, Mljet i wiele innych małych wysp, grupy komandosów natomiast, zwłaszcza z 2. oddziału, odbywały patrole na okrętach Royal Navy, atakując małe łodzie wiosłowe i niemieckie okręty obrony wybrzeża w przesmykach między wyspami. Okręty Royal Navy miały czekać w zasadzkach przy brzegach na pojawienie się nieprzyjacielskich statków transportowych lub konwojów. Wówczas planowano gwałtownie wyjść z cienia i ziejąc ogniem karabinów zbliżyć się do niemieckiego statku, a komandosi mieli przeskoczyć na jego pokład z pistoletami i granatami i szybko uporać się z załogą. Zupełnie jak w opowieściach z życia piratów.

W maju przybyły na wyspę kolejne posiłki z Włoch - zaprawiony w boju 40. oddział komandosów piechoty morskiej, nadal pod dowództwem podpułkownika „Papy” Mannersa, który wbrew swemu przydomkowi miał trzydzieści kilka lat. 23 maja wysłano komandosów z oddziałów 2. i 43., w towarzystwie niestrudzonego admirała sir Waltera Cowana, na wyspę Mljet, gdzie miał znajdować się garnizon niemiecki liczący 150 żołnierzy. Mimo intensywnych, gorączkowych poszukiwań komandosi nie znaleźli nieprzyjaciela, ale wielu z nich padło od strzałów snajperów, wielu ucierpiało od upału. Wycofano się w poczuciu porażki.

Ponownie wspomina Dudley Cooper:

Wyspa Vis zmieniała się w czasie naszego pobytu. Obok nas

umieszczono baterię lekkich dział przeciwlotniczych, mającą osłaniać port w Komiży. Złożyły tam nagłą i nieoczekiwaną wizytę bombowce Junkers 88, które nadleciały nisko znad niewielkich wzgórz, doskonale wiedząc, gdzie znajdują się stanowiska dział. Zbombardowano i uszkodzono wszystkie cztery działa, zginęła obsługa jednego z nich. Na działo przy fabryce konserw spadła bomba, niszcząc je i zabijając obsługę. Było nas coraz więcej, zbudowano lądowisko i przylatywały myśliwce, coraz liczniej pojawiali się Amerykanie, w tym także rangersi, potem jednak straciliśmy bardzo wielu ludzi podczas wypadu, którego celem był garnizon na wyspie Brač.

W maju 1943 roku Niemcy podjęli w Jugosławii wielką ofensywę, której celem było pojmanie lub zabicie marszałka Tito i rozproszenie jego sił. Natarcie to zmusiło marszałka do ucieczki. Aby powstrzymać Niemców od skierowania większych sił w głąb kraju, zdecydowano zorganizować wielki desant na Brač. W operacji wzięły udział dwie pełne brygady partyzantów i dwa oddziały komandosów: 2. i 40. Niemcy bronili się zaciekle. „Papa” Manners poległ, „Szalony Jack” Churchill został wzięty do niewoli, straty komandosów wyniosły ponad stu żołnierzy i jedenastu oficerów zabitych lub rannych.

Na szczęście, nadrzędny cel rajdu na Brač został osiągnięty. Niemcy utrzymali garnizon na wyspie i nawet go wzmocnili, nie wysłali jednak oddziałów w głąb kraju ani nie podejmowali ataków na wyspę Vis. Mówi Dudley Cooper: „Gdy do 2. oddziału doszły wieści, że pułkownik Jack został wzięty do niewoli, na Brač wyprawili się ochotnicy, aby spróbować go odbić, jednak po wylądowaniu na wyspie dowiedzieliśmy się tylko, że pułkownik został już wywieziony w głąb kraju”.

Generał Tom Churchill wrócił na Vis 12 czerwca, a 23 czerwca przybył marszałek Tito, który przeprowadził inspekcję 2. oddziału i podziękował Brytyjczykom za bohaterską postawę podczas akcji na wyspach. Było to bardzo satysfakcjonujące i całkowicie zasłużone, jednak stosunki między partyzantami a Brytyjczykami stopniowo się

pogarszały, ponieważ Armia Radziecka wkroczyła na Bałkany i pomoc Zachodu stała się mniej istotna.

W końcu czerwca 43. oddział zaatakował wyspę Hvar, zabijając osiemnastu żołnierzy z dwudziestoosobowego patrolu, 40. oddział natomiast skupił się na obrzydzeniu życia Niemcom na wyspie Mljet. Pod koniec lata 1944 roku Niemcy zaczęli wycofywać się z wysp, najpierw z Brač, następnie z Solty. Oddziały 2. i 40. wróciły do Włoch już w maju i dołączyły do 9. oddziału. 43. oddział komandosów pozostał na Vis, by nękać ustępującego nieprzyjaciela. W październiku 1944 roku opuścił Jugosławię, jako ostatni, 43. oddział, który dołączył do 2. Brygady Służb Specjalnych we Włoszech. W ciągu dziesięciu miesięcy ten oddział wyprawiał się na wyspy dalmatyńskie właściwie w dowolne miejsca, wiążąc siły trzech niemieckich dywizji i zadając ciężkie straty wyspiarskim garnizonom.

Te bohaterskie wyczyny miały jednak swoją cenę, nie zawsze też przyjmowane były z należyтым uznaniem. Dopóki pomoc brytyjska i amerykańska była niezbędna, komuniści radośnie się uśmiechali. Od 1944 roku na pierwszym miejscu byli Rosjanie. Uśmiechy znikły z twarzy, partyzanci zaczęli traktować żołnierzy alianckich niechętnie, a nawet wrogo. „Mimo że - jak stwierdził nieco sarkastycznie wielbny Ross Hook - ich wiara w Rosjan otrzymała ciężki cios, gdy Armia Czerwona maszerowała na Belgrad, gwałcą i rabując”.

Niezależnie od ówczesnych różnic ideologicznych, po wojnie komandosi wielokrotnie wracali na wyspy, prywatnie lub w grupach zorganizowanych przez Związek Komandosów i podtrzymywali przyjacielskie więzi z dawnymi partyzantami. W tamtej jednak sytuacji byli zadowoleni, że wyjeżdżają i że będą mogli walczyć z Niemcami w Albanii i w Grecji.

Nocą z 28 na 29 lipca 1944 roku podpułkownik Fynn, nowy dowódca 2. oddziału, wylądował w Spilje w Albanii na czele dużych sił, na które składały się 2. oddział komandosów w liczbie 250 ludzi, wybrani żołnierze z 9. oddziału i około siedmiuset żołnierzy lekkiej piechoty szkockiej. Przynajmniej raz mieli przewagę liczebną nad

Niemcami, gdy zaatakowano jednak cztery ich pozycje, okazało się, że Niemcy są doskonale przygotowani i zaciekle się bronią. Niemiecki garnizon odparł natarcie, komandosi stracili około sześćdziesięciu ludzi i wycofali się na okręty. Spilje padło dwa dni później, gdy brygada partyzantów zdobyła niemieckie pozycje, biorąc zaledwie kilku jeńców.

W dwa miesiące po porażce w Spilje 2. oddział wysłano, by zajął miasto Saranda na wybrzeżu albańskim, naprzeciw wyspy Korfu. Niemcy wycofywali się teraz z Bałkanów, mocno naciskani przez miejscowych partyzantów. Nocą 22 września 1944 roku 2. oddział lądował w zatoczce, określanej kryptonimem „Sugar Beach”, 6 mil na północ od Sarandy. Operacja szybko została przerwana, ponieważ stało się jasne, że Niemcy na całym wybrzeżu przygotowali się do obrony Sarandy i rozmieścili ponad dwadzieścia dział na jedynej drodze, którą komandosi mogliby dotrzeć z plaży do miasta.

Informacje wywiadu musiały być błędne, ponieważ siły nieprzyjaciela w Sarandzie liczyły blisko dwa tysiące ludzi, nie zaś, jak przewidywano, od dwustu do trzystu, a teren był niezwykle trudny. Generał Churchill rozmieścił więc swych ludzi na pozycjach obronnych w pobliżu plaży i posłał po posiłki. 24 września przybył z Otranto 43. oddział, dowodzony teraz przez podpułkownika Sankeya, oraz trochę artylerii polowej.

Tymczasem deszcz rozpadał się na dobre. Komandosi, którzy przebywali na otwartym powietrzu na wzgórzach wokół Sarandy, dobrze zapamiętali następny tydzień; pogoda była tak okropna, że przeziębilo się ponad dwieście osób, a poprawiła się dopiero 4 października. Od tej chwili możliwy już był ostrzał artyleryjski miasta. 9 października ruszyło natarcie. Oddziały 2. i 40. były wspierane przez artylerię, natomiast spadochroniarze z Royal Air Force dokonali dywersji na położonych dalej pozycjach niemieckich. Tego samego dnia po południu, po zaciętej walce miasto padło.

Desant na Sarandę wspomina Eric Grovers z 2. oddziału komandosów:

22 września po południu wsiadaliśmy w pełnym słońcu na trzy barki desantowe do przewozu piechoty na południe od Bari, we Włoszech. Wczesnym wieczorem niebo zaczęło się chmurzyć, wiał coraz silniejszy wiatr, a morze zrobiło się niespokojne. Wkrótce ogarnął nas jeden z tych częstych na Adriatyku sztormów, zwanych *bora*, przychodzących właściwie niepostrzeżenie. Przez pół godziny morze szalało, w deszczu i porywistym wietrze przelewały się fale, miotając nami w tę i z powrotem, jako że barki desantowe nie były zbyt stabilne.

Szybko straciliśmy z oczu inne barki, ponieważ nasza unosiła się w górę i w dół, kręciła się i wbijała w wysokie fale. Moi koledzy w pomieszczeniu dla żołnierzy wyglądali coraz gorzej. Większość z nas, nie wykluczając mnie, rozstała się już z ostatnim posiłkiem. Pomyślałem wtedy, że być może wygodniej będzie na pokładzie. Nic z tego, przelewały się po nim fale, spróbowałem więc w maszynowni, gdzie było z pewnością cieplej, lecz mechanik ułożył się wzdłuż swoich wielkich diesli, całkiem zielony na twarzy. W końcu sztorm uciszył się, a my nie zgubiliśmy kursu do miejsca lądowania - piaszczystej zatoczki około 5 mil na północ od Sarandy.

Było teraz po północy, księżyc się schował. Poczuliśmy się lepiej, przygotowaliśmy broń i zaczęło się zamieszanie z rampą, którą częściowo już spuszczone. W tej chwili uderzyliśmy w mieliznę pośrodku laguny i zatrzymaliśmy się. Trzymając kciuki, by w pobliżu nie było nieprzyjacielskiej artylerii, cofnęliśmy się

i musieliśmy spróbować inaczej, tym razem mieliśmy więcej szczęścia, dopłynęliśmy prosto do plaży, przebiegliśmy po miękkim piasku i zajęliśmy pozycje obronne między krzewami i karłowatymi drzewami.

Kapitan Parsons zasygnalizował nam, że wczesnym wieczorem na stanowisku nad doliną umieszczono działo kalibru 88 mm, lecz na szczęście zabrano je przed naszym przybyciem. Wyładowaliśmy amunicję i cały sprzęt oraz wyprowadziliśmy muły. Zostały one przewiezione po to, by przenieść amunicję przez dolinę i wulkaniczne

wzgórza do odległej o około 5 mil naszej linii wyjściowej. Zwierzaki okazały się bezużyteczne i do czasu kupienia małych, silnych, miejscowych mułów ludzie sami musieli nosić amunicję na szczycie wzgórz, co było nader wyczerpującym zajęciem.

Kapitan Bob Bavister także zapamiętał muły:

Na brzeg zostało wylądowanych siedemdziesiąt pięć mułów, niektóre należały do Raiding Support Regiment, nowej formacji, mającej wspierać nas bronią maszynową. Musieliśmy umieć obchodzić się z mułami, koledzy z RSR uczyli nas ich obyczajów. Zdołaliśmy objąć zwierzaki i poprowadzić na wzgórze, lecz gdy kilka mułów zostało zabitych, pozostałe nie chciały przejść koło miejsca, gdzie to się stało. Były o wiele bardziej nerwowe niż konie, a gdy uznały, że droga jest za trudna, po prostu się na niej kładły. Wówczas trzeba było zdjąć im juki i większość rzeczy ponieśli do miejsca przeznaczenia ludzie.

Ponownie Eric Groves:

Kupowanie na miejscu mułów okazało się interesujące. Odbywało się to tak. Nasz oficer siedział za stertą skrzynek z amunicją, na wierzchu sterty leżał woreczek ze świeżo bitymi „wiktoriańskimi” suwerenami, obok prężył się strzelec z pistoletem maszynowym i z odpowiednio srogą miną. Przed nimi stał albański chłop, sama skóra i kości, z kawałkiem zielonego sznurka w ręce, sznurek był tu odpowiednikiem muła. Najwidoczniej jedyną zapłatą, jaką ci ludzie skłonni byli przyjąć, były owe złote „wiktoriańskie” suwereny. Później dowiedziałem się, że ciągle bito je w Anglii właśnie na takie okazje. Tamtejsze muły wyglądały strasznie, lecz ku naszemu ogromnemu zdziwieniu te na pozór wynędzniałe zwierzęta sprawowały się bardzo dobrze.

Całe dni patrolowaliśmy okolice Sarandy, przemierzając wulkaniczne wzgórza tak wytrwale, że zniszczyliśmy buty, które dano nam na tę, jak zakładano, czterdziestoośmiogodzinną operację. Pogorszenie się pogody i dziurawe buty sprawiły, że ludzie zaczęli chorować z

powodu przemarzniętych stóp. Tym, którzy zajmowali najbardziej wysunięte pozycje, zaczęły także mocno dokuczać kłopoty z wodą. Pierwszą rzeczą, na jaką trafiali rano, była woda zebrana w małych zagłębieniach skalnych. Na początku było to pół filizanki, później coraz więcej. Operacja w Sarandzie byłaby niezwykle ciężka - lejący deszcz, trudny teren, niedostatek jedzenia i wody pitnej - nawet bez nieprzyjaciela, który gwałtownie zaatakował, zajmując przy pierwszej okazji naszą przednią pozycję.

Tak czy inaczej na odgłos strzałów 2. pluton podszedł tam i zastał ją opuszczoną. Przypuszczano, że obsada albo dostała się do niewoli, albo uciekła. Okazało się, że wśród ogólnego zdenerwowania zaciął się Bren, wszyscy zostali więc wzięci do niewoli. Odzyskali wolność zaraz po zajęciu przez nas Sarandy. Dowiedzieliśmy się później, że 40. oddział dostrzegł nieprzyjacielski patrol bojowy, liczący około stu żołnierzy. Wyszedł on z Sarandy w stronę naszej pozycji, lecz pozostał niezauważony do chwili, gdy wyłonił się zza skał w odległości około 100 jardów. Marines próbowali wysyłać do nas sygnały, lecz były one niewidoczne. Po zdobyciu naszej pozycji nieprzyjaciel nie poszedł dalej, lecz natychmiast wycofał się do Sarandy, a my spędziliśmy straszliwą noc na otwartej przestrzeni, w strugach lejącego deszczu.

Następnego ranka pojawiło się słońce. Nasze ubrania zaczęły parować, powiedziano nam też, że na plaży czeka na nas dobre śniadanie i że właśnie przysłano nowe buty - w owym czasie były one równie pożądane jak gorące jedzenie. To był wspaniały dzień, dzień prawdziwego wypoczynku. Pływaliśmy w czystych wodach zatoki, leżeliśmy na słońcu, suszyliśmy nasze rzeczy i ekwipunek i czekaliśmy na wyładunek dostaw z barki. Cała wcześniejsza mizéria poszła w zapomnienie. Mieliśmy czyste skarpety i - co najważniejsze - doskonałe buty. Dowiedzieliśmy się, że dalej na brzegu wyładowano działa 25-funtowe. Tej nocy znów ruszyliśmy przez skały na naszą linię i zajęliśmy ją jakieś 350 jardów od pozycji nieprzyjaciela. Niemcy mieli tam działa kalibru 50 mm i 20 mm. Jeszcze przed świ-

tem nasza artyleria dokonała krótkiego ostrzału i ruszyliśmy do ataku.

Byliśmy blisko celu, gdy ogień stał się silniejszy - to albańscy partyzanci zdecydowali włączyć się do walki, strzelając niebezpiecznie nisko nad naszymi głowami i z o wiele za dużej odległości. Problem stał się w końcu tak poważny, że pułkownik Fynn zagroził dowódcy partyzantów aresztowaniem, jeżeli nie odwoła swoich ludzi i nie pozwoli nam wykonywać zadania. Było już przedpołudnie. Kapitan Parsons ze swoim oddziałem zdobył stanowisko działka kaliber 20 mm, my znaleźliśmy się na głównej pozycji nieprzyjaciela. Niemcy w końcu się poddali.

Po upadku Sarandy nastąpiły kolejne udane operacje na wybrzeżu albańskim. Ich ukoronowaniem było zdobycie Korfu, wyspy oddzielonej od Sarandy cieśniną. Oddziały 2. i 40. wylądowały tam w połowie listopada 1944 roku. Dowódcą komandosów przestał być wówczas bardzo lubiany generał Tom Churchill. W sytuacji, gdy 40. oddział odkomenderowano na Korfu, spadochroniarze z RAF zostali wyłączeni spod jego dowództwa, 9. oddział był w Grecji, 43. oddział ciągle znajdował się w Jugosławii, a do tego nie było żadnego transportu, Tom Churchill dostał rozkaz ścigania Niemców w Albanii na czele mocno uszczuplonego 2. oddziału. Odpowiedzią na ten rozkaz było tylko jedno słowo: „Jak?”. Z naczelnym dowództwem nie było dyskusji. Formacja, zwana teraz 2. Brygadą Komandosów, przeszła pod komendę generała Ronniego Toda, dotychczasowego dowódcy 9. oddziału. Działał on właśnie w Grecji, gdzie próbowano zapobiec wybuchowi wojny domowej między zwolennikami rządu a komunistami z ELAS, co nie było łatwym zadaniem. Wiosną 1945 roku jednostki 2. Brygady Komandosów znalazły się znów razem w Rawennie we Włoszech.

11

COMACCHIO I ARGENTA. 1945

*Nie toczy się bitwy, nie mając dość sił. W złej sytuacji jedyną rzeczą,
jaką można zrobić, jest przetrwać.*

Sun Tzu
Sztuka wojny

W połowie marca 1945 roku, w ostatnich tygodniach wojny w Europie, generał Tod otrzymał rozkaz zaatakowania swoją brygadą niemieckich pozycji nad Comacchio, wielkim jeziorem na północ od Rawenny, stanowiącym naturalną przeszkodę na drodze 8. Armii do Wenecji. O walkach tych, które rozgrywały się na terenie najeżonym niebezpieczeństwami równie groźnymi jak moździerze i działa nieprzyjaciela, opowiemy słowami ich uczestników.

Comacchio jest bardzo płytkim jeziorem, oddzielonym od Adriatyku wąskim cypłem; od południa wpada do niego rzeka Reno. Plan generała Toda zakładał, że 2. oddział komandosów popłynie przez jezioro w małych łodziach i zajmie dwa mosty, po których biegła jedyna droga nad wyschniętymi kanałami. 9. oddział miał następnie zająć zachodnią połowę cypla, 43. oddział natomiast, dowodzony przez podpułkownika Iana Richesa - zaatakować cypel od południa.

Trzy oddziały komandosów miały więc przygotować teren, zaś 40. oddział miał utrzymać najpierw południowy brzeg Reno, a następnie zająć północny brzeg. Potem wszyscy razem mieli ruszyć na cypel, niszcząc niemieckie pozycje i otwierając zbliżającej się armii brytyjskiej drogę wokół jeziora. Wszystkie pozycje niemieckie miały biblijne kryptonimy - „Genesis”, „Jozue”, „Ezra”, „Leviticus” i tym podobne. Były obsadzone przez oddziały Niemców i Turkmenów, Którzy byli dobrze uzbrojeni, dysponowali karabinami maszynowymi i artylerią polową.

Jednostki komandosów były niewielkie. 9. oddział, który liczył 368 żołnierzy, wyruszył z Rawenny o godzinie 16.00 w niedzielę

wielkanocną, 1 kwietnia 1945 roku; do końca wojny w Europie pozostało jeszcze pięć tygodni. Na potrzeby tej operacji 9. oddział otrzymał sześć małych łodzi typu Fantail, jedną typu Weasel, sześć dużych łodzi typu Goatley i 26 szalup. Wyładowane łodzie Fantail zapadały się w płytkiej wodzie, grzęzły, szybko trzeba było z nich zrezygnować. Komandosi załadowali się na Goatleje i szalupy, ale często musieli wysiadać i pchać je. Oddział został podzielony na dwie grupy: A. składającą się z plutonów 1. i 2., oraz B. którą tworzyły plutony 5. i 6. pod dowództwem majora L.S. Callfa:

Gdy zaczynało się to natarcie, operacja „Roast”, powstało pewne zamieszanie na łodziach, które miały wyruszyć jako pierwsze. Nie było widać żadnych niebieskich świateł sygnalizacyjnych, mających oznaczać, jak nam mówiono, linię startu - w rzeczywistości nie mieliśmy jasnych rozkazów co do organizacji całej sprawy. Z góry przyszedł rozkaz: „Ruszajcie po kolei”, grupa ruszyła więc, pchając łodzie i utrzymując kontakt głosowy. Ciągłe nie widać było przed nami niebieskich świateł, które miały wyznaczać pozycję do ataku. Wyglądało to, jakby „wiódł niewidomy ślepego”, ale brnęliśmy dalej. Załogi łodzi miały rozmaite trudności, zależnie od rodzaju przewożonego ładunku, wkrótce też zupełnie się rozproszyliśmy.

6. pluton trzymał się razem i dotarł do głębokiej wody, gdzie mógł już wsiąść do łodzi i popłynąć, natomiast lżejsze łodzie 5. plutonu wciąż pozostawały przy brzegu. Moja łódź przepłynęła połowę drogi, trzykrotnie ugrzęzła w mule i pozostawała nieco w tyle. Dzięki informacjom otrzymanym od Special Boat Section przepchnęliśmy ją na głębszą wodę, gdzie można już było wiosłować. Sternicy mieli rozkaz nie włączać silników dopóki nie dotrą do niebieskich świateł, my jednak na rozkaz dowództwa podjęliśmy szereg prób włączenia ich około 800 jardów lub więcej przed światłami. Przesuwając większość ciężarów na dziób, zdołaliśmy uzyskać wystarczający luz dla śruby i wkrótce ustawiliśmy się na pozycji wyjściowej; major Porter czekał w kajaku SBS, były też trzy łodzie 6. plutonu i kilka

sekcji 2. oddziału. W końcu dopłynęły pozostałe łodzie, utworzyliśmy konwój i ruszyliśmy.

4. pluton popłynął na zachód, omijając małe wyspy, między którymi przesuwaliśmy się prowadzący 5. pluton. Na brzegu podniosła się gęsta mgła, zboczyliśmy nieco na północ i ugrzęźliśmy w mule. Nasze cztery łodzie musiały się rozdzielić, trzeba było pchać i wiosłować, na własną rękę szukając drogi. Tymczasem rozpoczęła się wstępna faza natarcia. Rozciągnięto szczelną zasłonę dymną. Na dom naprzeciw plaży, na której mieliśmy lądować, spadły pociski dymne. Zanim dotarliśmy do brzegu, trzeba było przebrnąć 300 jardów nader grząskiego mułu, co było bardzo męczące. Na brzegu zastaliśmy 4. pluton, który utworzył już przyczółek, i szybko rozstawiliśmy się w pobliżu drogi, gotowi ruszyć, gdy zamelduje się reszta grupy. Wylądowaliśmy mniej więcej o 5.30, piętnaście minut później - o świcie - zameldowałem przez radio, że grupa jest gotowa i że mamy już trzech jeńców.

Sztab poinformował nas, że znajduje się tu nieprzyjacielska kompania z trzema karabinami maszynowymi do osłony plaż i podejść. Dałem rozkaz przesunięcia się dalej i grupa B ruszyła w rozciągniętym szyku. W 5. plutonie prowadziła 9. sekcja, która postawiła zasłonę dymną wokół domu i zajęła go, pozostawiając 10. sekcji dokładne przeszukanie ogrodu i całego otoczenia. Nie wzięliśmy żadnych jeńców. W tym czasie podniosła się bardzo gęsta mgła. Zdecydowałem, że możemy wykorzystać ją jako osłonę przy próbie podejścia do mocno obsadzonej przez nieprzyjaciela pozycji „Leviticus” i zdobycia jej. Dwa nasze radia były już nieprzydatne. Zamokły w wodzie, nie mogłem więc nawiązać kontaktu z 6. plutonem. Miałem jednak nadzieję, że wpadną oni na ten sam pomysł.

10. sekcja i pluton ochrony sztabu dołączyły do 9. sekcji i wszyscy, ciągle w gęstej mgle, ruszyli zdobywać działa. Sierzanci Searle i Stephens rozstawieni zostali na skrzydłach, a ich zadaniem było uciśnić karabiny maszynowe ostrzeliwujące plażę. Jedno z dział kalibru 75 mm wyleciało w powietrze tuż przedtem, nim podeszliśmy. Inne

zdobyliśmy nieuszkodzone, mimo że miało gotowy do odpalenia ładunek. Niemcy, którzy mieli odpalić ładunek, zostali zabici.

Kierowanie natarciem we mgle jest bardzo trudne. Aby iść dalej, należało zreorganizować grupę, ponieważ zapanował pewien chaos, a ponadto mieliśmy około dziesięciu jeńców. Gdy mgła się rozproszyła, dałem rozkaz zwarcia i uporządkowania linii. Zorientowałem się teraz, że dwie grupy komandosów poszły przodem na prawe skrzydło, najbliższe plaży, i zniszczyły karabiny maszynowe, które ostrzeliwały wciąż przyplływające łodzie. Pluton ochrony sztabu poprowadził resztę 9. sekcji i znajdował się teraz pośrodku wydmy między drogą a plażą. Nieco z tyłu 10. sekcja kończyła czyścić teren. Jeńcy byli odbierani od idących przodem sekcji i przekazywani plutonowi ochrony sztabu. Kilku Niemców wyciągnięto ze bunkrów w pobliżu dział.

Sierżant sztabowy Walsh, odznaczony Krzyżem Walecznych, podejrzewając, że zawzięty nieprzyjaciel ciągle ukrywa się w bunkrze, pobiegł tam z miotaczem ognia i podpalił siatkę maskującą. Podniosły się kłęby dymu i w tym momencie cały teren został zasypany gradem pocisków z moździerzy. Ogień był bardzo celny.

Ostrzał prowadzono z dwóch stron, z południa i z północy; ten z północy skoncentrował się głównie na zewnętrznym skraju dominujących nad plażami wydmy. Pluton ochrony sztabu umieścił się w szerokim leju po pocisku. Trafiły tam dwa granaty moździerzowe, zabijając czterech żołnierzy - sierżantów Dickinsona i Portera i szeregowych Drummonda i Urquarta - oraz jednego jeńca. Wszyscy pozostali, z wyjątkiem szeregowego Lancastera, odnieśli rany, zniszczony został także sprzęt radiowy. Od zdobycia przednich pozycji niemieckich do tego ostrzału upłynęło zaledwie pięć minut, a może nawet mniej.

Zdając sobie sprawę, że znaleźliśmy się na linii obrony nieprzyjaciela, rozkazałem ludziom przesunąć się do następnego wału i przeformować szyki. To była bardzo ciężka próba. Niemcy ostrzeliwali nas z broni maszynowej od przodu i z lewego skrzydła, byli oczywiście ranni. Nasze Breny ruszyły do akcji. Łączność radiowa

padła, nic działały nawet walkie-talkie, nie wiedziałem więc, gdzie znajduje się 6. pluton. Wysłałem dwóch gońców, aby podać im naszą pozycję i zameldować o sytuacji. Sekcja 10. dostała rozkaz przejść do następnego wału, gdzie zaatakowała wysunięte umocnienia niemieckie. Mój gońiec wrócił z gońcem kapitana Kennedy'ego. Postanowiłem pójść do 6. plutonu i ułożyć dalsze plany, korzystając z jego radiostacji.

Tymczasem odkomenderowałem porucznika Longa do zorganizowania przy pomocy wszystkich jeńców i tych rannych, którzy mogli chodzić, transportu wszystkich ciężko rannych do sztabu, przedstawienia tam naszej sytuacji i przyniesienia sprzętu radiowego - brak łączności stwarzał ogromne problemy. Jednocześnie wysłałem przedem snajpera, który miał rozpoznać teren. Około godziny 8.00 skontaktowałem się z kapitanem Kennedym i dowiedziałem się, że on także znajduje się pod ostrzałem z moździerzy. Po wysłaniu raportu o naszych stratach rozkazałem przeprowadzenie pięciominutowego ostrzału artyleryjskiego i postawienie zasłony dymnej przy zajęciu w Smarlacca. Korzystając z tej osłony 6. pluton miał podejść do zajazdu i zająć tam pozycje, a 5. pluton przejść obok Smarlacca i zająć pozycje przy drodze.

Wróciłem następnie do 5. plutonu i zanim otrzymaliśmy wsparcie artyleryjskie, wycofałem sekcję przednią około 100 jardów, w bezpieczne miejsce. Ostrzał naszej artylerii rozpoczął się o 8.45. Dym rozszedł się szybko i był tym gęściejszy, że ogień otworzyły moździerze kalibru 50 mm 6. plutonu, który posuwał się pod cełnym ostrzałem z niemieckich moździerzy; poległ wówczas porucznik Morris, a ośmiu żołnierzy zostało rannych. Skierowałem 5. pluton naprzód, na dawne pozycje na wale, około 200 jardów na północ od zajazdu w Smarlacca, a w tym samym czasie grad pocisków spadł na pozycje świeżo przez nas zajęte. Wysłałem jeszcze dwóch gońców, aby dowiedzieli się, co stało się z 6. plutonem, a tymczasem okopaliśmy się na nowej pozycji; dwie niepełne podsekcje dowodzone przez porucznika Robinsona znalazły się na prawym skrzydle, jedna

w środku wraz z plutonem ochrony sztabu.

Mój oddział nie mógł ruszyć dalej, zanim nie nawiązałem kontaktu z 6. plutonem. Nie mając rozkazów i rozeznania w sytuacji, zdecydowałem czekać i nie ruszać się z miejsca. Ostrzeliwaliśmy dwa stanowiska niemieckich karabinów maszynowych, jedno z przodu, w sąsiedztwie bunkra przy zajeździe, drugie na pagórku, na wschód od drogi. Nasze moździerze strzelały bez skutku, my natomiast nękani byliśmy cały czas kolejnymi falami ostrzału, idącego gdzieś zza naszych pozycji, z okolic linii, którą poprzednio zajmowaliśmy. Na prawym skrzydle złapano czterech Niemców, którzy próbowali przekraść się przez nasze linie. Wrócił goniec z informacją o pozycjach 6. plutonu - znajdowały się one prawie naprzeciw nas, choć nieco dalej na wschód, i były dobrze ukryte.

Nadleciały teraz nasze myśliwce, lecz rzuciły bomby z tyłu, bliżej nas niż nieprzyjaciela i bardzo blisko pozycji 6. plutonu. Obsługa moździerza znów wypatrzyła, gdzie się znajdujemy. Dwie serie pocisków spadły zaledwie 25 stóp od nas. W przerwie między ostrzałem nadszedł kapitan Bassett-Wilson, odznaczony Krzyżem Wojennym, i powiedział mi, że jest łącznikiem między 6. a 5. plutonem i że wysłał oficera obserwacyjnego artylerii do 6. plutonu. Omówiliśmy dalsze plany i obaj okopywaliśmy głębiej pozycje, gdy obok kapitana rozerwał się pocisk moździerzowy, raniąc go ciężko i zadając obrażenia innemu żołnierzowi.

Zaraz potem następny pocisk zabił kapitana Bassetta-Wilsona i młodszego kaprała* Lody'ego; zdecydowałem wycofać się. Tymczasem młodszy sierżant** Stephens i szeregowy Sherwood zostali trafieni z broni automatycznej, gdy próbowali wzmocnić siłę ognia na prawym skrzydle. Obaj zostali ewakuowani przez pięciu jeńców i starszego szeregowego Kinga przed ostatnim ostrzałem. 5. pluton wycofywał się w małych grupach i choć był ostrzeliwany, nie poniósł dalszych strat. Na prawym skrzydle pozostała odizolowana jedna podsekcja. Nasza następna pozycja usytuowana była na skraju winnicy, 400-500 jardów na południe od poprzedniej. W czasie, gdy się

okopywaliśmy, na winnicę padły dwie serie pocisków moździerzowych, raniąc wielu ludzi

* Brytyjski stopień wojskowy (Lance Corporal) - przyp. red.

** Historyczny brytyjski stopień wojskowy (Lance Sergeant) - przyp. red.

Ogień niemieckich karabinów maszynowych MG 34 ogarnął całą winnicę, a jego celem była obrona stanowisk dział, które na początku atakowaliśmy we mgle. Gdy został wstrzymany, reszta jeńców wyniosła ostatniego rannego. Okopaliśmy się znów, ponieważ byłem prawie pewny, że nie będziemy w stanie posuwać się w dziennym świetle, dopóki moździerze będą w akcji. Było oczywiste, że nieprzyjaciel mógł bez trudu kontrolować całe otoczenie „Leviticusa” ze względu na znajomość terenu. Około pół godziny później nadeszło wsparcie artyleryjskie dla grupy A (czyli plutonów 1. i 2.), a później zawsze nam miły głos dudów obwieścił nadejście 1. plutonu. Dowiedzieliśmy się potem, że ruchy 1. i 2. plutonu śledziło z ukrycia dwóch nieprzyjacielskich obserwatorów z obsady moździerza, zostali jednak schwytni przez 6. pluton, gdy próbowali przekraść się przez nasze linie. Uciekł też jeden żołnierz niemiecki z obsługi karabinów maszynowych MG 34 i zdołał uniknąć pojmania... i to by było wszystko.

Porucznik Don Long z 9. oddziału komandosów, odznaczony Krzyżem Wojennym, wspomina swe przeżycia z nad Comacchio:

Pamiętam, jak szliśmy do ciężarówek z George'em, który powiedział wtedy: „Jedyną, co przydałoby się przed końcem wojny, to Krzyż Wojenny”. Byliśmy wszyscy niemal pewni, że wojna zaraz się skończy, odpowiedziałem więc: „Nie bądź cholernym głupkiem, mam nadzieję, że nie dostaniesz krzyża nagrobnego”. No więc wyładowaliśmy w Comacchio i, jak się okazało, był to straszliwy nonsens. Łodzie grzęzły i osiadały w mule, nie mogły pływać, a mgła była tak gęsta, jak to tylko możliwe. Byliśmy zdenerwowani z powodu min, które mogły pourywać nam stopy, a gdy podchodziłem do jednego z sierżantów, wyleciałem w powietrze. Rąbnąłem na ziemię ze

straszna siłą, lecz miło było zobaczyć, że ciągle mam obie nogi, choć do niczego się teraz nie nadawałem. Okazało się później, że był to niezdetonowany granat, który wybuchł dopiero w momencie, gdy go kopnąłem.

Dudley cooper z 2. oddziału komandosów otrzymał Krzyż Walecznych za akcję nad Comacchio:

Znaleźliśmy się na brzegu jeziora, gdzie, jak mówiono nam na odprawie, mieliśmy wsiąść na składane łodzie szturmowe Goatley, które będą holowane przez motorówki. Następnie mieliśmy przenieść łodzie przez groble i wyjść na brzeg od wschodu; o świcie miał zacząć się ogień zaporowy.

Dołączono do nas kilku saperów, których zadaniem było oczyszczenie terenu z min. Nie mieli odprawy z oficerem dowodzącym, zostali tu wyznaczeni do wykonania roboty karnej i nie dano im broni. Wkrótce dostali jednak karabiny i amunicję i oświadczyli, że sami będą troszczyć się o siebie. Wsiedliśmy na łodzie i opadły nas miliony moskitów. Prowadzący motorówkę włączył silnik i wypłynął, ale silnik natychmiast zgasł.

Żaden z silników nie chciał działać. Ostatecznie weszliśmy do wody i grzęznąc po uda w mule, zanurzeni po piersi godzinami pchaliśmy i ciągnęliśmy łodzie przez jezioro, dopóki woda nie stała się dostatecznie głęboka, by zapuścić silniki. Wdrapaliśmy się na łodzie i ruszyliśmy tylko po to, by za pięć czy dziesięć minut zatrzymać się przy grobli. Mogliśmy teraz użyć składaków zamiast tej ciężkiej motorówki. Leżeliśmy przy grobli i czekaliśmy na ogień zaporowy, który zaczął się w wyznaczonym czasie. Oficer dowodzący nie czekał na wstrzymanie ognia. Wkrótce znaleźliśmy się zbyt blisko, by korzystać z tej osłony. Przestałem wiosłować, ale oficer kazał mi płynąć dalej.

W tej chwili przeleciał koło naszych głów ogromny odłamek i ogarnięci paniką wszyscy zastygliśmy w bezruchu, dopóki ogień nie został wstrzymany. Oficer dowodzący, mój zastępca i ja ruszyliśmy

przodem z Piatami* i dostrzeżliśmy Niemców przegrupowujących się do kontrataku. Ustawiłem Piata i posłałem wszystkie pociski w lasek, w którym się ukryli. Znaleźliśmy się przed naszymi liniami uzbrojeni tylko w broń ręczną. Żaden z nas nie wiedział, gdzie jesteśmy. Powiedziałem moim towarzyszom, że będę ich osłaniał, gdy będą się wycofywali pod ogniem maszynowym w stronę naszych pozycji. Użyłem pistoletu Colt kaliber 11,43 mm, by odwrócić uwagę obsługi niemieckiego karabinu maszynowego, lecz gdy raz opróżniłem magazynek, byłem pod takim ostrzałem, że nie mogłem go już naładować ani wykonać żadnego ruchu. Mój Piat został trafiony, miałem dziury w bluzie i spodniach battledressu, postanowiłem więc udawać martwego, ponieważ najmniejszy ruch powodował kolejne strzały.

* Piat - brytyjski granatnik przeciwpancerny - przyp. red.

Wydawało mi się, że leżałem tak godzinami, ale naprawdę upłynęło chyba pół godziny, gdy nadszedł Willy Neil wołając mnie. Powiedziałem mu: „Jeśli udało ci się tu dojść, to możemy wrócić... a więc w nogi!”... i pognaliśmy do naszych linii. Mój zastępca nie miał tyle szczęścia. Siedział wraz z kolegami i jeńcami niemieckimi w leju po bombie, gdy trafił tam pocisk z mózdzierza, zabijając wszystkich. Saperzy zabrali się do pracy i znaleźli miny na moście i na obu brzegach rzeki. Nadjechały czołgi, ściągając na nas ogień karabinów maszynowych. Wkrótce od strony pozycji niemieckich nadeszło bardzo wielu Turkmenów z podniesionymi rękoma. Oświadczyli, że zastrzelili niemieckiego sierżanta i jego pomocników. Zginęło wielu ludzi, ale cel został w końcu zdobyty.

2. Brygada Komandosów - nazwa Brygada SS (Służb Specjalnych) została ostatecznie zarzucona w końcu 1944 roku - walczyła nad jeziorem Comacchio do 4 kwietnia 1945 roku, ponosząc ciężkie straty. Po operacji „Roast” brygada przeszła pod dowództwo 56. Dywizji Piechoty i brała udział w następnej operacji na przełęczy Argenta. Opowiada porucznik Peter Bolton z 9. oddziału komandosów:

Po walkach nad Comacchio mieliśmy tylko kilka dni wytchnienia i znów ruszyliśmy wraz z 24. Brygadą Gwardii na operację „Impact Royal”. Plan zakładał, że przepłyniemy jezioro Comacchio łodziami od południowego wschodu, wylądujemy i ruszymy wzdłuż zachodniego brzegu, aby zająć most nad kanałem Fosse Marina, co miało otworzyć drogę na północ, w stronę przełęczy Argenta.

Wylądowaliśmy zgodnie z planem, bez przeszkód, lecz gdy rozwinęliśmy szyk na brzegu, znaleźliśmy się pod ogniem z moździerzy. Na szczęście, szybko się okopaliśmy, nie odnieśliśmy więc strat. Bardzo blisko okopu zajmowanego przez mojego przybocznego, szeregowego Woodcocka, wybuchł pocisk. Usłyszałem huk, wystawiłem głowę, by zobaczyć, co się dzieje, i ujrzałem Woodcocka postawającego niczym anioł w chmurze dymu, a potem gnającego jak burza w stronę pobliskiego domu. „Wracajcie, Woodcock”, krzyknąłem, lecz najwyraźniej był w szoku i zniknął wśród drzew. Kolejny ostrzał uniemożliwił mi natychmiastową interwencję, ale jakieś dziesięć minut później Woodcock wrócił, zataczając się, i zapytał, co się stało. Mój plecak, który leżał na krawędzi okopu, został pocięty odłamkami, a leżąca na górze racja czekolady zamieniła się w proszek. Woodcock kompletnie ogłuchł i musiałem odprowadzić go do lekarza.

Zapadał już mrok, gdy powlekliśmy się dalej i musieliśmy być mocno zmęczeni, skoro jeden z moich starszych szeregowych zбочzył ze ścieżki i wpadł do starego okopu. Niefortunnie miał w kieszeni spodni puszkę detonatorów, które zostały przy upadku zgniecione i wybuchły, a on został poważnie ranny w pachwinę. Kolejny ranny, a operacja jeszcze się nawet nie zaczęła! Moim pierwszym celem była grupa zabudowań gospodarczych wznoszących się nad mostem na kanale. Po sprawdzeniu ich mieliśmy zasygnalizować naszą obecność melodią naszego oddziału zagrana na dudach (był z nami dudziarz), a następnie szybko ruszyć do drugiego celu, czyli mostu. Było ciemno, gdy podeszliśmy do farmy, a gdy znaleźliśmy się około 300 jardów od niej, zeszlśmy opodal szosy i poszliśmy dalej za wałem przeciwpo-

wodziowym, mając nadzieję, że nas nie widać.

Mieliśmy właśnie znów ruszać, gdy rozległy się krzyki, wybuchł granat i padła seria strzałów. Następnie przypędzono dwóch jeńców i okazało się, że mój zwiadowca wpadł do okopu na wysuniętym stanowisku wroga. Ci dwaj musieli spać, lecz jeden był na tyle szybki, by rzucić granat w jego stronę. Tym razem obyło się bez rannych, jednak nasz zamiar zaskoczenia wroga spełził na niczym.

Krzyknąłem do moich ludzi, aby rozstawili się na polu z lewej strony i zajęli znajdujące się przed nami budynki. Tak zrobiliśmy i muszę przyznać, że było to przezabawne... i zupełnie niezwykle. Ruszyliśmy z bagnietami w dłoniach, wrzeszcząc i wydając przeraźliwe odgłosy niczym derwisze. Gdy tak biegliśmy, ktoś pojawił się w oknie na piętrze i oddał do nas kilka serii. Odpowiedziałem trzema strzałami na oślep z pistoletu kaliber 11,43 mm. Nagle wpadłem w dziurę, poleciałem z hukiem i wypuściłem pistolet z ręki. Nie nosiłem go na rzemieniu (okropnie przeszkadza w drodze), straciłem więc broń. To nie był czas ani miejsce, aby jej szukać. Pognałem za moimi chłopakami na farmę. Wbiegłem na podwórze, a tam działo się coś, co można by przyrównać tylko do Sądu Ostatecznego... i straciłem świadomość uderzony potężnym podmuchem powietrza. Gdy padałem na ziemię, znów mocno błysnęło i huknęło. Ze zgrozą zobaczyłem dokładnie naprzeciw siebie lufę czegoś, co wyglądało jak monstrualnych rozmiarów działo.

Zobaczyłem też, że w stronę tego czegoś biegnie kapral Daniels z 4. plutonu. A potem usłyszałem charakterystyczne zawodzenie maszynierii gotowej do strzału i pomyślałem natychmiast, że to nieprzyjacielski czołg. Trzy razy huknęło i błysnęło. Potem zobaczyłem kaprala Daniela siedzącego okrakiem na wieżyczce, z pistoletem maszynowym Thompson w rękach, krzyczącego do załogi: „Hände hoch! Raus, raus!” - i wszyscy wyszli.

To nie był czołg, lecz działo samobieżne. Gdy biegliśmy na farmę, jego załoga próbowała pozbyć się kłopotu i zlikwidować nas. Dlatego strzelali na podwórzu, gdzie popadnie. Wepchnęliśmy jeńców do

budynku i popędziłem przekonać się, czy rzeczywiście wykonaliśmy już zadanie.

Pobiegłem wokół zabudowań ze strzelcem Riddalem i gdy zbliżaliśmy się do ostatniego domu, pojawiła się jakaś postać i puściła w naszym kierunku długą serię ze Schmeissera. Poczulem przeraźliwy huk w głowie i padłem, myśląc: „To naprawdę śmieszne umrzeć pod sam koniec wojny”. Próbowałem wymacać palcami dziurę, którą - byłem pewien - mam w czole, i usłyszałem krzyk Riddala: „Wszystko w porządku, sir? Pański hełm się pali!” Zerwałem go i zobaczyłem, że kula uderzyła w krawędź i rozbiła przód hełmu, a od iskry zapaliły się płótno i siatka maskująca.

Riddal strzelił do gościa, ale byliśmy za bardzo na widoku. Wycofaliśmy się, by zebrać więcej ludzi i zaatakowaliśmy budynek z przeciwnej strony. Teraz mogłem dać rozkaz zagrania na dudach sygnału, że wygraliśmy, i muszę dodać z dumą, że dudziarz 4. plutonu był znakomity. Ponieważ noc się dłużyła, wszystkie oddziały, jeden po drugim wysłuchały swoich melodii. To było bardzo podnoszące na duchu. Byliśmy trochę wykończeni, okazało się też, że trzech kolegów zostało rannych na początku ataku na farmę.

Teraz była kolej na drugą fazę operacji - zajęcie mostu. George Bisset, nasz saper, poszedł przodem, aby sprawdzić, czy teren nie jest zaminowany i czy most nie jest przygotowany przez nieprzyjaciela do wysadzenia. Gdy biegliśmy w stronę mostu, znaleźliśmy się pod bardzo ciężkim ostrzałem. Nagle coś błysnęło tuż koło mnie i z przerażeniem zobaczyłem szeregowego Younga w ogniu. Pocisk czy może odłamek - byliśmy wówczas także pod ogniem moździerzy - trafił w granat fosforowy w woreczku przy pasie. Zerwaliśmy z Younga cały ekwipunek i bluzę i wsadziliśmy go w muł. Próbowaliśmy ratować go wszystkimi sposobami. Nie bardzo nam się powiodło, cierpiał okropnie, dałem mu więc zastrzyk z morfiny - każdy oficer ma paczuszkę z pięcioma takimi zastrzykami - i mieliśmy go właśnie zostawić i ruszać dalej, gdy wyszeptał z trudem: „Czy mógłbym dostać papierosa, sir?” Dałem, bo i tak nic już nie mogło mu zaszkodzić.

Zostawiłem go i zrobiłem mniej więcej trzy kroki, gdy cała ziemia wybuchła. Padłem jak martwy na plecy. Most został wysadzony i gdybym nie zwlekał i nie spędził tych kilku minut z Youngiem, wszyscy bylibyśmy właśnie na moście.

Próbowałem wracać, musiałem jednak przedostać się przez linię ognia. Było to naprawdę niebezpieczne, ponieważ strzelano pociskami smugowymi. Gdy przekradałem się, potykając, obok małego domu, pomocna ręka wciągnęła mnie do środka. Usłyszałem: „Nie pędź tak, chłopie, co z tobą?” To był Angus Ferguson, który powiedział mi, że Harry Kither został właśnie zabity w tym miejscu. Tak czy inaczej wycofaliśmy się na bezpieczną (?) stronę szosy i czekaaliśmy, co się wydarzy. Mój oddział był już teraz mniejszy o połowę i jak w większości bitew, nie miałem pojęcia, gdzie wszyscy się podzieli.

Nadszedł ranek i stopniowo zacząłem orientować się w sytuacji. Zdecydowałem, że okopimy się i nocą podejmiemy szturm na kanał. Cały dzień spędziliśmy w rowach, próbując spać. Mówiono mi, że kilku saperów ma przynieść łodzie, którymi moglibyśmy przepłynąć kanał, ale na nieszczęście łodzie zostały już przyniesione i czekały po drugiej stronie drogi, a ponieważ droga była pod niemal ciągłym ostrzałem, mieliśmy problem.

Do przeniesienia każdej łodzi potrzeba było co najmniej czterech ludzi, a najlepiej sześciu. Saperzy, którzy dostarczyli nam łodzie, ulotnili się, zanim zdążyłem zmusić ich do pomocy. Ci, którzy zostali z 4. plutonu, podjęli próbę i udało nam się przenieść dwie czy trzy łodzie przez drogę, lecz kosztem ludzi, i właściwie nie było już nikogo zdolnego do walki. Poległ jeden z moich najlepszych żołnierzy, kapral Tanner, były policjant z londyńskiego City, mieliśmy także kilku naprawdę ciężko rannych. A do tego wszystkiego, gdy siedziałem w rowie w zupełnych ciemnościach, rozświetlanych tylko błyskami pocisków smugowych, zobaczyłem stojącą nade mną wysoką postać z dużym mapnikiem i w pełnej gotowości bojowej.

„Chciałbym wiedzieć - powiada ten osobnik - czy jest pan office-

rem?”. „Tak - odwarknąłem. - A kim pan jest, do diabła?”. Na to on: „O, jestem oficerem wywiadu 2. Pułku Gwardii Szkockiej, który złuzuje pana ludzi jutro. Właśnie się rozglądałem za oficerem dowodzącym”.

„Na miłość Boską, niech pan zejdzie na dół, zanim oberwą panu głowę” - powiedziałem. „Och, mój drogi - brzmiała odpowiedź - czy doprawdy jest aż tak źle?”. Starałem się usilnie oświecić go co do naszej sytuacji, ale nie było to łatwe. W tym czasie był przy mnie sierżant z innego oddziału, czekający na noszach na ewakuację, i jeden z moich chłopców, tak poraniony, że jedynym miejscem, gdzie mogłem zrobić mu zastrzyk z morfiny, był brzuch. Muszę powiedzieć, że zachowanie tego gwardzisty zrobiło na mnie duże wrażenie. Być może naprawdę nie był w stanie rozpoznać oficera. Nie nosiliśmy dudów przy operacji takiej jak ta. Dowódcy sekcji mieli zieloną belkę na epoletach, dowódcy plutonów dwie belki. Sądzę, że trzy belki mieli Naczelnny Wódz i Pan Bóg, ale póki co żadnego z nich nie widziałem z bliska.

Następną rzeczą, jaką pamiętam, było to, jak leżałem na wale nad kanałem wraz z majorem Leslie Callfem i kapitanem Matem Kennedym, czekając na powrót porucznika Marka Cloake z 4. plutonu. Został on wysłany, aby sprawdzić możliwości przedostania się przez kanał bez łodzi. Gdy wrócił, dosłownie pluł mułem i szlamem. „Muł - powiedział - muł dokładnie dotąd” - i dotknął dłonią piersi. Były ze mną na wale resztki 4. plutonu, czekające, aż przeprowadzę je przez kanał, po nich miały przejść inne oddziały, chyba mniej zdziąt-kowane. Tak się jednak nie stało. Polecono nam pozostać do świtu tam, gdzie jesteśmy, a potem rozważyć sytuację. Gdy tak leżeliśmy, przyniesiono porcje rumu i sierżant sztabowy Scott z entuzjazmem porozdzielał po kapeczce.

O świcie okazało się, że nasza obecna pozycja z całą pewnością jest nie do utrzymania, zdecydowaliśmy więc wycofać się do lasu, około 200 jardów od naszych pozycji. W mojej sekcji, liczącej dwudziestu czterech ludzi, miałem siedemnastu poszkodowanych, któ-

rych tak czy inaczej trzeba było odesłać do punktu medycznego. Nasz kapelan, John Birkbeck, był podczas tej operacji naszą opoką. Jeździł jeepem, z dwoma parami noszy do transportu poległych lub rannych, wszędzie tam, gdzie był potrzebny, a jego obecność była dla nas wielkim wsparciem. Wróciliśmy później do Marina de Ravenna i to był koniec naszej wojny we Włoszech.

LĄDOWANIE W NORMANDII, 1944

*Jest powinnością każdego chrześcijanina nosić na rozkaz władzy broń
i służyć na wojnie.*

Zasady Kościoła anglikańskiego

Wojna we Włoszech się zakończyła, cofnijmy się więc teraz w czasie i w przestrzeni do Wielkiej Brytanii i do lata 1944 roku, aby towarzyszyć Brygadzie Komandosów podczas lądowania w Normandii 6 czerwca 1944 roku. 3. oddział komandosów, który w sile 280 ludzi wrócił z Włoch do Anglii 1 stycznia 1944 roku, by dołączyć do wojsk alianckich przygotowujących się do operacji D-Day, zastał wielkie zmiany. W Dowództwie Operacji Połączonych sprawy przybrały nowy obrót, okazało się też, że siły komandosów znacznie się rozrosły.

W połowie 1943 roku utworzono trzy brygady komandosów, jedną w Wielkiej Brytanii, drugą na Bliskim Wschodzie, a trzecią formowano właśnie w Indiach na potrzeby operacji na wybrzeżu Arakanu w Birmie. W Wielkiej Brytanii potrzebna była jeszcze jedna brygada. Gdy więc generał Laycock został w 1944 roku szefem Dowództwa Operacji Połączonych, do jego pierwszych zadań należała zmiana całej struktury organizacyjnej oddziałów komandosów i zastąpienie dawnej prowizorki strukturą bardziej sformalizowaną, a przy tym elastyczną.

W 1944 roku istniały cztery brygady komandosów (Służb Specjalnych): 1. Brygada, przygotowywana do udziału w inwazji w Europie; 2. Brygada, działająca, jak już pisaliśmy, w rejonie Morza

Śródziemnego; 3. Brygada na Dalekim Wschodzie i 4. Brygada, także sformowana w Wielkiej Brytanii na potrzeby D-Day i składająca się wyłącznie z nowo powstałych (na miejsce dawnej dywizji) jednostek piechoty morskiej. Te nowo powołane jednostki wywoływały pewien niepokój wśród komandosów armii.

Obawy wywoływał przede wszystkim fakt, że nie wszystkie jednostki komandosów piechoty morskiej składały się z ochotników. Pierwsza z nich, 40. oddział komandosów piechoty morskiej, została utworzona w całości z ochotników, a dwie następne, 41. i 43., doskonale spisały się w walkach we Włoszech i w Jugosławii i szybko zostały zaakceptowane przez kolegów z armii. Jednostki teraz szkolone w Anglii - oddziały 42., 45., 46., 47. i (od marca 1944 roku) 48. - miały nieco odmienny charakter. Generał Durnford Slater był im zdecydowanie przeciwny.

John Durnford Slater, który jako zastępca dowódcy Grupy Komand, generała Roberta Sturgesa, przeprowadzał inspekcję wszystkich czterech Brygad Służb Specjalnych oraz służb wspomagających, czuł, że „od jednostek złożonych z marines z poboru nie można oczekiwać utrzymania tak wysokich standardów, jakie osiągnęli ochotnicy”. Odczucie to podzielali powszechnie żołnierze i oficerowie 3. oddziału komandosów. Zakazywali oni marines odwiedzania pubów w Worthing, co było powodem licznych burd i bijatyk.

John Kruthoffer z 40. oddziału i 30. jednostki szturmowej (30. oddział komandosów) uważał konflikt między armią a piechotą morską za niezbyt istotny:

Większość oficerów, których poznałem w Szkocji, była pierwszorzędnymi wojskowymi. W 1942 roku nie mogli być doprawdy bardziej pomocni i życzliwi w stosunku do komandosów z piechoty morskiej. To samo mogę powiedzieć o innych wojskowych, z którymi zetknąłem się na szkoleniu czy gdzie indziej. To było zawsze wesołe i skore do żartów towarzystwo, lecz bardzo szanujące się nawzajem. Podejrzewam, że właśnie dlatego wszyscy staliśmy się obiektem

małostkowej krytyki ze strony żołnierzy regularnej armii, którym z założenia nie podobał się pomysł powołania jednostek komandosów.

Durnford Slater wkrótce zorientował się, że jego najważniejszym zadaniem jest doprowadzić do współpracy między starymi jednostkami armii a nowymi jednostkami komandosów, które pozbyły się niechętnie nastawionych rekrutów w Achnacarry czy na wstępnych szkoleniach i teraz aż rwały się do odegrania ważnej roli podczas lądowania w Europie. Dzięki doświadczeniom wyniesionym znad Morza Śródziemnego Durnford Slater wiedział, że najlepszym sposobem wytworzenia więzi koleżeństwa wśród jednostek frontowych jest ich połączenie. 45. oddział komandosów został więc włączony do dowodzonej przez generała lorda Lovata 1. Brygady Służb Specjalnych, w której skład wchodziły teraz oddziały: 3., 4., 6. i 45., przy czym do 4. oddziału dołączono francuskich komandosów 10. międzyalianckiego oddziału komandosów (ich dowódcą był Philippe Keiffer).

Podpułkownik Peter Young także nie widział większych problemów w relacjach między jednostkami:

Dowódcą 1. Brygady Komandosów (czyli 1. Brygady Służb Specjalnych) był generał lord Lovat. 45. oddziałem komandosów dowodził Charles Ries, porządny człowiek i mój przyjaciel. Ries miał także doskonałego zastępcę, Nicola Graya, nieustępliwego żołnierza, który później dowodził policją w Palestynie. Między wszystkimi jednostkami 1. Brygady, dowodzonej później przez wspaniałego Dereka Millsa-Robertsza, bardzo szybko wytworzyła się doskonała atmosfera.

Drugą brygadą przygotowaną na D-Day była 4. Brygada Służb Specjalnych, którą dowodził generał piechoty morskiej „Jumbo” Leicester, a w jej skład wchodziły oddziały: 41., 46., 47. i 48.

Ponieważ zadania tych dwóch brygad komandosów podczas lądowania w Europie 6 czerwca 1944 roku bardzo różniły się od siebie,

a książka ta poświęcona jest przede wszystkim komandosom armii, działania 4. Brygady omówimy jedynie pokrótce. 1. Brygada miała wylądować na plaży „Sword”, przedostać się przez linie niemieckie i połączyć się z 6. Dywizją Powietrznodesantową (6. DPD) 6 mil w głębi lądu, pomiędzy rzeką Orne a kanałem Caen w Benouville, a następnie przejść pod komendę 6. DPD w następnych bitwach na przyczółku.

Jednostki 4. Brygady miały rozszerzyć i połączyć flanki dywizji brytyjskich i kanadyjskich, lądujących na plażach „Gold” i „Juno”, na zachód od Ouistreham, i połączyć się z Amerykanami lądującymi na plaży „Omaha”, na zachód od Port-en-Bessin, rybackiego portu na styku dwóch armii sprzymierzonych.

Ponieważ wiele osób sądzi, że specjalnością komandosów jest atak i że zawsze przybywają oni na brzeg pierwsi, na czele głównych sił desantowych, warto podkreślić, że w operacji „Overlord” wszystkie jednostki komandosów lądowały w grupach uzupełniających - za dywizjami szturmowymi - wówczas gdy w myśl idealistycznych założeń plaże powinny być już bezpieczne. W dniu inwazji sprawy wyglądały jednak inaczej. Po pierwsze, wszyscy uczestnicy desantu ucierpieli podczas przeprawy przez kanał La Manche z powodu złej pogody. 6. oddział komandosów wsiadł na okręty w Spithead i odpłynął do Francji o godzinie 20.00. Jak wspomina Philip Pritchard, niebo było rozgwieżdżone, a podróż zapowiadała się dobrze:

Gdy okręt minął wyspę Wight, sztorm na Kanale uczynił wiele złego wśród żołnierzy, wielu z nich zapadło wkrótce na ciężką chorobę morską. 1. Brygada Służb Specjalnych wyszła na brzeg 6 czerwca, najpierw 4. oddział, po nim sztab brygady, 6. oddział i dwie pozostałe jednostki, oddziały 3. i 45. oddział wraz z oddziałami francuskimi skierował się na wschód, by zaatakować Ouistreham, inne oddziały natomiast ruszyły 6 mil w głąb lądu, do mostów nad Orne i kanałem Caen w Benouville.

4. oddział komandosów, dowodzony teraz przez podpułkownika

R.W.P. Dawsona, wysiadł z barek desantowych w La Breche, około 1 mili na zachód od Ouistreham, 6 czerwca o godzinie 8.20 i przeszedł przez plażę, gdzie pułk East Yorks z 8. Brygady Piechoty wciąż pozostawał unieruchomiony przez ogień z karabinów ręcznych i maszynowych oraz z moździerzy. Szeregowiec Farnborough wspomina dzień „D” w 4. oddziale komandosów:

Płynęliśmy nocą z 5 na 6 czerwca. Tuż po świcie widziałem z pokładu „Princess Astrid” niszczyciel, który eksplodował i zatonął. Wkrótce potem załadowaliśmy się na barki, przykazano nam zachować spokój i kierować się w stronę brzegu. Nagle rozpętało się piekło - przepływało blisko okrętu wyrzeliwującego setki rakiet. Hałas był straszliwy. Skuliliśmy się w naszej barce i nagle odezwał się głos: „Pierońska draka naokoło, a my mamy zachować spokój!”. Wszyscy się roześmiali i napięcie zelżało. Gdy dobiliśmy do brzegu, front się odsunął i mogliśmy się wyladować.

Zanim dotarliśmy do końca plaży, lewą ręką miałem poszarpaną pociskami. Okazało się, że leżę przed stanowiskiem wielkiego niemieckiego działa. Działo ciągle strzelało, gdy na plażę wjechał czołg, wyrzelił pocisk i unieruchomił je. Znajdowałem się między czołgiem a działem i pamiętam moją nadzieję, że gość w czołgu jest dobrym kierowcą, inaczej byłoby po mnie. Oczywiście nie mógł mnie widzieć, ale na szczęście wykręcił na prawo od stanowiska, mijając mnie w odległości około 4 stóp. Muszę powiedzieć, że nie wyobrażałem sobie, że czołg jest taki wielki. Gdy wracałem do zdrowia w szpitalu, przeczytałem, że dowódca czołgu otrzymał za tę akcję Krzyż Wojenny.

Pułkownik Dawson został ranny od odłamków pocisku z moździerza, a czterdziestu jego ludzi zginęło, przechodząc przez plażę. Potem pułkownik znów został ranny, tym razem w głowę, i dowodzenie objął major Menday. 4. oddział komandosów wraz z dwoma oddziałami francuskimi pod dowództwem Philippe'a Keiffera, który prowadził kolumnę, ruszył w stronę Ouistreham. Dotarłszy tam zniszczył

stanowiska snajperów i broni maszynowej, zdobył silnie bronione przez Niemców kasyno, a potem ruszył w stronę pozycji 6. DPD na wschodnim brzegu kanału Caen. Tymczasem o godzinie 8.40 wylądował sztab brygady, a po nim oddziały 3. i 45. Wszyscy skierowali się do Benouville i do mostu Pegaza, który został zdobyty w nocy przez oddział spadochroniarzy przerzucony szybowcami desantowymi, dowodzony przez majora Johna Howarda z pułku lekkiej piechoty Ox and Bucks.

Peter Young, dowódca 3. oddziału komandosów, wspomina to lądowanie:

Trzy barki desantowe zostały trafione w czasie zbliżania się do brzegu. Pocisk trafił w zapasy amunicji do moździerzy 6. plutonu. W wyniku eksplozji zginął starszy sierżant i kilku innych żołnierzy. Pierwszym żołnierzem 3. oddziału komandosów, który stanął na brzegu francuskim, był nasz oficer administracyjny, „Slinger” Martin, który służył we Francji podczas I wojny.

Sidney Dann z 6. oddziału komandosów opowiada o swoich przeżyciach w dniu „D”:

Podróż była bardzo ciężka, zmogła mnie choroba morska. Wziąłem koc na pokład, wpełzłem pod szalupę ratunkową i popadłem w odrętwienie. Obudził mnie głośny huk wybuchającego pocisku. Niedaleko nas stanął w ogniu niszczyciel, a wkrótce mieliśmy wychodzić na plażę. Oddziały szykowały się na pokładzie barki do lądowania. Mój ekwipunek ciągle był na dole, ale zdążyłem na czas.

Byliśmy na rampie przy prawej burcie, a pułkownik Mills-Roberts i połowa drużyny dowodzenia na rampie przy lewej burcie. Nad plażą unosił się gęsty dym, wybuchały pociski z moździerzy i dział kalibru 88 mm. Z betonowego bunkra strzelał karabin maszynowy, wszędzie świstały kule. Cała plaża usłana była płonącymi czołgami i najrozmaitszego typu wozami bojowymi. Pułk East Yorks z 8. Brygady Piechoty ciągle pozostawał na samym brzegu i okopał się tam za

osłoną z porzuconych pojazdów.

Większość z nas nigdy przedtem nie widziała martwego człowieka, dlatego przeżyliśmy szok, widząc pływające w wodzie i leżące na plaży zwłoki bez głów, rąk, nóg itd. Ruszyliśmy w głąb łądu w szyku marszowym, prowadzeni przez 3. pluton, aby połączyć się nad Orne z 6 Dywizją Powietrznodesantową, a następnie na wzniesienia górujące nad rejonem desantu w Bréville i Amfreville.

Ken Phillot należał w dniu „D” do sekcji wywiadu 4. oddziału komandosów:

Przeszliśmy przez plażę, a następnie przez rów pełen zielonej, cuchnącej, mulistej wody. Oddział komandosów piechoty morskiej przede mną wspinał się na przeciwległy brzeg, inni koledzy byli w połowie rowu, ja zsuwałem się właśnie do wody, gdy wpadł pomiędzy nas pocisk z moździerza. Jeden z marines miał w ładownicy amunicję, odniósł jednak tylko lekkie obrażenia. Mnie nic się nie stało, lecz kolega pośrodku rowu został trafiony odłamkiem i cały zalał się krwią. Musieliśmy zostawić go pod opieką lekarzy w przekonaniu, że z nim już koniec. Ku naszemu zdziwieniu kilka miesięcy później dowiedzieliśmy się, że przeżył i jest w szpitalu w Anglii.

Ponownie wspomina Sidney Dann z 6. oddziału komandosów:

Pierwszego kolegę straciliśmy jakieś dwieście jardów w głębi łądu. Nazywał się Adams i dołączył do nas zaledwie dzień przed wyruszeniem na akcję; został trafiony w głowę przez snajpera. Znajdowaliśmy się pod ogniem baterii sześciu moździerzy, strzelających pociskami z ładunkami zapalającymi. Potem trafiliśmy na trzy bronione bunkry. Moja drużyna szybko oczyściła jeden z nich. Oślaniał nas Jimmy Templeton z miotaczem ognia; puścił kilka szybkich strumieni ognia w otwór strzelniczy i było po Niemcach.

Major Coade, zastępca dowódcy, wziął udział w ataku na pozostałe dwa bunkry. Został rany w twarz, a ordynans dowódcy, ka-

pral Smith, dostał postrzał w ramię. To on zabrał majora z powrotem na plażę. Oczyszcziliśmy bunkry i wzięliśmy dwóch jeńców - wtedy po raz pierwszy widzieliśmy Niemców z bliska.

Mówi Peter Young:

Wydawało się, że Niemcy będą bronić Ouistreham, a naszym zadaniem było przejść przez kanał Caen i Orne na wzgórze wokół Ranville - niedaleko tego miejsca jest teraz cmentarz. Dotarliśmy do mostów spóźnieni zaledwie o kilka minut i zostaliśmy ciepło przyjęci przez spadochroniarzy z 6. Dywizji Powietrznodesantowej, bardzo zadowolonych z naszego przybycia. Miałem rozkaz iść do Cabourga, lecz Lovat wysłał nas do Bas de Ranville z poleceniem obrony tego miejsca, ponieważ miały tam nadejść niemieckie dywizje pancerne. Byłem niezbyt zadowolony, nie miałem odpowiedniej broni, by zatrzymać czołgi, a co gorsze, w Ranville nie było zwartej zabudowy, co bardzo utrudniało obronę tego terenu przez piechotę.

Sidney Dann:

Dotarliśmy do Benouville, lecz trwała tam właśnie potyczka z Niemcami, którzy ukryli się w kościele. Nie włączyliśmy się do niej, ponieważ w południe powinniśmy być na moście. Gdy wyszliśmy na drogę i znaleźliśmy się około 200 jardów od mostu, zobaczyliśmy małą grupkę ludzi. Przez krótką chwilę próbowaliśmy zgadnąć, po której są stronie, a potem usłyszeliśmy przeciągły okrzyk radości i zobaczyliśmy brytyjskie flagi - umówiony sygnał. Nasz dowódca, kapitan Pyman, przeprosił generała Poetta (5. Brygada Spadochronowa) i podpułkownika Pine-Coffina (7. Brygada Spadochronowa) za dwuipółminutowe spóźnienie. To historyczne spotkanie opisywano w różny sposób, lecz 3. pluton był tam pierwszy; potem niezwłocznie ruszyliśmy na mosty i na wzgórze Ranville.

Gdy przekroczyliśmy w rozwiniętym szyku most nad kanałem, zostaliśmy ostrzelani z dachu szpitala, pochyliliśmy więc głowy i

pognaliśmy jak szaleni. Minęliśmy Ranville, skąd dochodziły odgłosy ciężkiej bitwy między 6. Dywizją a Niemcami, weszliśmy na wzniesienie i dotarliśmy przez Le Plein do naszej pozycji, która znajdowała się w dużym domu na skrzyżowaniu dróg do Benouville i Bavent. Na odprawie mówiono nam, że w Benouville nie będzie Niemców. Nie była to zupełna prawda. Około 200 jardów od naszych pozycji znajdowały się cztery niemieckie haubice kalibru 105 mm i podwójne sprzężone działko kalibru 20 mm. Byliśmy ostrzeliwani przez trzy godziny, straciliśmy 22 z 65 ludzi, a nasz dowódca, kapitan Pyman, został zabity przez snajpera podczas próby natarcia na stanowisko działka. Ponieważ wszystkie plutony 6. oddziału komandosów poniosły straty, zamiast utrzymywać całe wzniesienie, jak pierwotnie planowano, cofnęliśmy się i okopaliśmy w farmie Saulnier w Le Plein. Zabraliśmy rannych, którzy mogli się poruszać, ciężiej rannych oddaliśmy pod opiekę chłopom, a poległych zostawiliśmy. Następnego dnia dokonaliśmy dwóch szturmów, zniszczyliśmy cztery haubice i działko, zabraliśmy także pozostawionych wcześniej zabitych i rannych.

Peter Young:

Brygada zajęła pozycje na wschód od Orne, na wzniesieniu, z którego Niemcy mogli ostrzeliwać ogniem artyleryjskim plażę i cele na morzu, zwłaszcza na odcinku plaży „Sword”. Następnie mieliśmy zejść chyłkiem nad morze i odzyskać baterię w Merville, którą 9. Brygada Spadochronowa zdobyła pierwszej nocy, lecz Niemcy zdołali ją odbić. Poszły oddziały 45. i 3.; straciliśmy wówczas Johna Pooleya.

Philip Pritchard z 6. oddziału komandosów:

Przed desantem 3. pluton stacjonował w Hove w Sussex. Odbywaliśmy wiele ćwiczeń, na które składało się wypływanie z Newhaven i lądowanie z barek desantowych do przewozu piechoty (zawsze byliśmy przemoczeni) w punkcie między Lancing a Worthing. Pozna-

liśmy dobrze załogi barek. W naszej załodze był doskonały mat, klasyczny typ wilka morskiego. Mówiliśmy do niego „sierzancie” z powodu trzech czerwonych belek (oznaka długiej służby), co zawsze go złościło, ponieważ podczas każdego rejsu czuł się w obowiązku tłumaczyć nam różnicę. Z miejsca lądowania dochodziliśmy szybko do rzeki Arun tam, gdzie przepływa przez Arundel. Wybieraliśmy zawsze miejsce odległe od mostu i przekraczaliśmy rzekę w ciemnościach w gumowych łodziach, przewożonych przez, jak sądzę, 1. pluton, który poruszał się na rowerach. Następnie pokonywaliśmy długi odcinek drogi, okopywaliśmy się i czekaliśmy na świt. Później wracaliśmy do kwater. Powtarzaliśmy to wiele razy, zawsze mocno obciążeni. Dystans, który pokonywaliśmy, liczył około 12 mil. Zakładano, że mamy do czynienia z podobnym typem terenu i odległością, jaką będziemy musieli pokonać w dniu „D”. Podczas pewnych ćwiczeń gumowa łódź przewróciła się, utonął śniegowiec White, a jego ciało znaleziono wiele dni później przy ujściu rzeki.

Mieliśmy plecaki typu Bergen, z metalowymi stelażami. Ponieważ nie mogliśmy liczyć na stałe dostawy zaopatrzenia, wyposażono nas w takie plecaki, w których mogliśmy nosić ciężary większe niż zwykła piechota. Chodziło o to, aby zapewnić nam niezależność od służb zaopatrzenia. Mój plecak, który zważyłem na stacji kolejowej, wraz z taśmą z nabojami i ładownicą do Brenna ważył blisko 96 funtów. Do tego miałem karabin typu Lee Enfield No. 4 i bagnet; przeciętne obciążenie każdego komandosa 1. Brygady wynosiło ponad 100 funtów, co, jak sądzę, czyniło nas najbardziej obciążonymi piechurami podczas tej wojny (a być może wszystkich wojen!). Maszerowaliśmy pochyleni. Nie można było długo utrzymać się w pozycji pionowej, często trzeba było pomóc komuś innemu w niesieniu plecaka.

4 czerwca późnym popołudniem zrobiliśmy ostateczny przegląd ekwipunku i otrzymaliśmy bojowe racje żywnościowe. Każdy żołnierz dostał specjalnie zestawioną na potrzeby tej operacji paczkę z żywnością mającą wystarczyć na dobę. Składała się ona z suchego

mięsa z gotowaną leguminą, słodzonej owsianki, gumy do żucia oraz porcji wymieszanych razem herbaty, cukru i mleka w proszku. Do tego dochodził papierowy cylinder z ośmioma krążkami suchego pa-liwa i mały piecyk - pierwszy raz taki widziałem. Mieliśmy poza tym po dwie tak zwane żelazne racje, które jak zawsze składały się z płaskiej puszki (o wymiarach puszki na tytoń) z witaminizowaną czekoladą. Na wieku puszki wyryte było ostrzeżenia: „Ta racja może zostać otworzona tylko na rozkaz oficera”. Powiniennem wspomnieć, że żaden z nas nie nosił bezużytecznego sprzętu do kopania okopów. Mieliśmy natomiast saperki ogólnego przeznaczenia, a co trzeci żoł-nierz nosił kilof (ta rola przypadła mnie!).

Wczesnym wieczorem paradowaliśmy w pełnym rynsztunku, a następnie zostaliśmy przewiezieni ciężarówkami do Warszah, gdzie czekaliśmy na polu w pobliżu miejsca cumowania barek desantowych do przewozu piechoty. Graliśmy w piłkę nożną, a kilku z nas złapało pasące się konie i próbowało na nich jeździć. Około godziny 20.00 znów wsiedliśmy do ciężarówek i wróciliśmy do obozu, gdzie poinformowano nas, że operacja została opóźniona o dobę. Obejrzelśmy potem film pod tytułem *Going My Way*, z Bingiem Crosbym i Barrym Fitzgeraldem w rolach głównych. Powiedziano nam, że film ten nie był jeszcze wyświetlany w kinach Wielkiej Brytanii i że jesteśmy pierwszymi, którzy go oglądają. Film ten znakomicie oderwał myśli od czekającej nas akcji, choć co prawda nie zauważyłem, by ktoś z nas był szczególnie zdenerwowany.

Cieszyłem się, że przeżyję wspaniałą przygodę, ponieważ do tej pory brałem udział w niewielu poważnych zadaniach. Byliśmy ochotnikami, nasze morale zawsze było bardzo wysokie i byliśmy niezwykle dumni z tego, że jesteśmy komandosami. Wywodziliśmy się z wszystkich rodzajów wojsk i nie mieliśmy zamiaru przynieść wstydu ani naszym macierzystym jednostkom, ani 6. oddziałowi komandosów.

Następnego wieczoru wsiedliśmy na barki desantowe. Po nocy, podczas której wymęczyły nas nudności, będące efektem połączenia

złej pogody, pożywnego puddingu owocowego i wyziewów spalin, kazano nam wyjść na pokład. Zauważyłem wiele okrętów, a także duże okręty desantowe do przewozu pojazdów. Jeden z nich tonął, a mały okręt, przypominający korwetę, ustawił się obok i zabierał tych, którzy przeżyli. Patrzyłem bezradnie na okręt desantowy do przewozu czołgów (Landing Ship Tank, LST), mający na dolnym pokładzie zapas pocisków, ustawiony prawą burtą do plaży, który właśnie stanął w płomieniach. Na pokładzie zostaliśmy ustawieni w dwóch równoległych rzędach, od dziobu do rufy. Ponieważ byłem drugim z obsady dwucalowego moździerza (szeregowiec Wally Hutton był pierwszym) i ponieważ niosłem także, jak już wspominałem, osiemnaście pocisków do moździerza (dwanaście odłamkowych i sześć dymnych) o masie po 2 funty, uznano, że mam bardzo ciężki ładunek i skierowano wraz z Huttonem na dziób barki od strony sterburty, opuściłem więc barkę jako jeden z pierwszych.

Rampa została opuszczona i weszliśmy w wodę po pas, około 30 jardów od plaży. Pamiętam, że wychodziliśmy z wody obok czołgu pływającego i przystawialiśmy za nim. Było mroczno i pochmurno. Na wieżycze czołgu zauważyłem błyski, spowodowane, jak sądzę, uderzeniami kul. Przeszedłem przez plażę do jedyne go ocalałego domu, z reszty pozostały tylko otwarte betonowe piwnice. Zabandażowałem tam lekką ranę na rękę Tima Corrigan, naszego snajpera.

3. pluton nie był oddziałem prowadzącym. Przeszliśmy przez drogę, obok której biegły tory kolejowe, a następnie maszerowaliśmy około 200 jardów po otwartym terenie, poprzecinanym licznymi rowami o straszliwie cuchnących, pokrytych szlamem brzegach. Musieliśmy albo przez nie brnąć, albo skakać. Doszliśmy do ogrodzenia z drutu kolczastego, na którym zawieszono były małe, żółte chorągiewki z czarną trupią czaszką i puszczelami. Dowiedzieliśmy się później, że oznaczały one pole minowe. Ponieważ, o ile wiem, nikomu z nas nic się nie stało, było to zapewne jedno z fałszywych pól minowych, obliczonych na wprowadzenie przeciwnika w błąd.

Zebrałiśmy się w małym zagajniku, aby przygotować się do na-

tarcia na kilka betonowych bunkrów. Siedziałem w rowie na skraju pola pszenicy i ostrzeliwałem bunkry. Dopiero gdy przypadkowo wystrzeliłem w powietrze, dostałem rozkaz zostawienia ciężkiego plecaka i ruszenia naprzód przez pole. Miałem wrażenie, że mój udział w natarciu polegał w głównej mierze na przedzieraniu się przez wysoką do pasa pszenicę, dopóki nie pojawił się mały czołg. Wówczas dostaliśmy rozkaz powrotu do miejsca zbiórki w zagajniku.

Tam zebraliśmy cały sprzęt i ruszyliśmy przez małą wieś, której mieszkańcy wylegli na drogę. Francuz w średnim wieku dał mi butelkę czegoś, co okazało się mocnym alkoholem; później odkryłem, że był to calvados. Potem szliśmy po odkrytym terenie i dotarliśmy do dwóch mostów nad kanałem, które przeskoczyliśmy najszybciej, jak to było możliwe z tak ciężkimi plecakami.

Biegając przez jeden z mostów, zatrzymałem się przy poległym brytyjskim oficerze, który miał zawieszoną na szyi na rzemieniu automatycznego Colta 45. Rozerwałem rzemień butami i schowałem pistolet do wewnętrznej kieszeni bluzy. Bardzo mi się później przydał. Ten oficer należał do oddziału spadochroniarzy, który wylądował w nocy na szybowcach i wykonał dobrą robotę, zdobywając nienaruszone mosty.

Szliśmy bardzo szybko i około godziny 14.00 dotarliśmy do Bréville, gdzie zajęliśmy pozycję. Wraz z kilkoma kolegami - pamiętam dwóch, artylerzystów Putticka i „Gingera” Smitha - przeszukaliśmy dom położony w ogrodzie o powierzchni akra, ogrodzonym wysokim ceglany murem. W jednym z pokoi znaleźliśmy na nocnym stoliku skórzaną niemiecką kaburę (pustą), a w szafie płaszcz mundurowy. Najwyraźniej dom opuszczano w pośpiechu. W szkrzyni znaleźliśmy kilka par starannie zwiniętych skarpet z jakiejś ordynarnej dzianiny w kolorze liliowym; Smith wziął chyba jedną parę dla siebie.

Zaczynaliśmy się tam rozmieszczać, gdy moja drużyna dostała rozkaz towarzyszenia kapitanowi Pymanowi, dowódcy oddziału, i porucznikowi Colquhounowi w zwiadzie, którego celem było znale-

zienie nieprzyjaciela. Wyszliśmy z domu od tyłu i weszliśmy do ogrodu sąsiedniego, dość dużego domu. Kapitan Pyman i porucznik Colquhoun leżeli po jednej stronie ogrodzenia, reszta po drugiej. Tak naprawdę leżałem za wielką kupą gnoju, na której rosły dynie, obok mnie byli szeregowiec „Lofty” Layton i saper Ron Realing. Kapitan powiedział: „Widzę kogoś machającego żółtym lotniczym znakiem identyfikacyjnym. Odpowiem mu jednym z naszych znaków. Kto go ma?”. Była to jaskrawożółta tkanina. Kapitan włożył ją w lufę swego karabinu i zaczął machać. Odpowiedzią była seria z broni maszynowej, a gdy karabin przestał strzelać, usłyszeliśmy głos porucznika: „Kapitan Pyman został trafiony”. Kolejna przerwa i słowa: „Kapitan Pyman nie żyje”.

Następnie spadły na ogród pociski moździerzowe, raniąc kilku z nas, między innymi szeregowego Laytona. Ponieważ robiło się gorąco, wycofaliśmy się przed front domu. Udało mi się wynieść Laytona oraz jego i swoją broń. Zatrzymałem się na ścieżce i położyłem Laytona na ziemi, gdy z pobliskiego domu wyszło dwoje starszych Francuzów. Bardzo przejęli się losem rannego i chcieli zabrać go do siebie, tam też go zanieśliśmy. Był szary na twarzy, oczy zdawały się uciekać mu w głąb głowy. Nieprzyjaciel zaczynał atakować, wracaliśmy więc do zajętego wcześniej budynku najszybciej, jak się dało, ostrzeliwując się z Brenów, by powstrzymać natarcie. Ledwie tam dobiegliśmy, rzuciliśmy się umacniać naszą pozycję. W dom trafiło kilka pocisków, raniąc wielu z nas, między innymi mego kumpla Putticka, który odniósł bardzo poważne obrażenia.

Około godziny 19.00 przyjechał jeep i zabrał kilku rannych, a my mieliśmy przenieść pozostałych z powrotem do Le Plein, gdzie znajdowało się nasz oddział. Pomagałem nieść Putticka. Musiał bardzo cierpieć, ponieważ pocisk wybuchł tuż obok niego i poszarpał mu prawą nogę i ramię, bagatelizował jednak swoje rany i próbował opowiadać dowcipy. Musieliśmy poruszać się po otwartym terenie, pod nieustannym ostrzałem. Tuż po wyjściu z domu kapral „Taffy” John czy może „Pluto” Friend wystrzelili z moździerza kilka poci-

sków dymnych kalibru 50 mm, by osłonić nas na najbardziej niebezpiecznym terenie. Wracaliśmy przez Bréville. Podczas jednego z licznych postojów podeszło do nas kilkoro Francuzów z napitkiem dla Putticka. Zazartował sobie, że „nigdy nie posmakuje ust, których właścicielka nalewała ten trunek”, i wszyscy się roześmialiśmy.

Nie mam słów, by wyrazić wdzięczność dla miejscowej ludności, która okazywała nam wszelką możliwą pomoc. Po dotarciu do Amfreville-Le Plein umieściliśmy rannych w punkcie medycznym, znajdującym się dużej tłoczni cydru na wspaniale utrzymanej farmie, zwanej, o ile pamiętam, La grande ferme. W tym czasie z 64 ludzi, biorących udział w lądowaniu, 22 zostało zabitych lub rannych. Wiem to, ponieważ notowałem wszystko na grzbiecie notesu, który miałem ze sobą i który mam do dziś. Ci, którzy przeżyli z 3. plutonu, dowodzonego teraz przez porucznika Colquhouna, dostali rozkaz okopania się na lewym skrzydle pozycji 6. oddziału komandosów, w sadzie odległym około 70 jardów od szczytu wzniesienia.

W czasie, gdy to robiliśmy, usłyszeliśmy huk silników samolotowych i zobaczyliśmy setki szybowców, przeważnie typu Horsa, które miały wylądować pomiędzy nami a Caen. Samoloty ostrzelała artyleria przeciwlotnicza. Widziałem, jak jeden trafiony zaczął ostro pikować, a potem wyrównał na wysokości około 300 stóp.

Wkrótce się okopaliśmy i wystawiliśmy strażę na wzniesieniu obok sadu, gdzie znajdowało się pole pszenicy ciągnące się około 150 jardów, do pozycji nieprzyjaciela na skraju lasu w Bréville. Niemcy ustawili tam baterię czterech dział kalibru 105 mm, które ostrzeliwały nas w Bréville. Następnego dnia zaatakowały baterię dwa plutony z 6. oddziału komandosów. Las został zdobyty, a mój oddział wysłano do pomocy przy przestawieniu dział. Na terenie wokół baterii leżało wielu poległych Niemców, pozostały też wozy konne z zaopatrzeniem. Znajdowały się tam wiklinowe skrzynki na amunicję do dział i trochę racji żywnościowych. Sprawdziłem wóz z żywnością i znalazłem sporo worków z cukrem; napelniłem właśnie plecak do połowy, gdy dostrzegłem niemiecką piechotę ustawiającą się do kontrataku.

Ostrzegłem dowódcę mojej drużyny, porucznika Leapharda, i mojego przyjaciela, szeregowego S.J. Danna, który przeszukiwał jakiś wóz. Ponieważ nas nie zauważono, rozsądnie wycofaliśmy się na nasze pozycje wyjściowe, zostawiając jedno działo (bez iglicy); inne zostały już wcześniej odstawione. Oprócz połowy plecaka cukru, który powędrował do punktu medycznego, zdobyliśmy karabin maszynowy MG 34 wraz ze wspianą trójnożną podstawą; ustawiliśmy go na krawędzi naszego okopu. A potem dowiedziałem się, że mój ranny przyjaciel Puttick zmarł jakieś dwie godziny po tym, jak go przynieśliśmy. Zachowałem go w pamięci jako wspianego przyjaciela. Utrzymywaliśmy pozycję w sadzie, ostrzeliwani dzień i noc.

Po wylądowaniu na plaży „Sword” 1. Brygada Służb Specjalnych, prowadzona przez 3. sekcję komandosów z 6. oddziału Dereka Millsa-Roberts, pomaszerowała szybko w głąb lądu, w stronę mostu Pegaza. Poszczególne oddziały odłączały się, by atakować znajdujące się na drodze bunkry, stanowiska artylerii, ważne pozycje nieprzyjaciela. Przekroczywszy kanał i rzekę Orne, 6. oddział komandosów połączył się z 9. Brygadą Spadochronową i wspólnie natarli na Le Plein, 3. oddział natomiast zajął Le Bas de Ranville, a 44. oddział ruszył w kierunku Franceville Plage i Merville. 4. oddział komandosów, po oczyszczeniu z Niemców Ouistreham, stanowił odwód brygady.

Po południu brygada znalazła się na wzgórzach wokół Kanville. 6. oddział komandosów zajął pozycje wokół Le Plein, reszta oddziałów zajęła pozycje między Merville od północy, w pobliżu Franceville Plage, a Bréville od południa, aby uprzeczyć atak nieprzyjaciela. Nastroje podniosły się znacznie, gdy wylądował na szybowcach pododdział 6. Dywizji Powietrznodesantowej, przywoząc ciężki sprzęt, między innymi działa przeciwpancerne. Wiele szybowców wylądowało na pozycjach 3. oddziału komandosów lub wokół nich. 7 czerwca rano dwa plutony z 3. oddziału dostały rozkaz odbicia baterii w Merville. Została ona zdobyta przez brytyjskich spadochroniarzy

nocą z 5 na 6 czerwca, lecz gdy spadochroniarze musieli się wycofać, Niemcy zajęli ją ponownie.

Podczas natarcia poległ major John Pooley, zaprawiony w bojach oficer 3. oddziału, a spośród innych komandosów, służących od początku w tej jednostce, zginął porucznik George Herbert. Podobnie jak wielu innych żołnierzy 1. Brygady poległych w dniu „D”, został pochowany na cmentarzu wojskowym w Ranville.

Ponownie wspomina S.J. Dann:

Mówiono nam na odprawie, że możemy się spodziewać niemieckiego kontrataku czwartego dnia po wylądowaniu, przewidywano bowiem, że tyle czasu potrzebują Niemcy na podciągnięcie rezerw. Jednak trzeciego dnia po desancie, późnym popołudniem usłyszeliśmy - nieco skonsternowani - hałas wielu czołgów zmierzających w naszym kierunku. Jak wynikało z meldunków, było to dwanaście czołgów typu Tygrys z działami kalibru 88 mm. Na szczęście mieliśmy na morzu nasz okręt - sądzę, że był to HMS „Rodney” - a szesnastocalowe działa są skuteczne. Gdy zaczęły strzelać, zatkaliśmy uszy i schowaliśmy się w okopach. Brzmiało to jak turkot pędzącego pociągu, a ziemia drżała w promieniu dwóch mil. Potem nastąpiło uderzenie RAF; samoloty Typhoon zrzuciły bomby i czołgi przestały być groźne.

W ciągu tej nocy, z 9 na 10 czerwca, słyszeliśmy duży ruch na pozycjach nieprzyjaciela, od którego oddzielało nas tylko pole pszenicy. Wyrazny był odgłos gąsienic, jak przypuszczaliśmy - samobieżnych dział kalibru 88 mm. Noc przeszła spokojnie, a następnego dnia o świcie, po pobudce goliłem się właśnie, gdy przeszedł koło nas Derek Mills-Roberts, rzucając swoje zwykłe słowa: „Ani kroku w tył. 6. oddział będzie walczyć do ostatniego żołnierza i do ostatniej kropli krwi”. Wyglądało na to, że będzie to parszywy dzień. Generał powiedział nam, że Niemcy zaatakują prawdopodobnie w kilku miejscach i wykorzystają wszystkie słabości obrony. Jednym z celów miał być nasz sad. O godzinie 8.00 było cicho i spokojnie, aż nagle roz-

pętało się piekło - ogniem ziały moździerz, działa i karabiny maszynowe, lecz cały ostrzał poszedł na wysunięty skraj sadu. Wstrzymaliśmy ogień i czekaliśmy do chwili, gdy ujrzeliśmy refleksy słońca na hełmach niemieckiej piechoty nadchodzącej przez pole.

Przeszli pewnym krokiem przez ogrodzenie, weszli kilka metrów w głąb sadu, zatrzymali się i rozejrzeli. Wedle wszelkich reguł powinniśmy bronić wysuniętego krańca sadu i obserwować położone niżej pozycje nieprzyjaciela. Zamiast tego Mills-Roberts rozstawił nas z przeciwnej strony sadu, pozostawiając na przedzie tylko czujki. Bardzo chytrze.

Padł rozkaz i otworzyliśmy ogień ze wszystkiego, co było pod ręką. Moja drużyna (byłem teraz starszym szeregowym) miała karabiny maszynowe Bren, Vickers K, Browning i zdobycznego niemieckiego MG 34. Niemcy zostali zmieceni siłą ognia. Niektórzy próbowali wycofać się chyłkiem, lecz druga linia dała sygnał do spiesznego odwrotu. Po chwili przerwy nastąpił drugi atak, tym razem na nasze prawe skrzydło, co było dobrym posunięciem ze strony Niemców, ponieważ nasi żołnierze nie mieli tu dobrego pola ostrzału. Ten atak był jednak słaby i szybko się skończył. Około godziny 11.00 znów przysła kolej na nas. Otworzyliśmy ogień zaporowy z moździerzy i dział. Tym razem ostrzał niemiecki okazał się celny i spowodował straty. Piechota niemiecka przebrnęła przez zboże i strzelała zza żywopłotu, a gdy uznano, że jesteśmy zmęczeni, zaczęło się natarcie.

To był decydujący moment w ciągu całego dnia. Niemcy, zanim stracili impet i się wycofali, pokonali połowę odległości do naszych pozycji. Teraz zaatakowali z prawego skrzydła. Pojawiło się niebezpieczeństwo, że przerwą nasze linie. Starszy sierżant przebiegi pędem koło nas, wołając: „Jeden człowiek z każdego rowu do 4. plutonu! Mają kłopoty!”. Aby dostać się do 4. plutonu, musieliśmy przejść koło stawu, to znaczy po otwartej przestrzeni. Ekspłodował pocisk z moździerza, kolega za mną zginął, trzech innych zostało rannych. Wskoczyłem do pierwszego okopu, ale jeszcze szybciej wyskoczy-

łem. Trafił tam pocisk, jeden z dwóch żołnierzy był martwy, drugi ciężko ranny w plecy. Tego drugiego spotkałem po 35 latach na zjeździe komandosów; był sparaliżowany od pasa w dół.

Natarcie straciło siłę, lecz w ciągu kilku minut oddziały niemieckie przeniknęły przez budynki po prawej stronie, gdzie drogą z Ranville jechało działo samobieżne kalibru 88 mm. Widziałem kapitana Powella i jego sekcję, idących za tym działem. W naszym kierunku biegło około dziesięciu Niemców, wykorzystując ogrody i ściany domów jako osłonę. Pozwoliliśmy im pokonać połowę drogi, a potem otworzyliśmy ogień. Nie mogliśmy dobrze wycelować, ale dwóch Niemców padło rannych w nogi, a reszta wskoczyła za niski mur.

To, co wydarzyło się potem, ciągle powraca w mych wspomnieniach z wojny. Wracam do Normandii co roku w rocznicę inwazji i za każdym razem, gdy idę tą drogą, mam przed oczyma wydarzenia z tych kilku zaledwie minut. Nie mogliśmy się wycofać, mieliśmy ostatni już magazynek do Brenna, mogliśmy tylko pojedynczymi strzałami powstrzymywać Niemców od wystawiania głów. Oni z kolei, ukryci za niskim murem, mogli tylko wychylić się na moment i oddać krótką serię z karabinu czy Schmeissera. Nagle jeden z nich wstał, przeskoczył przez mur i ruszył drogą w naszą stronę, strzelając z biodra. Miał do pokonania około 50 jardów i żadnych szans. Krótka seria przeszła mu pierś, padł z rozrzuconymi ramionami. Jego koledzy nie zareagowali, podeszliśmy więc ostrożnie i odwróciłem go. Był wysokim blondynem w czysto germańskim typie, miał Żelazny Krzyż drugiej klasy, odznakę Afrika Korps i odznaki kilku innych kampanii. To straszne i bezsensowne zakończyć życie w ten sposób.

Około godziny 18.00 Niemcy uznali, że mają dość, i wycofali się, a na naszym małym skrawku Normandii zapanował spokój. Walczyliśmy z trzema batalionami niemieckimi. Było nas teraz 350, straciliśmy jedną trzecią ludzi, ale uważam, że wykonaliśmy dobrą robotę.

Peter Young wspomina niemiecki kontratak:

Natarła na nas dywizja sprowadzona z Hawru. Niemcy podeszli na

odległość tylko 5 jardów od mojej kwatery... bardzo miło z ich strony! Tak czy inaczej odparliśmy ich i wzięliśmy 45 jeńców. Potem ruszyliśmy do Bois de Bavent, by uczestniczyć w operacji „Paddle” i dojść do Sekwany. W Le Plein lord Lovat otrzymał ciężki postrzał, nowym dowódcą brygady mianowano Dereka Millsa-Robertsa.

Wydaje mi się, że Derek Mills-Roberts cenił mnie bardzo jako dowódcę, dlatego wysłał nas do akcji jako pierwszych - świetny sposób traktowania przyjaciela. Tak czy inaczej nie zginęliśmy w drodze nad Sekwanę, co było najważniejsze. Gdy wyruszyliśmy, 45. oddział komandosów ostro strzelał na naszych tyłach, lecz mimo to nie zatrzymałem się.

Kenneth Phillott wspomina pewne zdarzenie z tego czasu:

Jednym z moich zadań było obchodzenie posterunków obserwacyjnych poszczególnych oddziałów i przekazywanie do sztabu najświeższych informacji. Pewnego dnia przeszedłem obok posterunku 6, oddziału, którego obsadę stanowiło dwóch komandosów, lecz po chwili zorientowałem się, że nie widzę ani jednego. Zaniepokoiłem się i postanowiłem wrócić. Po drodze zatrzymałem się przy innym posterunku. Jeden z żołnierzy zapytał mnie, dokąd idę. Odpowiedziałem, że idę do przedniego posterunku, a on odrzekł, że ich jeep przejechał wcześniej drogą, lecz nie wrócił. Po wojnie rozmawiałem na zjeździe weteranów z Cliffem Bryenem i okazało się, że był w tym jeepie wraz z kilkoma swoimi ludźmi, że wpadli w zasadzkę i skończyli wojnę w obozie jenieckim.

Opowieść Cliffa Bryena, podczas inwazji sierżanta sztabowego 6, oddziału komandosów:

Nie miałem pewności, czy każdy Niemiec poczuwa się do obowiązku wypełniania rozkazu Hitlera, nakazującego rozstrzelanie jeńców-komandosów. Czułem, że przekonam się o tym na własnej skórze. W chwili, gdy wpadliśmy w ręce Niemców, nosiłem zielony be-

ret, na rękawach miałem naszywki jednostki komandosów i odznaki Dowództwa Operacji Połączonych. Wywołało to pewne komentarze ze strony oficera niemieckiego wywiadu, który przesłuchiwał mnie w sztabie, lecz nie pociągnęło za sobą złego traktowania ani mnie, ani komandosów armii czy piechoty morskiej, pojmanyh w Normandii.

Co więcej, gdy znalazłem się w Stalagu IVB w Niemczech, gdzie przebywało dziewięć tysięcy brytyjskich żołnierzy, byłem jedynym komandosem, który ciągle miał naszywki i zielony beret. Pozostałym zabrali je Niemcy na pamiątkę. Mój wygląd nie prowokował komentarzy ze strony strażników czy esesmanów, których było w obozie bardzo wielu, choć zielony beret był tu czymś niezwykłym. Krótko przed inwazją słyszałem pogłoski, że Niemcy otworzyli specjalny obóz dla komandosów, lecz nigdy nie miałem okazji przekonać się o tym. Być może Niemcy mieli już świadomość przegranej i woleli nie przeciągać struny. Osobiście wątpię też, by w dalszym ciągu rozstrzeliwali rosyjskich jeńców pod najblahszym pretekstem.

Okres, który nastąpił po lądowaniu w Normandii, był bogaty w wydarzenia. 7 czerwca 45. oddział komandosów odbił Franceville Plage, lecz musiał ustąpić wskutek ciężkiego ostrzału i natarcia piechoty. 10 czerwca pluton z 4. oddziału stracił wszystkich swych oficerów podczas szturm, lecz utrzymał się na pozycjach, dowodzony przez sierżanta. Lord Lovat został raniony odłamkiem, a dowództwo 1. Brygady przejął podpułkownik Derek-Mills-Roberts. 6. oddział przypuścił atak na Bréville i zdobył je, biorąc wielu więźniów. Na pozycje oddziałów 3. i 4. niemal codziennie nacierała piechota. Wszystkie cztery oddziały komandosów poniosły ciężkie straty. 12 czerwca 1. Brygada, wspierana przez 12. batalion spadochronowy, podjęła udany kontratak na Bréville, choć ó, oddział mocno ucierpiał od ognia artyleryjskiego.

Brygada zajęła teraz pozycje obronne wokół Salenelles, małej wioski położonej nad moczarami, gdzie prawdziwą plagą były komary i snajperzy, lecz patrole bojowe wiązały siły wroga, podczas gdy

brytyjskie dywizje pancerne walczyły wokół Caen, usiłując poszerzyć przyczółek utworzony 6 czerwca 1944 roku. Opowiada Philip Pritchard:

Jakieś dwa dni po lądowaniu powiedziano nam na odprawie o ataku na miasteczko Bavent. Byliśmy oddziałem rezerwowym i gdy natarcie się zaczęło, przycupnęliśmy w rowie na krańcu miasteczka. Pojawił się tam sierżant sztabowy Woodcock, postać doskonale nam wszystkim znana. Rozkazał ruszać naprzód, a gdy moja drużyna go mijiała, wrzasnął do szeregowego Douga Underhilla, który niósł Brenę i około dwudziestu pełnych magazynków: „Zapnijcie górny guzik, Underhill!”, co rozśmieszyło wszystkich z wyjątkiem Underhilla. Nie braliśmy udziału w szturmie na Bavent, lecz natychmiast po zdobyciu go wysłano nas, byśmy zajęli małą wioskę Robehomme, gdzie zaczęliśmy się okopywać. Mieliśmy stamtąd widok na wielką, zalaną dolinę Dives i kilka wzgórz. Od tej chwili coraz częściej kazano nam kopać rowy. Opracowaliśmy różne sposoby kopania. Każdy rów przeznaczony był dla dwóch ludzi. Lokalizację ustalaliśmy, sprawdzając pole ostrzału z poziomu ziemi; okop miał głębokość 5 stóp i najczęściej był w kształcie litery L. Następnie przykrywaliśmy z wierzchu oba końce, pozostawiając środek otwarty, by można było strzelać. Jako przykrycie służyły albo zwykłe drzwi z domów, albo - jeśli je mieliśmy - skrzynie na amunicję do moździerzy, które były zrobione ze stali i można je było wypełnić ziemią. Dawało to jaką taką ochronę przed bezpośrednim uderzeniem pocisku z moździerza kalibru 81 mm. Ostrzał artyleryjski to już zupełnie inna sprawa.

W Robehomme użyliśmy drzwi z opuszczonych domów. Dzień i noc minęły spokojnie, a potem powiedziano nam, że wieczorem ruszamy. Przyjechał jeep z przyczepą i zabrał tyłu z nas, ilu się dało. Za jednym razem mogło załadować się dwudziestu ludzi w pełnym rynsztunku. Bardzo szybko cały 3. pluton został przewieziony na skraj zalanego terenu. Przeszliśmy przez ten teren po resztkach zniszczonych mostów, czasami brodząc w wodzie i dotarliśmy do

małej wioski. Nasz pluton dobrał się do dużej stodoły, w której stały wielkie kadzie pełne cydru pośledniego gatunku.

Kazano nam złapać tyle snu, ile się da, i obudzono około północy. Poszliśmy po śladach starych torów kolejowych, potem skręciliśmy w lewo i podchodziliśmy na grzbiet wzgórza. Przed nami słychać było jakąś strzelaninę, wtedy objęliśmy prowadzenie. Gdy szliśmy wiejską drogą, usłyszeliśmy stukot kopyt. Zbliżał się w naszą stronę niemiecki wóz, ciągnący działko kalibru 20 mm, zaprzężony w dwa konie i z dwoma ludźmi na koźle. Seria z Brenna puszczonego przez kaprala „Taffy’ego” Johna sprawiła, że Niemcy natychmiast się zatrzymali. Nie miałem czasu dokładnie przeszukać wozu, lecz zorientowałem się, że wypełniony jest amunicją oraz kobiecymi ubraniami i butami. Pehnęliśmy się na szczyt wzniesienia i jedyne, co tam zobaczyliśmy, to połowy telefon w rowie, ciągle działający. Jeden z nas zakręcił korbką i ku obopólnemu zaskoczeniu usłyszał odpowiedź Niemca na drugim końcu linii.

Było jeszcze wówczas całkiem jasno, poszliśmy więc kilkaset jardów wzdłuż grani. 3. pluton został wyznaczony do utrzymania terenu z lewej strony drogi, natomiast 6. pluton (majora Leapharda) miał utrzymać teren po prawej stronie. Znalazłem się z moją drużyną na drodze stanowiącej granicę między plutonami. Ze względu na moją rangę przydzielono mi pistolet maszynowy Thompson, jeden z pierwszych modeli z wygiętym chwytem. Otrzymałem rozkaz pójścia wraz z połową mojej drużyny drogą do kilku budynków. Znaleźliśmy tam szereg porządnie ustawionych niemieckich plecaków, ale żadnych Niemców.

Wkrótce potem zostaliśmy silnie ostrzelani. Na szczęście dla nas, wycelowano za wysoko, pociski eksplodowały na terenie zajmowanym przez 6. pluton. Mam w oczach jednego biedaka, wylatującego wprost na drzewo. Widziałem nawet niemieckie działa i artylerzystów wyładowujących kule z wiklinowych koszy. Nasza artyleria szybko włączyła się do akcji, a nieprzyjacielskie działa zamilkły, tymczasem zaatakowano nasze prawe skrzydło, głównie pozycje 4. plutonu.

Doug Underhill, który miał Brena, wyskoczył z okopu wraz ze swoim zastępcą, „Mogiem” Morrisem i zajął pozycję, z której mógł ostrzeliwać nieprzyjaciela ogniem flankowym. Strzelając wzdłuż wysuniętego skrzydła, siał takie spustoszenie w szeregach Niemców, że wycofali się, pozostawiając wielu zabitych.

Wśród komandosów zajmujących pozycje wokół Salenelles szybko zapanowała codzienna rutyna; trwali w gotowości o świcie i o zmierzchu, wysyłali snajperów i patrole, mające nękać nieprzyjaciela w Bois de Bavent, pogłębiali okopy, ponieważ ostrzał nie ustawał, spali, gdy mogli, i trzymali warty. Ciągłe potyczki z nieprzyjacielem powodowały coraz większe straty. W ciągu pięciu pierwszych dni 3. oddział stracił 125 ludzi, w tym dziewięciu oficerów, i choć z ośrodka szkoleniowego w Wrexham wysyłano uzupełnienia tak często, jak to było możliwe, jednak wszystkie jednostki potrzebowały ludzi. W tym czasie 3. oddział otrzymał bardzo pożądaną grupę 52 żołnierzy, a stracił 62. nadal jednak nękał wroga.

„Dobra zasada »Żyj i pozwól żyć« nie sprawdza się, gdy walczysz z Niemcami - napisał Peter Young. - Jeśli zostawisz ich w spokoju, następną rzeczą, jaką zrobią, będzie atak na twoją kwaterę, musisz więc postępować tak jak oni”. 1 sierpnia 3. oddział opuścił Amfreville i zajął nowe pozycje w Bois de Bavent, gdzie został przywitany gradem pocisków z moździerzy. Ciężki ostrzał towarzyszył całemu pobytowi komandosów w tym miejscu. 6 sierpnia na przednie pozycje oddziału spadło nie mniej niż 120 pocisków różnego kalibru. Zgodnie ze swą filozofią życiową Peter Young natychmiast pożyczyl moździerz od 4. oddziału, ustawił je na prawym skrzydle i, mając do dyspozycji osiem moździerzy, zrewanżował się nieprzyjacielowi potężnym ostrzałem.

Komandosi z 1. Brygady Służb Specjalnych byli już wówczas dwa miesiące na pierwszej linii, a przecież nie taką mieli pełnić rolę. Wcześniej zakładano, że zostaną wycofani, gdy umocni się przyczółek zdobyty 6 czerwca 1944 roku, jednak, jak i wszędzie, potrzebo-

wano dobrze wyszkolonej piechoty i pozostawiono komandosów na pierwszej linii walk.

Ou czasu do czasu niewielkie grupy udawały się na tyły lub w głąb plaż, by je oczyścić lub zażyć całonocnego wypoczynku, każdej nocy jednak wychodziły patrole próbujące przejąć ziemię niczyją między dwiema armiami. Walki trwały aż do wyjścia aliantów z przyczółka, co nastąpiło 18 sierpnia, gdy komandosi byli w straży przedniej.

17 sierpnia 1. Brygada dostała rozkaz ataku przez Dives. Sądzono, że nieprzyjaciel rozciągnął swe jednostki wzdłuż długiej linii obrony. Brygada dostała rozkaz przedarcia się przez Dives i zajęcia odległego wzniesienia od wschodu. Był to nocny szturm na otwartej przestrzeni kontrolowanej przez wroga. Rozpoczął się o godzinie 22.00, gdy brygada wyruszyła gęsiego, prowadzona przez 4. oddział, po którym szły oddziały 6., 3. i 45. W ten sposób przeniknięto niepostrzeżenie przez linie nieprzyjaciela. Otwarta bitwa rozpoczęła się, gdy porucznik Pollock z 4. oddziału zabił strażę przed kwaterą niemieckiego sztabu. O świcie 3. oddział zajął miasteczko Varaville, a reszta brygady zajęła pozycje na wzniesieniu za Dives, okopała się tam i odparła cztery zajadłe szturmy w ciągu jednego dnia.

Była to ostatnia akcja podczas kampanii w Normandii. W początkach września 1944 roku brygada wróciła do Wielkiej Brytanii, gdzie zaczęła przygotowywać się do wyjazdu na Daleki Wschód. W końcu września 4. oddział komandosów został wyłączony z 1. Brygady i wrócił na kontynent, aby zająć miejsce mającego duże straty 46. oddziału w 4. Brygadzie Służb Specjalnych. Brygadę tę przygotowywano teraz do następnej wielkiej operacji - zdobycia twierdzy na wyspie Walcheren.

13

OD WALCHEREN DO MOZY, 1944-1945

Aby odnieść zwycięstwo, niezbędna jest walka o każdy punkt, tylko wówczas będzie ono całkowite.

Sun Tzu
Sztuka wojny

Jesienią 1944 roku armie sprzymierzone zmierzały przez Belgię do Niemiec, jednak już od września marsz stawał się coraz powolniejszy, przede wszystkim ze względu na niedostatek paliwa, a ponieważ ciągle lądowało coraz więcej oddziałów, brak ten robił się coraz bardziej dotkliwy. Porty na wybrzeżu francuskim leżały już zbyt daleko. Problem z zaopatrzeniem rozwiązać mógł nowy port blisko linii frontu, znajdującej się teraz w północnej Belgii, daleko na wschód od Paryża.

Idealnie nadawała się do tego celu Antwerpia, drugi co do wielkości port w Europie Zachodniej i jedyny mogący przyjąć takie dostawy żywności, amunicji, posiłków, które zaspokoilyby potrzeby wojsk alianckich, liczących teraz ponad dwa miliony żołnierzy. 4 września 1944 roku do Antwerpii wkroczyła brytyjska 11. Dywizja Pancerna i zastała port całkowicie zniszczony przez Niemców. Rozpoczęto prace nad przywróceniem portu do poprzedniego stanu. W ciągu kilku dni doprowadzono do tego, że na niektórych nabrzeżach można było rozładowywać małe statki, lecz, jak zwykle na wojnie, pojawiły się problemy.

Antwerpia leży czterdzieści mil od morza, nad estuarium Skaldy.

Na wschód od ujścia rzeki znajduje się długi półwysep Beveland Południowy, oddzielony wąskim pasem morza od dwóch wysp, Północnego Bevelandu i Walcheren. Półwysep i obie wyspy były ufortyfikowane i bardzo silnie bronione przez Wehrmacht. Dopóki trwali tam Niemcy, port w Antwerpii był bezużyteczny.

Zlikwidowanie punktów niemieckiego oporu powierzono brytyjskiej 52. Dywizji Piechoty i kanadyjskiej 2. Dywizji Piechoty. Zadaniem 4. Brygady Służb Specjalnych było zdobycie wyspy Walcheren.

Walcheren, bronione przez niemiecką 15. Armię, zostało dokładnie zaminowane. Znajdowały się tam stanowiska broni maszynowej i baterie obrony wybrzeża z działami dużego kalibru, osadzonymi na betonowych bunkrach. Wyspa przypomina kształtem trójkąt i leży poniżej poziomu morza, na wybrzeżach znajdują się liczne kanały i piaszczyste wydmy. Przed natarciem piechoty Walcheren silnie zbombardowały samoloty RAF, nie czyniąc większej szkody bunkrom, niszcząc jednak kanały, wskutek czego morze wdarło się do centrum wyspy; artyleria i obrona mogły więc zająć pozycje na linii przypominającej obwarzanek.

Wyznaczona do szturm na Walcheren, czyli operacji „Infantuate”, 4. Brygada, ciągle dowodzona przez generała „Jumbo” Leicester, składała się z oddziałów komandosów piechoty morskiej: 41., 47. i 48. oraz z 4. oddziału komandosów wojsk lądowych. Tym ostatnim dowodził znów podpułkownik Dawson, który właśnie wyleczył się z ran odniesionych podczas lądowania w Normandii. Piechota, komandosi, czołgiści, saperzy i oddziały pomocnicze liczyli razem około 8 tysięcy osób. Aby przewieźć wszystkich na wyspę i zapewnić wsparcie artyleryjskie, Royal Navy przygotowała „Force T”, eskadrę okrętów, w której skład wchodziły pancernik „Warspite”, monitory „Erebus” i „Roberts”, wiele okrętów pomocniczych, okręty z wyrzutniami niekierowanych pocisków rakietowych oraz okręty wsparcia artyleryjskiego desantu (Landing Craft Guns, LCG), co miało ułatwić zniszczenie baterii obrony wybrzeża.

Generał Leicester wysłał trzy oddziały komandosów piechoty

morskiej z rozkazem zajęcia najsilniejszych pozycji w Westkapelle na linii „obwarzanka”. 4. oddział miał zaatakować i zdobyć miasto Vlissingen, główny port na wyspie, a następnie nacierać wzdłuż kanału i połączyć się z piechotą morską, naciągającą brzegiem z Westkapelle. Wsparcia artyleryjskiego miały udzielić okręty „Force T” oraz artyleria polowa zajmująca pozycje na południowym krańcu estuarium.

Natarcie rozpoczęło się 1 listopada 1944 roku po południu. 4. oddział, wraz z dwoma grupami komandosów francuskich oraz grupą żołnierzy z oddziału holenderskiego ze składu 10. międzyalianckiego oddziału komandosów, lądował na „Uncle Beach” w trzech grupach, osłaniany silnym ogniem okrętów i artylerii.

Lądowanie pierwszej grupy, które zaczęło się o godzinie 5.45, nie przebiegło bez problemów. Jedna z barek nadziała się na podwodną przeszkodę, komandosi wdrapali się jednak na falochron i wkrótce byli już między pozycjami nieprzyjaciela. Gdy pierwsza grupa znalazła się na miejscu, w tym samym punkcie wybrzeża wylądowała druga, przedarła się przez zasieki i natychmiast skierowała w stronę niemieckich koszar i składu broni. Po drodze komandosi zdobyli działko kalibru 50 mm, odwrócili je i wykorzystali do wzmocnienia siły ognia, czyszcząc bunkier po bunkrze. O godzinie 9.00 druga grupa zajęła już pozycje w mieście.

Tymczasem przybyła na brzeg trzecia grupa, powitana przez zaalarmowanego już nieprzyjaciela gwałtownym ogniem karabinów maszynowych i dział ustawionych wzdłuż kanału. Gdy wszystkie oddziały znalazły się na brzegu, rozpoczęto operację usuwania Niemców z Vlissingen. Oznaczało to walki uliczne, zdobywanie domu po domu, ulicy po ulicy, a także zniszczenie jak największej liczby bunkrów. Każdy żołnierz miał ze sobą specjalny ładunek wybuchowy. Torowanie sobie drogi przez miasto polegało w większym stopniu na burzeniu ścian kolejnych domów i przechodzeniu przez nie niż na poruszaniu się ostrzeliwanymi ulicami. Każdy silnie umocniony punkt oporu Niemców był bombardowany przez my-

śliwce Typhoon. W ciągu nocy większość miasta znalazła się w rękach komandosów, do których dołączyła grupa z King's Own Scottish Borderers. Zdobyła ona port i zaczęła umacniać tam swoje pozycje.

Następnego dnia 4. oddział połączył się z 47. oddziałem, przybyłym z Westkapelle. Przez kolejne dwa dni komandosi likwidowali punkty oporu i ewakuowali z wyspy trzy tysiące więźniów. Walki zakończyły się 8 listopada. Wraz z zajęciem wyspy otwarta została droga do Antwerpii dla okrętów z zaopatrzeniem. Wpływały one do portu prowadzone przez trałowce.

Po zdobyciu Walcheren 4. Brygada Służb Specjalnych została przemianowana 6 grudnia na Brygadę Komandosów. Jednostka wróciła do Ostendy, aby wypocząć i przygotować się do drogi do Niemiec. W połowie grudnia 1944 roku rozpoczęła się jednak niemiecka ofensywa w Ardenach i wkrótce komandosi znaleźli się na linii frontu wzdłuż Mozy. Napór niemiecki na armie sprzymierzone był tu niezwykle silny.

Zimą 1944/1945 wszystkie jednostki komandosów z 4. Brygady dokonywały wypadów przez Mozę. W połowie stycznia 1945 roku połowa 4. oddziału komandosów wyprawiła się na wyspę Schouwen na północ od Walcheren. Wylądowali niepostrzeżenie, wzięli dziewięciu jeńców, zabili wartowników i wycofali się pod ostrzałem. Między 1 grudnia 1944 roku a 8 maja 1945 roku, czyli końcem wojny w Europie, 4. Brygada Komandosów podjęła czterdzieści różnych operacji przeciw nieprzyjacielowi.

1. Brygada Komandosów opuściła Francję we wrześniu 1944 roku, jesień spędziła w Anglii, rekrutując nowych żołnierzy i szkoląc się przed działaniami na Dalekim Wschodzie. Podpułkownik Peter Young przestał być dowódcą swego ukochanego 3. oddziału komandosów. Został wysłany do Arakanu jako zastępca dowódcy 3. Brygady Komandosów, generała Campbella Hardy'ego. W styczniu 1945 roku 1. Brygada, dowodzona przez generała Dereka Millsa-Robertsza z Gwardii Irlandzkiej, odznaczonego między innymi

Krzyżem Wojennym („żołnierza z krwi i kości”, jak mawiał Peter Young, sam przecież doskonały żołnierz), dostała rozkaz powrotu na kontynent.

Mills-Roberts obstawał przy wysokich wymogach szkolenia i dyscypliny, oczekiwał profesjonalizmu od wszystkich żołnierzy swojej brygady, niezależnie od stopnia. „Jeśli poranne ćwiczenia poszły dobrze - wspomina pewien oficer - general mógł zwolnić nas z popołudniowych. Jeśli nie poszły dobrze, powtarzaliśmy je dotąd, aż wszystko było w porządku. »Dość dobrze« było dla generała za mało.” Mills-Roberts, żołnierz frontowy, poprowadził znów na wojnę doświadczony i niezwykle skuteczny oddział.

Opowiada Bill Sadler z 6, oddziału komandosów:

Brygada wróciła właśnie do Europy, by rozpocząć kolejny etap działań; poprzednio, po wylądowaniu na plażach Normandii w czerwcu 1944 roku, była bez przerwy w akcji przez około trzy miesiące. Komandosi i inne oddziały przybyły nocą z Tilbury do Ostendy zostali załadowani do pociągu do Brukseli. Pokonanie odległości około 60 mil zajęło dokładnie dwanaście godzin. Niektórzy koledzy mieli dość czasu na to, by z okien wagonów opylić miejscowym wieśniakom swoje koce. Przypadkowy postój na jakiejś stacji był na tyle długi, że wszyscy wysiedli i ruszyli zbadać okolicę, tak że niewiele pieniędzy pojechało z nami dalej.

Po przyjeździe do Brukseli spędziliśmy dwa czy trzy dni w prowizorycznym obozie, czekając na transport do brygady. Dotarliśmy w końcu do sztabu 6, oddziału komandosów i zostaliśmy zakwaterowani na noc w na wpół zrujnowanej stodole, w której była słoma, ale oczywiście nie mieliśmy koców. Następnego rana Jim South nieźle oberwał od rozsierzonego sierżanta sztabowego Woodcocka, a później także od dowódcy, podpułkownika Lewisa. W nocy był ostry mróz, Jim spał w spodniach i bluzie od battledressu, co nie wpłynęło dodatnio na jego wygląd, daleki teraz od wymaganego. Bliskość nieprzyjaciela nie miała wpływu na wymogi co do munduru w jed-

nostce, w której dobry żołnierz znaczyło także szykowny żołnierz.

Po dotarciu nad Mozę 1. Brygada została podzielona. 46. oddział przydzielono do obrony Antwerpii, 3. oddział udał się do Maeseeyck, natomiast oddziały 45. i 6, zaczęły działania wzdłuż Mozy. 23 stycznia 1945 roku 45. oddział zaatakował St Joostburg i wraz z 6. oddziałem, który przeszedł po zamrożonym Kanale Juliany, zajął Maasbracht. Wkrótce potem obie jednostki wzięły udział w walkach wokół Monfortbeek. Starszy szeregowy Harden z Korpusu Medycznego, przydzielony do 45. oddziału, dostał pośmiertnie Krzyż Wiktorii za poświęcenie w ratowaniu rannych podczas tych walk.

Ponownie wspomina Bill Sadler:

Naszym pierwszym zadaniem było sforsowanie Mozy; poprzednia próba przejścia przez pokrytą lodem rzekę nie powiodła się. Wątpię, by sukces tej drugiej operacji był wyłącznie naszą zasługą. O ile pamiętam, 2. pluton zajął swoje pozycje, napotyając na niewielki lub żaden opór.

Każdy oddział komandosów wyznaczał najpierw określony sektor, a każdy pluton wypełniał własne zadania wewnątrz tego obszaru. Wyznaczone plutony musiały zdobyć i utrzymać swoje odcinki, pozostałe natomiast mijały je i szły dalej, by rozciągnąć obszar działań - ta metoda sprawiała, że podczas akcji ci, którzy początkowo byli na tyłach, przechodzili na linię frontu. Jeśli oddział nie napotkał silniejszego oporu, zajmował nadal swój sektor, pozostawiając kontynuowanie marszu i rozszerzanie operacji kolumnom nadchodzącym z tyłu. Okazało się to niezwykle skuteczne, parliśmy ciągle naprzód, spychając nieprzyjaciela do tyłu.

Philip Pritchard z 6. oddziału komandosów opowiada, jak został ranny w walkach nad Mozą:

Mój pluton dostał rozkaz marszu naprzód, podczas gdy pluton z 43. oddziału komandosów zatrzymał się na pozycji. Szliśmy po zapad-

niętej drodze, ostrzeliwanej pociskami dużego kalibru z niezbyt odległej linii Zygfyda, czyli pasa umocnień na granicy Niemiec. Wyglądaliśmy z tej zapadliny i mogliśmy obserwować wybuchające po obu stronach pociski. Ostrzał nie był celny. Zrozumieliśmy, że Niemcy nie mają obserwatora i strzelają raczej na oślep. Ponad drogą, na otwartej przestrzeni widzieliśmy kilka płonących stogów siana i zboża. Za jednym z nich strzelał brytyjski czołg.

Kryliśmy się pod osłoną jakichś budynków, gdy przyszedł rozkaz powrotu tą samą drogą do miasta. Tam dostaliśmy posiłek i poszliśmy do domu. W domu była mała, wąska piwnica z piecem, na podłodze leżała słoma, na której spaliśmy, dopóki nie okazało się, że w piecu jest mina. Mieliśmy szczęście, że nikt nie próbował palić w piecu czy zamknąć drzwi - była z nimi połączona przewodem! Tego wieczoru na odprawie powiedziano nam, że mamy zaatakować miejsce, które 45. oddział utrzymywał poprzedniego popołudnia.

Następnego dnia wcześniej rano dostaliśmy po kubku słodkiej herbaty z mlekiem, zimną konserwę mięsną i cztery suchary na głowę, a potem ruszyliśmy do starych niemieckich okopów, jeszcze z okresu I wojny. Naprzeciwko, w odległości około 100 jardów, znajdowały się obsadzone bezlistnymi drzewami odnoga rzeki i wiatrak. W jakiś sposób moja drużyna zdobyła przydziałową butelkę na wodę wypełnioną rumem. Siedząc w okopie, piliśmy z niej po kolei i właśnie przyszła kolej na mnie, gdy dostaliśmy sygnał do wymarszu. Przez krótką chwilę szliśmy zamarzniętym korytem rzeki, a potem dostaliśmy rozkaz zajęcia kilku budynków po prawej stronie. Okazało się, że są to pozostałości wytwórni mleka skondensowanego. Była tam bardzo duża piwnica, w której ukryło się wielu Holendrów.

Przejęliśmy kilka niemieckich pozycji, zajmowanych przez spadochroniarzy z Dywizji Pancerno-Spadochronowej „Hermann Göring”. Dookoła leżały ciała poległych, ubranych w kombinezony zimowe, znacznie lepsze od naszych ubrań. My ciągle nosiliśmy bluzy w brązowo-zielonych barwach ochronnych i brązowe skórzane kurtki, doskonale widoczne na pokrytym śniegiem terenie. W pobliżu znaj-

dowała się linia kolejowa. Moja drużyna miała teraz udać się tam i nie dopuścić, by Niemcy rozładowali wagony towarowe.

W drużynie byli wówczas szeregowy „Inky” Penn, saperzy Hedges i „Big Bill” Scott, szeregowy Ernie Crouch - by wymienić tylko kilku. Hedges miał Brenę. Otworzyliśmy ogień z torów kolejowych w stronę oddalonej o 700 jardów niemieckiej piechoty, ale bez widocznych efektów. Zeszliśmy więc z torów i przeszliśmy polem około 150 jardów do drogi. Droga dochodziła do grupy domów. Przeszukiwaliśmy je szybko, gdy nagle ujrzeliśmy zmierzającą w tym kierunku wielką grupę Niemców. Byli około 100 jardów od nas.

Otworzyliśmy silny ogień z Breny i karabinów ustawionych w oknach domów. W pewnej chwili Scott strzelał z okna z karabinu, podczas gdy „Inky” Penn wygrywał jednym palcem na stojącym w pokoju pianinie melodię *In the Mood (W nastroju)*. Później w jednej z gazet w Northumberland pojawił się reportaż pod tytułem: *Żołnierz z Fishburn walczy w takt muzyki*. Scott pochodził z Fishburn. Hedges został trafiony w łydkę, przejąłem więc Brenę i kontynuowałem ostrzał, a potem wróciliśmy wszyscy na teren wytwórni. Po powrocie okazało się, że zaginął szeregowy Crouch, nieodłączny przyjaciel „Inky” Penna, obaj byli londyńczykami, razem przeszli szkolenie w Achnacarry, zajmowali tę samą kwaterę.

Do tej pory nie mieliśmy w ustach nic prócz skromnego śniadania. Podobno jedzenie było właśnie w drodze. W czasie naszej nieobecności ktoś znalazł piecyk na węgiel brunatny, którego było tu bardzo dużo. Otworzyłem drzwiczki piecyka, usiadłem na skrzyni i włożyłem stopy, by wysuszyć buty. Gdy oddawałem się temu zajęciu, usłyszałem niedaleki odgłos dział nieprzyjaciela, pomyślałem jednak, że skoro siedzę na łące za fabryką, ostrzał trafi albo z drugiej strony, albo przejdzie górą.

Na nieszczęście, pocisk przeszedł przez dach, o wiele niżej, niż się spodziewałem. Poczulem ostry ból w lewym łokciu i wskoczyłem do schronu. Było tam wiele osób i gdy oznajmiłem, że chyba jestem ranny, rozległ się chór: „Cholerny szczęściarz!” Gdy ostrzał zamarł,

poszedłem do fabryki, do piwnicy, gdzie nasz artylerzysta, student medycyny „Darkey” Williams, półkrwi Anglik z Indii Zachodnich (mieszkający w South Shields) i prawdziwy džentelmen, zdjął mi kurtkę i bluzę i przystąpił do przecinania rękawa.

Po ramieniu lała się krew. Myślałem, że zostałem trafiony w łokieć, ale to była pacha. „Darkey” założył mi prowizoryczny opatrunek. W tym czasie Holendrzy modlili się przed dużym krucyfiksem, jak sądziłem w mojej intencji, co w pełni doceniałem. Pognałem teraz do punktu medycznego, znajdującego się w piwnicy pod stodołą, jakieś 200 jardów od naszych tyłów. Zszedłem po drabinie do wysłanej słomą piwnicy, gdzie leżało wielu rannych. Piwnica była oświetlona lampą Tilly; nasz lekarz, kapitan Keat, obejrzał moją ranę, zmienił opatrunek i wypisał coś na woskowanej kopercie, którą przymocował do dziurki od guzika w kieszeni bluzy mojego munduru polowego. Jeden z sanitariuszy, kapral Taffy Eyles, który identyfikował zmarłych, powiedział, że może ustalić tożsamość wszystkich oprócz jednego. Żołnierz ten nie miał znaczka identyfikacyjnego, a jedynym przydatnym do identyfikacji przedmiotem była srebra obrączka z napisem: „Armentieres”. Od razu domyśliłem się, że jest to szeregowy Thompson z mojej drużyny. Obrączka należała do jego ojca, który, jak mi się wydawało, poległ podczas I wojny światowej.

Było już ciemno, gdy zostałem wyniesiony na zewnątrz i położony na noszach, które załadowano na jeepa; pojechaliśmy drogą do Maasbracht. Drogę ostrzeliwały ciągle działa z linii Zygryda. Kierowca nie był w stanie przewidzieć, gdzie spadną pociski, czekał więc, aż skończy się salwa i wtedy ruszał z maksymalną prędkością, jadąc zygzakami i tańcząc po oblodzonej drodze.

Można sobie wyobrazić, jak się wówczas czułem, leżąc ranny na noszach, do tego w odkrytym jeepie. Ponieważ mój towarzysz na sąsiednich noszach był w złym stanie, starałem się, jak mogłem, podtrzymać go na duchu. Czułem się bardzo dobrze, gdy dotarliśmy do szpitala polowego. Zniesiono mnie do klasy szkolnej, gdzie w kącie stały zwalone na kupę ławki, a podłogę zaścielali ranni. Jako stołu

operacyjnego używano długiego pulpitu. Zostałem tam położony pod przenośną lampą. Lekarz powiedział mi, że jest na nogach od godziny 6.00 i że jest tu tak wielki napływ rannych, iż brakuje środków znieczulających. Przepraszał, że może mnie znieczulić tylko miejscowo. Zrobił mi zastrzyk w lewe ramię, a gdy zdrętwiało, przystąpił do wyjmowania odłamków. Potem dostałem zastrzyk z penicyliny, który miał być powtarzany co trzy godziny. Ktoś dał mi koc do przykrycia nagiego ramienia.

Nie jadłem i nie piłem nic prócz wody od śniadania, dobrze przed świtem, i byłem naprawdę głodny. W szpitalu także nic nie dostałem. W kilka godzin po operacji załadowano mnie do prawdziwego ambulansu wraz z trzema innymi rannymi - jeden z nich był w złym stanie i w chwilach przytomności krzyczał - i wysłano dalej, do punktu opatrunkowego, gdzie w końcu dostałem mały, emaliowany kubek pełen gorącej, słodkiej herbaty. Kubek nie miał uszka i trudno było go trzymać, zdołałem jednak wypić większość tego boskiego nektaru. Smakował nadzwyczajnie.

Punkt opatrunkowy znajdował się w jakimś urzędzie. Leżałem na korytarzu z wieloma innymi rannymi, w większości z brygady. Obok mnie leżał żołnierz z 3. oddziału komandosów, który miał paskudnie strzaskane kolano. Jego drużyna wpadła w pułapkę w domu przy wąskiej ulicy, na której obu końcach pojawiły się niemieckie czołgi. Mogli wyjść tylko przez drzwi, a mieli jedynie moździerz z dwucalowymi pociskami dymnymi. Mój towarzysz strzelał, opierając płytę oporową o kolano. Mógł strzelać tylko w ten sposób, trafił więc w ścianę domu naprzeciwko, lecz odrzut złamał mu nogę. Mówił, jak mi się zadaje, że wystrzelił co najmniej dwa pociski, dzięki czemu koledy z jego sekcji zyskali osłonę przed czołgami i uciekli. Ten odważny człowiek także zdołał uciec mimo odniesionych ran.

W końcu ambulans przewiózł mnie do pociągu sanitarnego, który po licznych postojach dotarł wreszcie do Brukseli. Zajęły się tam nami panie z Czerwonego Krzyża, które dokładnie wypytały, czego każdemu z nas potrzeba. Przewieziono nas następnie do dużego

szpitala wojskowego w centrum Brukseli, przejętego teraz przez Brytyjczyków. Wniesiono mnie po schodach i położono do łóżka. Było prawie ciemno. Zobaczyłem przez okno lecący po niebie obiekt, podobny nieco do myśliwca, z pomarańczowym płomieniem wystrzelającym z ogona. Powiedziano mi, że jest to latająca bomba VI, jedna z wielu przelatujących nad tym rejonem. Najczęściej spadały one i wybuchały w Waterloo lub jego okolicach. Ponieważ nikt nie wydawał się tym specjalnie zaniepokojony, uznałem, że również nie będę się tym przejmował, miałem w końcu inne powody do zmartwienia.

W sali leżało wiele osób z amputowanymi kończynami, co nie wróżyło mi dobrze, ponieważ moja ręka zupełnie zesztyniała i przybrała żółtawy kolor. Oglądało ją kilku chirurgów, między innymi kobieta. Poprosiła ona o pozwolenie na próbę z kroplówką z penicyliny, a także na zaaplikowanie mi krwi. Zostało to natomiast zrobione i przykuło mnie do łóżka na co najmniej dwa dni. Siostra, zakładająca kroplówkę, wyjęła kilka małych odłamków z mojej dłoni i palców, przeoczonych w szpitalu polowym. Po odłączeniu kroplówki chodziłem codziennie na zmianę opatrunków, zajmowała się mną bardzo ładna wolontariuszka.

Później rozmawiałem z dowódcą i przekonywałem go, że mógłbym wrócić do jednostki, gdyby zwolnił mnie ze szpitala. Przypuszczam, że spodobało mu się to, bo natychmiast się zgodził. Następnego rana wziąłem potrzebne dokumenty i dogadałem się z kierowcą ciężarówki jadącej na linię frontu; wkrótce znalazłem się w pobliżu Maasbracht. Robiło się ciemno, gdy dotarłem do sztabu 6, oddziału komandosów. Dowiedziałem się, że 3. pluton znajduje się w małym mieście Wells nad Mozą i że właśnie jedzie tam jeep. Znalazłem oddział rozrzucony po mieście. Sztab znajdował się we wspaniałym dawniej domu należącym do biskupa. Dom był w ruinie, sztab kwaterował w ocalałych pomieszczeniach na parterze. Moja drużyna ulokowała się w małej willi przy wejściu do miasta. Przy drodze mieliśmy stanowisko Brena. Powiedziano mi, że nieprzyjaciel ma

zwyczaj przeprowiać się przez rzekę i pojawiać w mieście - i rzeczywiście, choć byliśmy na tyłach, nasze zajęcie nie było synekurą.

Oddziały 45. i 6., do których dołączył 3. oddział, odpierały tej mroźnej zimy kolejne przeciwnatarcia i kontynuowały marsz od Mozy, mając przeciw sobie duże siły niemieckie - oddziały spadochronowe, SS i Luftwaffe. W ten sposób brygada dotarła do Kanału Monfortbeek w pobliżu miasta Linne. 3. oddział komandosów próbował wykurzyć nieprzyjaciela z Linne pozorowanym atakiem oskrzydającym, a gdy to się nie udało, plutony 1. i 6, natarły na miasto, wdzierając się przez otwarty teren podwiezione na czołgach Sherman. Nieprzyjaciel przezornie się wycofał.

Po zdobyciu Linne brygada musiała przełamać silnie broniony odcinek linii Zygryda i zaczęła to robić, rzucając przez Mozę grupy szturmowe i korzystając ze wsparcia czołgów wzdłuż linii frontu. Walki były krwawe. W ciągu kilku zaledwie tygodni brygada straciła ponad stu ludzi, dopóki lutowa odwilż nie zamieniła terenu w trzęsawisko, w którym grzęzły czołgi, a działania ofensywne musiały zostać ograniczone do pieszych patroli. 6 marca brygada wycofała się do Venray nad Mozą i zaczęła przygotowywać do następnej wielkiej operacji - sforsowania Renu.

14

W NIEMCZECH, 1945

Każda słuszna sprawa musi mieć swój początek, ale dopiero doprowadzenie jej do końca przysparza prawdziwej chwały.

sir Francis Walshingham
do Francisa Drake'a, 1587

Zadaniem 1. oddziału komandosów podczas operacji sforsowania Renu było zajęcie Wesel, dużego miasta przemysłowego na wschodnim brzegu Renu. W tym miejscu Ren, rzeka rwąca zwłaszcza po wiosennej odwilży, miał 300 metrów szerokości, a wysokość brzegów wynosiła od 15 do 20 stóp.

Plan generała Millsa-Robertsza zakładał, że 46. oddział komandosów, który miał prowadzić natarcie wraz ze sztabem jednostki, popłynie na amfibiach typu Buffalo i zajmie równinną wyspę Grav, położoną około 1 mili na zachód od Wesel. Za nim popłynąć mieli łodziami motorowymi komandosi z oddziałów 6. i 45., a straż tylną stanowić miał zasłużony 3. oddział, także płynący amfibiami typu Buffalo. Na drugim brzegu brygada miała czekać na pojawienie się osłony lotniczej, a następnie szybko szturmować miasto. 46. oddział miał utorować drogę do centrum, za nim 6. oddział miał oznaczać i czyścić drogę, a potem cała brygada, tak jak w Normandii, razem wkroczyłaby do miasta.

46. oddział komandosów miał działać w rejonie centrum, 6. oddział - dokonać ataku oskrzydającego na północno-zachodnie przedmieścia, 45. oddział - zająć dużą fabrykę na północnych obrzeżach miasta, a 3. oddział - oczyścić okolice. Gdyby wszystko poszło

dobrze, komandosi zdobyliby duży przyczółek i mogliby uzyskać wsparcie pułku Cheshhe, przewiezonego amfibiami Buffalo. I wreszcie dywizje powietrznodesantowe, 17. amerykańska i 6, brytyjska, u których boku komandosi walczyli w Normandii, mogłyby wylądować na północ od Wesel i pomaszerować na południe, by połączyć się z brygadą. Podczas lądowania spadochroniarzy niemożliwe było wsparcie artyleryjskie dla komandosów, dlatego musieliby utrzymać Wesel przez pół dnia bez pomocy zza Renu.

Natarcie, poprzedzone ostrzałem artyleryjskim i nalotem bombowców RAF typu Lancaster, zaczęło się 23 marca 1945 roku o godzinie 21.30.46, oddział dopłynął na wyspę Grav w ciągu czterech minut. Żołnierze z oddziału B byli pierwszymi żołnierzami brytyjskimi, którzy wkroczyli do nazistowskich Niemiec. 6, oddział płynął pod ciężkim ostrzałem. Wielu żołnierzy otrzymało śmiertelne postrzały lub zginęło w zatapiających łodziach. Wiele łodzi zostało zniesionych przez prąd w dół rzeki, ponieważ psuły się silniki, lecz większość 6, oddziału dotarła do Grav i weszła śladem 46, oddziału do płonącego już miasta, znacząc białą taśmą drogę przez pokryte gruzem ulice.

O północy, dwie godziny po wylądowaniu na wschodnim brzegu rzeki, oddziały 3. i 46, były w mieście, 45 oddział zajął fabrykę, a 6, oddział znalazł się na północnych przedmieściach. O świcie Niemcy rozpoczęli ostrzał z karabinów maszynowych i moździerzy, lecz na zbombardowanych przez RAF, zrujnowanych ulicach niemożliwe było podjęcie przeciwnatarcia, a do tego rano przybyli na pomoc komandosom amerykańscy spadochroniarze i 1. batalion pułku Cheshire. Oddziały rozdzieliły między sobą zadania, patrolowały i ostrzeliwały ulice. Szczególnie zasłużył się tu 4. pluton 3. oddziału komandosów, który schwytał w zasadzkę kilka niemieckich patroli i rozprawił się ze snajperami, ściągając ich uwagę, a potem koncentrując ogień kilku Brenów na ich stanowiska. Wieczorem 25 marca całe miasto znalazło się w rękach aliantów. Zginęło kilkuset Niemców, ośmuset zostało wziętych do niewoli i przewiezionych przez

rzekę. Rzemiosło wojenne polega także na chronieniu życia. Sforsowanie Renu i zajęcie Wesel kosztowało 1. Brygadę Komandosów jedenastu zabitych, sześćdziesięciu ośmiu rannych i siedemnastu zaginionych.

Opowiada Bill Sadler:

Dowódca, który dokładnie wie, co chce osiągnąć, może przed bitwą szczegółowo przedstawić swoje wymagania przełożonym, mając pełną świadomość, że sukces lub klęska jego wysiłków będą później dokładnie analizowane. W bitwie może jednak jako człowiek podołać tylko temu, co zależy bezpośrednio od niego, do mojej relacji muszę więc dodać kilka szczegółów zaczerpniętych z innych źródeł. Zawsze intrygowały mnie relacje z wszelkimi szczegółami podające, kto kogo zastrzelił, kiedy i gdzie. Mnie najbardziej interesowało to, żeby samemu nie zostać zastrzelonym.

Brygada ćwiczyła codziennie w estuariach Mozy w czasie i po operacji nad Renem, dopóki generał nie był zadowolony z wyników. Forsowanie Renu zostało wyznaczone na wieczór, 23 marca. Rano tego dnia wszyscy komandosi wzięli udział w próbie generalnej oraz otrzymali liny i kamizelki ratunkowe jako uzupełnienie swego ekwipunku. Ponieważ pozycje, które mieliśmy zająć, znajdowały się między stanowiskami nieprzyjaciela, nie mogliśmy liczyć na dostawy zaopatrzenia. Wszystkie plecaki i torby zostały załadowane do pełna.

Mój dodatkowy bagaż zawierał między innymi telefon polowy, zwój drutu telefonicznego i baterie. Na szczęście, nie miałem karabinu, tylko pistolet automatyczny kaliber 11,43 mm u pasa, ale i tak z pełnym obciążeniem nie byłem w stanie trzymać się prosto. Wsiadając do łodzi, odpiąłem klamrę parcianego pasa, do którego przypięte były torby - w każdej z nich znajdowała się także paczka żołnierskich sucharów, specjału, którego nie przebiłaby kula - oraz połuzowałem naramienniki bluzy maskującej, utrzymujące na miejscu rzemienie, na których zawieszane były różne inne rzeczy. Oznaczało to, że gdybym nagle wpadł podczas przeprawy do wody, pozbyłbym się

jednocześnie całego swego ekwipunku. Byłem dobrym pływakiem, ale nie aż tak dobrym, by pływać z ciężkim plecakiem, w pełnym rynsztunku, z drutem i telefonem polowym na dodatek. Zapiąłem pas i naramienniki, gdy tylko stanęliśmy na przeciwległym brzegu Renu.

Rankiem przed operacją odbyła się ostatnia odprawa oraz niezwykle dokładny przegląd broni i umundurowania. Po raz ostatni przed końcem wojny cały ekwipunek został wyczyszczony na najwyższy połysk, niemal do białości. Wypolerowany mosiądz zmatowiał później podczas przeprawy przez Ren. Potem cieszyliśmy się ostatnim przed zakończeniem walk posiłkiem nie z puszki - dano nam po pół kurczaka na głowę - i wreszcie wysłano na odpoczynek przed nocną przeprawą.

Gdy zbliżała się godzina 17.30, czyli pora pierwszego oczekiwanego nalotu stu Lancasterów RAF na Wesel, weszliśmy na wzgórze, z którego widać było miasto, aby obejrzeć to wydarzenie. Samoloty pojawiły się dokładnie w wyznaczonym czasie, lekko skrzyły, przeleciały nad naszymi głowami i skierowały się na Wesel. Każdy zrzucił na miasto dziesięć ton bomb burzących, po czym zawróciły i odleciały do kraju. Obrona przeciwlotnicza była mizerna, ponieważ jej stanowiska zostały już wcześniej zbombardowane.

Dokładnie w momencie, gdy ostatni samolot zrzucił bomby i odleciał, ogień otworzyły wszystkie działa. Ostrzał trwał nieprzerwanie i nasilał się do następnego dnia. Ziemia dosłownie się trzęsła. Bydło i konie na pobliskich polach oszalały ze strachu. Rycząc i rżąc gnały na oślep, na próżno usiłując uciec od tego huk.

O godzinie 19.30 6, oddział uformował się gęsiego i dołączył do kolumny rozpoczynającej marsz do rzeki. Początek operacji wyznaczono na godzinę 21.30, wkroczenie do miasta na godzinę 22.00. 46, oddział i sztab brygady załadowały się na amfibie Buffalo, by poprowadzić natarcie. Tuż za nimi płynął 6, oddział, którego zadaniem było oznaczanie białą taśmą zajętego terenu i w ten sposób przeprowadzenie kolumny brygady na peryferia Wesel. Tam wszyscy mieli poczekać na drugi nalot stu Lancasterów, a potem wkroczyć do mia-

sta. Po drodze nad rzekę kolumna przechodziła obok wielu zięjących ogniem stanowisk artylerii. Marsz odbywał się przy akompaniamencie huku i grzmotu dział i świstu pocisków, przelatujących ciągle nad głowami, a błysk wystrzałów towarzyszył snopom światła z reflektorów, tworzących na zachmurzonym niebie księżycową poświatę.

Po kilku milach marszu plecaki i ekwipunek zaczęły wydawać się dwa razy cięższe niż przedtem, ale tuż przed dojściem do rzeki zarządono postój. Czekala nas wszystkich przyjemna niespodzianka - zdjęliśmy na chwilę ciężary, a każdy dostał porcję herbaty, rumu i kanapek. Po raz ostatni przed końcem wojny widzieliśmy wówczas chleb.

Zazwyczaj, gdy trzeba było okopać się na noc, sierżant sztabowy obchodził wszystkich z racjami rumu. Każdy żołnierz dostawał łyżeczkę deserową tego życiodajnego eliksiru. Teraz jednak z dużych menażek ustawionych przy drodze pozwolono nam wziąć, ile chcemy herbaty i rumu, a sierżant Woodcock radził życzliwie: „To zagłuszy trochę ten hałas”. Najwyraźniej mieliśmy dotąd tylko przedsmak późniejszych wydarzeń, jak choćby bombardowania miasta, co oglądaliśmy i słyszeliśmy z bardzo bliskiej odległości.

Wypiłem kubek herbaty wymieszanej pół na pół z rumem, po czym załadowałem na siebie plecak i cały ekwipunek z zadziwiającą łatwością, jestem jednak przekonany, że nikt z nas nie uraczył się pokrzepiającym napojem tak, by tej nocy przeszkadzało to w sprawnym wypełnianiu obowiązków.

Przybywszy nad rzekę, 6. oddział zaczął wsiadać do małych łodzi, należących do piechoty morskiej. Znalazły się one pod ostrzałem, kiedy tylko wyszły z ukrycia i pojawiły się na rzece. 2. pluton, dowodzony przez kapitana Petera Crudena, liczył początkowo trzech oficerów i czterdziestu ośmiu żołnierzy, lecz liczba ta nieco się zmniejszyła, gdy w trakcie przeprawy łodzie oddziału zostały trafione. Utonął zastępca dowódcy, porucznik Hume-Spry, i kilku żołnierzy, niektórzy jednak zdołali wydostać się z wody, wrócili do plutonu i brali udział w późniejszych walkach. Łódź, w której płynąłem,

przeprawiła się szczęśliwie, ale okazało się, że wylądowaliśmy na wyspie, musieliśmy więc znów szybko wsiąść do łodzi i kontynuować forsowanie Renu, tym razem także bez strat.

2. pluton sztabowy zamierzał obsadzić skrzyżowanie dróg blisko nasypu kolejowego - tak przynajmniej pokazywała mapa. Teraz był to teren zupełnie zniszczony, podziurawiony lejami po pociskach i straszący zgłiszczami. 6. oddział zajął swoją pozycję, oddziały 3. i 45 poszły dalej. 46. oddział, który początkowo przeprowadzał się wraz ze sztabem, udał się teraz na tyły, aby zabezpieczyć zajęty teren. Należało go utrzymać za wszelką cenę aż do późnego rana następnego dnia, kiedy to miała przybyć amerykańska 17. Dywizja Powietrzno-desantowa. Jej przybycie było bardzo efektywnym, barwnym widowiskiem.

Działania komandosów w ciągu nocy i następnego dnia przysporzyły nieprzyjacielowi wielu strat. Komendant garnizonu w Wesel, generał major Deutsche, który odmówił poddania się, został zastrzelony przez patrol prowadzony przez sierżanta sztabowego Woodcocka. Mówiono, że podczas przeprowady sierżant został trzykrotnie wyrzucony z łódki przez ostrzał. Następnego rana nieprzyjaciel podjął próbę kontrataku, skutecznie zdławioną bezpośrednim ogniem, lecz w wyniku starcia 2. plutonu z inną grupą Niemców ranny został porucznik Barnes. Kapitan Cruden musiał wówczas przejąć odpowiedzialność za dwudziestu pięciu żołnierzy pozostałych z 2. plutonu. Patrol zameldował, że do oddziału zbliżyła się grupa Niemców, pozorując zamiar poddania się, i nagle jeden z nich postrzelił porucznika w ręce i kolana z karabinu maszynowego, który miał na plecach. Żołnierze z patrolu zareagowali natychmiast.

Podczas operacji panowała cisza radiowa, prowadzono jednak całodobowy nasłuch. Zainstalowano łączność telefoniczną między sztabem a tyłami, lecz łączność między naszymi pozycjami w Wesel i wokół miasta była bardzo utrudniona. Nigdy już nie zobaczyłem telefonu polowego i zwoju drutu, które nosiłem podczas przeprowady, co mnie bardzo cieszyło. Z powodu ciszy radiowej i braku bezpośredniej

łączności telefonicznej dostałem pewnego razu rozkaz dostarczenia wiadomości do sztabu. Sprawdziłem drogę na mapie i ruszyłem przez gruzy i zgliszcza wypełnić zadanie.

Wracając, zatrzymałem się na chwilę, by zorientować się w sytuacji. Większość domów była zrujnowana na skutek bombardowania i ostrzału artyleryjskiego, wkrótce jednak ustaliłem, jak mogę wrócić, i znalazłem krótszą niż przedtem, jak mi się zdawało, drogę. Skierowałem się tam i zrobiłem kilka kroków, gdy kula przeleciała dokładnie w miejscu, które przed chwilą minąłem, a potem rozległ się terkot karabinu. Kolejna kula znów przeleciała tuż za mną, co zmusiło mnie do podjęcia szybkiej decyzji. Snajper mógł strzelać o wiele dalej niż ja, a poza tym, w przeciwieństwie do mnie, widział swój cel. Uznałem więc, że najlepiej trzymać się znanej drogi, tak też zrobiłem i wróciłem do sztabu. Okoliczności nie czynią z człowieka ani bohatera, ani tchórza. Ujawniają po prostu jego prawdziwą naturę, a ja zawsze byłem przezorny.

Philip Pritchard puentuje tę historię:

Pewnego razu w Wesel zastaliśmy starszego szeregowego kopiącego grób w ogrodzie. Wyglądało to dziwnie, zapytaliśmy go więc, dlaczego to robi. Okazało się, że szeregowy należał do grupy przeszkupującej piwnice; w jednej z nich stanął twarzą w twarz z niemieckim oficerem i krzyknął natychmiast: „Ręce do góry!”. Na to Niemiec: „Jestem niemieckim generałem i poddam się tylko oficerowi równemu rangą”. Była wojna, nie mieliśmy czasu na wszystkie te nonsensy. Starszy szeregowy powiedział coś w rodzaju: „Dobra, to będzie w sam raz dla ciebie” i strzelił ze swego Thompsona z fatalnym dla generała skutkiem. Wieść niesie, że generał Mills-Roberts wpadł we wściekłość i za karę kazał szeregowemu pogrzebać Niemca. Nieszczęsny szeregowy powiedział potem: „Ostatni raz zabiłem generała”.

3 kwietnia 1945 roku 1. Brygada Komandosów kolejny raz ruszyła w

drogę, będąc podporządkowana, tak jak w dniu lądowania w Normandii, 6. Dywizji Powietrznodesantowej, tym razem kierując się na Osnabrück. Nocą miasto zostało zajęte przez 3. oddział komandosów, wspierany przez 45. oddział. O świcie było już po wszystkim. Komandosi wzięli ponad czterystu jeńców.

Opowiada Bill Sadler:

Brygada wkroczyła na przedmieścia Osnabrück w niedzielę, bardzo wcześnie rano. Taktykę tę powtarzano w późniejszych operacjach. Marszruta wymagała przejścia około 13-14 jardów do zajezdni tramwajowej czy autobusowej po otwartym terenie. Ostrzał z broni maszynowej spowodował wówczas liczne straty. Komandosi zareagowali natychmiast na zasadzie „bij bez zastanowienia” - zatrzymanie kolumny w ogóle nie wchodziło w rachubę.

Natarcie musiało być kontynuowane. Grupy czterech, pięciu lub sześciu ludzi przebiegały na przełaj wybetonowany plac w nieregularnych odstępach czasu - w punkcie przecięcia przekątnych przycupnął oficer, który wybierał ludzi z maszerującej cały czas kolumny, wskazywał kierunek i dawał rozkaz: „Naprzód!”. Grupa ruszała z szybkością gwarantującą zakwalifikowanie się na najbliższe igrzyska olimpijskie. Karabiny maszynowe MG 34 zostały uciszone przez celnie wystrzelone pociski z Piata 2. plutonu. Obsługujący Piata żołnierz otrzymał później jedno z odznaczeń wojennych.

Biegając na przełaj, usłyszałem w połowie drogi metaliczny dźwięk upadającej na beton niemieckiej saperki do okopywania się - nosiłem ją przy pasie. Rozważyłem sensowność podniesienia saperki z szybkością, przy której nowoczesny mikroprocesor popadłby w kompleks niższości; zanim jeszcze zrobiłem następny krok, krzyknąłem: „Nie ruszaj się, ty ...” i pognałem dalej.

Kolumna dotarła do Osnabrück i zakończyła zajmowanie miasta o godzinie 10.00. Pozostały tylko dwie odizolowane wysepki oporu. Wzięto czterystu jeńców, wśród których było wielu Węgrów. Miejscowy szef Gestapo został zastrzelony w swoim biurze przez oficera

kontrwywiadu brygady, majora de Jonghe. 6. oddział zajął wyznaczone pozycje, 2. pluton założył kwaterę sztabu i węzeł łączności w bibliotece obszernego domu. Znajdował się tam duży zbiór płyt z muzyką klasyczną, taneczną i marszami wojskowymi, a także z niemieckimi pieśniami partyjnymi. Była między innymi pieśń *Maszerujemy na Anglię*. Niektóre z tych melodii towarzyszyły nam później w Niemczech, wzięliśmy bowiem także znakomity przenośny gramofon. Przewożono go w jeepie, który jeździł za nami na wszystkie zdobyte pozycje. Kierowca jeepa był także kucharzem, dlatego zawsze był gorąco witany.

Dzięki odkryciu salonu samochodowego zarekwirowano kilka samochodów, ale rozstaliśmy się z nimi wraz z końcem okupacji Niemiec. Wydaje mi się jednak, że zarekwirowany dla brygady motocykl BMW o pojemności 1000 cm³ wrócił z nami do kraju.

Gdy brygada dotarła następnie nad Wezerę, okazało się, że leżące na drugim brzegu miasto Leese znajduje się w rękach uszczuplonego batalionu z brygady strzelców, mocno naciskanego przez nieprzyjaciela. 46. oddział komandosów, wysłany natychmiast jako wsparcie, płynął łodziami pod ciężkim ostrzałem 12. Batalionu Szkolnego SS. Za sprawą esesmanów komandosi i strzelcy poddani zostali ciągu najbliższej doby trudnej próbie. Sytuacja zmieniła się dopiero około północy z 7 na 8 kwietnia wraz z wkroczeniem do miasta reszty brygady. Aby tego dokonać, brygada, ponownie uformowana w pojedynczym, przenikającym szyku, okrążyła Leese i zaatakowała pozycje SS od tyłu. 2. pluton 6. oddziału zaatakował pozycje artylerii i zdobył działka kalibru 20 mm, natomiast 3. oddział zajął w północnej części miasta zakłady, w których produkowano rakiety V2.

Opowiada Bill Sadler:

Kilka miesięcy wcześniej, w dniu inwazji na Europę, siedziałem bezpiecznie w dokach Southampton. Teraz miałem znaleźć się wśród pierwszych żołnierzy, którzy wkroczyli wraz z Armią Brytyjską do Niemiec. I bardzo się z tego cieszę. Ponieważ mieliśmy przepłynąć

rzekę w pewnej odległości od miasta, pod osłoną ciemności 2. pluton przeniósł na ramionach łodzie do wybranego miejsca. Nie wiem, jak długo szliśmy, nie zatrzymywaliśmy się jednak, by przekładać łodzie na drugie ramię. Podczas marszu zdawało mi się, że albo byłem najwyższym człowiekiem po mojej stronie, albo przypadła mi najcięższa część łodzi. To samo myśleli pewnie wszyscy inni, ponieważ łódź była dodatkiem do sprzętu, amunicji i broni, które i tak zawsze nosiliśmy.

Rzekę sforsowaliśmy niedostrzeżeni, w zupełnej ciszy. W ciągu kilku minut od przybycia na drugi brzeg 2. pluton uformował szyk bojowy, by poprowadzić 6. oddział i resztę brygady. Byliśmy odpowiedzialni za właściwy kierunek i szybkość marszu oraz za dotarcie do właściwego miejsca o wyznaczonej porze. Kierunek wyznaczał w nieznanym terenie kapitan Cruden, posługując się mapą i kompasem. Ruszyliśmy około godziny przed północą. Mieliśmy przejść do skrzyżowania dróg na przeciwległych krańcach miasta i zaatakować około godzinie 7.00 następnego rana.

Przechodziliśmy przez rowy, żywopłoty, zagajniki, pola uprawne, nasypy kolejowe. Naszym pierwszym sukcesem było zaskoczenie i pojmanie w ciemnościach obsady działka kaliber 20 mm. Została ona przesłuchana i przekazana kontrwywiadowi. Nas także mogły spotkać niespodzianki. Kapitan Cruden przyznał się później, że przeżył kilka niespokojnych chwil, gdy musiał zapalić latarkę w stodole, by sprawdzić naszą pozycję na mapie.

Zawsze maszerowaliśmy w zupełnej ciszy, rozmawialiśmy tylko szeptem, palenie było zakazane, mieliśmy specjalne bezgłośne buty, a ponieważ pojawialiśmy się z najmniej spodziewanej strony, w ciemnościach, gęsiego, wykrywano naszą obecność najczęściej wówczas, gdy już było za późno.

Podczas nocnego marszu artyleria, kierowana przez towarzyszącego kolumnie oficera, który był obserwatorem artyleryjskim, prowadziła sporadyczny ostrzał okolicy, tak że brygada, nieustannie przesuując się, wyprzedzała ostrzał. 2. pluton prowadził kolumnę do

miejsca rozpoczęcia ataku, trzymając się blisko żywopłotu przy wiejskiej drodze.

Gdy zbliżaliśmy się do wybranego skrzyżowania, zza domów po prawej stronie pojawił się wartownik. Zamarliśmy w bezruchu. Wartownik poszedł na środek skrzyżowania, spojrzął w stronę miasta, na które właśnie zaczęły padać pociski, potem odwrócił się i popatrzył w naszym kierunku. Trudno uwierzyć, że kurtki maskujące i zielone berety wystarczyły, byśmy byli niewidoczni na tle żywopłotu, najwyraźniej jednak wartownik nas nie zauważył i zawrócił w stronę miasta. Nagle uświadomił sobie, co przed chwilą zobaczył, zeszywniał i znów odwrócił się, wolno ponosząc ręce. Gdy braliśmy go do niewoli, okazało się, że w prawej ręce ma opróżnioną do połowy butelkę advocaata, co dobitnie tłumaczyło spowolnienie jego reakcji. Nie zastrzeliliśmy go, bo to mogłoby wszcząć alarm, a w takim stanie i tak był niegroźny.

2. pluton, prowadzący brygadę podczas całonocnego marszu, był na przedzie także teraz, gdy wkraczaliśmy do miasta. Fortel generała najwyraźniej okazał się skuteczny. Nieprzyjaciel ciągle czatował nad rzeką w przekonaniu, że stamtąd rozpocznie się szturm. 2. pluton zdołał zająć pozycje, napotykając na mały lub żaden opór. Reszta brygady poszła dalej w stronę rzeki, zdobywając kolejne pozycje, a 3. oddział zajął zakłady produkujące rakiety V2 wraz całym zapleczem badawczym.

Brygada została teraz dołączona do 1. Dywizji Pancernej i ruszyła w stronę rzeki Aller, przekroczyła ją po na wpół zburzonych przęsłach mostu kolejowego i wzięła szturmem miasto Essel. 6. oddział zaatakował pozycje nieprzyjaciela przy dźwiękach rogów myśliwskich. Oślaniani ogniem karabinów maszynowych komandosi wypchnęli Niemców z Essel walcząc na bagnety, przebiegając truchtem około ćwierć mili i zabijając każdego, kto stanął im na drodze.

Ponownie Bill Sadler:

Rzekę Aller można było przejść po jedynym w okolicy moście, bro-

nionym przez 2. batalion Kriegsmarine. Bezpośrednie natarcie zakończyłoby się niewątpliwie natychmiastowym zniszczeniem mostu, lecz mniej więcej 1 milę na północ znajdował się most kolejowy, teraz stanowiący istną płataninę poskręcanych szyn i przęseł. Krótco po zapadnięciu ciemności pluton, prowadzący 3. oddział, przeszedł przez ten most w skarpetach i wziął do niewoli obrońców, a saperzy przygotowali go do wysadzenia w powietrze. Rannych zostało przy tym pięciu ludzi.

Generał zdecydował następnie, że skoro mogło przejść kilku ludzi, może to zrobić także reszta, poszliśmy więc gęsiego, w zupełnej ciszy, prowadzeni przez 3. oddział, aby znaleźć się za pozycjami wroga. Rano 3. oddział i pluton sztabowy wdały się w lesie w potyczkę z nieprzyjacielem. Rezultatem tej akcji było to, że chwilowo znaleźliśmy się w martwym punkcie. Postanowiono więc, że 6. oddział przeprowadzi szturm na bagnety.

Oddział został wycofany z zajętych w nocy pozycji, gdzie został niedawno ostrzelany z moździerzy, i rozmieszczony wzdłuż suchego rowu tuż przed otwartą przestrzenią, którą musiał przebyć, by dotrzeć do pozycji wroga. Najpierw niemieckie umocnienia zostały silnie ostrzelane przez nasze karabiny maszynowe Vickers. W chwili, gdy nawała ogniowa została przerwana, każdy żołnierz wiedział, co ma robić.

Gdy tak leżeliśmy z założonymi na lufy karabinów bagnety, z dziewięcioma nabojami w magazynku i jednym w lufie, nie mieliśmy czasu na filozoficzne rozważania, jakim z lubością oddawali się w takich właśnie chwilach bohaterowie Hemingwaya i wielu innych pisarzy. Czekaliśmy, aż skończy się ostrzał, i w momencie, gdy to nastąpiło, cały 6. oddział wstał jak jeden mąż i runął naprzód przy akompaniamencie rogu myśliwskiego, na którym wygrywał zastępca dowódcy. Gnaliśmy jak szaleni, strzelając z biodra przy każdej okazji. Lepiej było zabić człowieka z odległości, niż podchodzić bliżej i używać bagnetu. Strzelając w biegu, nie pozostawiało mu się czasu na oddanie celnego strzału.

Niemcy w końcu załamali się i uciekli, za co trudno ich winić, przedtem jednak stracili wielu ludzi, między innymi dowódcę batalionu, dwóch dowódców kompanii i sierżanta sztabowego. Gdy dotarliśmy do pozycji nieprzyjaciela, żołnierz, który się na mnie zasaadzał - zauważyłem go biegnąc - był już martwy. Pomyślałem, że dla mnie lepiej, że tak się stało. Niemiec miał ponad 6 stóp wzrostu i ważył ponad 200 funtów. Leżał na plecach, uśmiechając się pogodnie, jakby udał mu się żart albo jakby znalazł właśnie rozwiązanie problemu, z którym dotąd nie potrafił się uporać.

Pozycje niemieckie zdobyliśmy po około 400- jardowym biegu do lasu po otwartym terenie, nieprzyjaciel wkrótce jednak ukazał swą prawdziwą naturę, niemal natychmiast przechodząc do kontrataku. Wracając przez las, Niemcy krzyczeli: „Wstrzymać ogień!”. Nikt z nas tego nie zrobił. Po krótkiej walce utrzymaliśmy pozycje. W nagrodę otrzymaliśmy od generała przyzwolenie, na które czekaliśmy przez całą kampanię: „Nikt nie musi się na razie golić”.

Następnego dnia oddziały 45. i 4b, rozszerzały przyczółek po obu stronach Aller, lecz napotkały silny opór ze strony świeżo przybyłych oddziałów niemieckich. 13 kwietnia spróbowały ponownie. 45. oddział zdobył swoje cele, 46, oddział zajął miasto Hadensdorf po zażartych walkach, podczas których pluton Y stracił wszystkich oficerów, lecz kontynuował natarcie pod komendą sierżanta S. Coopera, odznaczonego Krzyżem Walecznych, dopóki miasto nie padło.

D. Blackburn z 6, oddziału komandosów wspomina jedno z wydarzeń:

Opowiadałem tę historię wiele razy, jestem jednak pewien, że wiele osób mi nie uwierzyło. Brano ją za bajdy starego wiarusa. Przypominasz sobie, że gdy w Afryce Północnej wycofywaliśmy się po bitwie o Zielone Wzgórze, musieliśmy zostawić wielu rannych pod opieką jednego z noszowych naszej drużyny. Zgodził się on na ochotnika zostać z nimi i został wzięty do niewoli. Po dniu „D” i

różnych innych operacjach wróciliśmy do Niemiec na kolejne akcje, a jednym z naszych zadań było wypchnięcie nieprzyjaciela z rozległego terenu porośniętego gęsto drzewami i krzakami, z nędznymi drózkami i pozarastanymi ścieżkami, gdzie od nieustannego ostrzału w wielu miejscach wybuchły pożary.

Leżeliśmy między drzewami, czekając na rozkazy, gdy obserwator zawołał: „Ruch bezpośrednio przed nami!” i zobaczyliśmy dwie postacie. Jedna miała na sobie mundur RAF, druga jakieś ubranie khaki. Byliśmy bardzo ostrożni, ponieważ wcześniej Niemcy stosowali różne sztuczki, by wykryć nasze pozycje, z fatalnym dla nas skutkiem. Był jasny dzień, leżeliśmy głęboko ukryci, a te dwie postacie zmierzały, niczego nie podejrzewając, prosto w stronę naszej pozycji. Gdy zbliżyli się na odległość strzału, zawołaliśmy: „Stop! Kto idzie?”. Odpowiedź brzmiała: „Jeńcy brytyjscy”. Kazaliśmy im iść powoli i gdy podeszli w moją stronę, nie mogłem uwierzyć własnym oczom: „Dobry Boże, przecież to Garth!”. Noszowy, którego ponad dwa lata wcześniej zostawiłem na szczycie wzgórza w Afryce, szedł prosto do swej drużyny w środku Niemiec. Było tam, jak sądzę, miliony żołnierzy brytyjskich, amerykańskich, francuskich czy kanadyjskich, a on trafił do własnej jednostki. Niewiarygodne! Jego towarzyszem był jeńiec z RAF, który też nie mógł uwierzyć, że coś takiego jest możliwe.

Philip Pritchard kontynuuje opowieść o losach 6, oddziału komandosów w Niemczech:

Oddziały brytyjskie utworzyły w Leese mały przyczółek nad rzeką. Tę rzekę kazano nam sforsować. Mieliśmy do dyspozycji kryte płótnem składane pontony, które mogły przewieźć drużynę piechoty (dziesięciu ludzi). Miały po osiem wiosła. Oprócz ośmiu wiosłujących jeden człowiek siedział na dziobie i jeden na rufie. Te łatwe do transportu pontony znakomicie nadawały się do cichej przeprawy przez niewielką rzekę.

Podczas wieczornego posiłku dołączyło do nas wielu jeńców ro-

syjskich. Jeden z nich miał kilka butelek czegoś, co nazywał wódką, lecz ci, którzy spróbowali tego napitku, twierdzili, że był to raczej denaturat. Inny Rosjanin okazał się pułkownikiem. Nie wyróżniał się niczym spośród kolegów i wydawał się raczej młody jak na swoją rangę, zbliżał się dopiero do trzydziestki. Z zapadnięciem nocy pomaszerowaliśmy wszyscy na miejsce zbiórki, skąd zabraliśmy łodzie. Przenieśliśmy je nad rzekę i kolejno przeprawialiśmy się grupami, wychodziliśmy na drugim brzegu i szliśmy wzdłuż niego w pewnej odległości od miasta, aż dotarliśmy do podmokłego, błotnistego terenu. Tam rozciągnęliśmy się wokół miasta tak, by znaleźć się na przeciw małego przyczółka brytyjskiego.

Przeszliśmy przez drogę, na której majaczył ciemny kontur czołgu. Okazało się, że jest to brytyjski Cromwell, najwyraźniej trafiony i porzucony. Załoga musiała opuszczać go w wielkim pośpiechu, ponieważ widziałem przez otwarty właz mechanika kierowcy czerwono jarzący się główny wyłącznik światła. Minęliśmy czołg i musieliśmy się zatrzymać. Niedaleko, po lewej stronie, na skraju miasta zobaczyliśmy strzelające niemieckie działo; z jego lufy wylatywały długie języki ognia. Pamiętam, że widziałem artylerzystę wyjmującego pocisk z wiklinowego pojemnika. Jeden z naszych oddziałów zdobył to działo z zaskoczenia. Szturm na miasto także zupełnie zaskoczył Niemców, którzy nie mieli pojęcia, że znajdujemy się na ich tyłach.

Operacje takie jak ta umacniały nasze zaufanie do dowódcy brygady. W moim przekonaniu był to mądry żołnierz. Podczas każdej akcji siedł na przedzie, najczęściej z prowadzącym oddziałem, czasem z prowadzącym plutonem. Nigdy nie byliśmy zdziwieni, widząc go tam, gdzie latały kule. Faktem jest, że gdy mój pluton był w awangardzie, mogliśmy być pewni, że dowódca jest niedaleko za nami. Miał trzydzieści sześć lat, w 1939 roku był porucznikiem rezerwy Gwardii Irlandzkiej, w 1944 roku - generałem brygady. To nie byle jakie osiągnięcie. W moich oczach był on prawdziwym zawodowcem i uosabiał wszystko to, co najlepsze w Armii Brytyjskiej.

Gdy znaleźliśmy się w Leese, zaczęto ostrzeliwać nas długimi seriami z broni maszynowej i z dział. Strzelano z nasypu kolejowego, zza stojących tam ciągle kilku wagonów. Zginął jeden z naszych oficerów naprowadzających ogień artylerii. Wkrótce nadszedł ze skrzydła jeden z naszych oddziałów i odpłacił Niemcom pięknym za nadobne. Nie zabawiliśmy długo w tym mieście, na tyle jednak długo, by sierżant sztabowy mógł wyleczyć sobie ząb. Ponieważ nie mieliśmy wojskowego dentysty, dowiadywał się o dobrego niemieckiego dentystę cywilnego. Znalaziono takiego, a sierżant zasiadł ponoć w fotelu z wycelowanym w lekarza pistoletem automatycznym Colt - zabieg okazał się skuteczny, co bez wątpienia najbardziej ulżyło samemu dentyście.

19 kwietnia 1945 roku 1. Brygada Komandosów dotarła do Lauenbergu, mijając po drodze straszliwy obóz koncentracyjny w Belsen. Została oddana pod komendę 15. Dywizji Szkockiej i zaczęła przygotowywać się do kolejnej - jak się okazało ostatniej - operacji, zwanej „Enterprise”, czyli do forsowania Łaby.

Opowiada Bill Sadler:

Oddziały 3. i 6, otrzymały rozkaz zdobycia i utrzymania mostu, gdzie pozostały przez pewien czas, natomiast oddziały 45. i 46. poszły naprzód, by rozciągnąć przyczółek na północ i na wschód. Trafiły tam na batalion Kriegsmarine, który przysłano do obsadzenia niemieckich pozycji. Wojna wyraźnie się już kończyła, a żołnierze tego batalionu ciągle chcieli walczyć. Natychmiastowe, gwałtowne natarcie komandosów z piechoty morskiej zmusiło ich jednak do odwrotu i ucieczki. Jeden z oficerów zastrzelił się, nie mogąc zatrzymać swoich ludzi. Zajęcie mostu umożliwiło nam później tego rana odkrycie obozu koncentracyjnego w Belsen.

Nasz kapelan, wróciwszy z obozu, próbował opowiedzieć nam, co tam widział, wówczas jednak nikt nie był w stanie zrozumieć w pełni znaczenia jego relacji. 6. oddział dostał rozkaz wkroczenia do Belsen i pomocy w uporządkowaniu obozu, każdy żołnierz został więc do-

kładnie obsypany proszkiem przeciw tyfusowi. W tej samej chwili, gdy nadjechała ciężarówka mająca zabrać nas do Belsen, nadszedł rozkaz wyruszenia wraz z pododdziałem czołgów w stronę Łaby.

Nie dotarliśmy więc do Belsen, lecz poszliśmy szybko autostradą, kierując się na Łabę. Maszerowaliśmy godzinę czy dwie, gdy nadszedł rozkaz zatrzymania się tam, gdzie byliśmy, być może dlatego, że przeprawa przez Łabę okazała się na razie niemożliwa. Dywizja rozciągnęła się wzdłuż autostrady w obu kierunkach. Nasze ciężarówki skierowano na szerokie trawiaste pobocze, gdzie mieliśmy czekać na dalsze rozkazy. Pozwolono nam wysiąść i rozprostować nogi. Przeszedłem się z kolegą do najbliższego czołgu, w którym jeden z załogi parzył herbatę w dwóch kanistrach na benzynę. Zebraлиśmy się w końcu i wyruszyliśmy zdobywać most na kanale Łaby.

Zadaniem 1. Brygady, posuwającej się na prawym skrzydle szkockiej 15. Dywizji, było zajęcie Lauenbergu i mostu na kanale. Natarcie rozpoczęło się 29 kwietnia o godzinie 2.00, na dziewięć dni przed końcem wojny w Europie. Prowadził znów 6, oddział komandosów, który pod ostrzałem przeprowił się przez rzekę w amfibiach Buffalo, 2 mile na północ od miasta. Nieprzyjaciel okopał się na szczycie skały o wysokości 150 stóp, atakując komandosów ogniem z karabinów i broni maszynowej oraz granatami, lecz nie powstrzymał natarcia.

6, oddział, rozciągając się aa skrzydłach, osłaniany ogniem z przeciwnego brzegu rzeki, wspiął się na skałę i wyparł nieprzyjaciela ze szczytu. Teraz nadeszły oddziały 46., 3. i 45. i zajęły całe wznie-sienie, po czym brygada pomaszerowała na Lauenberg. Patrol czołowy z 6, oddziału dotarł do mostu dokładnie w chwili, gdy saperzy przygotowywali się do odpalenia ładunków wybuchowych, i zdążył ich jeszcze powstrzymać.

Niedaleko od tego miejsca marszałek polny Milch poddał się Derekowi Millsowi-Robertsowi, przekazując mu swą buławę. Generał, pełen odrazy z powodu tego, co brygada odkryła w Belsen i co widziała gdzie indziej, połamał buławę na głowie marszałka.

Jeszcze raz Bill Sadler:

Brygada skierowała się na północ nie napotyając na opór i wkroczyła do Lubeki i Neustadt, gdzie na brzegu morza odkryliśmy ciała około trzystu mężczyzn, kobiet i dzieci w więziennych pasiakach. Wszyscy zostali zastrzeleni lub utonęli, nigdy jednak nie dowiedzieliśmy się, w jakich okolicznościach. Generał rozkazał burmistrzowi zebrać grupę najznamienitszych obywateli, którzy mieli zająć się pochówkiem. Zmarli zostali pogrzebani we wspólnym grobie. Kilka lat później przeczytałem w gazecie o zasięgu międzynarodowym, że w rejonie Neustadt odkryto masowy grób, lecz nikt z mieszkańców miasta nie umie o nim nic powiedzieć... wymowny przykład niemieckiej zbiorowej amnezji.

Do Neustadt 1. Brygada dotarła na początku maja. Wraz ze zdobyciem tego miasta zakończyła się dla niej wojna w Europie.

15

BIRMA. 1944-1945

Dobrych lowów każdemu, kto przestrzega Praw Dżungli zielonej!

Rudyard Kipling

Do kwatery dowódcy 3. oddziału komandosów, Petera Younga, w Bois de Bavant przybył generał Robert Stuges, który zaproponował mu awans na pułkownika i stanowisko zastępcy dowódcy 3. Brygady Komandosów, działającej w Azji Południowo-Wschodniej. „Miałem wszelkie powody, by przyjąć tę propozycję - mówi Peter Young - poprosiłem jednak generała, by odłożył moje przeniesienie przynajmniej do końca kampanii w Normandii i ostatecznie przybyłem na Cejlon w połowie października 1944 roku”.

W końcu 1943 roku została wysłana do Azji Południowo-Wschodniej 3. Brygada Służb Specjalnych pod dowództwem generała W.I. Nonweilera. Została ona utworzona w grudniu 1944 roku. Składała się wówczas z dwóch oddziałów komandosów wojsk lądowych - 1. i 5., dwóch oddziałów komandosów piechoty morskiej - 42. i 44., oraz plutonu holenderskiego z 10. międzyalianckiego oddziału komandosów. Oba oddziały komandosów wojsk lądowych miały doświadczenie bojowe. 1. oddział komandosów brał udział w wypadach za kanał La Manche i w akcjach w Afryce Północnej, 5. oddział komandosów uczestniczył w desancie na Madagaskar. Jednak oddziały komandosów piechoty morskiej były nowymi formacjami, utworzonymi z oddziałów Królewskiej Piechoty Morskiej.

Droga do Indii nie przebiegła bez problemów. Okręt wiozący oddziały komandosów 1. i 42. został zbombardowany na Morzu Śród-

ziemnym i musiał zatrzymać się w Aleksandrii w celu naprawy, sztab brygady i pozostałe oddziały dopłynęły jednak do Indii w styczniu 1944 roku. Oddziały komandosów 1. i 42. dołączyły dopiero we wrześniu, a w tym czasie komandosi przeprowadzili kilka akcji i wrócili na Cejlon (dziś Sri Lanka), by szkolić się i przygotować do wyjazdu na front w Arakanie w Birmie.

Mówi Peter Young:

W 3. Brygadzie znalazło się wielu świetnych żołnierzy i doskonała kadra oficerska. Był major Douglas Drysdale z piechoty morskiej i Tony Pigot, także wybitny oficer... to była cholernie dobra brygada. Spośród jednostek chciałbym wyróżnić 42. oddział komandosów za solidność i 5. oddział komandosów za waleczność. Ten pierwszy oddział miał znakomitego dowódcę, Davida Fellowsa, mojego przyjaciela. Cenię go bardzo wysoko, podobnie jak Campbella Hardy'ego. Muszę jednak powiedzieć, że chyba najlepszy był 1. oddział komandosów, doskonała pod każdym względem jednostka piechoty, która zasłużyła na to, by wymienić ją obok oddziałów 3. i 6. i 2...

Połowa brygady nie dotarła, ale generał Nonweiler miał pod swą komendą dwie gotowe do walki jednostki. Polem bitwy był Arakan, pas wybrzeża między górami a Zatoką Bengalską, rozległy region moczarów i dżungli, poprzecinany rzekami, z których największą jest Irawadi. W Arakanie działał hinduski XV Korpus. W dniu 11 marca 1944 roku jako pierwszy wylądował tam 44. oddział komandosów piechoty morskiej. Przybył on na wybrzeże koło Alethangyaw w trzech grupach, na starym, dziurawym okręcie desantowym. Marines zajęli Alethangyaw, mocno nękani przez japońskich snajperów, ukrytych na drzewach (byli do nich przywiązani), i utorowali sobie drogę przez wieś, wysiali dwa oddziały na drugą stronę rzeki płynącej za wsią oraz patrole zaczepne ścierające się z japońskimi forpocztami. Po dwóch dniach jednostka powróciła na wybrzeże i popłynęła wesprzeć 5. oddział komandosów, który wylądował dalej na północ, w Maungdaw, bliżej głównego pola walki.

Opowiada Frank Atter z 5. oddziału komandosów:

To była operacja, w której oba oddziały komandosów walczyły zupełnie same, bez wsparcia marynarki wojennej czy lotnictwa. Naszym zadaniem było zwrócić uwagę Japończyków i związać walką oddziały, które mogłyby zostać użyte przeciwko korpusowi hinduskiemu na drodze Maungdaw-Buthidaung. Moim zdaniem, zrobiliśmy to dość skutecznie. Wieś Alethangyaw była cały czas pod celnym ostrzałem japońskich moździerzów. Wychodziliśmy na patrole, ale nasza baza znajdowała się we wsi, nie obeszło się przy tym bez strat.

Nasz dowódca, pułkownik Shaw, zdecydował, że powinniśmy zaatakować japońskie moździerze nękające nasze pozycje. Nie wiedzieliśmy dokładnie, gdzie znajdują się ich stanowiska, pułkownik wysłał więc 3. pluton na przełaj przez pola ryżowe, aby ściągnął na siebie ogień. Byłem w jednej z drużyn, która wykonywała to zadanie, mogę więc zapewnić, że było to dobre posunięcie. Ruszyliśmy ostro do przodu, puściliśmy się biegiem i przypadliśmy do ziemi, gdy padły pociski. Dziwne, ale nie ponieśliśmy większych strat, ponieważ odłamki pochłaniane były przez miękkie ryżowisko. Dotarliśmy do wsi po drugiej stronie pól. Powiedziano nam, że mamy zatrzymać się na jej skraju. Było nam trochę ciasno, dowódca mojej podsekcji zgodził się więc, że powinienem przenieść się z obsługą Brenna do znajdującego się po prawej stronie zagłębienia terenu, gdzie mieliśmy lepsze pole ostrzału. Będąc pozbawiony zmysłu powonienia, nie miałem świadomości, że jest to wiejska kloaka.

Moja grupa mocno narzekała na unoszący się fetor, lecz gdy w drzewa po lewej stronie uderzył pocisk, który ranił kilka osób, a jedną zabił, narzekania ucichły natychmiast. Coraz bardziej wyraźne stawało się, że bez wsparcia artylerii czy lotnictwa nie damy rady. Największy nasz moździerz miał kaliber 50 mm, przewaga nieprzyjaciela była ogromna. Wycofaliśmy się do „boksu” (kwadratowego placzyku między chatami) w Alethangyaw. Tej nocy wysłaliśmy patrol zaczepny, który starł się z patrolem japońskim, zamierzającym zaat-

akować nasz „boks”. Nie wiedzieliśmy początkowo, co się dzieje, gdy nad naszymi głowami zaczęły świstać kule i pociski. Sytuacja wyjaśniła się dopiero po powrocie patrolu.

Dobrze się stało; straciliśmy chyba około dziesięciu ludzi, mieliśmy też kilku rannych, ale Japończycy nie próbowali więcej bezpośredniego ataku, kontynuowali tylko ostrzał. Zorientowali się, że pozostaniemy tu, dopóki nie wykonamy do końca naszego zadania. Alethangyaw było dla nas dobrą lekcją. Wzięliśmy tu ze sobą ciężkie karabiny maszynowe Vickers zamiast moździerzy kalibru 81 mm, czego nigdy więcej nie zrobiliśmy, a żołnierze naszego plutonu wsparcia wkrótce stali się prawdziwymi ekspertami w używaniu moździerza na niewielkiej przestrzeni, co jest nie lada sztuką.

Kapral John Wall z 5. oddziału komandosów wspomina pewne zdarzenie w Maungdaw:

Wylądowaliśmy w okolicy Alethangyaw, na południe od Maungdaw, gdzie toczyły się zażarte walki. Urządziliśmy we wsi bazę, z której dokonywaliśmy wypadów, niszcząc japońskie linie łączności. Pewnego dnia o zachodzie słońca mój oddział ruszył na akcję, uformowany w literę T. Ostatni na prawo w grupie prowadzącej był „Titch” Shoreman. Nagle coś sprawiło, że wszyscy zamarliśmy w bezruchu. W tym momencie przed „Titchem” pojawiła się jakaś postać. Był to z pewnością Japończyk.

Być może Japończyk wziął niewysokiego i krępego „Titcha” za swego kolegę. „Titch” znalazł się jednak w kłopotcie. Posługiwał się głównie granatami i nie miał bagnetu na karabinie. Co powinien zrobić, skoro karabin jego przeciwnika zakończony był długim bagnetem? Japończyk, z pewnością zdezorientowany, zagadał coś do naszego kolegi, a szybko myślący „Titch” odpowiedział równie niezrozumiałym trajkotem. Jednocześnie pokazał Japończykowi lewym kciukiem, że powinien przejść kilka kroków dalej na lewo. Gdy Japończyk zrobił to, żołnierz stojący obok „Titcha”, sądząc, że „Titch” jest dowódcą patrolu, również skinął kciukiem. Ta pantomima trwała,

dopóki Japończyk nie znalazł się pośrodku linii, gdzie został zastrzelony. „Titch” zyskał później sławę w 5. oddziale komandosów jako jedyny żołnierz, który prowadził konwersację z żołnierzem japońskim.

Natychmiast po tym, jak padł strzał, rozpętało się piekło. Wpadliśmy na dużą grupę Japończyków z przemyślnie rozstawionymi karabinami maszynowymi. W odpowiedzi uformowaliśmy się w kwadrat i ustawiliśmy Breny tak, że mogły pokryć ogniem flankowym każdą stronę. Nie było nam jednak łatwo, ponieważ magazynki Brenów załadowane były w jednej trzeciej pociskami smugowymi, co siłą rzeczy tworzyło doskonały cel dla wszystkich karabinów nieprzyjaciela w okolicy. Przy tych odległościach granaty były również zupełnie nieskuteczne. Dopiero użycie moździerza kaliber 50 mm (dwucalowego) uciszyło Japończyków. To wydarzenie nauczyło nas ponadto, że Japończycy potrafią powtórzyć po angielsku to, co usłyszeli. Jeden z naszych kolegów, ciężko ranny, wzywał dowódcę swego oddziału, a Japończyk powtarzał jego wołania, próbując zdezorientować i przyciągnąć w swoim kierunku kilku żołnierzy.

Frederick Palmer z 5. oddziału komandosów został ranny w walkach pod Maungdaw:

Byłem ranny dwukrotnie. Po raz pierwszy, podczas patrolu z 2. plutonem w okolicy Maungdaw, kiedy kula trafiła mnie w lewą nogę i byłem wyłączony z akcji przez dwa miesiące. Pamiętam, jak sześciu Birmańczyków niosło mnie na skleconych naprędce noszach 3-4 mile do bazy 5. oddziału komandosów i kwatery sztabu na plaży. Oficerem administracyjnym był Fred Hoyle, a kwatermistrzem sierżant Sam Hartley. Generał Nonweiler, nasz dowódca, znajdował się w tym czasie na pokładzie statku sztabowego, który był właściwie małą łodzią rybacką, zakotwiczoną około mili od brzegu. W sztabie oddziału był żołnierz o nazwisku Fred Musson, który zajmował się sprawami administracyjnymi. Musson obwiązał się liną wokół pasa i popłynął do statku generała. Za pomocą tej liny ranni zostali przeciągnięci z

brzegu na łódź, a następnie przewiezieni do jednostki stacjonującej w miejscu zwanym Nela. Po krótkim pobycie tam poleciałem do Chit-tagongu samolotem typu Tiger Moth. Byłem przywiązany do skrzydła, z czego zdałem sobie sprawę dopiero wtedy, gdy było po wszystkim.

Denis Crowden także był w Alethangyaw:

Pierwszy raz starliśmy się z Japończykami niedaleko od plaży, gdzie okopaliśmy się w sposób stosowany w Birnie, czyli w kwadrat; tam nigdy nie było wiadomo, z której strony pojawią się Japończycy. Chłopi także się okopali. Pewnej nocy jeden z oddziałów miał poszukać stanowisk japońskich ciężkich karabinów maszynowych, które urządziły nam piekło, i wyszedł prosto na Japończyków zmierzających z trzech stron do naszego stanowiska. Zaczęła się bitwa. Jeden z naszych kolegów został trafiony trzynastą razy i przeleżał jęcząc całą noc. Mogliśmy go zabrać dopiero o świcie. Obie strony poniosły ciężkie straty. Musiałem wyprowadzić moją drużynę do ściągania zabitych i rannych.

Nigdy nie zapomnę, jak Japończycy dosłownie krążyli wokół naszych pozycji i zatrzymali się tuż przy mnie. Niektórzy z poległych już zesztynieli i wyglądali groteskowo. Miałem zaledwie 23 lata i w swej głupocie próbowałem prostować poskręcane kończyny, ale jedynym na to sposobem było je złamać, a nie chciałem tego robić moim przyjaciółom. Japończycy zazwyczaj zabierali swoich poległych, lecz tym razem mieli dość i nie tracili na to czasu, choć odebrali jednemu czy dwu zabitym ramię, aby zabrać znaki identyfikacyjne. Wyrwaliśmy się stamtąd i musieliśmy zatrzymać się następnej nocy w innym miejscu. Upiliśmy się rumem, byliśmy więc w wojowniczych nastrojach i ciemną nocą niemal wybiliśmy stado bydła.

Byliśmy wyczerpani, zanim jednak wróciliśmy na bezpieczny teren, kazano nam uwolnić kilku artylerzystów, którzy zostali odcięci przez Japończyków. Aby ich znaleźć, przedzieraliśmy się przez moczary amfibiami. Porucznik Noble prowadził jedną drużynę, nato-

miast moja drużyna ubezpieczała akcję. Ci, którzy brali udział w poszukiwaniach, zostali paskudnie poharatani. Mój bliski przyjaciel został ranny. Niefortunnie próbował usiąść prosto i natychmiast trafiła go następna kula. Został uratowany, ale wydawało się, że stracił wolę życia, stracił też obie nogi.

Porucznik Noble sam uratował trzech rannych, choć był pod ostrzałem. Był bardzo dzielny. Jego drużyna wróciła na nasz posterunek, a potem przeszła do miejsca, które osłaniałem ogniem. Porucznik nie mógł mówić, był w szoku, a radiotelegrafście, choć nie został ranny, odstrzelono wszystkie parciane pasy do przenoszenia sprzętu. Widzieliśmy wówczas kilka niezwykłych ran, takich jak bruzda pod dolną wargą, dziura pośrodku policzka czy jeszcze większa dziura w tyle głowy... strach było na to patrzeć.

Victor Stevenson z 1. oddziału komandosów wspomina warunki, w jakich walczyli żołnierze w Birmie:

Kilka rzeczy wyróżnia Azję Południowo-Wschodnią... a żadna z nich nie jest przyjemna. Potężne bambusy, podmokłe dżungle, moskity, pijawki. Coś tnie cię na kawałki, coś pożera cię żywcem. Wszyscy mieliśmy malarię, dyzenterię, gnijące wrzody, potówki. Prawdopodobnie narzekaliśmy, ale nie pamiętam. To były zwykłe rzeczy, mogły przytrafić się każdemu w tym zapadłym kącie Birmy, całkiem niezależnie od niezwykłej zajadłości Japończyków.

Połowa brygady generała Nonweilera wróciła do Indii (44. oddział komandosów korzystał tam przez pewien czas ze słoni), a potem wyjechała na Cejlon, gdzie we wrześniu 1944 roku dołączyły do niej oddziały 1. i 42. Był także Charles Hustwick ze służby łączności:

Z Bombaju pojechaliśmy pociągiem do obozu blisko Puny, gdzie mieliśmy spędzić krótki okres aklimatyzacji. Oddziały 5. i 44. zakwaterowano tu już wcześniej i nareszcie byliśmy wszyscy razem. Początkowo nie mogłem nawiązać kontaktu z komandosami z pie-

choty morskiej. W przeciwieństwie do nas nie byli ochotnikami, ich podejście do życia było zupełnie inne.

Dość szybko te różnice straciły na znaczeniu i współpraca ułożyła się znakomicie. Potwierdziły to późniejsze walki w Birmie. Po okresie aklimatyzacji ruszyliśmy na południe, do Belgaon w pobliżu granicy z portugalską kolonią Goa, na ćwiczenia w dżungli. Obozowaliśmy po dwóch stronach rzeki, w której żyły węże wodne, i choć niektórzy z nas je zauważyli, wszyscy cieszyliśmy się z kąpeli i naprawdę świetnie się bawiliśmy. Mieliśmy kolegę o nazwisku Ron Roberts, byłego londyńskiego policjanta i olimpijczyka, wygrywalismy więc większość zawodów pływackich. Nauka przetrwania w dżungli była ciężka; musieliśmy nauczyć się żyć z moskitami, węzami (było ich mnóstwo), skorpionami, pijawkami, tak naprawdę ze wszystkim, co się rusza.

W listopadzie 1944 roku komandosi zaczęli robić wypadki na wybrzeże Arakanu, w długiej serii szturmów brały udział wszystkie jednostki. 30 listopada pół plutonu z 42. oddziału wylądowało na wybrzeżu Wyspy Elzbiety, na południe od wyspy Akjab, aby schwytać w miarę możliwości jeńca, ponieważ żołnierze japońscy konsekwentnie odmawiali poddania się i często woleli popełnić samobójstwo, niż wpaść w ręce aliantów. Patrol zabił dziesięciu Japończyków, którzy zaczęli ostrzeliwać ich pozycję, stracił jednego żołnierza, po czym wycofał się... bez jeńca.

10 listopada oddziały 1. i 42. zaczęły nocne wypadki na wybrzeże z bazy w Teknaf. Do końca miesiąca komandosi lądowali tam jedenaście razy. John Ferguson brał udział w tych rajdach:

Na półwyspie Teknaf codziennie około godziny 2.00 mniej więcej trzydziestu z nas lądowało się na dwie barki desantowe i wyruszało na pozycję, która znajdowała się za wysokim na 12 stóp wzniesieniem, o które rozbijały w dole potężne fale. Barki cumowały tam, wyskakiwaliśmy i wychodziliśmy na brzeg przez nikogo nie niepokojeni. Jakim cudem nikt wówczas nie utonął, trudno pojąć.

Po wypadzie wracaliśmy do bazy odległej o około 5 mil. W ciągu dnia ubrania szybko wysychały na słońcu. Wypadki te ćwiczyliśmy co rano przez tydzień, sądząc, że jest to część zwykłego szkolenia, ale nie tylko o to chodziło. Kilka tygodni później nasza mała grupa pomaszzerowała w pełnym ekwipunku na południowy kraniec Teknaf i wsiadła na dwa ścigacze, gdzie - ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu i radości - była już grupa wypadowa SBS.

Japończycy postawili na kilkusetkilometrowym odcinku wybrzeża Birmy wieże obserwacyjne z bambusa wysokości 30 stóp; na nowych fotografiach lotniczych naszego rejonu widać było sześć takich wież. Grupa zwiadowcza SBS wykryła, że pilnuje ich kompania żołnierzy, a naszym zadaniem było zniszczyć wieże i wyeliminować jak największą liczbę wartowników. Grupa SBS dopłynęła do brzegu łodziami, a ja i kilku żołnierzy z mojego plutonu jako wsparcie - rezerwową barką. Mieliśmy także tratwę typu Carley, załadowaną materiałami wybuchowymi i wszelkiego typu bronią - maszynową, ręczną, moździerzami itd. Tratwa miała służyć odwróceniu uwagi Japończyków, gdy będą niszczone wieże obserwacyjne.

Tak czy inaczej wsiedliśmy na łódzie i zamierzaliśmy przedrzeć się przez wysokie fale, rozbijające się na wybrzeżu Arakanu. Oddział czołowy z SBS dotarł na brzeg niedostrzeżony, ale zwiad wykazał, że wieże były bronione przez cały batalion, nie zaś jedną kompanię, jak pierwotnie przypuszczano. Po krótkiej dyskusji zdecydowano więc zrezygnować z wypadu, ponieważ przy takiej liczbie obrońców nie byliśmy w stanie podejść bliżej do żadnej z wież. Wróciliśmy na ślizgacze, spuściliśmy tratwę i szybko zaczęliśmy się oddalać. Gdy znaleźliśmy się już w pewnej odległości od brzegu, otworzyliśmy do Japończyków ogień z całej broni, jaką mieliśmy do dyspozycji. Odpowiedzieli oczywiście tym samym i przesłali informację do innych wież, skąd ostrzeliwano nas mocno, gdy pędziliśmy na północ. Była to emocjonująca, choć nieudana wyprawa.

29 grudnia 1944 roku dowództwo 3. Brygady objął generał Campbell

Hardy z piechoty morskiej, cieszący się wśród komandosów doskonałą opinią. Alf Pimblett tak wspomina generała:

Gdy myślę o generale, zawsze wspominam jego odwagę i zimną krew. Pewnego razu zostaliśmy przyszpileni na wzgórzu na półwyspie Mjebon na Arakanie. Generał przycupnął obok mnie i zapytał: „Wszystko w porządku?”. Odpowiedziałem: „Tak, sir, ale mam stracha”. Dookoła latały kule, a on spokojnie kazał mi iść za sobą i oddział poszedł dalej, na szczyt wzgórza. W ciągu następnej pół godziny zabiliśmy dwudziestu czterech nieprzyjaciół i jak zawsze nie mieliśmy strat dzięki spokojowi i odwadze tego wspianego żołnierza i dżentelmena.

Miałem sposobność zetknąć się z nim jeszcze raz w Kangaw. na Wzgórzu 170. Jacyś żołnierze z oddziałów hinduskich strzelali do naszych kolegów na wzgórzu. Porucznik Allen Davies i ja dostaliśmy rozkaz dotarcia do nich i wskazania, gdzie znajdują się nasi. Pobiegliśmy obaj jak szaleni po otwartym terenie i wyobraźcie sobie, pojawił się generał. Straciliśmy już pułkownika, który został postrzelony w oba kolana, powiedziałem więc do generała: „Te sukinsyny dostały pułkownika!”. Zreflektowałem się, że klnę w jego obecności, i przeprosiłem, a on położył dłoń na moim ramieniu i powiedział: „W porządku, synu, rozumiem”. Takim właśnie był człowiekiem i gotowi byliśmy dać się za niego zabić.

Japończycy się wycofywali. 3. Brygada Komandosów zaczęła prowadzić operacje na większą skalę, przechodząc od wypadów na wybrzeża do zmasowanych ataków. Pierwszego dużego desantu dokonano 3 stycznia 1945 roku na wyspie Akjab. Na potrzeby tej operacji zgromadzono największe siły desantowe, jakie dotąd widziano w Birmie, gdy jednak samolot zwiadowczy RAF przeleciał nad wyspą rano 3 stycznia, pilot zameldował, że miejsce to wygląda na opuszczone. 3. Brygada Komandosów i hinduska 26. Dywizja wylądowały nie napotykając na opór, choć kapitan „Chips” Heron z 5. oddziału komandosów, odznaczony Krzyżem Wojennym, zdołał

dogonić wycofujących się nieprzyjaciół w Pauktaw i zabić sześciu Japończyków.

Główny problem na Akjab stanowili jednak nie Japończycy, lecz błoto. Wspomina Fred Atter:

Wyjście na brzeg polegało na długim, wyczerpującym brnięciu przez sięgające do pasa błoto; gdyby Japończycy byli na plaży, nie zdołalibyśmy tego dokonać. Przejście 400 jardów z barki na plażę zajęło niektórym kolegom trzy godziny. Na brzegu ślanieli się z wyczerpania. Inni dotarli bez butów czy spodni, a wszyscy oblepieni błotem.

Dr J.K. Paterson był oficerem służby łączności w 1. oddziale komandosów:

Byłem jedynym oficerem w brygadzie, który mówił w urdu, i dlatego brałem udział w każdym wypadzie. Było to bardzo ekscytujące i dostarczało mocnych wrażeń, ale nie było dla mnie najważniejsze w czasach, gdy służyłem w 1. oddziale komandosów. Ta jednostka miała specjalny charakter dzięki ludziom, poczynając od dowódcy - pułkownika (później generała) Kennetha Trevora, poprzez zastępcę dowódcy - majora Jima Davisa, adiutanta Iana Catrella aż po strzelca z mojego oddziału, rodowitego londyńczyka i byłego glinę - zabawnego Stana Burdena, Niektórzy z nich już nie żyją, lecz z innymi spotykam się rok rocznie na zjazdach, odbywających się od 1948 roku dzięki starszemu sierżantowi Henry'emu Brownowi.

John Ferguson opowiada o desancie na półwyspie Mjebon:

Barka dowiozła nas 200 jardów od plaży. Gdy z niej wysiedliśmy, zanurzyliśmy się w wodzie do piersi, lecz niżej znajdowało się 3 stopy gęstego mułu. Gdy doszliśmy do plaży, kilku naszych kolegów zostało zabitych w wyniku eksplozji płytko zagrzebanych min. Poszliśmy naprzód i zajęliśmy pozycję umożliwiającą wykurzenie Japończyków z ich kryjówek na grzbiecie wzgórza. Podczas przygo-

towań do natarcia został ranny dowódca naszego plutonu.

Cały czas strzelały czołgi Sherman. Nagle z zarośli po lewej stronie wyłonili się chłopiec i dziewczynka, mniej więcej dwunastoletni. Podeszli, trzymając się za ręce, popatrzyli na mnie i śmiejąc się, doszli aż na tyły naszych linii, co dowodziło, że droga jest wbrew pozorom bezpieczna. Często zastanawiałem się, co stało się z tymi dwoma dziećmi. W trakcie tych wszystkich wydarzeń nadbiegł naczelnik jednej z wiosek i powiedział nam, że pół mili stąd wielu chłopów zostało ciężko rannych. Nie mogliśmy wówczas ruszyć naprzód, pognaliśmy więc na wzgórze. Kilku Japończyków wyszło wtedy z kryjówki z podniesionymi rękami, choć nikt nie mógł być pewien, czy nie mają w zaciśniętych pięściach odbezpieczonych granatów. Wszędzie wokół leżało mnóstwo martwych Japończyków, ale nigdy nie wiedzieliśmy, czy nie kryje się w tym pułapka. Nawet przejście po świeżo oczyszczonym terenie było ryzykownym przedsięwzięciem; zawsze istniało niebezpieczeństwo kontrataku.

Lądowanie komandosów na Mjebon miało odbyć się przy wsparciu czołgów; a ponieważ nie mogły one przedostać się przez błoto, zostały wylądowane na brzeg dużo dalej. Saperzy pracowali całe godziny, zanim czołgi zdołały dołączyć do brygady koło Rose - wzniesienie to zostało zaatakowane i zajęte o świcie 13 stycznia.

42. oddział komandosów poprowadził teraz brygadę do wsi Mjebon, gdzie, jak się okazało, nie było Japończyków. Brygada ruszyła więc, by wypędzić nieprzyjaciela z niewielkich wzgórz górujących nad wsią. Podczas tej operacji został ranny podpułkownik Fellowes z 42. oddziału. Gdy odsyłano go na tyły, krzyknął : „Trzymajcie się, chłopcy, wróć!” . Noc z 13 na 14 stycznia minęła spokojnie. Następnego dnia brygada zaczęła wysyłać patrole przednie, 1. oddział stoczył zaciętą potyczkę, w której konieczne stało się wsparcie czołgu, po czym brygada doszła do wsi Kanta. 1. oddział, wspierany przez czołgi, zajął górujące nad Kanta Wzgórze 200. Japończycy się wycofali. Operacja na Mjebon zakończyła się sukcesem, nieprzyjaciel

został zmuszony do odwrotu, a jego straty wyniosły stu pięćdziesięciu zabitych. 3. Brygada straciła czterech zabitych i dwudziestu ośmiu rannych.

Frank Atter opowiada o pewnym wydarzeniu na Mjebon:

5. oddział komandosów był w odwodzie i choć lądowanie było nieco utrudnione z powodu grząskiego terenu, przyплыw się jeszcze nie skończył i nie byliśmy tak utyłani błotem, jak ci, którzy szli za nami. Byliśmy na przedzie do chwili, gdy dołączyła do nas reszta brygady i czołgi. Generał Campbell planował teraz serię natarć na półwyspie. Było oczywiste, że zna swoje rzemiosło. Mieliliśmy do niego zaufanie.

Pamiętam, że w pewnym momencie Campbell Hardy zauważył Petera Younga (swego zastępcę), chodzącego wśród nas, ubranego w mundur khaki z czerwonymi naszywkami. Hardy nakłonił go do wycofania się na tyły, ponieważ gdyby sam został ranny lub poległ, zastępca powinien być gotowy do przejęcia odpowiedzialności. Większość z nas spodziewała się jednak, że pułkownik Young będzie tam, gdzie był zawsze - na linii frontu, w akcji.

Mój oddział miał pójść w dół zboczem i zając wzgórze od przodu. Byliśmy pod silnym ostrzałem, ale mocno osłaniani parliśmy szybko naprzód. Japończycy wycofali się ze swoich pozycji, a my weszliśmy na szczyt, gdzie sytuacja wydawała się niepewna. Strzały padały zarówno z przodu, jak i z tyłu, przy czym z tyłu strzelano z karabinów Garand. Kapitan Heron z właściwym sobie stoickim spokojem rozłożył po prostu ręce i powiedział: „Musi tam być niezłe zamieszanie”.

Po tej operacji komandosi mieli kilka dni odpoczynku, następnie opuścili półwysep, popłynęli do Daingbon Czaung i wylądowali tam. 3. Brygada ruszyła w głąb łądu i zajęła pozycję na niewysokim wzgórzu koło miasta Kangaw, zwanym Wzgórzem 170. Wkrótce rozegrała się tu jedna z najcięższych bitew, jakie komandosi stoczyli podczas wojny.

Peter Young przedstawia tło tego wydarzenia:

Japończycy zostali odrzuceni, a naszym zadaniem było utrudniać im wycofywanie się. W Kangaw 1. oddział zajął Wzgórze 170, a reszta brygady zaczęła stopniowo zajmować inne pobliskie wzgórza... a wtedy przyszedli Japończycy i rzucili się na nas. Natarli na część Wzgórza 170, utrzymywaną przez pluton z 1. oddziału komandosów, który walczył wspaniale. Roznieśli w puch Japończyków, choć sami ponieśli ciężkie straty. Tego dnia straciliśmy ponad stu ludzi, ranni byli wynoszeni cały czas. Następnego dnia 1. oddział został zastąpiony przez 5. Rozmawiałem później z dowódcą 5. oddziału Robinem Stewartem, który powiedział mi, że - jego zdaniem - jeszcze jedno mocne uderzenie zmusi Japończyków do poddania się.

Odparłem, że generał nie planuje na razie akcji z naszej strony, ponieważ już sześć razy atakowaliśmy. Dodałem jednak, że gdyby chciał ruszyć do natarcia, wesprę go. Robin był ostrym gościem, nie lubił się cackać i nie czekając na pozwolenie uderzył mocno - wszyscy Japończycy zostali zabici... to był pogrom. Leżeli dosłownie wszędzie. Nie można było zrobić kroku nie nadepnawszy na martwego lub umierającego Japończyka. Nigdy nie widziałem czegoś takiego, naprawdę nigdy. Zostali dosłownie rozerwani na strzępy. Zabiliśmy ponad trzystu ludzi, a znaleźliśmy tylko dwóch czy trzech mających dość siły, by wydać przy nas ostatnie technienie. Pojmałem japońskiego żołnierza, jedynego wziętego żywcem na Wzgórzu 170 i jedynego przypominającego istotę ludzką. Stracił tylko obcas, ale zabraliśmy go do szpitala.

Przeżył, choć Sikhowie chcieli poderznąć mu gardło. Bitwa na Wzgórzu 170 trwała kilka dni, a my wzięliśmy jednego jeńca. Dostaliśmy później przyjemny list od samej „góry”, pisano w nim, że wygraliśmy decydującą bitwę w kampanii w Arakanie. Dziś oczywiście nikt już o tym nie pamięta i nikogo nie obchodzi, co wydarzyło się w Birmie.

Jak wspominaliśmy, w Birmie komandosi stoczyli największą swoją bitwę podczas wojny. 1. oddział zajmował niższe, południowe zbocza

Wzgórza 170, gdzie został unieruchomiony na skutek ostrzału z broni maszynowej. 42. oddział zajął teren między wzgórzem a małą rzeczką, 44. oddział ominął Wzgórze 170, doszedł do innego wzniesienia, określanego kryptonimem „Czepek”, i zajął je bez problemów. Nie okopał się jednak odpowiednio i był nieprzygotowany na serię wściekłych japońskich kontrataków, poprzedzonych i przeplatanych ogniem artyleryjskim z dział polowych, ustawionych blisko pozycji Brytyjczyków i prowadzących bezpośredni ostrzał. Zanim Japończycy się wycofali, 44. oddział poniósł ciężkie straty i został zluzowany przez 1. oddział.

Brygada pozostawała w okolicy Wzgórza 170 przez następne dziesięć dni, Japończycy prowadzili zaś ciągły ostrzał i każdej nocy przenikali na pozycje komandosów w małych grupach. Bardziej doświadczeni komandosi wyczuwali, że w gąszczu dżungli szykuje się coś większego i groźniejszego. Względny spokój panował jednak do 31 stycznia, do godziny 6.00, kiedy to Japończycy zaatakowali, rzucając wszystkie swoje siły.

Charles Hustwick opowiada, co działo się dalej:

Nieprzyjaciel natarł z furią na 1. oddział, który walczył dzielnie w starciu wręcz. Ostrzał trwał nieprzerwanie, brygada poniosła bardzo ciężkie straty. Wiele pocisków wystrzelonych przez Japończyków nie eksplodowało. Nasi chłopcy wiwatowali na widok każdego niewypału.

Utrzymywaliśmy pozycje przez dziesięć dni i mieliśmy właśnie zostać zluzowani, gdy rozpoczął się skoncentrowany, ciężki ogień artylerii na Wzgórze 170 i trwająca dobę najbardziej zażarta bitwa kampanii, rozgrywająca się na powierzchni 100 jardów kwadratowych. Japończycy stracili ponad trzystu zabitych i mieli Bóg wie ilu rannych. Następnego dnia wzgórze zostało ostatecznie zdobyte, a jego zbocza pokryte były ciałami martwych nieprzyjaciół. Wyglądali jak karły uzbrojone w długie karabiny i długie bagnety typu francuskiego - prawdziwie szpetne kreatury.

Był z nami porucznik Knowland z 1. oddziału, świeżo przybyły z Anglii - ostatni raz widziano go strzelającego z biodra z moździerza kalibru 50 mm; pośmiertnie został odznaczony Krzyżem Wiktorii. Zginęło bardzo wielu komandosów obsługujących Breny. Przy jednym pechowym Brenie zostało zabitych, jeden po drugim, dwunastu usiłujących strzelać z niego ludzi. Wieczorem po całodobowej szaleńczej bitwie, w której brał udział także sztab 1. oddziału, nieprzyjacieli niespodziewanie się wycofał. Podczas odwrotu Japończycy ucierpieli mocno, zaatakowani przez samolot Thunderbolt. Między ciałami Japończyków znaleziono wielu poległych komandosów. Nie wiem, jak duże były ostateczne straty 1. oddziału, ale cena zwycięstwa nie mogła być niska.

Wspomina Henry Brown:

Byłem oficerem administracyjnym. Po służbie w Afryce Północnej przyjechałem do Kangaw i założyłem tu małą bazę u podnóża Wzgórza 170, w której byłem tylko ja, mój maszynista i Dave Reid z kancelarii jednostki. Z naszej pozycji mogliśmy śledzić to, co dzieje się na wzgórzu. Nigdy nie zapomnę widoku nagiego Japończyka, biegnącego wzdłuż pola przed wzgórzem, i tego, co stało się chwilę później. Okazało się, że człowiek ten miał okręcony wokół pasa ładunek wybuchowy i wskoczył pod jeden z trzech naszych czołgów, które przedzierały się z trudem przez pole ryżowe. Nie mogły ujechać daleko po podmokłym terenie, a Japończyk wysadził się w powietrze wraz z czołgiem.

Wszyscy słyszeliśmy o japońskich oddziałach samobójców, a teraz jednego zobaczyliśmy w akcji. Walka o Wzgórze 170 trwała wiele dni, a ostatnie wielkie natarcie Japończyków nastąpiło nocą z 31 stycznia na 1 lutego. Było bardzo wielu zabitych i rannych. Obsługa Breny na wzgórzu dostrzegła zbliżających się Japończyków i otworzyła ogień. To ich zatrzymało, postanowili jednak pójść na przelaj przez pola, wprost na mój mały barak. Znalazłem się na pierwszej linii (przez pomyłkę, żeby było jasne) i zastanawiałem się gorączkowo, co

stanie się ze mną. Na szczęście, obsługa Brena była czujna i natarcie zostało zatrzymane w połowie drogi przez pole. Jeszcze raz odetchnąłem z ulgą.

Ta bitwa zakończyła się naszą wygraną. Dowódca korpusu, generał porucznik Christison wydał specjalny rozkaz dzienny, chwälący dokonania 3. Brygady Komandosów.

Des Crowden z 5. oddziału komandosów kontynuuje opowieść:

Nazwa „Wzgórze 170” pochodzi od jego wysokości w stopach. Było ono także znane jako „Brighton”, choć w niczym nie przypominało Brighton. W operacji brała udział cała brygada komandosów i wiele różnych oddziałów, zapewniono także wsparcie lotnictwa i marynarki wojennej. Plaże i cała okolica bombardowane były przez amerykańskie bombowce startujące z Cejlonu i ostrzeliwane przez okręty alianckie. Barki desantowe, spuszczone kolejno na wodę, krążyły wokół okrętu, dopóki wszystkie nie znalazły się na morzu. Wówczas ustawiły się w linii jedna przy drugiej i skierowały do brzegu. Wkrótce potem wokół barek zaczęły tryskać fontanny wody. Pocięszalem się myśla, że to pomyłka naszej marynarki, ale oczywiście strzelali Japończycy. Widać przetrzymali bombardowanie, przynajmniej niektórzy.

Tak czy inaczej, artylerzyści z naszych okrętów strzelali celniej, jak się później przekonaliśmy. Nasz oddział lądował jako drugi. Plaże były zalane, musieliśmy brnąć po pachy w wodzie. Kłopotów przysparzały nam zarówno miny i ogień z broni krótkiej, jak ciężary, które musieliśmy dźwigać - do zwykłego ekwipunku doszły amunicja, granaty, dodatkowa żywność i kanistry z wodą pitną. Już na brzegu trzeba było przedzierać się przez bagna porośnięte namorzynami. Byli już pierwsi ranni, którzy musieli wrócić na plażę, mogę dodać, że ku wielkiej zazdrości pozostałych. Dotarliśmy do wzgórza i naszym pierwszym zadaniem było okopać się w kwadrat. Grunt był bardzo twardy. Przynajmniej jeden z kolegów został zastrzelony podczas okopywania się.

Jeżeli chodzi o jedzenie, do wyboru były konserwy z wołowiny, zupy w puszkach. Mieliliśmy też suche, bezdymne paliwo, którym paliiliśmy na dnie naszego okopu-kryjówki. Na wzgórzu ulokował się punkt medyczny, który dokonywał wszelkiego rodzaju cudów, podczas gdy wokół szalała bitwa. Wysyłaliśmy patrole na sąsiednie wzgórza. Japończycy ostrzeliwali nas ciągle z dział dalekiego zasięgu, jeżeli nie było na niebie żadnego z naszych samolotów zwia-dowczych - one były naszym wybawieniem.

Japończycy uznali, że podoba im się to wzgórze i atakowali nas zjadle. Zanim zostali zmuszeni do odwrotu, stracili ponad trzystu ludzi, a jeszcze więcej było rannych. W noc przed ich ostatecznym odwrotem mój 4. pluton 5. oddziału był mocno zdenerwowany. Siedzieliśmy w okopach niemal ramię w ramię w oczekiwaniu natarcia, ale żaden Japończyk się nie pojawił. Następnego rana zdarzyło się coś zabawnego; na wzgórze przysła pocztą z kraju i... po dwa jajka gotowane na twardo dla każdego. Przejrzeliśmy stertę listów, wzięliśmy swoje i zostawiliśmy resztę, wiedząc, że na wiele z nich nikt już nie czeka.

Wsparcie naszego lotnictwa i marynarki było fantastyczne. Hurricane'y z RAF siały spustoszenie. W pewnej chwili myślałem, że zrzucają ulotki, ale był to jeden z naszych samolotów, który został trafiony, wybuchł i opadał na ziemię w kawałkach. Na tej wycieczce zebraliśmy mnóstwo japońskich pamiątek. Dowiedziałem się, że szabla japońskiego oficera została wysłana rodzinie pilota tego samolotu. Pociski naszej artylerii okrętowej leciały na pozycje nieprzyjaciela przez drzewa, nad naszymi głowami. Na wzgórzu było stanowisko obserwacyjne artylerii, dlatego strzelano niezwykle celnie.

Byliśmy już gotowi skończyć z tym wszystkim. Jeden z naszych sierżantów zabrał kilku ludzi do podnóża wzgórza, reszta z nas pociągała się natomiast w stronę Japończyków wzdłuż szczytu. Pewien starszy sierżant nappełnił miejscowej roboty kosz granatami ręcznymi i samotnie podjął atak. Został ciężko ranny, ale zdołano go wynieść;

żyje do dziś, został odznaczony. Oficer z 1. oddziału strzelał bez przerwy, dopóki nie poległ; dostał pośmiertnie Krzyż Wiktorii. Przejście wzgórzem mogło odbywać się tylko gęsiego, a kto szedł na przedzie, najczęściej padał zabity lub ranny.

Gdy przyszła moja kolej, aby prowadzić, zobaczyłem grupę Japończyków, którzy wycofywali się, niosąc rannego. Puściłem serię z Thompsona i dałem kolegom znak, że mogą iść. Teraz już poszło lepiej i wkrótce było po wszystkim. Okopy, do których dotarliśmy, były pełne martwych lub rannych Japończyków. Wielu z nich miało zielone berety zabrane naszym poległym. Znaleźliśmy także rannego oficera obserwacyjnego marynarki, który jak się okazało, walczył już z nami na Madagaskarze. Myślę, że ucieszył się, widząc nas znowu.

Ponieśliśmy bardzo ciężkie straty, ucieszyliśmy się więc, gdy przybyły oddziały hinduskie, by nas złuzować. W ciągu ostatnich trzech miesięcy co miesiąc każdy oddział robił losowanie, a nazwisko zwycięzcy chowano do kapelusza. Gdy nie byliśmy w akcji, cały oddział maszerował oglądać losowanie końcowe, ponieważ zwycięzca dostawał miesięczny urlop po powrocie do kraju. Wierście lub nie, ale losowanie odbyło się także na tym krwawym wzgórzu. Zwycięzca, który był z mojego oddziału, musiał przebiec po otwartym terenie do barki desantowej na pobliskiej rzeczce i wrócić.

Wspomina Frank Atter z 5. oddziału komandosów:

Zanim nastąpił ostatni szturm Japończyków, najbardziej niebezpieczny był celny ostrzał artyleryjski. Początkowo myśleliśmy, że atak nastąpi krótko po świcie. Japończycy ustawili działa, przeważnie kalibru 75 mm, bardzo blisko wzgórza i skierowali na nas rzeczywiście silny ogień zaporowy. Wiedziałem, że działa są blisko, ponieważ huk wystrzałów i huk rozrywających się pocisków wydawał się niemal jednoczesny. Później kontynuowano ostrzał z większej odległości, lecz nadal bardzo precyzyjnie, a do tego przy użyciu cięższych dział. Nasze działa na pociski 25-funtowe dawały nam wspaniałe wsparcie, podobnie jak czołgi, które zresztą znalazły się tu na nie-

odpowiednim dla siebie terenie. Brakowało wody, z wyjątkiem słonej wody z rzeczki.

Teraz 5. oddział ruszył naprzód na wzgórze. Było dość spokojnie, od czasu do czasu byliśmy ostrzeliwani, aż pewnej nocy doszły nas odgłosy prawdziwej bitwy. Japończycy zaatakowali gwałtownie 1. oddział i było dla nas oczywiste, że sprawa jest poważna. Kazano nam podzielić się na małe grupy i wróciliśmy na nasze dawne pozycje. Niewiele mogę powiedzieć o samej bitwie, moim zadaniem było donoszenie amunicji jej uczestnikom. Nigdy przedtem nie zdawałem sobie sprawy, jak szybko można biec z ciężkimi skrzyniami amunicji, lecz byłem tak zmęczony, że pochłaniało to całą moją uwagę.

Taktyka Japończyków zastosowana wobec 44. oddziału - intensywny ostrzał artyleryjski z bliskiej odległości, poprzedzający zmasowany szturm piechoty - została powtórzona w stosunku do 1. oddziału na Wzgórzu 170, ale atak był znacznie gwałtowniejszy. Główne uderzenie japońskiej piechoty skierowane zostało przeciw 4. plutonowi 1. oddziału, utrzymującemu północne zbocze wzgórza. Tak szybko, jak było to możliwe, przysłano posiłki z oddziałów 42. i 5. oddział 1., razem około 250 ludzi. Przez cały dzień odpierali oni atak za atakiem na swoje pozycje na wzgórzu.

1 lutego Japończycy zniszczyli trzy czołgi, które ugrzęzły w błocie u podnóża zachodnich zboczy Wzgórza 170, a następnie podjęli drugie wielkie natarcie na pozycje 1. oddziału. Zanim zostali zatrzymani, zdobyli pierwszą linię okopów. Komandosi starli się z japońską piechotą w walce wręcz na bagnety. Japończycy przesunęli artylerię bliżej okopów brytyjskich i celowali prosto w nie. Komandosi strzelali do japońskich artylerzystów z Brenów i moździerzy.

Na jednym ze stanowisk Brenów padło kolejno dwunastu strzelców, lecz zawsze ktoś doczołgał się tam, by podjąć walkę, podczas gdy żołnierze z sąsiednich okopów przerzucali pełne magazynki, by Breny nie przerwały ognia.

Ted Coker z 1. oddziału był w obsłudze Brena:

Dzień, w którym wyrzuciliśmy ostatecznie Japończyków ze wzgórza, był straszny. Pamiętam, jak szliśmy ścieżką, by zluzować jeden z naszych plutonów (w 1. oddziale było siedem plutonów, ja byłem w 6.). Widzieliśmy naszych kolegów wyprowadzanych i wynoszonych, wyglądających jakby byli w głębokim szoku, i pomyślałem wówczas, że nie damy rady wydostać się stąd. Mimo wszystko zdołaliśmy jakoś dotrzeć do naszych pozycji.

Miałem zmiennika, lecz mniej więcej godzinę później został zabity i wiedziałem, że zostałem teraz zupełnie sam. To śmieszne, że pamięta się swoje ówczesne myśli. Cały czas dziękowałem Bogu za pierwszą i drugą akcję natychmiastową. Gdy uczyłem się obsługiwać Breny, instruktorzy wbijali nam zawsze do głowy jej znaczenie. Akcja natychmiastowa to jest to, co musisz zrobić, gdy karabin przestaje strzelać, i zawsze zastanawiałem się, jak do diabła jest to w ogóle możliwe do zrobienia! Tego dnia jednak, na Wzgórzu 170, z łatwością zrobiłem wszystko jak trzeba, co bez wątplenia ocaliło mi życie i pomogło 6. plutonowi wnieść swój wkład w zwycięstwo.

Leżałem w płytkim okopie. Oficer i kilku kolegów dostarczali mi magazynki, abym nie przerywał ognia. Zastanawiałem się, dlaczego rzucając te naładowane magazynki, muszą ciągle trafiać w moje plecy. Pewne wyobrażenie o tym, jak straszny był to dzień, może dać liczbę ponad 370 zabitych Japończyków, których następnego rana nasi znaleźli wokół naszych pozycji. My także straciliśmy wielu cholernie dobrych gości. Nie sposób właściwie tego opisać. Ktoś, kto tam nie był, nie zrozumie, co się tam działo.

Ted Coker został odznaczony Krzyżem Walecznych za walkę na Wzgórzu 170.

Po południu 1 lutego ciężar walki spoczywał na 24 ocalałych żołnierzach z 4. plutonu, dowodzonych przez świeżo awansowanego porucznika George'a Knowlanda, służącego dotąd w 3. oddziale. Odparli oni atak trzystu żołnierzy japońskiej piechoty. Knowland wyszedł z okopu i krążył wokół pozycji, rzucając granatami, roz-

dzielając amunicję, dodając otuchy swoim ludziom, przejmując Brena, gdy jego obsługa zginęła.

Potem nastąpiło drugie natarcie. Knowland strzelił do zbliżających się Japończyków z lekkiego moździerza kalibru 50 mm i z Brena, podniósł karabin, a następnie pistolet maszynowy, aby powstrzymać napastników, znajdujących się już w odległości zaledwie 10 jardów. Został zabity tuż przed załamaniem się natarcia. 4. pluton podjął desperacki kontratak, wspomagany ogniem artyleryjskim z okrętu znajdującego się na rzece, i kolejny raz odparł Japończyków.

Ta faza walki o Wzgórze 170 trwała cały dzień i przeciągnęły się do nocy. Japończycy kurczowo trzymali się zdobytej części wzgórza, okopując się i przenosząc broń maszynową. Nie powiodła się próba wyparcia ich stamtąd, podjęta przez 3. pluton 1. oddziału oraz posiłki z oddziałów 5. i 42.

Opowiada John Ferguson:

Szliśmy na przednie zbocze Wzgórza 170. W bazie na moczarach były setki Japończyków, jeszcze więcej ich nadbiegało w naszą stronę. Rzucam granaty ręczne, gdy usłyszałem krzyki: „Wstrzymać ogień! Nie strzelać!”. Pomyślałem: „Już ja ci wstrzymam ogień, draniu” i rzucałem dalej. Trochę później seria z broni maszynowej odana z bliskiej odległości ciężko zraniła mnie w lewe ramię. Ręka była już do niczego, ale jakoś ciągle mogłem rzucać granaty. Kolejna seria trafiła mnie w pierś. Padłem ogluszony i zalany krwią. Ciągle mam w piersi kulę, blisko serca. Wziąłem następny granat i próbowałem wstać, lecz nie miałem zupełnie siły. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, było to, że mówiłem do kogoś: „Sprawdźcie, czy walczy jest na miejscu”, a potem straciłem świadomość.

Na rzece cumowały korwety hinduskiej marynarki wojennej. 1. oddział wspierał także ostatni ocalały czołg i bombowce, bitwa rozgrywała się jednak między piechotą. Była to walka z użyciem broni maszynowej, karabinów, bagnetów i granatów, toczona przez wyczerpanych żołnierzy, którzy z trudem brnęli po ziemi zasłanej

zabitymi i rannymi, by podjąć jeszcze jedną próbę, jeszcze jedno natarcie. Gdy 1 lutego zapadły ciemności, bitwa zaczęła zamierać, ograniczając się do sporadycznych serii z broni maszynowej, wybuchów pocisków z moździerzy, pojedynczych strzałów z karabinów.

Tej nocy Japończycy wycofali się, a o świcie Peter Young zameldował, że 5. oddział jest gotowy do wymarszu i zajęcia całego terenu.

Relacja sierżanta sztabowego Joe'ego Edmansa z 5. oddziału komandosów:

Nasz obecny nieprzyjaciel różnił się od niezbyt wojowniczych Włochów i systematycznych Niemców, z którym mieliśmy do czynienia w Afryce Północnej. Japończycy przywiązywali snajperów do drzew, używali rannych do zwabienia przeciwnika na otwarty teren - taki ktoś krzyczał po angielsku: „Johny” lub „Joe, gdzie jesteś?” czy: „Pomocy! Pomocy! Jestem ranny!”, licząc na to, że wyjdiesz, by go zabrać. Możesz sobie wyobrazić gęstą dżunglę, smoliste ciemności dookoła i te wszystkie dochodzące z nich odgłosy? Najmniejszy ruch koło twojej kryjówki, sunący wąż czy jakieś inne stworzenie przeemykające obok, a ty myślisz: „Idą tu, czołgają się do mnie”. I już jesteś w pełnej gotowości, z napiętymi jak postronki nerwami.

Północne zbocze Wzgórza 170 było utrzymywane przez 4. pluton, natomiast reszta oddziału zajmowała pozycje na szczycie. Mój 6. pluton sąsiadował z plutonem 4. U stóp wzgórza znajdowała się kwatera sztabu, były tam też dwa wspierające nas czołgi. O świcie szeregowy Beaney i ja przykucnęliśmy w naszym okopie gotowi do skoku i usiłowaliśmy wypatrzeć w porannej mgle jakiś ruch. Nagle u stóp wzgórza nastąpiła straszliwa eksplozja. Później okazało się, że wybuchł nasz czołg, wysadzony przez japońskiego żołnierza-samobójcę.

Potem zza drzew po drugiej stronie pola ryżowego wypadł japoński oficer i biegł ku nam, wymachując szablą. Nie dobiegł daleko, bo szybko został zastrzelony. Oficer z 42. oddziału wybiegł na pole,

chcąc zabrać szablę, ale został trafiony w nogę i musiał wrócić do okopu. Spróbował inny kolega i miał więcej szczęścia. Od północnej strony wzgórze dochodził coraz głośniejszy huk wystrzałów. Przyszła wiadomość, że 4. pluton został stamtąd wyparty. Nasza drużyna dostała rozkaz zejścia w dół na prawo i oczyszczenia terenu z nieprzyjaciół.

Poszliśmy więc - sierżant Roberts, Beaney, Dearden, Ruffel, Sweeney, McFall, Hobbs - gęsiego, a poprzez drzewa świstały kule. Schodziliśmy zboczem mocno pochyleni, a na prawo od nas trwała zajadła walka. Nagle Dearden, który szedł przede mną, został paskudnie ranny. Poszliśmy dalej i trafiony został sierżant Roberts, poczołgał się jednak z powrotem na wzgórze. Na dole umocniliśmy naszą pozycję, Sweeney i McFall ustawili Brena, biorąc na cel Japończyków. Niedaleko od wzgórza, na polu ryżowym stała bambusowa chata. Zobaczywszy ją, Hobbs pobiegł tam po odkrytym terenie.

Zniknął nam z oczu, ale usłyszeliśmy serię z pistoletu maszynowego. Gdy wrócił, powiedział nam, że zabił czterech Japończyków ukrytych w chacie i prawdopodobnie czekających na nas. Znów pobiegł do chaty, zauważył go jednak japoński snajper i trafił wracającego Hobbsa w szczękę. Hobbs przybiegł szybko, podtrzymując krwawiącą mocno szczękę, i poszedł na wzgórze do lekarza.

Obsługa naszego Brena oddała przypadkową serię w stronę Japończyków. W odpowiedzi nadleciał granat, który nie wybuchł, a potem dwa następne, z których jeden wybuchł, raniąc dwóch żołnierzy z obsługi Brena. Zrozumieliśmy, że zajmując pozycję na dole, znaleźliśmy się w niekorzystnym położeniu, ruszyliśmy więc w górę, gdy usłyszeliśmy jęki. Odwróciliśmy się w stronę chaty i zobaczyliśmy Beaneya, który został ranny i leżał na odkrytym terenie. Dwóch kolegów zawróciło, lecz gdy tylko postawili stopy na polu, rozpętało się piekło. Beaney ciągle strzelał, rzuciliśmy kilka granatów dymnych dla osłony, rozszedł się dym, ale jednocześnie rozległa się seria z broni maszynowej. Próbowaliśmy kilkakrotnie dotrzeć do Beaneya, lecz bez powodzenia. Wysialiśmy meldunek do sztabu, po czym

otrzymaliśmy rozkaz zaniechania dalszych prób, ponieważ straty są i tak bardzo duże.

Przyszedł do nas sierżant z piechoty morskiej, by zobaczyć, czy nie może pomóc, ale Japończycy nadal ostrzeliwali zaciekle dojsście do Beaneya, wróciliśmy więc na wzgórze, by zająć lepszą pozycję. Gdy doszliśmy na szczyt, usłyszeliśmy, że snajper zastrzelił sierżanta Landera, który był w 1. oddziale od roku 1940. Na szczycie zajęliśmy pozycje w okopach i czekaliśmy, natomiast 2. drużyna z 6. plutonu, dowodzona przez kapitana Evilla, próbowała zepchnąć nieprzyjaciół z północnej strony wzgórza. Nagle Japończycy z wyciem i wrzaskiem rzucili się do ataku. Pozwoliliśmy im podejść bliżej, a potem zaczęliśmy bić w nich ze wszystkiego, co było pod ręką. Było ich dwudziestu na jednego, ale strzelaliśmy z Brenów, pistoletów maszynowych Thompson, karabinów M1 Garand, pistoletów Colt M 1911 i rzucaliśmy granaty. Po kilku próbach dali spokój.

W tym czasie byliśmy wspomagani przez komandosów piechoty morskiej z oddziałów 42. i 44., a przez drzewa u stóp wzgórza przedzierał się 5. oddział, który był w rezerwie i którego zadaniem było ostatecznie zepchnąć Japończyków ze wzgórza. Prowadził podpułkownik Pollitt, wspaniały oficer, który w Północnej Afryce był kapitanem i dowódcą naszego oddziału i kilka razy wyprowadził nas z bardzo trudnych sytuacji. 5. oddział nadchodził wzdłuż wzgórza, rozciągając szyk i cały czas strzelając. Nagle jeden z żołnierzy znalazł się za zasłoną dymną i zaczął biec w górę. W jeden z trzymanyh przez niego granatów fosforowych trafiła kula i śmiertelnie go raniła.

Walka trwała jakiś czas, aż w końcu zamarła i wszystko się uspokoiło. Pozostaliśmy w okopach do następnego rana na wypadek, gdyby Japończycy postanowili zaatakować ponownie, lecz już się nie pojawili. Zostaliśmy zluzowani przez dywizję hinduską. Gdy chłopcy szli do łodzi, obszedłem wzgórze; najpierw poszedłem na zbocze, którym schodziliśmy, a potem dalej w dół, i znalazłem miejsce, gdzie leżał Beaney. Został zabity bagnetem.

Na Wzgórzu 170 poległo czterdziestu pięciu żołnierzy 3. Brygady Komandosów, a dziewięćdziesięciu zostało rannych. Porucznik George Knowland otrzymał pośmiertnie Krzyż Wiktorii. Generał porucznik Christison, dowódca hinduskiego XV Korpusu, wydał specjalny rozkaz dzienny:

„3. Brygada Komandosów, która z narażeniem własnego życia i z ogromną determinacją wytrwale dążyła do zwycięstwa, może być przykładem dla wszystkich swoich kolegów żołnierzy. Bitwa o Kangaw była decydującą bitwą w kampanii arakańskiej, a zwycięstwo odnieśliśmy dzięki niezwyklej odwadze wykazanej przez 3. Brygadę Komandosów na Wzgórzu 170”.

Kangaw była ostatnia bitwą komandosów. 3. Brygada wróciła do Akjab, a potem do Indii, gdzie zaczęła przygotowywać się do operacji „Zipper”, czyli do inwazji na Malaje. 6 sierpnia 1945 roku Stany Zjednoczone zrzuciły pierwszą bombę atomową na Hiroszimę, w trzy dni później kolejną, na Nagasaki. 15 sierpnia zakończyła się II wojna światowa.

EPILOG

ROZWIĄZANIE JEDNOSTEK KOMANDOSÓW, 1945-1946

Po zakończeniu II wojny światowej w Europie 1. i 4. Brygady Komandosów pozostały przez jakiś czas w Niemczech, by pomóc w utrzymaniu ładu w strefach okupowanych przez aliantów 2. Brygada opuściła Włochy już w połowie czerwca 1945 roku. 1. Brygada wróciła do Sussex w lipcu 1945 roku i zaczęła przygotowywać się do operacji na Dalekim Wschodzie, 4. Brygada wróciła do kraju w listopadzie.

Po sierpniowej kapitulacji Japonii 3. Brygada została wysłana do Hongkongu. Przybyła tam 12 września, by odebrać formalną kapitulację tamtejszego japońskiego garnizonu. O przyszłości jednostek komandosów armii już dyskutowano na najwyższych szczeblach. Żołnierzom 1. Brygady decyzję oznajmił 25 października 1945 roku generał Robert Laycock:

„Przypadł mi nader przykry obowiązek, by powiedzieć dziś komandosom, którzy wyróżnili się w walkach w Norwegii i na wyspach Północy, we Francji, w Belgii, w Holandii i w Niemczech, w Afryce i w Egipcie, w Syrii, na Krecie, na Sycylii i we Włoszech, w dżunglach Arakanu i Birmy, że ich jednostki muszą zostać rozwiązane”.

Zacząło się to już w następnym miesiącu. Wielu żołnierzy czasu wojny wróciło do cywila, żołnierze zawodowi wrócili do macierzystych jednostek i kontynuowali kariery wojskowe. W końcu listopada rozwiązano sztab główny, a wkrótce potem powołane na czas wojny Centrum Szkolenia Podstawowego w Achnacarry i Oddział Operacyjny w Wrexham.

Ten ostatni rozwiązano ostatecznie na początku 1946 roku. Ud końca wojny w Europie przyjmowano tam komandosów wracających z obozów jenieckich i ze szpitali, wypłacano im żołd i przygotowywano do powrotu do macierzystych jednostek, dłużej jednak działalność tego ośrodka nie była potrzebna.

Na szczęście, przed końcem 1945 roku zdecydowano, że w Armii Brytyjskiej powinna zostać utrzymana brygada komandosów, choć ku żalowi komandosów wojsk lądowych - tworzyć ją miała piechota morska. Brygadę tę zaczęto formować w Hongkongu jesienią 1945 roku, natomiast istniejąca dotąd 3. Brygada Komandosów została rozwiązana. Wielu żołnierzy z oddziałów 1. i 5. zdemobilizowano. Z pozostałych utworzono jeden oddział, który ostatecznie rozwiązano w styczniu 1947 roku.

3. Brygada Komandosów piechoty morskiej podtrzymuje tradycje dawnych jednostek, służąc wszędzie tam, gdzie toczy się wojna. Źródła historyczne od roku 1945 do dziś wymieniają tylko jeden rok, w którym żołnierze czy jednostki Brygady Komandosów nie brały udziału w akcjach gdzieś na świecie.

Rok 1945 nie zakończył jednak historii komandosów wojsk lądowych. W końcu lat 70., gdy tworzone nowe jednostki piechoty morskiej, wyodrębniono też z artylerii i wojsk inżynieryjnych jednostki komandosów wojsk lądowych, które miały wesprzeć piechotę w oddziałach 40., 42. i 45. Jednostki te popłynęły wraz z brygadą w 1982 roku na wojnę o Falklandy. Jak już pisaliśmy, dziś ponad tysiąc żołnierzy Armii Brytyjskiej, absolwentów kursu w Centrum Szkolenia Komandosów w Lymptstone w Devonie, nosi zielony берет.

We wszystkim, co rozkaże pan nasz, król, służy twoi będą z tobą.

SPIS TREŚCI

Od wydawcy polskiego	5
Wprowadzenie	7
1. Krótka historia walk komandosów	11
2. Pierwsze rajdy, 1940-1941	28
3. Od Lofotów do Vaagsö, 1941	47
4. Layforce, 1941	67
5. Raid na St Nazaire, 1942	89
6. Dieppe i Madagaskar, 1942	100
7. Operacja „Torch” i Tunezja, 1942	113
8. Sycylia i Półwysep Apeniński, 1943	124
9. Anzio, 1944	139
10. Jugosławia, 1943-1945	159
11. Comacchio i Argenta, 1945	173
12. Lądowanie w Normandii, 1944	188
13. Od Walcheren do Mozy, 1944-1945	212
14. W Niemczech, 1945	224
15. Birma, 1944-1945	242
Epilog	
Rozwiązanie jednostek komandosów, 1945-1946	267